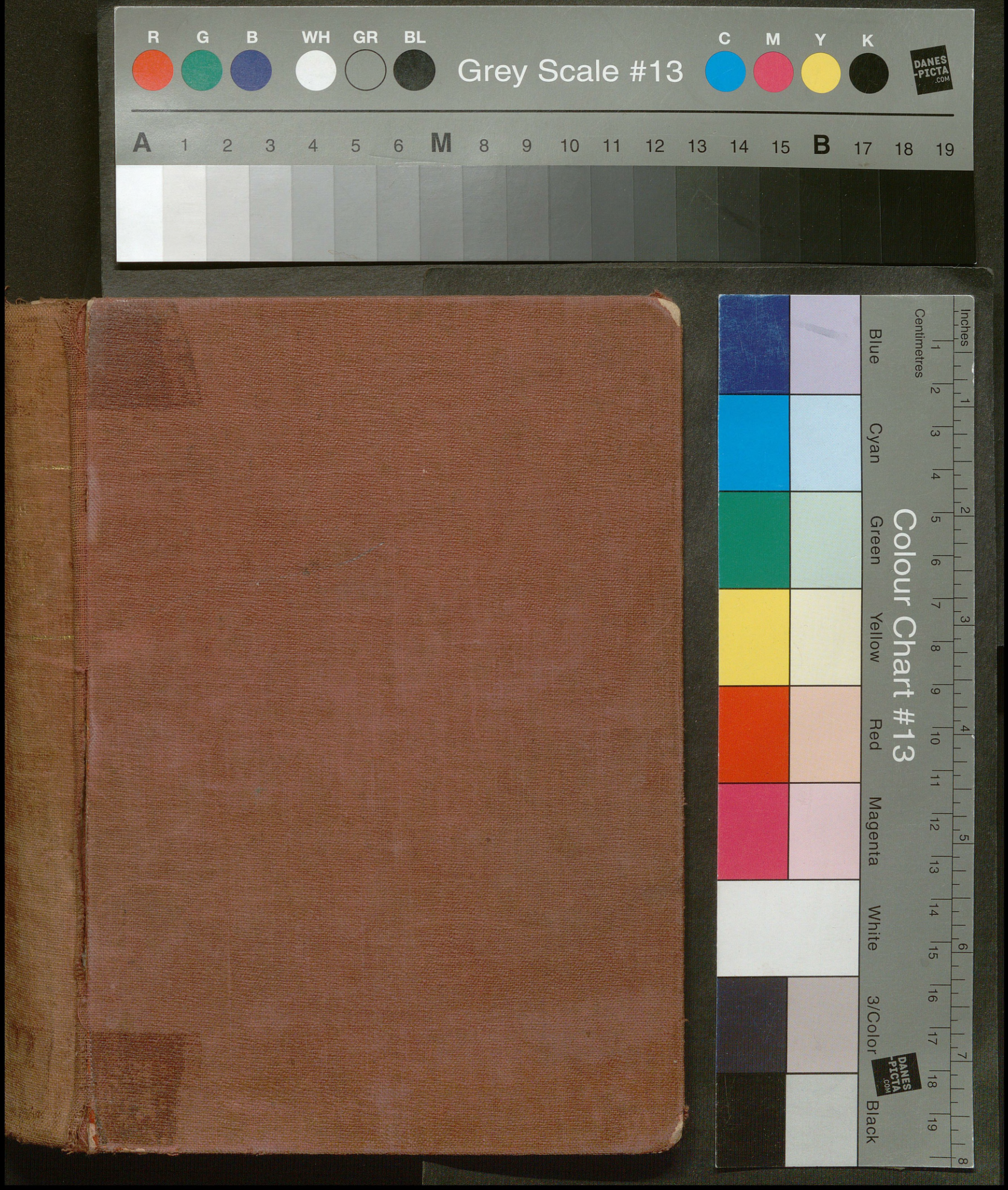

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

STEFAN ZWEIG

# JÓZEF FOUCHÉ

POWIEŚĆ BIOGRAFICZNA

Z upoważnienia autora przełożyła
R. Centnerszwerowa

VIII.11.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE"
WARSZAWA — POZNAŃ — KRAKÓW — LWÓW — STANISŁAWÓW

5254

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
im. Gen. Broni K. Świerczewskiego

COPYRIGHT BY „RENAISSANCE"
DRUKARNIA VERNAYA SP. AKC.

# PRZEDMOWA

Arturowi Schnitzlerowi
z czcią i miłością.

Józef Fouché, jeden z napotężniejszych mężów swojego wieku, jeden z najbardziej godnych uwagi ludzi wszech czasów, nie cieszył się wielką miłością swoich współczesnych i jeszcze mniej znalazł sprawiedliwej oceny ze strony potomnych. Napoleonowi na Świętej Helenie, Robespierre'owi u Jakobinów. Talleyrand'owi w jego Pamiętnikach, wszystkim francuskim historykom nasiąka pióro żółcią, ilekroć wypada im napisać jego imię. Zdrajca z przyrodzenia, nędzny intrygant, śliska natura gadzinowa, zawodowy renegat, nikczemna dusza policyjna, godny pogardy amoralista — nie zostaje mu zaoszczędzona żadna pogardliwa obelga. Nikt też, ani Lamartine, ani Michelet, ani Louis Blanc, nie próbuje badać poważnie jego charakteru, a raczej jego zdumiewająco stałego braku charakteru.

Po raz pierwszy występuje jego postać, w prawdziwym, pełnym zarysie, w monumentalnej biografji pióra Louis Madelins'a, której praca niniejsza, równie jak wszelka inna jemu poświęcona, zawdzięcza przeważną część swojego materjału faktycznego. Poza tem bez skrupułu spychała historja do tylnego szeregu małoznacznych figurantów człowieka, który w ciągu przełomowego okresu dziejów świata przewodził wszystkim stronnictwom i sam jeden je przetrwał; człowieka, który w psychologicznej szermierce potrafił wziąć górę nad osobnikami tej miary, co Napoleon i Robespierre. Od czasu do czasu jawi się jeszcze jego postać w prze-

biegu jakiejś sztuki scenicznej czy jakiejś operetki, czerpiącej temat z życia Napoleona, przeważnie jednak w uprzykrzenie szematycznej roli szczwanego ministra policji, niejako zapowiedzi Sherloka Holmesa. Płaskie, powierzchowne takie ujęcie nie potrafi nigdy odróżnić roli tylnoplanowej od roli podrzędnej.

Jeden tylko człowiek widział z wyżyn własnej wielkości tę jedyną w swoim rodzaju postać w jej właściwych rozmiarach i tym człowiekiem nie był byle kto: Balzac. Ten wzniosły, a razem przenikliwy umysł, obejmujący wzrokiem nietylko stronę pokazową widowni dziejów, ale umiejący wglądać zawsze i poza jej kulisy, otwarcie i wyraźnie uznawał w osobie Fouché'go jeden z psychologicznie najbardziej interesujących charakterów jego stulecia.

Nawykły do rozpatrywania wszystkich namiętności w swoim tyglu uczuć, zarówno tak zwanych bohaterskich, jak rzekomo przyziemnych, jako równowartościowych składników; do darzenia jednakową miarą podziwu zdecydowanego przestępcy, Vautrin'a, i genjusza moralnego, Louis Lambert'a; do nieczynienia nigdy różnic pomiędzy obyczajnością a nieobyczajnością; do mierzenia ludzi wyłącznie miarą wartości ich woli i siłą ich namiętności — wyłowił Balzac tę właśnie najbardziej wzgardzoną, najbardziej oplwaną postać z epoki Rewolucji i Cesarstwa z jej rozmyślnego usunięcia się w cień. „Jedynym ministrem, jakiego posiadał kiedykolwiek Napoleon" nazwał owego *„singulier génie"*, także ową *„la plus forte tête que je connaisse"*, a na innem znów miejscu: „jedną z owych postaci, pod których zewnętrzną powłoką kryje się tyle głębi, że w momencie działania pozostają one nieprzeniknione i zrozumiane być mogą dopiero w następstwie". —

Brzmi to wyraźnie inaczej aniżeli owo moralizujące lekceważenie!

A w swojej powieści *„Une ténébreuse affaire"* poświęca Balzac specjalną kartę „ponuremu, głębokiemu

i niezwykłemu umysłowi, który tak mało jest znany". „Jego szczególnego rodzaju genjusz", — pisze on, „który przejmował rodzajem lęku Napoleona, nie ujawnił się odrazu. Nieznany ten członek Konwentu, jeden z najniezwyklejszych, a zarazem jeden z najfałszywiej ocenionych ludzi swojego czasu, dopiero w momentach przełomów stał się tem, czem był w następstwie. Za Dyrektorjatu wzniósł się on na wyżynę, z której ludzie głębokiego umysłu przewidują przyszłość na podstawie właściwej oceny przeszłości. Potem, nagle, na podobieństwo owych przeciętnej miary aktorów, którzy pod wpływem nagłego objawienia stają się doskonałymi artystami, dał on przy okazji zamachu stanu 18 brumaire'a dowody swojej zręczności. Ten człowiek o bladej twarzy, wychowany w klasztornej dyscyplinie, znający wszystkie tajemnice stronnictwa Góry, do którego pierwotnie należał, a także rojalistów, na których stronę w końcu przeszedł, człowiek ten w długotrwałem milczeniu studjował ludzi, rzeczy i praktyki widowni politycznej; przeniknął tajemnice Bonapartego, dawał mu pożyteczne rady i cenne wskazówki... Ani jego nowi, ani dawni, koledzy nie przeczuwali w owym momencie rozpiętości jego genjuszu, który był zasadniczo genjuszem rządzenia, trafnie, z nieprawdopodobną bystrością, przewidującym we wszystkich swoich przepowiedniach".

Tyle Balzac.

Hołd jego skierował pierwszy moją uwagę na Fouché'go, od lat wielu też tu i owdzie badałem życie tego człowieka, o którym genjusz miary Balzac'a twierdził, jakoby „posiadał on większą władzę nad ludźmi aniżeli sam Napoleon nawet".

Fouché dobrze umiał jednak, zarówno jak za życia, pozostać i w historji postacią tylnoplanową: nie pozwala on sobie łatwo zaglądać ani w twarz, ani w karty. Prawie zawsze kryje się poza faktami i wydarzeniami, poza stronnictwami, działając tak samo niedostrzeżenie

pod anonimowym płaszczykiem swojego stanowiska urzędowego, jak werk w zegarze. Bardzo rzadko też udaje się w zamęcie wydarzeń, na najostrzejszych zakrętach jego politycznych torów, wyśledzić i przyłapać jego wymigujący się profil.

I jeszcze dziwniejsze!

Żaden z tych chwytanych w przelocie profilów Fouché'go nie zgadza się na pierwszy rzut oka z poprzednim. Dość dużego wysiłku potrzeba, aby wyobrazić sobie, że ten sam człowiek, o tej samej skórze i tem samem uwłosieniu, był w roku 1790 wykładowcą w seminarjum duchownem, a już w 1792 rabusiem kościołów, w 1793 występował jako komunista, w pięć lat później dorobił się wielomiljonowej fortuny, a po upływie jeszcze dziesięciu lat występuje w historji jako książe Otrantu.

Im bardziej zuchwałe wszelako i niezwykłe były kolejne przeistoczenia tego człowieka, tembardziej interesującym stawał się dla mnie charakter, a raczej brak charakteru istnego tego Machiavela nowoczesnego, tem bardziej pociągała mnie i nęciła jego, szczelnie, w głębi tylnych planów osłonięta tajemnicą karjera polityczna, tem bardziej odmienną od wszystkich innych i tem demoniczniejszą wydawała mi się jego postać.

W ten sposób, zupełnie niespodziewanie, naprowadziła mnie psychopoznawcza ciekawość na myśl napisania historji Józefa Fouché, jako przyczynku do nieopracowanej wciąż jeszcze, a bardzo potrzebnej biologji dyplomaty, tej w dalszym ciągu niezbadanej do głębi, najniebezpieczniejszej duchowej rasy naszego świata.

Wiem dobrze, że podobny życiorys natury nawskroś amoralnej, chociażby nawet tak niezwykłej w swoim rodzaju i pełnej znaczenia, jaką był Józef Fouché, — idzie naprzekór niewątpliwym dążeniom naszego czasu. Epoka nasza domaga się umiłowanych przez siebie ży-

ciorysów bohaterskich, bowiem, wobec własnego ubóstwa w państwowotwórcze postacie przywódców, doszukują się współcześni nasi wzniosłych przykładów w dziejach minionych. Nie myślę bynajmniej zapoznawać podnoszącego duchowo, rozszerzającego myślowe widnokręgi, krzepiącego siły wpływu bohaterskich życiorysów. Od czasów Plutarcha są one potrzebne wszystkim wyłaniającym się na widownię pokoleniom i każdej nowej młodzieży.

Właśnie jednak w zakresie polityki kryją one w sobie niebezpieczeństwo fałszowania historji, nasuwania myśli, jakoby wówczas i zawsze prawdziwie przywódcze natury wpływać miały decydująco na faktyczny bieg losów świata. Nie ulega wątpliwości, że natura bohaterska, siłą samego faktu swojego istnienia, w ciągu dziesiątków lat jeszcze opanowuje życie duchowe, wyłacznie duchowe jednak.

W życiu rzeczywistem, faktycznem, w sferze władzy politycznej, rolę rozstrzygającą — co podkreślić należy jako ostrzeżenie przed wszelkim fanatyzmem politycznym — rzadko odgrywają jednostki górujące, ludzie czysto ideowi, ale, wprost przeciwnie, przedstawiciele mniej wartościowego, ale zręczniejszego gatunku: postacie tylnoplanowe.

Zarówno w 1914 jak w 1918 byliśmy naocznymi świadkami, do jakiego stopnia postanowienia wszechświatowej doniosłości, dotyczące wojny i pokoju, nie zapadały pod kierowniczym wpływem rozsądku i poczucia odpowiedzialności, ale były wynikiem machinacyj ukrytych za kulisami osobników o wątpliwych charakterach i niedostatecznym rozumie.

I obecnie w dalszym ciągu codziennie jesteśmy świadkami, jak w dwuznacznej, często karygodnej grze politycznej, której narody wciąż jeszcze łatwowiernie oddają w ofierze własne dzieci i poświęcają własną przyszłość, nie mężowie o moralnym światopoglądzie i niezłomnych przekonaniach wybijają się na pierwszy

plan, ale zawsze przebijają ich karty zawodowi gracze hazardowi, których mianujemy dyplomatami, prestidigitatorzy, mający, przy niepospolitej zręczności manipulowania, puste słowa tylko i zimne nerwy.

O ile więc istotnie, jak to określił już przed stu laty Napoleon, polityka stała się *„la fatalité moderne"*, nowoczesną odmianę fatum, musimy starać się, gwoli własnej obrony, poznawać ludzi pod temi potęgami, a tem samem zgłębić niebezpieczną tajemnicę ich władzy.

Takim przyczynkiem do typologji męża politycznego ma być życiorys Józefa Fouché.

## Rozdział pierwszy

## WZNIESIENIE SIĘ

### 1759—1793.

31-ego maja 1759 roku urodził się Józef Fouché — wówczas jeszcze daleki od tytułu księcia Otrantu! — w mieście portowem Nantes. Marynarzami i kupcami byli jego rodzice, marynarzami jego przodkowie. Cóż więc bardziej zrozumiałego nad to, że i ich potomek miał również stać się żeglarzem, kupcem okrętowym czy kapitanem? Rychło wszelako ujawniło się, że ten wątły, wybujały, anemiczny, nerwowy, brzydki wyrostek nie posiada żadnych danych na poświęcenie się ciekawemu temu i w owym czasie naprawdę jeszcze bohaterskiemu rzemiosłu. Wystarczyło, aby znalazł się o dwie mile od brzegu — a zapadał na chorobę morską; kwadrans biegania czy zabawy z innymi chłopcami nużył go nad miarę. Co począć tedy z latoroślą tak delikatnego zdrowia? — zadają sobie pytanie zatroskani o niego rodzice, ile że Francja w roku 1770 nie stanowiła jeszcze odpowiedniego pola dla duchowo już rozbudzonego i niecierpliwie przepychającego się już naprzód mieszczaństwa. W sądownictwie, w sferach kierowniczych, na każdem stanowisku, w każdym urzędzie rezerwowane są wszystkie dochodowe prebendy dla przedstawicieli szlachty. Aby zostać przyjętym na służbę przy dworze, trzeba posiadać herb hrabiowski, a przynajmniej dobry tytuł baronowski. Nawet w armji dochrapać się może mieszczanin, który

zdążył osiwieć w służbie wojskowej, conajwyżej stopnia kaprala. Stan trzeci zewsząd jest jeszcze wykluczony w tej źle rządzonej, skorumpowanej monarchji; cóż dziwnego, że w ćwierćwiecze później będzie on pięściami domagał się tego, czego zbyt długo odmawiano jego pokornie błagalnej dłoni.

Pozostaje tedy kościół jedynie.

Ta, licząca tysiąc lat potęga, nieskończenie przerastająca dynastje swoją znajomością świata, zapatruje się na sprawy mądrzej, szczerzej i bardziej demokratycznie. Znajduje ona zawsze na swojem łonie miejsce dla każdej uzdolnionej jednostki, przyjmując najniższego z maluczkich nawet do niewidzialnego swojego królestwa.

Że zaś młody Józef już na szkolnej ławie u Oratorjanów wyróżniał się postępami w nauce, powierzają mu oni chętnie wykładanie matematyki i fizyki, stanowisko prefekta i nadzorcy szkolnego. Mając lat dwadzieścia, zdobywa on w tym zakonie, który od czasu wypędzenia Jezuitów ujmuje wszędzie we Francji w swoje ręce kierowanie wychowaniem katolickiem, godność i stanowisko skromne wprawdzie, bez wielkich widoków wybicia się na wierzch i wzniesienia, ale bądź co bądź zyskuje szkołę, w której sam zarazem się szkoli, w której, nauczając, uczy się również.

Mógłby stanąć wyżej, zostać duchownym, może nawet biskupem czy eminencją, o ile złożyłby śluby kapłańskie. Typowe wszelako dla Józefa Fouché: już na pierwszym, najniższym szczeblu jego karjery ujawnia się charakteryzująca go cecha — jego niechęć do decydującego, bezpowrotnego wiązania się z czemś czy z kimś.

Nosi ubiór kapłański i ma tonsurę, dzieli zakonny sposób życia pozostałych ojców duchownych, niczem nie odróżnia się zewnętrznie i wewnętrznie w ciągu tych dziesięciu lat, spędzonych w służbie u Oratorjanów, od kapłana. Nie przyjmuje jednak święceń, nie

składa ślubowania. Jak zawsze, w każdej sytuacji, pozostawia sobie otwartą możność odwrotu, zmiany, wycofania się. I kościołowi także poświęca się tylko przejściowo i niecałkowicie, tak samo zupełnie jak później Rewolucji, Dyrektorjatowi, Konsulatowi, Cesarstwu czy Monarchji: z Bogiem nawet, tem mniej więc z człowiekiem, nie związuje się Józef Fouché ślubem dozgonnej wierności.

— — — — — — — — — — — — —

W ciągu dziesięciu lat, od dwudziestego do trzydziestego roku swojego życia, chadza blady ten, zamknięty w sobie półksiądz krużgankami klasztornemi, snuje się po cichych refektarzach. Wykłada w Niort, Saumur, Vendôme, w Paryżu, nie odczuwając nieomal zmiany miejsca, bowiem życie wykładowcy seminaryjnego upływa jednako cicho, ubogo i niepozornie w tem mieście, czy w innem, zawsze poza murem milczenia, stale w odgrodzeniu od świata. Dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu uczniów, którym wykłada łacinę, matematykę i fizykę: bladzi, w czerń odziani chłopcy, których prowadzi na mszę i nad których snem czuwa w nocy; samotne rozczytywanie się w dziełach naukowych; skromne posiłki; licha zapłata; czarna, wyrudziała suknia duchowna; skromne, bez wymagań życie klasztorne. Skostnieniem nieledwie, czemś nierealnem, poza nawiasem czasu i przestrzeni, bezpłodną i niedającą przystępu ambitnym dążeniom, wydaje się ta cicha, spędzona w cieniu egzystencja w ciągu dziesięciu lat.

A jednak przez te dziesięć lat, przeżytych w szkole klasztornej, uczy się Józef Fouché wiele z tego, co nieskończenie przydać się ma późniejszemu dyplomacie, przedewszystkiem techniki i umiejętności milczenia, najwyższej sztuki ukrywania własnej jaźni, mistrzowskiego przenikania cudzych dusz, znawstwa psycho-

logji. Fakt, że ten człowiek przez całe swoje życie, stale, nawet w pasji, potrafił panować nad każdym nerwem własnego oblicza; że niepodobna było nigdy uchwycić gwałtownego porywu gniewu, rozgoryczenia czy wzruszenia na jego nieruchomej, jakgdyby również w milczenie zaklętej twarzy; że jednako bezdźwięcznym głosem i z jednakim niezamąconym spokojem wypowiadał słowa najuprzejmiejsze i najstraszliwsze; że tym samym bezszelestnym krokiem prześlizgiwał się po posadzkach salonów cesarskich i przez najbardziej rozhukane zgromadzenie ludowe, — nieporównaną tę dyscyplinę panowania nad sobą zawdzięczał on latom refektarzowym, ujarzmieniu oddawna już woli swojej pod wpływem wyćwiczenia się w szkole nauk Loyoli, wydoskonalenia mowy swojej na dyskusjach wielowiekowej sztuki kapłańskiej, zanim wystąpił po raz pierwszy na arenie świata. Nie jest to może dziełem przypadku, że wszyscy trzej wielcy dyplomaci Rewolucji Franzuskiej: Talleyrand, Sièyes i Fouché, pochodzą ze szkoły kościoła, oddawna już, zanim jeszcze wstąpili na trybunę, mistrzowie w dziedzinie znajomości ludzi. Odwieczna, wspólna, daleko poza nich sięgająca tradycja wyciska na ich odmiennych zresztą charakterach pewne podobieństwo, ujawniane w momentach przełomowych. Fouché dołącza jeszcze do tego żelazną, tak samo spartańską samodyscyplinę, wewnętrzną odporność na zbytek i przepych, umiejętność ukrywania prywatnego swojego życia i osobistych swoich uczuć. Nie, owe lata, spędzone przez Fouché'go w cieniu krużganków klasztornych, nie były stracone, nauczył się on nieskończenie wiele przez czas kiedy był nauczycielem.

Poza murami klasztornymi, w najściślejszem odosobnieniu od świata urabia się i rozwija ten dziwnie giętki i niespokojny duch, sięgając szczytów mistrzowstwa psychologji. W ciągu szeregu lat wolno mu działać niepostrzeżenie tylko, w najciaśniejszem kole du-

chownych, ale już w 1778 zaczyna rozpętywać się we Francji burza socjalna, której gromowe echa przedostają się nawet poprzez mury klasztorne.

W celach braci Oratorjanów prowadzone są równie ożywione dyskusje na temat praw człowieka, jak w klubach wolnomularskich. Nowy rodzaj zaciekawienia prze tych młodych kapłanów ku kołom mieszczańskim. Ta sama ciekawość toruje młodemu nauczycielowi fizyki i matematyki drogę do zdumiewających odkryć ówczesnych, do wynalazku braci Montgolfierów, do pierwszych statków powietrznych, do wielkich odkryć w dziedzinie elektryczności i medycyny. Przedstawiciele duchowieństwa starają się wejść w zetknięcie ze sferami intelektualnemi, tworzącemi w Arras szczególnie ożywione towarzysko koło, zwane „Rosati", rodzaj „szlarafji", w której ramach inteligencja miasta gromadzi się na wesołych zebraniach. Wygląda to bardzo niewinnie: drobni, niepozorni burżuje deklamują wierszyki lub wygłaszają przemówienia na tematy literackie; wojskowi łączą się z cywilami; mile też jest widziany wykładowca seminaryjny, Józef Fouché, jako że umie opowiadać ciekawe rzeczy o nowych zdobyczach fizyki. Częstokroć przesiaduje on tam w kole towarzyszy i przysłuchuje się chociażby, jak pewien pułkownik wojsk technicznych, Lazare Carnot, głośno odczytuje zaprawione ciętym humorem własne utwory wierszowane, albo też blady, wąskowargi adwokat Maximilian de Robespierre (przywiązuje on wówczas jeszcze wagę do swojego szlacheckiego tytułu), wygłasza przy stole biesiadnym kwiecistą mowę na cześć koła „Rosati". Prowincja upaja się jeszcze bowiem ostatniemi tchnieniami filozofującego osiemnastego stulecia; pan de Robespierre spokojnie jeszcze, zamiast ferowania krwawych wyroków, układa zręczne madrygały; szwajcarski lekarz, Marat, pisze jeszcze, zamiast ponuro zajadłych komunistycznych manifestów, słodko sentymentalny romans; mały

oficerek Bonaparte ślęczy jeszcze gdzieś w głębi prowincji nad wypoceniem nowelki, naśladującej cierpienia młodego Wertera: burza gromadzi się, niedostrzegalna jeszcze, poza widnokręgiem.

Szczególna wszakże gra losu: z tym właśnie bladym, nerwowym, niepowstrzymanie ambitnym adwokatem de Robespierre'm najbliżej zaprzyjaźnia się tonsurowany wykładowca seminaryjny; ich wzajemny stosunek jest nawet na najlepszej drodze przeistoczenia się w spowinowacenie szwagrów, bowiem Charlotta de Robespierre, siostra Maxymiljana, gotowa jest uleczyć młodego nauczyciela Oratorjanów z jego kapłańskich upodobań, i już krążą przy wszystkich stołach szepty o ich bliskiem narzeczeństwie.

Dlaczego narzeczeństwo to w końcu nie dochodzi do skutku, pozostało tajemnicą. Może jednak w niej właśnie kryje się źródło owej słynnej w dziejach świata, straszliwej wzajemnej nienawiści obu ludzi, niegdyś tak zaprzyjaźnionych, a potem wzajem zwalczających się na śmierć i na życie.

W owym wszelako czasie nie wiedzą oni nic jeszcze o jakobinizmie, nie dzieli ich też nienawiść. Wprost przeciwnie: kiedy Maxymiljan de Robespierre wysłany zostaje w charakterze deputowanego na Zgromadzenie Stanów Generalnych do Wersalu celem współuczestniczenia w opracowaniu nowej konstytucji francuskiej, jest tonsurowany Józef Fouché tym, który, biednemu jak mysz kościelna, adwokatowi de Robespierre pożycza kilka złotych monet, aby mógł niemi opędzić koszty podróży i sprawić sobie nowy garnitur.

Symboliczne ma też znaczenie tak często powtarzający się w następstwie fakt, że Fouché podaje i trzyma innemu strzemię przy zapoczątkowaniu jego karjery w historji świata. I właśnie on będzie tym, który w decydującym momencie zdradzi dawnego przyjaciela i zada mu cios skrytobójczy.

Wkrótce po odjeździe Robespierre'a do Wersalu na Zgromadzenie Stanów Generalnych, które wstrząsnąć miało w posadach wszystkie najtęższe podwaliny Francji, urządzają i Oratorjanie w Arras małą rewolucję u siebie. Polityka zdołała przeniknąć do refektarzy, i mądry tropiciel, umiejący wywęszyć każdą zmianę wiatru, rozwija swoje żagle w kierunku nowego prądu. Na jego propozycję wysłana zostaje deputacja na Zgromadzenie Narodowe celem zadokumentowania sympatji kleru dla trzeciego stanu. Tym razem wszakże on, zawsze taki ostrożny, odkrył karty o godzinę zawcześnie. Przełożona władza wysyła go za karę, której nie jest jednak mocna nadać charakteru prawdziwego ukarania, do pobratymczego zakładu w Nantes, czyli tam, gdzie, jako mały chłopiec, zdobywał pierwsze podstawy wiedzy.

Teraz wszelako jest już doświadczony i dojrzały, przestaje go też nęcić uczenie wyrostków tabliczki mnożenia, geometrji i fizyki. Tropiciel wiatru wywęszył socjalny orkan, zawisły nad krajem i bliskie zapanowanie polityki nad światem. Rzuca się tedy śmiało w sam jej wir!

Jednym zamachem zrzuca z siebie sutannę, pozwala zarosnąć tonsurze i odtąd już nie wobec niedojrzałych młodzików, ale wobec zgromadzonych obywateli Nantes, wygłasza odczyty na tematy polityczne. Utworzony zostaje klub — politycy stawiają wszak zawsze pierwsze kroki swojej karjery na takiej próbnej arenie wymowy —, kilku tygodni tylko potrzeba, a już obrany zostaje Józef Fouché na przewodniczącego „*Amis de la Constitution*“ w Nantes. Wychwala postęp, ale bardzo ostrożnie, nader oględnie, jako że termometr polityczny zacnego miasta handlowego wskazuje temperaturę umiarkowaną. Nantes nie lubi radykalizmu, boi się o swój kredyt i dba przedewszystkiem o robienie dobrych interesów. Tutaj, gdzie ściąga się

najtłuściejsze kąski z kolonij, nie znajdują uznania nazbyt fantastyczne takie projekty, jak zniesienie niewolnictwa: dlatego Fouché opracowuje niezwłocznie patetyczny apel do Konwentu przeciwko zniesieniu handlu niewolnikami, czem ściąga wprawdzie na siebie surową naganę ze strony Brissot'a, nie umniejsza to jednak bynajmniej uznania dla niego w ściślejszem kole mieszczańskiem. Celem umocnienia zawczasu politycznego swojego stanowiska posród mieszczaństwa (przyszłych wyborców!) spieszy poślubić córkę zamożnego kupca, brzydką, ale suto wyposażoną dziewczynę, stać się bowiem chce odrazu i w zupełności mieszczaninem w czasie, w którym — czuje to już — trzeci stan ma rychło wysunąć się na czoło, być panującym.

Wszystko to są już przygotowania do właściwego celu. Z chwilą rozpisania wyborów do Konwentu stawia dawny wykładowca seminaryjny własną swoją kandydaturę.

Na czem polega pierwszy krok każdego kandydata?

Przedewszystkiem przyobiecuje poczciwym swoim wyborcom wszystko, czego tylko chcą wysłuchać. Przysięga więc i Fouché, że będzie bronił handlu, strzegł własności, szanował prawa; gromi też znacznie wymowniej (wiatr w Nantes wieje bardziej z prawa niż z lewa) wichrzycieli porządku, aniżeli dawny ustrój.

I w rzeczy samej, w roku pańskim 1792-im obrany zostaje deputowanym na Zgromadzenie Konwentu. Trójkolorowa kokarda na długo zastąpi mu odtąd noszoną dotychczas w ciszy klasztornego ukrycia tonsurę.

— — — — — — — — — — — — —

W porze swojego wyboru liczy Józef Fouché trzydzieści dwa lata. Niepodobna nazwać go pięknym mężczyzną; bynajmniej. Chudy upiornie nieomal, ma ostro

zarysowane wąskie kości brzydkiej i niemiłej twarzy o kanciastych rysach. Ostra linja nosa, ostry zarys ściągniętych zawsze ust, rybio-zimne oczy, przysłonięte ciężkiemi, sennemi nieledwie powiekami, źrenice kocio szare, niby okrągłe paciorki szklane. Wszystko w tej twarzy, wszystko w tym osobniku odmierzone jest jednako skąpą miarą żywotności: sprawia on wrażenie człowieka oglądanego przy świetle gazowem, tak jest zielonkawy i przyćmiony. Oko bez blasku, ruchom brak zmysłowej prężności, głos pozbawiony metalu. Rzadkie i cienkie kosmyki włosów, brwi rudawe, zaledwie dostrzegalne, szaro bezbarwna cera policzków. Jak gdyby zbrakło barwnika do nadania zdrowszego kolorytu tej twarzy: ten niebywale wytrzymały, zdolny do niesłychanego wysiłku pracy człowiek sprawia zawsze wrażenie zmęczonego, wyczerpanego, chorego czy rekonwalescenta.

Każdemu na jego widok przychodzi przedewszystkiem na myśl, że w żyłach tego człowieka nie musi płynąć gorąca, czerwona, kipiąca krew. Istotnie też: i duchowo należy on do rasy zimnokrwistych. Nie zna gwałtownych, porywających namiętności, nie ciągnie go do kobiet, ani do kart, nie pije wina, nie znajduje upodobania w zbytku, nie lubuje się w grze własnych mięśni, spędza życie w zamknięciu swojego pokoju, pośród aktów i papierów. Nie daje się nigdy unosić dostrzegalnemu porywowi gniewu, żaden nerw nie gra nigdy w jego twarzy. Jedyne, na co zdobywają się te bezkrwiste, ostro zarysowane wargi, to słaby zarys uśmiechu, bądź ugrzecznionego, bądź drwiącego. Nigdy nie można dopatrzeć się pod tą szarogliniastą, napozór obojętną maską rzeczywistego napięcia; oko, przysłonięte ciężką, zaczerwienioną na brzegach powieką, nie zdradza nigdy właściwego jego zamiaru, żadne poruszenie nie ujawnia jego myśli.

Ta niewzruszona zimnokrwistość stanowi też istotną siłę Fouché'go. Nie daje się on opanować nerwom,

opętać zmysłom; każdy porywy namiętności naładowuje się i wyładowuje poza nieprzeniknioną ścianą jego czoła. Puszcza on w ruch swoje siły i z niezmąconą trzeźwością podpatruje błędy cudzej gry; pozwala innym zużywać swoje namiętności i czeka cierpliwie, dopóki zapas ich się nie wyczerpie, albo też dopóki, w nieopanowaniu swojem, nie popełnią niedorzecznego jakiego błędu — wówczas dopiero zadaje im nieubłagany cios.

Straszliwą jest ta wyższość jego pozbawionej nerwów cierpliwości. Kto w ten sposób potrafi czekać i ukrywać własne myśli i uczucia, zdolny jest wyprowadzić w pole najdoświadczeńszego bodaj.

Z całym spokojem będzie Fouché służył, nie drgnąwszy nawet brwiami, będzie z chłodnym uśmiechem przyjmował i chował do kieszeni najgrubsze obelgi, najhaniebniejsze poniżenia — żadna groźba, żaden wybuch wściekłości nie będzie zdolny wyprowadzić z równowagi tego człowieka o rybiej krwi. Napoleon i Robespierre, obaj rozbijają się o ten kamienny spokój, jak fale oceanu o rafę nadbrzeżną: trzy pokolenia, cały rodzaj ludzki wzburzy się i zatonie w skłębionym wirze namiętności, podczas gdy on, zimny i nieugięty, wytrwa dumnie na stanowisku; on jedyny, wyzbyty wszelkich poruszeń duszy.

Ta zimnokrwistość stanowi zatem właściwy genjusz Fouché'go.

Jego ustrój cielesny nie stoi mu na przeszkodzie i nie porywa go za sobą: pozostaje zawsze jednako nieobecny we wszystkich tych zuchwałych hazardach intelektualnych. Jego krew, jego zmysły, jego dusza, wszystkie te, wprowadzające zamęt składniki uczuć prawdziwego człowieka z krwi i kości, nie współdziałają nigdy u podstępnie, w tajemnicy, snującego swoją grę śmiałka, którego wszystkie namiętności znalazły siedlisko w jego mózgu.

Bowiem ten suchy kancelista występnie lubuje się w awanturniczych przygodach, a jego namiętnością jest intrygowanie. Jedynie duchowo jednak zdolny on jest pogrążyć się w nich i sycić się niemi, nic też lepiej i bardziej genjalnie, aniżeli trzeźwy jego nawyk obowiązkowego, sumiennego urzędnika, którego maskę nosi przez całe życie, nie jest w stanie ukryć ponurego jego rozkoszowania się zamętem i rozkiełznaniem.

Z ukrycia czterech ścian własnego pokoju snuć nici intrygi, z oszańcowania poza górami aktów i rejestrów zadawać cios morderczy, niespodzianie i niedostrzeżenie — na tem polega jego taktyka. Głęboko zapuścić należy wzrok w gąszcze historji, aby w ognistym błysku Rewolucji, w legendarnej glorji Napoleona, móc wogóle dostrzec jego obecność, jego rolę, pozornie skromną, podrzędną, w rzeczywistości wszelako wszechwładną i kształtującą losy świata.

Przez ciąg własnego swojego życia kroczył w cieniu, przetrwał jednak trzy pokolenia. Patrokles legł już oddawna, Hektor i Achilles również, Odysseusz wszakże, przebiegły Odysseusz żyje i trwa wciąż jeszcze. Jego talent zwycięża genjusz, jego zimnokrwistość pokonywa wszelkie namiętności.

— — — — — — — — — — — — —

Z rana 21-go września wkracza nowoobrany Konwent po raz pierwszy do Sali Posiedzeń. Już nie tak pompatyczne, nie tak uroczyste spotyka go powitanie, jak podczas otwarcia pierwszego Zgromadzenia Ustawodawczego przed trzema laty. Wówczas stał jeszcze w samym środku fotel obity cennym, zahaftowanym białemi liljami adamaszkiem — miejsce królewskie. A kiedy wszedł na salę król, powitało pomazańca tryumfalnemi oklaskami całe, z szacunkiem powstałe z miejsc Zgromadzenie. Teraz wszelako runęły już zmurszałe jego warownie, Bastylja i Tuilerje; niema już króla we Francji. Tylko opasły jegomość, przezy-

wany przez gruboskórych strażników więziennych i sędziów Ludwikiem Capetem, nudzi się w Temple w charakterze pozbawionego władzy obywatela i czeka na swój wyrok. Zamiast niego rządzi teraz krajem siedmiuset pięćdziesięciu, którzy na siedzibę swoją obrali własny jego dom. Poza fotelem przewodniczącego widnieje wydrukowana olbrzymiemi zgłoskami nowa mojżeszowa Tablica Przykazań — dosłowne brzmienie Konstytucji, a ściany sali zdobią — niebezpieczny symbol! — rózgi liktorskie i morderczy topór.

Na galerjach gromadzi się lud, przyglądający się z ciekawością swoim przedstawicielom. Siedmiuset pięćdziesięciu członków Konwentu sunie wolnym krokiem na salę królewskiego domu. Dziwna, pstra mieszanina wszelkich stanów i zawodów: adwokaci bez stanowisk obok sławnych filozofów, uciekinierzy od kapłaństwa obok zasłużonych wojskowych, zbankrutowani awanturnicy obok wybitnych matematyków i rycerskich poetów; jak w gwałtownie wstrząśniętem naczyniu szklanem wypłynęło we Francij na wierzch to, co było na jej dnie.

Przyszedł wreszcie czas uporządkowania chaosu.

Już sam sposób rozmieszczenia wskazuje na pierwszą próbę wprowadzenia porządku. W amfiteatralnej sali, tak ciasno napchanej, że wrogie przemówienia obijają się wzajem o siebie, czoło o czoło, tchnienie o tchnienie, najdalej, w głębi, siedzą spokojni, rozważni, przezorni, „*le Marais*“, bagno, jak nazywani są drwiąco ci, którzy przy wszelkich rozstrzygających postanowieniach zachowują się beznamiętnie. Przypuszczający gwałtowny szturm, niecierpliwi, radykałowie zajmują miejsca na najwyżej ustawionych ławach, na „Górze“, której ostatnie szeregi przytykają już do galerji, symbolicznie tem samem wskazując, że opierają się o masy, o lud, o proletarjat.

Obie te potęgi ważą się na szali. Pomiędzy niemi oscylują przypływy i odpływy rewolucji. Dla miesz-



BIBLIOTEKA

czan, dla umiarkowanych ustalony jest już i wykończony, wraz z wywalczeniem konstytucji, wraz z usunięciem króla i zniesieniem arystokracji, wraz z przejściem praw w ręce trzeciego stanu, gmach Republiki. Najchętniej też pragnęliby powstrzymać i ująć w tamy prąd puszczony od dołu, aby móc już bronić tylko zyskanych zdobyczy. Przywódcami ich są: Condorcet, Roland i żyrondyści, przedstawiciele kleru i trzeciego stanu. Ci z „Góry" jednak chcą pchnąć dalej jeszcze gwałtownie wezbraną falę rewolucyjną, aż nie porwie ona w swój nurt wszystkiego, co jeszcze pozostało z dawnych przeżytków; domagają się Marat'a, Danton'a i Robespierre'a jako przywódców proletarjatu, dążą do *„la révolution intégrale"*, do rewolucji bez zastrzeżeń, do rewolucji radykalnej, z ateizmem i komunizmem włącznie.

Chcą po królu zadać jeszcze cios ostateczny dwóm pozostałym władczym potęgom — Bogu i pieniądzom.

Niepokojąco wahają się na szalach losy obu stronnictw. O ile zwyciężą żyrondyści, umiarkowani, rozproszą się stopniowo zdobycze rewolucji w odmęcie reakcji, zrazu liberalnej, potem konserwatywnej. Gdyby, natomiast, zwycięstwo miało być po stronie radykałów, pogrążą oni Francję w otchłań i wiry anarchji.

Dlatego też nie łudzi nikogo z obecnych w tej wiekopomnej sali uroczysta harmonja pierwszej godziny. Każdy zdaje sobie najzupełniej sprawę, że rozpęta się tu rychło walka o życie i śmierć, o ducha i przemoc. A miejsce, zajmowane przez każdego z deputowanych, czy to na dole, w nizinie, czy na górze, zapowiada już zgóry, jak wypadnie decyzja jego w sporze.

— — — — — — — — — — — — —

Wpośród owych siedmiuset pięćdziesięciu, wkraczających uroczyście na salę zdetronizowanego monarchy, wchodzi również, przepasany na ukos przez szerokość piersi trójkolorową szarfą pełnomocnika ludu, milczący

jak zwykle, Józef Fouché, deputowany z Nantes. Tonsura na jego głowie zarosła już oddawna; zdjął szatę kaplańską: ubrany jest jak wszyscy w gładki, pozbawiony wszelkich ozdób strój mieszczański.

Gdzie zajmie Józef Fouché miejsce? Pośród radykałów na „Górze", czy pomiędzy umiarkowanymi wdole?

Józef Fouché nie waha się długo. Zna on jedno tylko stronnictwo, któremu był i pozostanie zawsze wierny do ostatka: odłam większości, odłam reprezentujący siłę. Tak samo i dzisiaj robi on w duszy obrachunek głosów i widzi, że na razie siła jest jeszcze po stronie żyrondystów, umiarkowanych. Dlatego też siada na jednej z ich ław, przy Condorcecie, Rolandzie, Servanie, przy ludziach, którzy w rękach swoich dzierżą rządy ministerjalne, którzy mają wpływ decydujący na wszystkie nominacje i którzy rozdzielają wszystkie dochodowe prebendy. Tam, wśród nich, czuje się Fouché bezpiecznym, tam też siada.

Kiedy wszelako podnosi przypadkiem wzrok ku górze, gdzie miejsca zajęli przeciwnicy — radykałowie, krzyżuje się tam jego spojrzenie ze skierowanym ku niemu zimnym, odpychającym go wzrokiem. Przyjaciel jego, Maxymiljan Robespierre, adwokat z Arras, skupił tam dokoła siebie swoich stronników w walce. Ten człowiek, nieznający litości, tak bardzo pyszniący się swoją nieugiętością, że nie umie wybaczyć wahania ani słabości, z góry, zimno i szyderczo, przez podniesione do oczu swoje lorgnon patrzy na oportunistę.

Chwila ta kładzie kres ich przyjaźni. Odtąd stale wyczuwać będzie Fouché poza plecami swojemi, przy każdym uczynionym geście i przy każdym czynie ten bezlitośnie badawczy, surowo obserwujący wzrok wiecznego oskarżyciela, nieubłaganego purytanina.

Wie też, że musi mieć się na baczności.

— — — — — — — — — — — — —

Wie, że musi być ostrożny. Nie istnieje chyba nikt bardziej ostrożny niż on. W sprawozdaniach z posiedzeń w ciągu kilku pierwszych miesięcy nie występuje ani razu nazwisko Józefa Fouché. Kiedy wszyscy inni, gnani rozpierającą ich próżnością, pchają się natarczywie na trybunę mówców, wygłaszają tyrady, rzucają projekty, wzajem się oskarżają i zwalczają, nie wstępuje ani razu deputowany z Nantes na wywyższenie mównicy. Osłabienie krtani — tłómaczy się on wobec przyjaciół i wyborców — uniemożliwia mu zabieranie publicznie głosu. Że zaś wszyscy inni chciwie i niecierpliwie wydzierają sobie wzajem z ust słowa, sprawia milczące uczestniczenie w obradach tego napozór skromnego członka wrażenie sympatyczne raczej.

W rzeczywistości wszelako jest jego skromność dobrze obrachowana, rozmyślna. Były fizyk oblicza przedewszystkiem równoległobok sił, obserwuje, nie decydując się wciąż jeszcze na zajęcie wyraźnego stanowiska, widzi bowiem, że szale pozostają wciąż jeszcze w stanie wahania. Ostrożnie i przezornie zachowuje sobie decydujący swój głos na tę chwilę dopiero, w której ciężar wagi przechylać się zacznie ostatecznie na tę czy tamtą stronę. Byle tylko nie zużyć się, nie decydować się przedwcześnie, a nadewszystko, nie wiązać się na stałe!

Nie jest wszak jeszcze rozstrzygnięte, czy spodziewać się należy dalszego, silniejszego jeszcze przypływu rewolucji, czy, przeciwnie, nastąpi jej odpływ. Jako prawdziwy syn żeglarzy czeka on na nadpływającą falę, aby na jej grzbiecie dać się unieść właściwemu wiatrowi, a tymczasem trzyma swój statek w pogotowiu w bezpiecznym porcie.

A nadto: już w Arras, z poza murów klasztornych jeszcze, zdołał on zaobserwować, jak szybko następuje podczas rewolucji utrata popularności, z jaką łatwością lud zamienia okrzyk „Hosanna“ na „Ukrzyżować go!“

Wszyscy, a przynajmniej prawie wszyscy, którzy w okresie Stanów Generalnych i Zgromadzenia Prawodawczego wystąpili na pierwszy plan, są już teraz zapomniani, albo znienawidzeni. Trup Mirabeau, wczoraj jeszcze złożony w Panteonie, dzisiaj haniebnie został z niego wyrzucony. Lafayette, tryumfalnemi okrzykami czczony przed kilkoma zaledwie tygodniami, nazywany ojcem ojczyzny, dzisiaj ogłoszony już jest za zdrajcę; Custine, Pétion, przed kilkoma zaledwie tygodniami powszechnie wielbieni, przemykają już teraz tylko trwożliwie w cieniu, nie odważając się występować publicznie.

Nie, byle nie przed czasem wypłynąć na światło, nie zawcześnie wypowiedzieć się ostatecznie. Lepiej przeczekać, dopóki inni nie dadzą wyżyłować się i zużyć do reszty! Fouché, przedwcześnie dojrzały w szkole życia, wie, że rewolucja nie bywa nigdy zdobyczą pierwszego, który zażgnął jej pochodnię, ale zawsze ostatniego, który ją likwiduje i potrafi wyzyskać ją jako łup dla samego siebie.

Dlatego on sam mądrze chowa się i kuli rozmyślnie w cieniu. Zbliża się do stojących u władzy, zarazem jednak unika wszelkiej władzy otwartej, wyraźnej. Zamiast gardłować na trybunie, czy w prasie, pozwala raczej, aby wybierano go do komisyj, w których łonie zapoznawać się można łatwo ze stanem rzeczy, zdobywać bliższy wgląd w bieg spraw i wpływ na nie, nie podlegając kontroli, nie narażając się na wzbudzanie nienawiści.

I w istocie, dzięki wytrwałej, sprawnej swojej sile pracy, zyskuje on sobie wszystkich; jego krycie się w cieniu chroni go przed jadem zazdrości. Z poza ścian swojego gabinetu do pracy może, nienapastowany przez nikogo, wyczekiwać i przyglądać się, jak tygrysi z „Góry“ i pantery Żyrondy wzajem się pożerają, jak ścierają się w walce wzajemnej wielkie namiętności, jak górujące nad innymi jednostki: Vergniaud, Condor-

cet, Desmoulins, Danton, Marat, Robespierre, wzajem śmiertelne zadają sobie ciosy. Przygląda się temu wszystkiemu i czeka, bowiem wiadomo mu dobrze, że wówczas dopiero, kiedy namiętności spalą się doszczętnie w śmiertelnych zapasach, nastąpi czas dla umiejących cierpliwie wyczekać, dla mądrze przezornych.

Fouché nie opowie się nigdy ostatecznie za tymi czy owymi, zanim walka nie zostanie rozstrzygnięta nieodwołalnie.

— — — — — — — — — — — — —

Takie stanie na uboczu charakteryzuje zachowanie się Fouché'go przez całe jego życie: Nie być nigdy jawnym dzierżycielem władzy, a mimo to opanować ją całkowicie, skupiać w swoich rękach wszystkie nici, nie ponosząc nigdy odpowiedzialności za bieg spraw, stawać zawsze za plecami tego, który w danym momencie jest pierwszym, oszańcować się poza nim, pchać go i wysuwać naprzód, z chwilą wszakże, gdy zaawanturuje on się zbyt daleko, bez wahania wyprzeć się go w rozstrzygającej chwili — na tem polega ulubiona przez Fouché'go rola. Gra ją ten najbardziej skończony ze wszystkich intrygantów areny politycznej pod dwudziestoma odmiennemi przebraniami, w niezliczonych epizodach, pośród republikanów, królów i cesarzy, z jednakiem zawsze mistrzowstwem.

Niejednokrotnie zdarza mu się okazja, a wraz z nią i pokusa przejęcia samemu roli głównej, tytułowej, w grze świata. Zbyt wiele ma jednak rozumu, aby na serjo jej pożądać. Zna siebie, wie jak brzydką, jak odpychającą posiada powierzchowność, jak bardzo nie nadaje się jego twarz do figurowania na medalach i emblematach, do publicznych wspaniałych występów i popularności; zdaje sobie najdokładniej sprawę, że żaden wieniec laurowy, jakim przyozdobić mogłaby się jego skroń, nie byłby w stanie nadać tej twarzy

wyrazu bohaterskiego. Zna wątły, łatwo załamujący się głos swój, zdolny do podszeptywania, podjudzania i podejrzewania, nigdy jednak nie będący w stanie porwać za sobą masy mową płomienną. Wie, że największą siłę ma zawsze przy swojem biurku, w zamknięciu poza czterema ścianami własnego pokoju, ukryty w cieniu. Z poza bezpiecznego szańca tego może swobodnie i trafnie podpatrywać i śledzić, badać, przekonywać i namawiać, rozsnuwać nici i znów je splątywać, pozostając samemu nieprzeniknionym i nieuchwytnym.

Na tem właśnie polega najgłębsza i najwyższa razem tajemnica potęgi Fouché'go, że, jakkolwiek zawsze i niezmiennie dążył on do władzy, do osiągnięcia najwyższej władzy, wystarcza mu jednak, w przeciwieństwie do tylu innych, świadomość istotnego dzierżenia jej w swoich rękach: zbędne są dla niego jej zewnętrzne oznaki, jej strój galowy.

Fouché posiada wyśrubowaną w najwyższej mierze ambicję, nie jest jednak żądny sławy, poklasku; jest ambitny, nie będąc próżnym. Jako prawdziwy, skończony żongler umysłowy lubi on tylko siłę napięcia władzy, ale nie jej zewnętrzne insygnia. Niech inny, silny czy też kukła słomiana, nosi buławę liktorską, berło królewskie, czy cesarską koronę. Obojętne mu to. Użycza on chętnie innym splendoru i wątpliwego szczęścia popularności u mas. Jemu samemu wystarcza możność stałego wglądu w bieg spraw, wywierania wpływu na ludzi, istotnego kierowania krokami pozornego kierownika losami świata, brania decydującego udziału, bez narażania przytem samego siebie w najbardziej podniecającej z gier, w olbrzymiej rozgrywce politycznej.

Podczas kiedy inni wiążą się w ten sposób nieodwołalnie ze swojemi przekonaniami, ze swojemi przemówieniami publicznemi i gestami, pozostaje unikający starannie światła, kryjący się stale w cieniu

Fouché wewnętrznie wolnym i dzięki temu jest niezmiennie stałą osią w zmiennym biegu wypadków i dziejów. Padają Żyrondyści, Fouché pozostaje; Jakobini zostają rozpędzeni, Fouché pozostaje; Dyrektorjat, Konsulat, Cesarstwo, Monarchja i znów Cesarstwo załamują się i znikają z widowni dziejów, rozwiane w nicość — zawsze wszelako, jako jeden jedyny, pozostaje Fouché, dzięki wyrafinowanej swojej odwadze ujawniania bezgranicznego braku charakteru, niewzruszonego braku przekonań.

— — — — — — — — — — — —

Przychodzi wszelako w powszechnych dziejach Rewolucji dzień, dzień jedyny, nie znoszący wahania się, dzień, w którym każdy złożyć musi swój głos, oświadczyć się wyraźnie i niewzruszenie za „tak“ czy „nie“, za „prawo“ czy „lewo“. Dniem tym jest 16 stycznia 1793 roku.

Wskazówka Rewolucji stanęła na południu, połowa dzieła dokonana; monarchja wyzbyta, cal po calu, jej władzy. Pozostaje wciąż jednak jeszcze król, Ludwik XVI., uwięziony coprawda, w Temple, ale żyjący. Nie udało się ani (jak mieli nadzieję umiarkowani) pozwolić mu uciec, ani też nie udało się (jak tego w skrytości ducha pragnęli radykałowie) pozbawić go życia z rąk rozszalałego tłumu przy szturmie jego na Tuilerje. Sponiewierano pomazańca, pozbawiono go wolności, nazwiska i rangi, wciąż jednak jeszcze samą siłą swojego istnienia, swojej krwi dziedzicznej, pozostaje on królem, wnukiem Ludwika XIV., i, pomimo nadanej mu obecnie pogardliwej nazwy Ludwika Capeta, nie przestaje on wciąż jeszcze być groźnem memento dla młodej Republiki.

Dlatego właśnie, po wydaniu wyroku, stawia Konwent w dniu 15-go stycznia kwestję kary: życie czy śmierć.

Daremną okazała się nadzieja niezdecydowanych, tchórzów, ostrożnych, ludzi pokroju Józefa Fouché,

że zdołają uniknąć publicznego, obowiązującego wypowiedzenia się przez złożenie głosu drogą tajnego głosowania. Bezlitosny Robespierre domaga się nieubłaganie, aby każdy z przedstawicieli narodu francuskiego wypowiedział głośno i wyraźnie swoje „Tak“ czy „Nie“, swoje „Śmierć“ czy „Życie“ wobec całego Zgromadzenia, tak, by naród i potomni wiedzieć mogli o każdym, za jaką opowiedział się przynależnością: do Prawicy czy Lewicy, za przypływem czy odpływem rewolucji.

Stanowisko Fouché'go jest w dniu 15-go stycznia zupełnie jeszcze wyraźne.

Przynależność do Żyrondystów, wola i życzenie jego zdecydowanie umiarkowanych wyborców, obowiązują go do żądania łaski dla monarchy. Wypytuje swoich przyjaciół, Condercet'a nadewszystko, i widzi, że jednomyślnie skłaniają się wszyscy do uniknięcia ostatecznego, nieodwołalnego środka, jakim byłoby stracenie króla. Wobec tego, że większość zasadniczo przeciwna jest wyrokowi śmierci, staje Fouché. oczywiście, po stronie większości: jeszcze w wigilję fatalnego dnia, 15-go stycznia wieczorem, odczytuje on jednemu z przyjaciół mowę, jaką zamierza wygłosić przy tej okazji i jaką uzasadnić chce swoje żądanie łaski.

Kto zasiadł na ławie umiarkowanych, obowiązuje się przez to samo do umiarkowania, że zaś większość broni się przeciwko wszelkiemu radykalizmowi, odwraca się od niego również z pogardą, nieobciążony żadnemi przekonaniami, Józef Fouché.

— — — — — — — — — — — — —

Ale ów wieczór 15-go stycznia dzieli od poranka 16-go stycznia pełna niepokoju i ożywienia noc. Radykałowie nie pozostali bezczynni: wprawili oni w ruch potężną machinę buntu, którą potrafią kierować tak po mistrzowsku. Na przedmieściach grzmi kanonada

wrzawy, sekcje zwołują biciem w bębny masy, wszystkie niedyscyplinowane, rozwichrzone bataljony buntu, ściągane zawsze przez pozostających w ukryciu, niewidzialnych terorystów, dążących do wymuszenia gwałtem politycznych posunięć. Zawsze gotowe do buntu masy te wprowadzone zostają w ruch w ciągu paru godzin na znak dany przez piwowara Santerre'a.

Te bataljony agitatorów z przedmieść, rybaczek i awanturników, znane są już z wiekopomnej sławy zburzenia Bastylji, znane są jednak również z hanienbnej godziny mordów wrześniowych. Zawsze, ilekroć idzie o przełamanie siłą tamy prawa, wprawiana jest gwałtownie w ruch ta potężna fala ludowa, nieodparcie porywająca zawsze za sobą wszystko, i wreszcie, na samym końcu, tych, którzy pierwsi wyciągnęli ją z jej głębin.

Zwarte tłumy oblegają w południe już rajtszulę i Tuilerje: mężczyźni bez bluz i tużurków, z rozchełstanemi na obnażonych piersiach koszulami, groźnie wymachujący pikami, szyderczo rozwrzeszczane baby w ognistych czerwonych kurtkach jakobińskich, tak zwanych karmanjolach, gwardja mieszczańska i uliczne pospólstwo. Wpośród nich gorączkowo uwijają się podżegacze do buntu: Amerykanin — Fourier, Hiszpan — Guzmann, Theroigne de Mericour, ta zhisteryzowana karykatura Joanny d'Arc. Jak tylko ukazują się deputowani, których można podejrzewać o to, że będą głosowali za ułaskawieniem, wylewa się na nich, niczem z wiadra pomyj, potok najurągliwszych obelg, podnoszą się zaciśnięte w kułak pięści, przedstawiciele narodu obrzucani są groźbami. Straszyciele nie wahają się przed użyciem żadnych środków brutalnej przemocy, byle dostać głowę króla pod nóż gilotyny.

Zastraszenie to wywiera wpływ widoczny na wszystkie słabe dusze. Wylęknieni żyrondyści skupili się wszyscy razem w ów szary, wczesny wieczór zimowy przy migotliwem świetle świec. Większość tych, któ-

rzy wczoraj jeszcze byli zdecydowani głosować przeciwko straceniu króla, aby uniknąć walki na noże z całą Europą, strwożona jest teraz i wahająca się pod wpływem olbrzymiego naporu zbuntowanego ludu. Wczorajsza jednomyślność zachwiana.

Wreszcie, zapadła już noc, następuje chwila wywoływania nazwisk. Ironja losu chce, że, jako jeden z pierwszych, występuje sam przywódca żyrondystów, Vergniaud, ów mówca o południowym temperamencie, którego głos wstrząsa zazwyczaj, jak uderzeniem młota, ustępliwe drzewo ścian. W tej chwili wszelako boi się on, że, jako przywódca republiki, nie okaże się dostatecznie republikaninem, o ile zgodzi się pozostawić króla przy życiu.

I dlatego on, tak zawsze rozhukany, pełen zapału, wstępuje powoli, ociężałym krokiem, z opuszczoną w zawstydzeniu głową, na trybunę i cichym szeptem rzuca wyraz „La mort"-Śmierć.

— — — — — — — — — — — — —

Wyraz ten rozbrzmiewa po sali jak ton, nadany przez widełka strojowe. Pierwszy z żyrondystów zawiódł. Większość pozostałych pozostaje niewzruszona, trzysta głosów na siedemset wypowiada się za łaską, jakkolwiek wiadomo im dobrze, że w tej chwili umiarkowanie polityczne wymaga tysiąckrotnie większej śmiałości, aniżeli pozorna stanowczość. Długo ważą się szale: kilka głosów może zdecydować. Wreszcie wywołane zostaje nazwisko deputowanego z Nantes, Józefa Fouché, tego samego, który wczoraj jeszcze w sposób niebudzący wątpliwości zapewnił przyjaciół swoich, że w pełnej zapału mowie bronić będzie króla. Wywołane zostaje imię i nazwisko Józefa Fouché, który przed niespełna dziesięcioma godzinami udawał najbardziej zdecydowanego ze wszystkich zdecydowanych. W ciągu tych dziesięciu godzin wszelako dokonał były nauczyciel matematyki obrachunku głosów

i przekonał się, że opowiedziałby się w ten sposób za niewłaściwą partją, za jedyną, za którą nigdy nie pójdzie: za mniejszością.

Dlatego wbiega bezszelestnym swoim krokiem na trybunę i z bladych jego warg zrywają się przyciszonym głosem dwa wyrazy: „*La mort*“, śmierć.

— — — — — — — — — — — — —

Książe Otrantu wypowie i napisze w następstwie sto tysięcy słów, aby usprawiedliwić się, jako z pomyłki, z tych dwu wyrazów, które jego, Józefa Fouché, piętnują mianem „*régicide*“, królobójcy. Ale dwa te wyrazy zostały wypowiedziane publicznie i zanotowane w „Monitorze“, niepodobna więc wykreślić ich z historji i pominąć ich milczeniem w osobistej historji jego życia. Stanowią one bowiem pierwsze publiczne wywrócenie koziołka przez Józefa Fouché. Zdradziecko podszedł on przyjaciół swoich, Condorcet'a i Daunou, oszukał ich i wywiódł w pole. Nie mają oni jednak potrzeby wstydzenia się tego wobec historji, bowiem inni również, silniejsi jeszcze, Robespierre i Carnot, Lafayette, Barras i Napoleon, najpotężniejsi swojego czasu, dzielić będą ten los i tak samo zupełnie w fatalnej dla nich godzinie zdradzeni zostaną przez niego i oszukani.

W tym momencie jednak ujawnia się po raz pierwszy w charakterze Józefa Fouché jeden jeszcze, bardzo wyraźnie zaznaczony jego rys zasadniczy: niebywała czelność. Ilekroć zdradziecko porzuca stronnictwo, nie czyni tego nigdy zwolna i ostrożnie, nie wyślizguje się ukradkiem z szeregów. W biały dzień, z zimnym uśmiechem, ze zdumiewającą, druzgocącą swobodą i naturalnością przechodzi do obozu dotychczasowego swojego przeciwnika i przejmuje wszystkie jego hasła i argumenty. Co myślą i mówią o nim dawni jego towarzysze partyjni, co myśli o nim ogół, jakie jest zdanie opinji publicznej o nim, jest mu najdoskonalej obojętne. Ważnem pozostaje dla niego jedno tylko: stać

zawsze po stronie zwyciężającego, nigdy po stronie zwyciężonego. W piorunującej błyskawiczności tych odwrotów, w bezgranicznym cynizmie zmiany zasad, ujawnia on tak niesłychanej miary czelność, że mimowoli oszałamia ona i zniewala do podziwu. Wystarczają mu dwadzieścia cztery godziny, często jedna godzina bodaj, ba, jedna minuta nawet, aby z miejsca odrzucić sztndar swoich przekonań i z hałasem rozwinąć inny. Nie idzie on za ideą, ale za prądem czasu, a im szybszy jest jego bieg, tem rychlej podąża on za nim.

Wie dobrze, że wyborcy jego w Nantes będą oburzeni, czytając nazajutrz w „Monitorze“ brzmienie jego votum. Dlatego też musi prześcignąć ich, zamiast ich przekonać. Z tem swojem piorunującem zuchwalstwem, z tą swoją czelnością, która w takich chwilach nadaje mu nieomal pozór wielkości, nie czeka on wcale na wybuch oburzenia z ich strony, ale uprzedza możliwą napaść dokonaniem ataku na nich. Zaraz nazajutrz po głosowaniu każe wydrukować manifest, w którym płomiennie, jako wyraz najgłębszego przekonania, podaje do publicznej wiadomości to, do czego w rzeczywistości skłoniła go obawa niełaski parlamentu: nie chce wyborcom swoim zostawić czasu na namysł i obrachunek, pragnie jedynie steroryzować ich i zastraszyć szybko wymierzonym brutalnym ciosem.

Marat i najgorętsi z pośród Jakobinów nie mogliby występować bardziej krwiożerczo, aniżeli pisze do swoich uczciwie mieszczańskich wyborców ten wczoraj jeszcze umiarkowany:

„Zbrodnie tyrana ujawniły się nareszcie, rozpłomieniając oburzeniem wszystkie serca. O ile głowa jego nie padnie natychmiast pod mieczem, mogliby wszyscy rabusie i mordercy spacerować z podniesionem czołem i mógłby zagrażać nam najstraszliwszy chaos. Nadszedł czas dla nas i przeciw wszystkim królom na ziemi.“

Takiemi słowami broni stracenia, jako nieuniknionej konieczności, ten sam człowiek, który w wigilję tego dnia nosił w kieszeni swojego surduta prawdopodobnie tak samo przekonywujący i płynący z przekonania manifest przeciwko straceniu.

I w istocie, mądry rachmistrz obliczył trafnie. Będąc sam oportunistą, zna on nieodparcie wciągającą siłę tchórzostwa; wie, że we wszystkich politycznych momentach masowego działania jest śmiałość decydującym mianownikiem wszelkich obliczeń.

Ma słuszność: zacni konserwatyści kulą się trwożliwie pod ciosem tego tak zuchwałego, nieprzewidzianego manifestu; spłoszeni i oszołomieni spieszą dać przyzwolenie swoje na decyzję, z którą w głębi duszy nietylko się nie zgadzają, ale od sympatyzowania z którą są w rzeczywistości jaknajdalsi. Nikt nie ośmiela się odezwać z głosem protestu. Od tego dnia ma Józef Fouché w swoim ręku twardą i zimną broń, która dopomaga mu do zwycięskiego opanowania przełomów: pogardzanie ludźmi.

Od tego dnia, od 16-go stycznia, obiera (na razie) ten prawdziwy kameleon pod względem charakteru czerwoną barwę: przez noc staje się z umiarkowanego ultraradykałem i ultraterorystą. Jednym skokiem znalazł się on u swoich politycznych wrogów i wpośród tych niedawnych przeciwników staje natychmiast w rzędzie najbardziej skrajnych, przyłącza się do najbardziej lewego skrzydła radykałów. Z przerażającą szybkością przyswaja sobie ten obrachowujący na zimno umysł, ten trzeźwy pisarz dokumentów, najbardziej krwiożerczy żargon terorystów, byle tylko nie pozostawać wtyle za innymi. Występuje z ostremi wnioskami przeciwko emigrantom, przeciwko duchowieństwu; podżega, grzmi, wpada w furję, masakruje słowami i gestami. Mógłby właściwie kumać się znów z Robespierrem i stanąć po jego stronie. Ale nieprzedajny Robespierre, człowiek o protestancko surowem

sumieniu, nie lubi renegatów; podwójnie niedowierzający odwraca się od przeniewiercy, którego hałaśliwie głoszony radykalizm wydaje mu się jeszcze bardziej podejrzany, aniżeli poprzednia jego obojętność.

Fouché wyczuwa swoim wyostrzonym węchem niebezpieczeństwo tak czujnej obserwacji, przewiduje nadciąganie dni krytycznych. Burza zawisła nad Zgromadzeniem: już zarysowują się na widnokręgu politycznym zapowiedzi tragicznych walk pomiędzy przywódcami Rewolucji, pomiędzy Dantonem i Robespierrem, pomiędzy Hebertem i Desmoulins'em; należałoby w samem łonie radykalizmu opowiedzieć się po raz wtóry, a Fouché nie lubi decydującego opowiedzenia się, zanim nie będzie ono zupełnie bezpieczne i korzystne.

Wiadomo mu, że w okresach, brzemiennych w poważne przełomy, zdarzają się sytuacje, które dyplomata najmędrzej opanowuje, usuwając się im z drogi. Dlatego też woli opuścić arenę Konwentu podczas trwania walk i ukazać się na niej wówczas dopiero, kiedy zapasy zostaną już rozstrzygnięte.

Do takiego wycofania się szczęśliwie znajduje teraz zaszczytny pretekst, bowiem Konwent obiera zpośród swoich członków dwustu delegatów, polecając im utrzymanie porządku w okręgach prowincjonalnych. Fouché, który nie czuje się dobrze w wulkanicznej atmosferze Sali Obrad, pospiesza czynić zabiegi, aby znaleźć się w rzędzie tych delegatów, zostaje też obrany. Zyskuje w ten sposób pauzę na swobodniejsze odetchnięcie. Niech się tymczasem wzajem zwalczają i pokonywają, niech oczyszczą i przygotują ci roznamiętnieni gracze polityczni grunt dla ambitnego! Byle tylko nie brać teraz w tem udziału, nie stanąć po stronie żadnego ze stronnictw!

Parę miesięcy, parę tygodni znaczy wiele w owym czasie, kiedy wskazówki zegara świata pędzą naprzód z szaloną szybkością. Po jego powrocie dokonane bę-

dzie już rozstrzygnięcie i wówczas spokojnie i bezpiecznie będzie można stanąć po stronie zwycięzcy, ogłosić przynależność swoją do nieodmiennie stałego swojego stronnictwa: do stronnictwa większości.

— — — — — — — — — — — — —

Historja prowincyj jest naogół mało uwzględniana w dziejach Rewolucji Francuskiej. Wszelkie opisy mają za tło Paryż, na którego zegarowej tarczy jedynie uwidoczniony jest bieg godzin. Ale ciężar wahadła, regulującego ten bieg, spoczywa w kraju wśród wojsk. Rzeczą Paryża jest tylko słowo, inicjatywa, podnieta, — rzeczą olbrzymiej prowincji: czyn i decydujący wciąż czynnik: siła.

W porę spostrzegł się Konwent, że tempo rewolucji w mieście i na wsi niezupełnie idzie w parze: mieszkańcy wsi, osad i górskich zakątków nie kombinują tak szybko myślowo, jak mieszkańcy stolicy; daleko wolniej i ostrożniej wchłaniają w siebie idee i przerabiają je w samych sobie na swój sposób. Co w Konwencie w ciągu jednej godziny staje się prawem, przesiąka zwolna dopiero, kroplami, na równinę, przeważnie już zafalszowane i rozwodnione przez rojalistycznych urzędników prowincjonalnych i duchowieństwo, przez ludzi *ancien régime*'u. Dlatego też są zawsze okręgi wiejskie spóźnione o jedną godzinę biegu dziejów świata w porównaniu z Paryżem. Kiedy w Konwencie stoją już na czele Żyrondyści, opowiada się jeszcze prowincja wiernie za królem; kiedy u steru stają Jakobini, zbliża się prowincja wiejska powoli ku Żyrondzie. Daremne są tedy wszelkie patetyczne dekrety, powoli bowiem tylko i trwożliwie toruje sobie w owym czasie drukowane słowo drogę aż do głębin Owernji i Wandei.

Dlatego więc postanawia Konwent posłać na prowincję żywe słowo w czynnej postaci, aby podniecić rytm rewolucji w całej Francji, zaszachować ociągające się, nieomal kontrrewolucyjne tempo okręgów

wiejskich. Wybiera tedy zpośród własnych członków dwudziestu deputowanych, którzy mają być przedstawicielami jego woli i daje im nieograniczoną prawie władzę. Każdy, kto ma na sobie trójkolorową szarfę i czerwony pióropusz, posiadł dyktatorskie prawa. Może nakładać podatki, wydawać wyroki, zarządzać pobór rekruta, usuwać generałów: żadna władza nie ma prawa przeciwstawiania się mu, jako uosobiającemu symbolicznie wolę całego Konwentu Narodowego. Władza jego jest nieograniczona, podobnie jak niegdyś władza prokonsulów rzymskich, pełniących wolę Senatu we wszystkich ujarzmionych krajach.

Każdy z tych dwustu deputowanych stał się dyktatorem, samowładnym rozkazodawcą, od którego decyzji nie było apelacji ani skargi na nią.

Olbrzymią, niesłychaną jest władza tych wybrańców, ale też olbrzymia, niesłychana ciąży na nich odpowiedzialność. W granicach wskazanego mu państwa wydaje się każdy z nich królem, cesarzem, nieograniczonym samodzierżcą. Za plecami wszelako każdego z nich połyskuje nóż gilotyny, bowiem Komitet Bezpieczeństwa czujnie bada każdą skargę i żąda od każdego nieubłaganie skrupulatnego obrachunku z pieniężnych jego obrotów.

Kto nie okazał się dostatecznie twardym i surowym, naraża się na to, że postąpią z nim twardo i surowo; kto skądinąd nazbyt szaleńczo rozpętał swoją władzę, może spodziewać się należytego za to odwetu. O ile kierunek skłaniał się ku terorowi, należało obierać drogę teroryzmu; o ile, przeciwnie, przechylała się szala na stronę złagodzenia rządów, stawały się zarządzenia terorystyczne błędem i wykroczeniem.

Na pozór panowie i nieograniczeni władcy okręgu, byli wszyscy właściwie pachołkami Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, podporządkowanymi chwilowemu kierunkowi prądu. Dlatego też zerkają oni wciąż i nieustannie nadstawiają uszu ku Paryżowi, aby, spra-

wując nieograniczoną władzę nad śmiercią i życiem swoich poddanych, być pewnymi własnego życia.

Zadanie, jakie na siebie wzięli, nie należy do łatwych. Zupełnie tak samo, jak generałowie Rewolucji w obliczu wroga, wie dobrze, każdy z nich, że jedno tylko jest w stanie usprawiedliwić go i uratować przed ciosem obnażonego miecza: powodzenie.

— — — — — — — — — — — — —

Godzina, w której Fouché wysłany zostaje w charakterze prokonsula, jest godziną radykałów. Dlatego też występuje Fouché w swoim departamencie dolnej Loiry, w Nantes, Nevers i Moulins, jako wściekły radykał. Ciska gromy na umiarkowanych, zalewa kraj celnym ogniem obwieszczeń, rzuca postrach na bogaczów, na wahających się, na połowicznych, wyławia, stosowaniem moralnej i faktycznej przemocy, całe pułki ochotnicze z głębi wsi i posyła je na wroga. Jako siła organizacyjna dorównywa on każdemu innemu ze swoich współtowarzyszy, o ile nie przewyższa innych zdolnością błyskawicznego orjentowania się w sytuacji; śmiałością i zuchwalstwem słowa góruje niewątpliwie nad wszystkimi.

Bowiem — i należy to zapamiętać — Józef Fouché nie pozostaje, jak najsłynniejsi przywódcy Rewolucji: Robespierre i Danton, ostrożnym w sprawach kościoła i własności prywatnej, które tamci ogłaszali z czcią za „nietykalne", ale z niezachwianą stanowczością wystawia program skrajnie socjalistyczny, bolszewicki.

Pierwszym, wyraźnie komunistycznym, manifestem nowoczesnym nie jest w rzeczy samej ów słynny manifest Karola Marksa, nie *„Hessischer Landbote"* Georga Büchnera, ale owa bardzo mało znana w Lyonie *„Instruction"*, podpisana wprawdzie łącznie przez Collot'a d'Herbois i Fouché'go, ale niewątpliwie opracowana przez tego ostatniego wyłącznie.

Energiczny ten dokument, wyprzedzający bieg hi-

storji o całe stulecie śmiałością swoich żądań — jeden z najbardziej zadziwiających w całym przebiegu Rewolucji — zasługuje na wyciągnięcie go z mroków zapomnienia. Chociażby nawet jego doniosłość dziejowa straciła na wartości wskutek tego, że późniejszy książę Otrantu rozpaczliwie wyparł się tego, czego domagał się niegdyś, jako skromny obywatel, Józef Fouché, — bądź co bądź jednak, ówczesne jego wyznanie wiary, rozpatrywane ze stanowiska historycznego, wyciska na nim niezatarte piętno pierwszego zdecydowanego socjalisty i komunisty Rewolucji. Nie Marat i Chaumette sformułowali najśmielsze postulaty Rewolucji Francuskiej, ale Józef Fouché, wyraźniejsze też i jaskrawsze światło, niż mógłby to uczynić wszelki opis, rzuca tekst oryginalny jego *„Instruction“* na kryjące się zawsze w cieniach mroku zasadnicze rysy jego charakteru.

Owa *„Instruction“* rozpoczyna się zuchwale ogłoszeniem nieomylności wszelkiego bezprawia: „Wszystko wolno czynić tym, którzy działają w myśl Rewolucji. Dla republikanina istnieje jedno tylko niebezpieczeństwo: pozostawanie w tyle za prawami i przepisami Republiki. Kto je przekracza, kto pozornie zmierza poza cel, często nie dotarł jeszcze do właściwego krańca. Dopóki istnieje na świecie jeden chociażby człowiek nieszczęśliwy, musi wolność kroczyć wciąż dalej i dalej naprzód.“

Po tej energicznej, poniekąd już maksymalistycznej, przygrywce określa Fouché ducha rewolucyjnego w sposób następujący

„Rewolucja dokonana jest dla narodu: nie należy wszakże rozumieć pod tem mianem owej uprzywilejowanej pod względem bogactw swoich klasy, która zagarnęła na swój wyłączny użytek wszelkie dobra społeczne. Naród stanowi ogół francuskich obywateli, a nadewszystko owa nieskończona klasa biedaków, którzy bronią granic naszej ojczyzny i którzy pracą

swoją żywią społeczeństwo. Rewolucja byłaby polityczną i moralną potwornością, gdyby dążeniem jej była jedynie troska o dobro kilku setek jednostek przy pozostawianiu odłogiem nędzy dwudziestu czterech miljonów. Głoszenie zasad równości, dopóki istnieją tak olbrzymie różnice, dzielące człowieka od człowieka, byłoby też obelżywem jeno oszukiwaniem ludzkości."

Po tych słowach wstępnych rozwija Fouché ulubioną swoją teorję, że bogacz, *„le mauvais riche"* nie może być nigdy prawdziwym rewolucjonistą, nigdy uczciwym, szczerym republikaninem i że, tem samem, wszelka czysto mieszczańska rewolucja, pozwalająca na utrzymanie w dalszym ciągu różnic majątkowych, musiałaby nieuniknienie wyrodzić się w nową znów tyranję, bowiem „bogacze uważaliby się zawsze za odmienny gatunek ludzi."

Dlatego też domaga się Fouché od narodu najwyższego napięcia energji w doprowadzeniu do końca całkowitej, „integralnej", rewolucji.

„Nie łudźcie się: aby być prawdziwym republikaninem, musi każdy obywatel przeżyć rewolucję w duszy własnej, przekształcić siebie samego na taką samą modłę, na jaką przekształcone zostało oblicze Francji. Nie powinno pozostać nic wspólnego pomiędzy poddanymi tyrana a mieszkańcami wolnego kraju, Dlatego też musi ulec zasadniczemu przeistoczeniu wszystko: wasz sposób postępowania, wasze uczucia, wasze obyczaje. Jesteście ciemiężeni, dlatego też musicie zmiażdżyć waszych ciemięzców; jesteście niewolnikami kościelnych przesądów, dlatego też niewolno wam wyznawać żadnej innej religji prócz religji wolności..."

„Każdy, ktokolwiek daleki pozostanie od tego zapału, komu znane są inne troski i uciechy poza szczęściem ludu, kto daje przystęp do swojej duszy zimnym rachubom, kto oblicza, co mu przynieść może jego honor, jego stanowisko, jego talent i kto w ten sposób

na jedną chwilę wyzbywa się myśli o dobru i pożytku ogólnym; każdy, w którego żyłach nie burzy się krew na wieść o ciemiężeniu i zbytku; każdy, kto ma łzy współczucia dla wrogów ludu i nie zachowuje całej swojej wrażliwości i siły współczuwania dla męczenników prawdy — każdy z tych ludzi kłamie, o ile ośmiela się podszywać pod miano republikanina. Niech opuszczą oni nasz kraj, w przeciwnym bowiem razie będą ujawnieni i nieczysta ich krew zrosi ziemię wolności. Republika chce mieć wpośród siebie jedynie wolnych ludzi; zdecydowana jest wytępić wszystkich innych i uznać za własne swoje dzieci tych tylko, którzy dla niej żyją, walczą za nią i gotowi są życie za nią złożyć w ofierze."

W trzecim rozdziale *„Instruction"* staje się to rewolucyjne wyznanie wiary wyraźnie i bez obsłonek manifestem komunistycznym (pierwszym wyraźnym od r. 1793):

„Każdy, kto posiada więcej, aniżeli to, co jest mu potrzebne, musi zostać pociągnięty do tej nadzwyczajnej akcji pomocniczej i to opodatkowanie go musi pozostawać w stosunku do wielkich potrzeb ojczyzny. Należy więc przedewszystkiem w sposób wielkoduszny i prawdziwie rewolucyjny ustalić, jak wiele każdy poszczególnie ma złożyć na rzecz ogółu. Nie idzie tu o stwierdzenie matematyczne i nie o metodę trwożliwego wzdragania się, stosowaną zazwyczaj przy rozpisywaniu opodatkowania publicznego: ten szczególny zabieg musi mieć charakter przystosowany do okoliczności.

Zdobądźcie się na czyn szeroki i śmiały i odbierzcie każdemu obywatelowi wszystko, co mu nie jest koniecznie potrzebne, bowiem wszelka zbędność, wszelki nadmiar, *(le superflu)* jest jawnem uszczupleniem praw ludu. Cokolwiek posiada jednostka ponad swoją potrzebę, nie może ona użyć inaczej, aniżeli nadużywając tego. Nie pozostawiajcie mu też nic ponad to, co mu

jest niezbędnie potrzebne, wszystko pozostałe jest podczas wojny własnością republiki i jej armji."

Fouché podkreśla wyraźnie w tym manifeście, że nie należy zadowolnić się pieniędzmi tylko:

„Wszystkich przedmiotów", pisze on w dalszym ciągu „posiadanych przez nich w nadmiarze i mogących przydać się obrońcom ojczyzny, domaga się teraz ojczyzna od nich. Istnieją naprzykład ludzie, posiadający nieprawdopodobny nadmiar płótna i koszul, chust i butów. Wszystkie te rzeczy muszą być przedmiotem zbiórki na dobro Rewolucji."

Tak samo bez wahania żąda wydania całego złota i srebra, — *„métaux vils et corrupteurs"*, któremi prawdziwy republikanin pogardza, — na rzecz skarbu narodowego, aby wybito tam na nich „wizerunek Republiki i aby, oczyszczone tam w ogniu, mogły nieść pożytek ogółowi. — Potrzeba nam tylko stali i żelaza, a Republika zatryumfuje."

Całe to żądanie kończy się straszliwem wezwaniem do bezwzględności.

„Będziemy z całą surowością sprawowali władzę autorytatywną, jaka została nam przekazana, będziemy karali, jako czyn rozmyślnie złośliwy, wszystko, co w innych warunkach mogłoby być nazwane niedbalstwem, słabością i opieszałością. Minął wszelako czas środków połowicznych i względów. Dopomóżcie nam do wymierzania mocnych ciosów, bowiem, w przeciwnym razie, spadną one na was. Wolność albo śmierć! — Od was zależy wybór."

Ten teoretyczny dokument pisemny pozwala już przewidywać praktyki Józefa Fouché jako prokonsula. W departamencie *Loire inférieur*e, w Nantes, Nevers, i Moulins, odważa się on na podjęcie walki z najpotężniejszemi mocami Francji, przed któremi trwożliwie cofali się — sam nawet Robespierre i Marat: z własnością prywatną i z kościołem. Działa on szybko i stanowczo w sensie *„Égalisation des fortunes"* przez wy-

myślenie tak zwanych „Komitetów filantropijnych“, którym zamożni, jakoby wedle własnego oszacowania, przekazywać mają dary. Aby wszelako nie być niewyraźnym, dodaje on już zgóry łagodne ostrzeżenie, że, „gdyby bogaty nie miał wykorzystać swojego prawa uczynienia ustroju wolnościowego godnym ukochania“, przysługiwać będzie „Republice prawo zawładnięcia jego majątkiem“.

Nie pozwala na żaden zbytek, czy nadmiar, i energicznie zakreśla granice tego pojęcia *„superflu“*.

„Republikaninowi nie jest potrzebne nic poza żelazem, chlebem i czterdziestoma *écus* dochodu. Wyciąga więc Fouché konie ze stajen, mąkę z worków, czyni dzierżawców odpowiadającymi życiem własnem za ścisłe stosowanie przepisów, nakazuje pieczenie wojennego chleba, jak podczas wojny światowej, jednego typu chleba dla wszystkich i zakazuje wypiekania wszelkiego białego pieczywa zbytkownego. Co tydzień może on postawić w ten sposób pięć tysięcy rekruta, wyekwipowanego w konie, obuwie, ubranie i broń; przemocą wprawia fabryki w ruch — i wszystko korzy się pod nakazami jego żelaznej energji. Do skarbu narodowego wpływają pieniądze, składane są podatki, odsetki i dary, dostawy i owoce wytwórczości. Z dumą donosi Fouché Konwentowi po dwumiesięcznej swojej działalności: *„On rougit ici d'être riche.“* — Ludzie wstydzą się tutaj być bogatymi, — w rzeczywistości powinien był napisać: „Ludzie drżą tutaj z obawy uchodzenia za bogatych“.

— — — — — — — — — — — — —

Równocześnie z dawaniem wyrazu swoim radykalnym i komunistycznym przekonaniom ujawnia się wówczas jeszcze Józef Fouché, późniejszy miljonowy książę Otrantu, który pobożnie zawrze pod patronatem króla powtórny związek małżeński w kościele, jako najbardziej zacietrzewiony, najdzikszy, najnamiętniej zwalczający chrystjanizm jego przeciwnik.

„Miejsce obłudnego tego kultu zająć musi wiara w Republikę i moralność“, piorunuje on w swojej odezwie, i już gromami błyskawic spadają pierwsze zarządzenia na kościoły i katedry. Prawo za prawem, dekret po dekrecie:

„Zakazuje się księżom noszenia szat kapłańskich poza miejscem religijnego kultu.“ Odebrane im zostają wszelkie przywileje. — „Czas już“, — dowodzi on, — „aby ta dufna w sobie, wywyższająca się klasa ludzi powróciła znów do czystości pierwotnego chrześcijaństwa i zaliczona została ponownie do klasy mieszczańskiej.“

Niebawem nie wystarczy Józefowi Fouché stanowisko naczelnego wodza siły zbrojnej, najwyższego przedstawiciela sprawiedliwości, dyktatora, posiadającego nieograniczoną władzę cywilną; wydziera on kościołowi na swoją rzecz wszystkie jego uprawnienia. Znosi celibat, nakazuje księżom ożenienie się w przeciągu jednego miesiąca od wydania nakazu lub też zaadoptowanie dziecka; łączy pary związkami małżeńskiemi i na targowiskach publicznych unieważnia ich małżeństwa; wchodzi na kazalnice ( z których usunięto starannie wszelkie krzyże i wizerunki) i wygłasza ateistyczne kazania, w których przeczy istnieniu i nieśmiertelności Boga. Chrześcijański ceremonjał pogrzebowy zostaje zniesiony i, jako jedyne słowo pociechy, wyryto na cmentarzach napis: „Śmierć jest wiecznym snem.“

W Nevers wprowadza nowy papież z racji narodzin swojej córki, której na cześć departamentu nadaje imię „Nièvre“, jako pierwszy w tej okolicy, obywatelski chrzest cywilny. Występuje przy tej ceremonji Gwardja Narodowa z biciem w bębny i muzyką, i na otwartem targowisku nadane zostają dziecięciu chrzest i imię. W Moulins dosiada Fouché konia na czele pochodu, idącego przez całe miasto z młotem w dłoni,

którym rozbijane są krzyże, krucyfiksy i obrazy święte, te „haniebne“ świadectwa fanatyzmu.

Zrabowane mitry biskupie i kapy na ołtarze składane są na stosy i podczas kiedy płomienie pochłaniają cenne utensylja kościelne, urządza tłuszcza tryumfalne dzikie tańce dokoła ateistycznego *autodafé*. Wywieranie szału zemsty na martwych wyłącznie przedmiotach byłoby dla Fouché'go połowicznym jeno tryumfem. Odniesienie całkowitego uda mu się wtedy dopiero, kiedy, pod wpływem jego wymowy, arcybiskup François Laurent zrzuci z siebie habit i ustroi głowę swoją w czerwoną rewolucyjną czapkę, kiedy trzydziestu księży pójdzie z zapałem w ślady duchownego swojego przewodnika, kiedy zwycięstwo takie ogarnie falą ognistą całą Francję. Z dumą też chwalić się będzie wobec słabszych swoich braci w ateizmie, że zmiażdżył fanatyzm i tak samo zniósł chrystjanizm w powierzonym swojej pieczy okręgu, jak to uczynił z prywatnemi majątkami.

Czyny opętańca, obłędny szał fanatycznego fantasty — należałoby przypuścić! Ale Józef Fouché pozostaje zawsze, nawet pod przybranemi pozorami namiętnego radykała, zimnym rachmistrzem i realistą. Wie, że obowiązany jest zdać Konwentowi sprawę z dokonanych przez siebie czynów, wie też, że patrjotyczne frazesy i listy, na równi z asygnatami, dawno spadły w kursie i że, chcąc wzbudzić podziw i zachwyt, używać musi słownych argumentów brzęczących. Dlatego, równocześnie z maszerowaniem wystawionych przez niego pułków ku granicom państwa, wysyła on do Paryża cały plon z dokonanego przez siebie obrabowania kościołów. Skrzynie za skrzyniami taszczone są do Konwentu, a wszystkie one wypełnione złotemi monstrancjami, krucyfiksami z szczerego złota pełnej wagi i powyłamywanemi z nich drogocennemi kamieniami.

Fouché rozumie, że Republice potrzebna jest gotowizna, on pierwszy więc, on jedyny zarazem, posyła

z prowincji tak wymowny łup pod adresem deputowanych, których zrazu oszałamia ta niepojęta dla nich zupełnie energja, nagradzają też ją ogłuszającemi oklaskami.

Od tej chwili znany jest Józef Fouché pośród członków Konventu jako żelazny człowiek, jako najbardziej nieustraszony, najdzielniejszy człowiek czynu zpośród republikanów całej Republiki.

— — — — — — — — — — — — —

Kiedy Józef Fouché powraca po spełnieniu powierzonej mu misji do Konwentu, nie jest już nieznanym, skromnym deputowanym z 1792-go. Człowiekowi, który wystawił dziesięć tysięcy rekruta, który potrafił wycisnąć z prowincji stotysięcy złotych franków, tysiąc dwieście funtów szczerego złota, tysiąc sztab srebra, nie będąc przytem zmuszonym do posłania ani jednej osoby pod nóż *„Rasoir national“*, gilotyny, stanowczo nie może Konwent odmówić podziwu *„pour sa vigilance“*, dla „jego gorliwości“.

Skrajny jakobin, Chaumette, publikuje hymn, opiewający jego czyny.

„Obywatel Fouché“ — pisze on — „dokonał cudów, o których opowiedziałem. Szanował starców, wspierał słabych, liczył się z nieszczęściem, tępił fanatyzm; usuwał federalizm. Doprowadził wytwórczość żelaza do stanu rozkwitu, aresztował podejrzanych, przykładnie karał każdą zbrodnię, prześladował i więził wyzyskiwaczy.“

W rok niespełna po zajęciu przez ociągającego się, ostrożnego Józefa Fouché miejsca na ławach umiarkowanych, uchodził on już za najradykalniejszego z radykałów; kiedy więc teraz do uśmierzenia buntu w Lyonie potrzebny jest osobnik szczególnie energiczny, nieznający względów ani skrupułów, któż, jeśli nie on, mógłby wydać się najbardziej odpowiednim do wprowadzenia w czyn najstraszliwszego edyktu, jaki wymyśleć mogła ta czy jakakolwiek inna rewolucja?

„Usługi, jakie oddałeś dotychczas Rewolucji“ — oznajmia Konwent swoim patetycznym żargonem, — „są rękojmią tych, jakie oddasz w przyszłości. Twojem będzie zadaniem rozpłomienienie na nowo w „*Ville affranchie*“ (Lyonie) gasnącej pochodni ducha obywatelskiego. Doprowadź dzieło Rewolucji do końca, zakończ wojnę arystokratów i niech gruzy, które pokonana potęga chce odbudować na nowo, runą na nią i zmiażdżą ją ostatecznie!“

W tej roli mściciela i burzyciela, „*mitrailleur de Lyon*“, występuje Józef Fouché, przyszły multimiljoner, późniejszy książę Otrantu, po raz pierwszy w dziejach powszechnych świata.

— — — — — — — — — — — — —

## Rozdział drugi

## „LE MITRAILLEUR DE LYON“

### 1793

W księdze Rewolucji rzadko otwierana bywa jedna z najkrwawszych właśnie jej kart: powstanie w Lyonie. A przecież w żadnem prawie mieście, nawet w Paryżu, nie zaznaczyły się różnice socjalne z taką ostrością świateł i cieni, jak w tem pierwszem uprzemysłowionem mieście w owym okresie drobnomieszczańskiej jeszcze i rolniczej Francji, w Lyonie, w tej ojczyźnie fabrykacji jedwabiu. Tutaj po raz pierwszy stanowią robotnicy wpośród mieszczańskiej Rewolucji 1792 roku wyraźną klasę proletarjacką, ostro odgraniczona od rojalistycznie i kapitalistycznie usposobionych przedsiębiorców. Cóż dziwnego, że na tym najgorętszym gruncie przybierze konflikt formy najkrwawsze i najbardziej fanatyczne, zarówno reakcja jak i rewolucja.

Rzecznicy stronnictwa jakobinów, zastępy robotni-

ków i bezrobotnych grupują się dokoła jednej z niezwykłych tych jednostek, jakie wyrzuca nagle na powierzchnię każdy przełom światowy, jednego z najidealniej czystych, natchnionych najszczerszą wiarą ludzi, którzy tą swoją wiarą więcej jednak wyrządzają złego, a idealizmem swoim doprowadzają do większego przelewu krwi, aniżeli najbardziej brutalni realni politycy i najdziksi teroryści.

Zawsze taki właśnie człowiek czystej wiary, pełen szczerego, ekstatycznego zapału, reformator i zbawiciel świata, kierowany najszlachetniejszemi pobudkami, pierwszy daje inicjatywę do mordów i gwałtów, któremi on sam się brzydzi.

Temu z Lyonu na imię było Chalier; był to uciekinier od ślubów kapłańskich i były kupiec, dla którego Rewolucja stała się ponownie chrześcijaństwem, tym razem właściwem i prawdziwem, i który przypadł do niej z pełnią ofiarnej, fanatycznej miłości. Podniesienie ludzi na wyżyny rozumu i równości jest już dla tego namiętnego wielbiciela Jean Jacques'a Rousseau ziszczeniem tysiącletniego królestwa; jego płomienna, fanatyczna miłość ludzi widzi w tym pożarze świata różaną zorzę nowej, nieśmiertelnej ludzkości. Wzruszający fantasta. Kiedy pada w gruzy Bastylja, nosi on w gołych rękach swoich głaz ze strzaskanej warowni przez całą, sześć dni i sześć nocy trwającą, pieszą drogę do Paryża i buduje tam z niego ołtarz. Wielbi jak Boga, jak nowoczesną pytję, dyszącego oparami krwi, pieniącego się pamflecistę, Marata; uczy się jego mów i pism napamięć i, jak nikt inny, potrafi rozpłomieniać w Lyonie rzesze robotnicze. Instynktownie wyczuwa lud tryskającą ogniem z jego mów, współczującą miłość ludzi, a reakcjoniści w Lyonie zdają sobie sprawę, że taki właśnie czysty, natchniony, nieledwie do szału opętany miłością bliźniego człowiek jest jeszcze niebezpieczniejszy, aniżeli wrzaskliwi jakobińscy szerzyciele niepokojów.

Ku niemu zwracają się miłośnie wszystkie serca, przeciwko niemu zaciskają się z nienawiścią wszystkie pięście. A kiedy ujawniają się w mieście pierwsze zapowiedzi buntu, wtrącony zostaje ten neurasteniczny, śmieszny poniekąd fantasta, jako domniemany herszt, do więzienia. Z trudnością, za pomocą sfałszowanego listu, sklecone zostaje oskarżenie go, poczem następuje skazanie go na śmierć, tytułem przestrogi dla innych radykałów, jako wyzwanie, rzucone paryskiemu Konwentowi.

Daremnie posyła oburzony Konwent jednego po drugim gońca do Lyonu celem uratowania Chaliera. Ostrzega, żąda, grozi zbuntowanemu zarządowi miasta. Ale rada miasta Lycnu, na dobre już zdecydowana pokazać nareszcie zęby paryskim terorystom, nieugięcie odrzuca wszelkie próby wtrącania się do jej postanowień. Niechętnie dała sobie narzucić przysłanie gilotyny, tego narzędzia grozy, które odstawiła, jako nieużyteczny sprzęt, do lamusa: teraz postanawia dać nauczkę rzecznikom rządzenia terorem, wypróbowując po raz pierwszy to rzekomo humanitarne narzędzie rewolucji na rewolucjoniście. I właśnie dlatego, że maszyna nie została jeszcze wypróbowana, staje się stracenie Chaliera wskutek niezręczności kata okrutną, niegodziwą męczarnią. Trzykrotnie spada stępiały nóż, nie mogąc jednak przerąbać karku skazanego. Zdjęty nieopisaną zgrozą lud patrzy, jak spętane, ociekające krwią, wciąż jeszcze żyjące ciało swojego przywódcy, wije się w drgawkach bólu pod haniebnie zadawaną mu katuszą, aż wreszcie kat litościwem uderzeniem topora odrąbuje głowę nieszczęsnego od tułowia.

Ale ta udręczona, trzykrotnie przez nóż gilotyny miażdżona głowa staje się niebawem dla Rewolucji świętym symbolem zemsty i głową Meduzy dla oprawców męczennika.

— — — — — — — — — — — — —

Konwent przerażony jest wieścią o dokonaniu tej zbrodni. Jakto? Jedno z francuskich miast ma śmiałość przeciwstawienia się Zgromadzeniu Narodowemu?! Podobnie zuchwałe wyzwanie musi zostać bezzwłocznie zdławione we krwi. Ale i zarząd miasta Lyonu wie dobrze czego się może teraz spodziewać. Zupełnie zdecydowanie przechodzi od oparcia się Zgromadzeniu Narodowemu do otwartego buntu przeciwko niemu. Wystawia wojsko, wprawia w ruch siły obronne przeciwko współobywatelom, przeciwko Francuzom i otwarcie przeciwstawia się armji republikańskiej. Teraz już tylko z bronią w ręku nastąpić może rozstrzygnięcie pomiędzy Paryżem a Lyonem, pomiędzy rewolucją a reakcją.

Logicznie biorąc, wydaje się dopuszczenie do wojny domowej w tym momencie aktem samobójczym ze strony młodej Republiki. Położenie jej nie było nigdy bardziej niebezpieczne, rozpaczliwsze i bardziej beznadziejne. Anglicy zajęli Tulon, obrabowali flotę i arsenał, zagrażają Dunkierce, gdy równocześnie Prusacy i Austrjacy nadciągają nad Renem i w Ardenach, a cała Wandea objęta pożogą. Walki i bunty wstrząsają nieumocnione jeszcze podwaliny Republiki z jednego jej krańca po drugi. Ale dni te są zarazem okresem prawdziwego, wielkiego heroizmu francuskiego Konwentu.

Wiedzeni ponurym, fatalnym instynktem, który podszeptuje im, że niebezpieczeństwo da się najłacniej zwalczyć wyzwaniem, odrzucają przywódcy po straceniu Chaliera wszelkie próby układów z jego oprawcami. *„Potius mori quam foedari“* — raczej zginąć, niż paktować — lepiej prowadzić jeszcze jedną wojnę w dodatku do już prowadzonych siedmiu wojen, aniżeli zawrzeć pokój, świadczący o słabości.

I ten wiekopomny poryw rozpaczy, któremu żadna siła nie jest w stanie się oprzeć, ten urągający wszelkiej logice, wściekły szał tak samo zupełnie uratował

w momencie najwyższego niebezpieczeństwa Rewolucję Francuską, jak uratował rosyjską (w ten sam zupełnie sposób równocześnie zagrożoną na Zachodzie, Wschodzie, Północy i Południu przez Anglików i wojska całego świata, wewnątrz kraju przez legjony Wrangla, Denikina i Kołczaka).

Na nic się też nie zdaje, że wylęknione mieszczaństwo lyońskie otwarcie rzuca się teraz w ramiona rojalistów i powierza dowództwo nad swojemi wojskami generałowi królewskiemu, — z opłotków chłopskich, z przedmieść robotniczych, nadpływają fale proletarjackich żołnierzy i 9-go października szturmem zdobywają republikańskie wojska zbuntowaną drugą stolicę Francji.

Dzień ten jest bodaj najdumniejszym dniem Francuskiej Rewolucji.

Kiedy przewodniczący Konwentu uroczyście powstaje z miejsca swojego i obwieszcza ostateczną kapitulację Lyonu, zrywają się deputowani jak jeden mąż ze swoich miejsc, wznoszą okrzyki tryumfu, padają sobie wzajem w objęcia, całują się i ściskają: na jedną chwilę zdają się wygładzone wszystkie spory i waśnie. Republika jest uratowana, całemu krajowi, ba, światu całemu, dany świetny przykład niepokonanej potęgi, miażdżącej siły gniewu i rozpędu republikańskiej armji narodowej.

Fatalizm przeznaczenia sprawia wszelako, że dumna świadomość własnego bohaterstwa porywa zwycięzców do zuchwalstwa, do tragicznej żądzy wykorzystania własnego tryumfu, do nowego rozpłomienienia teroru. Potęgą równie straszliwą, jak pęd do zwycięstwa, staje się duch zemsty nad zwyciężonymi.

„Dany ma być przykład, że Republika Francuska, że młoda Rewolucja najsurowiej karze tych, którzy ośmielili się podnieść głowę przeciwko trójbarwnemu godłu".

W ten sposób Konwent, ów rzecznik humanitaryzmu,

hańbi się w oczach całego świata wydaniem dekretu, którego pierwowzorem był Barbarossa z barbarzyńskiem swojem zburzeniem Medjolanu, były czyny Kalifów.

12-go października rozwija Przewodniczący Konwentu ów straszliwy arkusz, zawierający ni mniej ni więcej, jeno wniosek zburzenia drugiej stolicy Francji. Ten mało znany dekret brzmi dosłownie jak następuje:

„1. Konwent Narodowy mianuje na wniosek Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego Komisję Nadzwyczajną, złożoną z pięciu członków, aby bezzwłocznie ukarać zbrojnie kontrrewolucję lyońską.

2. Wszyscy mieszkańcy Lyonu mają być rozbrojeni, a ich broń oddana obrońcom Republiki.

3. Część tej broni będzie oddana patrjotom, którzy byli ciemiężeni przez bogaczy i kontrrewolucjonistów.

4. Miasto Lyon będzie zburzone. Wszystko, zamieszkałe przez ludzi zamożnych, ma ulec zniszczeniu; pozostać mogą tylko domy ubogich, mieszkania wymordowanych, czy skazanych na wygnanie, patrjotów, budynki przemysłowe oraz służące celom dobroczynnym i wychowawczym.

5. Nazwa Lyon będzie skreślona z listy miast Republiki. Odtąd ma kompleks pozostawionych w całości domów nosić miano *„Ville Affranchie“*.

6. Na ruinach Lyonu ma być wystawiona kolumna, wieszcząca potomności zbrodnię i karę rojalistycznego miasta umieszczonym na niej napisem:

„Lyon prowadził wojnę przeciw wolności — Lyon nie istnieje już.“

Nikt nie odważa się odezwać z głosem protestu przeciwko szaleńczemu temu wnioskowi obrócenia w perzynę drugiego z rzędu co do wielkości miasta francuskiego. O odwadze oddawna już niema mowy w Konwencie, od czasu, kiedy gilotyna groźnie błyska

swoim nożem nad głowami tych, którzy szeptem bodaj próbują wymówić słówko: łaska czy litość. Konwent, onieśmielony i zatrwożony stosowanym przez samego siebie terorem, uchwala jednomyślnie akt wandalizmu, i Couthon'owi, przyjacielowi Robespierre'a, powierzone zostaje jego wykonanie.

— — — — — — — — — — — — —

Couthon, poprzednik Fouché'go, zdaje sobie odrazu sprawę z obłędności i samobójczości pomysłu zuchwałego zburzenia, jako gestu przestrogi dla innych, największego uprzemysłowionego miasta Francji, rozmyślnego zniszczenia jego dzieł sztuki. Od pierwszej chwili też zdecydowany jest w głębi duszy sabotować dane sobie polecenie.

Do tego jednak potrzebna jest sprytna obłuda.

W tym celu osłania Couthon tajemny swój zamiar oszczędzania Lyonu bałamutnym podstępem, polegającym przedewszystkiem na powitaniu entuzjastycznemi pochwałami obłędnego dekretu o całkowitem zburzeniu miasta.

„Towarzysze-obywatele" — woła — „odczytanie waszego dekretu oszołomiło nas podziwem. Tak, koniecznem jest, aby to miasto zostało zburzone, służąc jako potężny przykład dla wszystkich innych, które odważyłyby się zbuntować przeciwko ojczyźnie. Z pośród wszystkich dotychczasowych silnych, wielkich zarządzeń Konwentu brakło nam jednego tylko: doszczętnego zburzenia... Ale, uspokójcie się towarzysze-obywatele i zapewnijcie Konwent Narodowy, że jego zasady są naszemi zasadami i że jego dekrety wypełnione będą dosłownie."

Ten sam człowiek wszakże, który wygłasza taki hymn entuzjazmu na cześć powierzonego mu zadania, w rzeczywistości nie myśli o wykonaniu go, poprzestając na razie na teatralnych jeno gestach.

Mając obie kończyny obezwładnione przedwczesnym paraliżem, ale duchowo niezłomnie stanowczy, każe się

on zanieść w lektyce na plac targowy w Lyonie, symbolicznie niejako zaznacza uderzeniem srebrnym młotkiem w domy, które z nich mają ulec zburzeniu i zapowiada sądy straszliwej zemsty. Zaspokoił tem na razie najbardziej roznamiętnionych. W rzeczywistości jednak, pod pozorem braku robotników, posłał tylko kilka kobiet i dzieci, które *pro forma*, jak wróble, rzucają się na budynki, niewiele oczywiście wyrządzając im szkody. Pozatem dokonano nielicznych tylko straceń.

Już odetchnęło z ulgą miasto, mile zaskoczone niespodziewaną łagodnością po tak piorunujących zapowiedziach. Ale i teroryści ze swojej strony czuwają; stopniowo otwierają im się oczy na łagodne usposobienie Couthona, natarczywie też domagają się od Konwentu działania gwałtem. Krwawa, zmiażdżona czaszka Chaliera, przewieziona do Paryża, jako relikwia, z uroczystą pompą pokazana zostaje Konwentowi i wystawiona na widok publiczny w Notre-Dame celem podburzenia ludności.

Coraz gwałtowniejsze napaści ciskane są na kunktatora Couthona: zarzucają mu opieszałość, tchórzostwo, wyraźnie wskazują, że nie jest on odpowiednim człowiekiem do dokonania przykładnego aktu zemsty. Potrzebny jest tu — mówią przeciwnicy Couthona — człowiek bezwzględny, twardy i niezłomny jak spiż, prawdziwy rewolucjonista, którego nie zastrasza konieczność przelewania krwi; człowiek, gotowy na wszystko, mający duszę i ciało z żelaza i stali.

Konwent ulega wreszcie ich hałaśliwej natarczywości i, na miejsce nazbyt łagodnego Couthona, posyła najbardziej stanowczych ze wszystkich swoich trybunów: gwałtownego Collot'a d'Herbois (o którym krąży legenda, że wygwizdany został w Lyonie jako aktor i dlatego będzie owym właściwym człowiekiem do poskromienia i ukarania obywateli tego miasta) — i, wraz z nim, najskrajniej radykalnego ze wszystkich prokonsulów, osławionego jakobina i ultraterorystę,

Józefa Fouché, jako oprawców do nieszczęśliwego Lyonu.

— — — — — — — — — — — — —

Czy ten, powołany tak nagle do spełnienia morderczego dzieła, Józef Fouché, jest w istocie „opijającym się krwią“ oprawcą, jak nazywano wówczas przywódców teroru?

Sądząc z własnych jego słów, niewątpliwie.

Żaden chyba z prokonsulów nie występował w powierzonej sobie prowincji energiczniej, czynniej, bardziej rewolucyjnie i radykalnie, aniżeli Józef Fouché; rekwirował on bezlitośnie, obrabowywał kościoły, pozbawiał ludzi majątków i gwałtownie zduszał każdą próbę oporu. Ale — bardzo wyraźnie go to charakteryzuje! — szerzy teror słowami tylko, nakazami, groźbami i zastraszaniami: w przeciągu całego szeregu tygodni panowania jego w Nevers i Clamecy nie została utoczona ani jedna kropla krwi. Podczas kiedy w Paryżu terkoce gilotyna niczem dzisiejsza maszyna do szycia, podczas kiedy Carrier w Nantes zatapia podejrzanych setkami w Loirze, podczas kiedy cały kraj rozbrzmiewa rozstrzeliwaniami, mordami i nagankami na ludzi, nie ma Fouché na swojem sumieniu ani jednego stracenia politycznego w swoim okręgu. Znane mu jest dobrze, — i na tem właśnie polega myśl przewodnia jego psychologji — tchórzostwo większości ludzi; wie, że dziki, gwałtowny gest teroru zastępuje w większości wypadków sam teror. Kiedy też w następstwie, w najbujniejszym rozkwicie reakcji, wszystkie prowincje występują w roli oskarżycieli przeciwko niedawnym swoim władcom, nie może ludność powierzonej mu prowincji przytoczyć przeciwko niemu nic innego poza tem, że groził jej tylko nieustannie śmiercią, nie może wszelako zarzucić mu ani jednego faktycznie dokonanego stracenia.

Widzimy tedy, że Fouché, posłany do Lyonu w charakterze jego oprawcy, nie łaknie i nie lubi bynajmniej

krwi. Temu zimnemu, jak gdyby wyzbytemu zmysłowości, rachmistrzowi i myślowemu prestidigitatorowi niepotrzebne są opary krwi do podniecenia jego nerwów. Wścieka się i szaleje, wewnętrznie pozostając zimny i nieporuszony, wyraża rozwścieczenie swoje słowami jeno i groźbami, nigdy wszelako dla nasycenia swojej żądzy mordowania, dla okazania pełni swojej władzy, nie żąda faktycznych straceń. Wiedziony raczej instynktem i rozumem (nie ludzkością), szanuje on życie ludzkie dopóki własne jego życie nie znajdzie się w niebezpieczeństwie; wówczas tylko czynnie zagrozi życiu czy losom człowieka, kiedy własne jego życie czy własna jego korzyść, zostały zagrożone.

Na tem polega jedna z tajemnic wszystkich prawie rewolucyj, a zarazem tragicznych losów ich przywódców: wszyscy oni nie lubują się bynajmniej w przelewaniu krwi, a jednak, pod presją, zmuszani są do jej przelewania. Desmoulins, pieniąc się przy swojem biurku, domaga się sądów na żyrondystów; kiedy wszakże potem, siedząc już w sali sądowej, słyszy wyraz: „śmierć“, jako wyrok na owych dwudziestu dwóch, których sam przywlókł przed sędziów, zrywa się, blady jak trup, drżąc na całem ciele, i wybiega w rozpaczy z sali. Nie, tego nie chciał! Robespierre, którego podpis widnieje na tysiącach tragicznych wyroków, przed dwoma laty jeszcze na Zgromadzeniu obradującem zwalczał karę śmierci, piętnował wojnę mianem zbrodni. Danton, mimo że był twórcą trybunału mordów, zdobył się na rozpaczny okrzyk z głębi zatrwożonej duszy: „raczej być zgilotynowanym, aniżeli gilotynować“.

Sam Marat nawet, który publicznie w gazecie swojej domaga się trzystu tysięcy głów, stara się uratować każdego poszczególnie z chwilą kiedy dostaje się on pod nóż. Wszyscy oni, w następstwie przedstawiani jako krwiożercze bestje, jako namiętni, upajający się wonią padliny ludzkiej, mordercy, wszyscy oni w grun-

cie rzeczy wstręt mają, zupełnie tak samo jak Lenin i przywódcy rewolucji rosyjskiej, do wszelkich mordów i straceń. Pierwotnie chcą tylko groźbą stracenia trzymać w szachu politycznych swoich przeciwników: ale smoczy posiew mordu nieubłaganym jest wynikiem teoretycznego uznawania mordu.

Winą francuskich rewolucjonistów nie jest zatem ich upajanie się krwią, ale krwawemi frazesami. Popełnili oni niedorzeczność, — i to jedynie celem podniecenia ludu, a zarazem stwierdzenia własnego swojego radykalizmu, — wprowadzając ociekający krwią żargon i fantazjując nieustannie na temat zdrajców i szafotu. Potem wszekże, kiedy lud, upojony, pijany, opętany dzikiemi temi, podżegającemi frazesami, domaga się wprowadzenia w czyn owych, wskazywanych mu jako nieodzowne, „energicznych środków", braknie przywódcom odwagi oparcia się temu żądaniu: zmuszeni są posyłać na gilotynę, aby całe ich gadanie o gilotynie nie ujawniło się jako czcze kłamstwo. Ich czyny muszą z konieczności dotrzymywać kroku ich pieniącym się, wściekłym, zacietrzewionym słowom. Rozpoczyna się potworny w swojej grozie wyścig, żaden z nich bowiem nie ma odwagi pozostawania w tyle za innymi w tej wściekłej pogoni za względami ludu.

Mocą niepowstrzymanego prawa ciążenia pociąga za sobą jedno stracenie szereg następnych. To, co rozpoczęło się, jako żonglowanie krwawemi frazesami, staje się coraz wścieklejszem przelicytowaniem się ludzkiemi głowami. Nie przez żądzę krwi, nawet nie pod wpływem roznamiętnienia, a już najmniej pod presją stanowczej woli i decyzji, poświęcanych zostaje w ten sposób w ofierze tysiące istnień. Winę tego ponosi raczej brak stanowczości polityków i członków stronnictw, nie zdobywających się na odwagę oparcia się zbiorowej woli ludu, — ich tchórzostwo wreszcie.

Historja świata nie jest, niestety, jak się ją przeważnie przedstawia, historją odwagi ludzi, ale zarazem

i historją ich tchórzostwa. Polityka nie polega, jak chcą nam koniecznie wmówić, na kierowaniu opinją publiczną, ale na niewolniczem uginaniu przez przywódców własnych ich karków pod jarzmem tej samej właśnie instancji, która jest własnym ich tworem i na której ukształtowanie się wpłynęli.

W taki właśnie sposób powstają wojny: z rzucania niebezpiecznych frazesów, z nadmiernego podrażniania ambicji narodowych i zachłanności. Takie samo jest też źródło powstania zbrodni politycznych. Żaden na świecie występek, żadna zwierzęcość nie spowodowałaby tak wielkiego przelewu krwi, jak ludzkie tchórzostwo.

Kiedy też Józef Fouché staje się w Lyonie oprawcą mas, nie dzieje się to pod wpływem republikańskiego roznamiętnienia (Fouché'mu obce są wszelkie namiętności), ale jedynie obawy, aby okazaniem umiarkowania nie narazić się na utratę popularności. Nie myśli wszelako decydują w dziejach, ale czyny. Chociażby też nawet tysiąckrotnie wzdrygać się miał Fouché na ten wyraz, pozostanie imię jego w historji napiętnowane mianem „*Mitrailleur de Lyon*". I nawet fałdy książęcego płaszcza niezdolne będą w następstwie osłonić śladów krwi na jego rękach.

— — — — — — — — — — — — —

7-go listopada przybywa Collot d'Herbois, 10-go Józef Fouché do Lyonu. Przystępują oni niezwłocznie do dzieła. Przed odegraniem właściwej jednak tragedji urządza wygwizdany komedjant i jego ex-kapłański pomocnik krótką jeszcze satyryczną przygrywkę, najzuchwalszą bodaj i najbardziej wyzywającą w całym przebiegu Francuskiej Rewolucji: rodzaj czarnej mszy wśród białego dnia.

Żałobny obchód na cześć męczennika wolności Chalier'a służy jako pretekst do tej orgji ateistycznego wyuzdania. Jako pierwsze podniesienie kurtyny zostają o ósmej z rana obrabowane wszystkie kościoły

z ostatnich, pozostawionych im jeszcze, pobożnych symbolów; krucyfiksy, ornaty i kapy ściągnięte z ołtarzy, poczem tworzy się olbrzymi pochód przez całe miasto na Place des Terreaux. Czterej przysłani z Paryża jakobini niosą na pokrytej trójbarwnemi dywanami lektyce poowijane girlandami kwiatów popiersie Chalier'a, obok popiersia urnę z jego popiołami, a także w klatce małego gołąbka, który miał jakoby stanowić pociechę męczennika podczas jego uwięzienia. W uroczystem skupieniu kroczą tuż za lektyką trzej prokonsulowie, biorący udział w tym nowego rodzaju obrządku kościelnym, którego zadaniem jest pompatyczne stwierdzenie wobec lyońskiego ludu boskiego charakteru męczennika wolności, Chalier'a, tego „*Dieu sauveur mort pour eux*".

Ale tę, nieprzyjemną samą przez się, patetyczną ceremonję obniża bardziej jeszcze szczególnie przykre, bezsensowne skażenie smaku: hałaśliwa rota ciągnie za sobą w tryumfie, przy akompanjamencie dzikich jakichś indyjskich tańców, zrabowane z kościołów utensylja mszalne, kielichy, cyborya i obrazy święte; za niemi kroczy osioł, któremu zręcznie nasadzono na długie uszy ściągniętą z ołtarza mitrę biskupią. Do ogona biednego zwierzęcia przywiązano krucyfiks i Biblję — i tak buja się w jasnem świetle dnia, ku uciesze wrzaskliwej tłuszczy, przywiązana do oślego ogona i ochlapywana ulicznem błotem Ewangelja.

Wreszcie rozbrzmiewa wojenne hasło, nakazujące zatrzymanie się. Na wielkim placu uwito z zieleni polnej ołtarz, na który uroczyście postawione zostaje popiersie Chalier'a i urna z jego popiołami. Wszyscy trzej przedstawiciele ludu z czcią pochylają głowy przed nowym świętym. Nasampierw wygłasza mowę nawykły do tego były aktor, Collot d'Herbois, potem mówi Fouché.

Ten, który w zaciszu klasztornem potrafił tak uporczywie milczeć, odzyskał nagle głos, którym w napu-

szonem przemówieniu podnosi pod niebiosa pierwowzór gipsowego popiersia.

„Chalier! Chalier! Niema cię już! Zbrodniarze zamordowali, złożyli w ofierze, Ciebie, męczennika wolności, ale krew tych zbrodniarzy będzie jedyną ofiarą pokutną, która orzeźwi twoje wzburzone cienie. Chalier! Chalier! Przysięgamy przed wizerunkiem twoim, że pomścimy twoje męczeństwo i krew arystokratów posłuży ci za kadzidło.“

Trzeci pełnomocnik ludu mniej jest wymowny, aniżeli późniejszy arystokrata, przyszły książę Otrantu. W pokorze tylko składa pocałunek na czole popiersia, ogłuszając przytem plac cały wyciem: „Śmierć arystokratom!“

Po złożeniu tych uroczystych trzech hołdów rozpalony zostaje wielki stos. Z niezmąconą powagą przygląda się tak niedawno jeszcze tonsurowany Józef Fouché, wraz z dwoma swoimi towarzyszami, odcięciu Ewangelji od oślego ogona i rzuceniu jej na ogień, na którym, wpośrodku roznieconego płomienia z szat kościelnych, mszałów, hostyj i wystruganych z drzewa postaci świętych, spłonąć ma ona na popiół. Potem jeszcze dają szaremu kłapouchowi, w uznaniu jego świętokradczej usługi, napić się z świętego kielicha i wreszcie, po dokonaniu tych jaskrawie niesmacznych nietaktów, odnoszą czterej jakobini na własnych barkach popiersie Chalier'a zpowrotem do kościoła, gdzie ustawione ono zostaje uroczyście na ołtarzu na miejsce pogruchotanego wizerunku Chrystusa.

Ku wiecznemu upamiętnieniu godnej tej uroczystości wybita zostaje w ciągu najbliższych dni specjalna moneta pamiątkowa. Dzisiaj wszelako niepodobna znaleźć jej egzemplarza; późniejszy książę Otrantu wykupił wszystkie i usunął, podobnie jak wszystkie książki, które zbyt dokładnie i szczegółowo opisały te osławione bohaterskie czyny jego ultrajakobińskiego i ateistycznego okresu. On sam dobrą

wszelako miał pamięć. Aby jednak inni mieli zapamiętać, czy też aby cośkolwiek miało im przypomnieć czarną mszę Lyońską, byłoby dla *Son Excellence Monseigneur le Sénateur Ministre* arcychrześcijańskiego króla rzeczą zbyt niemiłą i niewygodną.

Jakkolwiek ten pierwszy dzień Józefa Fouché w Lyonie rzetelny budzi niesmak, jest on bądź co bądź jednak teatrem tylko i nędzną maskaradą: krew nie popłynęła jeszcze. Ale już nazajutrz z rana zamykają się konsulowie niedostępnie w jednym z położonych na uboczu domów, zabezpieczonym przez zbrojne posterunki od wtargnięcia osób niepowołanych: symbolicznie w ten sposób zatarasowane mają być drzwi dla wszelkiej prośby, dla wszelkiego błagania o łaskę, dla wszelkich względów. Powołany zostaje trybunał rewolucyjny, a jaką straszliwą Noc Św. Bartłomieja planują władcy ludu: Fouché i Collot, wieści to groźnie list ich do Konwentu:

„Spełniamy", piszą obaj, „misję naszą z energją zażartych republikanów, nie zejdziemy też z wyżyny, na jaką wzniosła nas wola ludu, aby zajmować się marnemi sprawami kilku mniej czy bardziej winnych ludzi. Oddaliliśmy od siebie wszystkich, nie mamy bowiem czasu do stracenia i żadnych łask do udzielania. Mamy przed oczami jedynie Republikę, która nakazuje nam danie przykładnej, najszerzej widzialnej nauki. Wsłuchani jedynie jesteśmy w krzyk ludu, który domaga się od nas niezwłocznego pomszczenia doraźnym, straszliwym aktem zemsty przelanej krwi patrjotów, aby ludzkość nie mogła nigdy już więcej być świadkiem jej przelewu.

„W przeświadczeniu, że w podłem tem mieście niema niewinnych poza tymi, których ciemiężyli i wtrącali do więzień mordercy ludu, zachowujemy się nieufnie wobec łez skruchy. Nic nie zdoła osłabić ani rozbroić naszej surowości. Wyznać wam musimy towarzysze-obywatele, że w naszem pojęciu jest pobłażliwość nie-

bezpieczną słabością, ułatwiającą tylko rozpłomienienie się na nowo zbrodniczych nadziei w tym właśnie momencie, kiedy należy zgasić je doszczętnie. Traktując pobłażliwie poszczególne osobniki, rozciąga się tem samem pobłażliwość tę na wszystkich tego samego co oni pokroju i pozbawia się w ten sposób skuteczności wymierzaną im sprawiedliwość. Burzenie dokonywa dzieła zniszczenia zbyt powolnie, republikańska niecierpliwość domaga się szybciej działających środków: jedynie wybuchy min i niszczycielska praca płomieni zdolne są dać wyraz potędze ludu. Woli jego nie należy nakładać hamulca, jak woli tyranów; musi ona działać na podobieństwo rozpętanego orkanu."

Orkan ten wybucha wedle ustalonego naprzód programu, w dniu 4-go grudnia, i echo jego rozgrzmiewa wnet przeraźliwie po całej Francji. Wczesnym rankiem wypuszczonych zostaje z więzień sześćdziesięciu młodzieńców, spętanych parami. Nie prowadzi ich się jednak na gilotynę, która w myśl słów Fouché'go pracuje „zbyt powolnie", ale za miasto, na równinę Brotteaux, na przeciwległy brzeg Rodanu. Dwie wielkie, równoległe, pospiesznie wykopane mogiły pozwalają ofiarom domyśleć się czekającego ich losu, a wystawione w odległości dziesięciu kroków armaty wskazują metodę, jaka ma być użyta do wykonania tego masowego mordu. Bezbronne ofiary skupione zostają i spętane w jedno zawodzące, zdjęte zgrozą, łkające, ryczące, daremnie broniące się skupisko ludzkiej rozpaczy. Komenda — i z zabójczej tej bliskości ziejących paszcz gruchnął z ogłuszającym trzaskiem grad posiekanego ołowiu wprost na trzęsącą się z przerażenia masę ludzką.

Ten pierwszy strzał nie kosi oczywiście za jednym zamachem wszystkich ofiar doszczętnie. Niektórym wyszarpnięte zostało jedno tylko ramię czy noga, innym wyprute tylko wnętrzności, kilku nawet pozostało z woli trafu zupełnie nietkniętych. Wszelako

w tej samej już chwili, kiedy krew bucha, spływając wezbranym szeroko strumieniem do wyrytych mogił, rzucają się kawalerzyści na daną po raz drugi komendę z szablami i pistoletami na oszczędzone jeszcze ofiary, zarąbują i dostrzeliwają spętane w jedno zwarte, drgające, jęczące, wrzeszczące, a nie mogące jednak uciec, stado ludzkie, dopóki nie zdławione zostają ostatnie charczące jęki.

W nagrodę za dokonanie tej jatki wolno oprawcom ściągnąć ubranie i obuwie z sześćdziesięciu ciepłych jeszcze ciał, zanim doszczętnie obnażone, rozszarpane, nie zostaną one wrzucone do świeżo wyrytych mogił,

Pierwsza to ze słynnych „*mitraillades*“ Józefa Fouché, późniejszego ministra arcychrześcijańskiego króla. Dumnie wieści o tem nazajutrz z rana plomienna proklamacja:

„Przedstawiciele ludu pozostaną niezłomnie przy powierzonej im misji, lud złożył w ich ręce grom swojej zemsty, nie wypuszczą go też, dopóki nie zostaną zmiażdżeni wszyscy wrogowie wolności. Nie zbraknie im odwagi kroczenia naprzód poprzez rozległe szeregi mogił spiskowców, aby po ruinach dotrzeć do szczęścia narodu i odnowienia świata.“

Tego samego dnia jeszcze złożony zostaje dowód smutnej tej „odwagi“. Składają go mordercze armaty z Brotteaux na jeszcze okazalszej liczbie ludzkiego stada. Tym razem to już dwieściedziesięć gnanych na rzeź ofiar ze spętanemi na plecach rękami, zamienionych w kilka minut, salwami posiekanego ołowiu, kartaczy i salw, w bezładny stos trupów. Procedura pozostała ta sama, ułatwiono tylko tym razem pachołkom oprawców ich niewygodne rzemiosło, odbierając im funkcję grabarzy ofiar, zmasakrowanych przez nich z takim nakładem sił. Po co jeszcze trudzić się kopaniem mogił dla tych nędzników? Ściąga się pokrwawione buty z szponiastych stóp, a potem wprost rzuca się obnażone i często drgające jeszcze ciała do tocząc-

cego swoje nurty grobu, jakim staje się dla nich Rodan.

Ale i tę nawet przejmującą zgrozą potworność, od której kraj i historja świata odwracają się ze wstrętem, przystraja Józef Fouché łagodzącym płaszczykiem hymnowych słów. Fakt, że Rodan zostaje zadżumiony przez te nagie trupy, sławi on jako czyn polityczny, bowiem ciała te, płynąc z prądem rzeki i docierając do Toulonu, stają się tam namacalnem świadectwem nieubłaganej, straszliwej zemsty republikańskiej.

„Trzeba", pisze on, „aby krwawe trupy, rzucane przez nas w nurty Rodanu, popłynęły wzdłuż obu brzegów aż do ujścia rzeki, do niecnego Toulonu, aby mogły tchórzowskim, a zarazem okrutnym, duszom angielskim unaocznić z całą wyrazistością wrażenie zgrozy i stały się żywym wizerunkiem wszechpotęgi ludu."

W Lyonie jest już, co prawda, unaocznienie takie zgoła zbyteczne, tracenie bowiem następuje po traceniu, hekatomba po hekatombie. Zdobycie Toulonu wita Fouché „łzami radości", a także tem, że dla „uczczenia dnia" posyła dwustu buntowników przed wyloty armat. Daremne pozostaje wszelkie błaganie o litość. Dwie kobiety, które zbyt namiętnie błagały o ułaskawienie ich mężów od krwawego sądu, przywiązane zostają do słupów gilotyny, a dom, zamieszkały przez przedstawicieli ludu, szczelnie odgrodzony, aby nikt nie mógł przybliżyć się nawet do nich i błagać ich o złagodzenie kary.

Im bardziej dziko wszakże trzeszczą działa, tem głośniej huczą słowa prokonsulów:

„Tak, ważymy się twierdzić, że przeleliśmy wiele nieczystej krwi, ale jedynie wiedzeni uczuciem ludzkości i obowiązku... Nie wypuścimy z rąk naszych złożonego w nie przez was gromu, dopóki sami nie objawicie nam woli waszej. Do tego czasu będziemy

w dalszym ciągu nieprzerwanie tępili naszych nieprzyjaciół, wypleniać ich będziemy w najkompletniejszy, najstraszliwszy i najszybszy sposób."

Tysiąc sześćset straceń w ciągu paru tygodni świadczy, że tym razem Józef Fouché wyjątkowo mówił prawdę.

— — — — — — — — — — — — —

Przy organizowaniu tych masakrów i układaniu pełnych zachwytu nad własnym czynem sprawozdań swoich o tem, nie zapomina ani Józef Fouché ani jego współtowarzysz o smutnem innem zadaniu, jakie z woli Konwentu mają do spełnienia w Lyonie. Pierwszego zaraz dnia posyłają do Paryża oskarżenie, że zburzenie miasta dokonywane było przez ich poprzednika „zbyt powoli", — „teraz miny przyspieszą dzieło zniszczenia, saperzy rozpoczęli już pracę i po upływie dwóch dni wylecą w powietrze gmachy Bellecourt."

Słynne te budowle, których wznoszenie rozpoczął za Ludwika XIV jeden z uczniów Mansard'a, zostały, jako najpiękniejsze, przeznaczone przedewszystkiem na zagładę. Brutalnie wyrzuceni zostają z tych domów ich mieszkańcy, i setki bezrobotnych, mężczyzn i kobiet, równają z ziemią w ciągu paru tygodni bezmyślnego burzenia wspaniałe te dzieła sztuki. Nieszczęsne miasto rozbrzmiewa znów jękami, zawodzeniem, hukiem salw armatnich i trzaskiem walących się murów. Podczas kiedy komisja *„de justice"* masakruje ludzi, a komisja *„de demolition"* burzy domy, przeprowadza równocześnie komisja *„des substances"* w sposób najskrajniej bezwzględny rekwizycję artykułów żywności, tkanin i przedmiotów wartościowych.

Każdy dom kolejno zostaje przetrząśnięty od piwnic do poddaszy w poszukiwaniu kryjących się w nim ludzi i poukrywanych wartości. Wszędzie, na każdym kroku, sprawuje okrutne swoje rządy teror obu tyranów, Fouché'go i Collot'a, którzy, sami niewidzialni

i niedostępni, chronieni przez posterunki, siedzą schowani w jednym z domów. Już zburzone są najpiękniejsze pałace, więzienia (jakkolwiek wciąż na nowo tłumnie zapełniane) nawpół opróżnione, sklepy splądrowane, a pola Brotteaux nasiąkły krwią tysięcy ofiar, kiedy wreszcie zdobywa się paru śmiałych obywateli na odwagę (może ona ich kosztować głowy!) pospieszenia do Paryża i wręczenia Konwentowi prośby, aby nie całe miasto zostało odrazu zrównane z ziemią.

Oczywiście jest tekst tej prośby utrzymany w tonie nader ostrożnym, korzącym się nawet; i oni rozpoczynają tchórzliwie od schylenia ze czcią czoła i sławią herostratowy dekret jako „zdający się być dyktowanym przez genjusz rzymskiego senatu". Potem jednak proszą o „łaskę dla okazujących szczerą skruchę, dla tych, co przyznają się do prowadzącej na błędne drogi słabości, o łaskę — ważymy się powiedzieć — dla zapoznanych niewinnych."

W porę jednakże uprzedzeni zostali konsulowie o zręcznie osłoniętem oskarżeniu i ekstrasztafetą pędzi Collot d'Herbois, jako wymowniejszy, do Paryża, aby zdążyć odparować cios. Nazajutrz ma on czelność wobec Konwentu i Jakobinów, zamiast usprawiedliwienia masowych straceń, sławić je jako przejaw „humanitaryzmu".

„Chcieliśmy", mówi on, „uwolnić ludzkość od straszliwego widowiska zbyt wielu kolejno po sobie następujących straceń, dlatego też postanowili komisarze wykonać w jednym dniu wyrok śmierci na wszystkich skazańcach i zdrajcach. Chęć ta wypływała z szczerej wrażliwości *(véritable sensibilité)*." Wobec Jakobinów unosi się on jeszcze bardziej płomiennym zapałem dla nowego „humanitarnego" systemu.

„Tak, powaliliśmy dwustu skazańców jedną salwą i z tego czyniony nam jest zarzut. Czyż ludzie nie rozumieją, że jest to właśnie aktem oszczędzania uczuć? Przy gilotynowaniu dwudziestu ostatni umiera już dwa-

dzieścia razy naprzód, tutaj, natomiast, straconych zostało za jednym zamachem dwudziestu zdrajców."

I w istocie, te oklepane frazesy, zaczerpnięte w pośpiechu z krwawego kałamarza rewolucyjnego żargonu, wywierają pożądane wrażenie. Konwent i Jakobini przyjmują z uznaniem wyjaśnienia Collot'a i tem samem dają prokonsulom glejt do dalszych egzekucji. Tego samego dnia uroczyście święci Paryż złożenie prochów Chalier'a w Panteonie — wyróżnienie, jakie dotychczas było udziałem Jean Jacques'a Rousseau tylko i Marat'a, — konkubina jego otrzymuje, tak samo jak konkubina Marat'a, dożywotnią pensję. Męczennik zostaje w ten sposób pasowany publicznie na narodowego świętego, a wszelkie akty gwałtu, dokonywane przez Fouché'go i Collot'a, uznane za usprawiedliwione pomszczenie.

Mimo to jednak ogarnął obu pewien niepokój, bowiem groźna sytuacja w Konwencie, wahanie się sympatji pomiędzy Danton'em a Robespierre'em, pomiędzy umiarkowaniem i terrorem, wymaga zdwojonej ostrożności. Dlatego też postanawiają obaj podzielić pomiędzy siebie role: Collot d'Herbois pozostanie w Paryżu, aby czuwać nad nastrojami w komisjach i nad sympatjami Konwentu i tem samem naprzód już móc odeprzeć swoją brutalną gwałtownością krasomówczą wszelką możliwą na obu napaść. Prowadzenie w dalszym ciągu dzieła masakrowania pozostaje w rękach „energicznego" Fouché'go.

Ważnem jest stwierdzenie faktu, że w owym czasie Józef Fouché sprawował nieograniczoną wyłączną władzę, bowiem w zręczny sposób usiłował on w następstwie zrzucić odpowiedzialność za wszystkie dokonane przez siebie akty gwałtu na plecy swojego bardziej szczerego współtowarzysza. Fakty świadczą wszelako, że i wówczas, kiedy był on wyłącznym władcą, kosa śmierci świstała niemniej morderczo. Pięćdziesięciu czterech, sześćdziesięciu, stu ludzi dzien-

nie zgładzanych bywało z hukiem i trzaskiem wymierzonych przeciwko nim działowych paszcz; walone mury padały i pod nieobecność Collot'a; ogień obracał w perzynę domy; więzienia opróżniane były przez masowe egzekucje, a wciąż jeszcze zagłuszał Józef Fouché własne swoje czyny słowami pełnemi zapału:

„Wyroki tego trybunału budzą może grozę w sercach zbrodniarzy, uspokajają wszelako i niosą pociechę ludowi, który wysłuchuje ich i pochwala je. Niesłusznie przypisuje się nam, jakobyśmy raz jeden bodaj udzielili winnemu zaszczytu ułaskawienia: nie popełniliśmy tego ani razu!"

— — — — — — — — — — — — —

Wtem nagle — co się to stało? — zmienia swój ton. Subtelnym swoim węchem wyczuł zdaleka, że w Konwencie zmienić się musiał nagle kierunek wiatru, bowiem brutalnym jego fanfarom egzekucyjnym nie wtóruje od pewnego czasu właściwy podźwięk. Jego jakobińscy przyjaciele, jego ateistyczni współtowarzysze: Hebert, Chaumette, Ronsin, zamilkli nagle — zamilkli zupełnie i nazawsze, bowiem nagłym, niespodzianym ciosem zdławiła im grdyki nieubłagana ręka Robespierre'a.

Zręcznie zawsze lawirując pomiędzy nazbyt rozjuszonymi i nazbyt łagodnymi, przepychając się łokciami raz na prawo, to znów bardziej na lewo, rzucił się nagle ten moralny tygrys z tajemnego swojego ukrycia na ultraradykałów. Za jego sprawą wezwany został Carrier, który w Nantes tak samo radykalnie zatapiał, jak Fouché w Lyonie rozstrzeliwał, do zdania sprawy przed Zgromadzeniem; za pośrednictwem duchowego swojego pachołka, Saint Juste'a zataszczyć kazał na gilotynę rozwydrzonego Eulogjusza Schneidera; publicznie napiętnował mianem głupoty ateistyczne widowiska ludowe w rodzaju tych, jakie urządzał Fouché na prowincji i w Lyonie, a jakie on sam, Robespierre, zniósł w Paryżu.

Spłoszeni i ulegli jak zwykle, idą zaniepokojeni deputowani za daną im przez niego wskazówką.

Fouché'go oblatuje dawny strach, że nie stoi po stronie większości. Teroryści są w niełasce — pocóż więc dalej bawić się w teroryzm? Lepiej przejść conajrychlej na stronę umiarkowanych, Danton'a i Desmoulins'a, którzy teraz występują z żądaniem „Trybunału łagodności", lepiej jaknajśpieszniej zmienić płaszcz wedle nowego kierunku wiatru.

Nagle, 6-go lutego, wydaje on polecenie wstrzymania mitraillad i, opieszale już tylko, ociągając się, pełni swoją służbę gilotyna ( o której twierdził on w swoich pamfletach, że działa zbyt wolno), ścinając marne dwie czy trzy głowy dziennie, drobiazg w samej rzeczy w porównaniu z dawnemi igrzyskami ludowemi na równinie Brotteaux! Wzamian kieruje on całą swoją enerję nagle przeciwko radykałom, przeciwko organizatorom owych igrzysk i wykonawcom jego rozkazów; rewolucyjny Szaweł przeistacza się za jednym zamachem w humanitarnego Pawła.

Zręcznym wyślizgiem przerzuca się na stronę przeciwną, określa przyjaciół Charlier'a mianem „areny anarchistów i buntu", bez uprzedzenia rozwiązuje tuzin czy dwa tuziny rewolucyjnych komitetów. I oto staje się coś wielce szczególnego: żyjąca w nieustannym śmiertelnym strachu ludność Lyonu widzi nagle w bohaterze mitraillad, w Józefie Fouché, swojego zbawcę. Rewolucjoniści lyońscy ślą znów pełne rozwścieczenia listy, jeden za drugim, oskarżając go o gnuśność, o zdradę bodaj, i „ciemiężenie patrjotów".

Śmiałe takie nagłe zwroty, zuchwałe takie przerzucanie się wśród białego dnia do przeciwnego obozu, te ucieczki do zwyciężających — stanowią tajemnicę Fouché'go w walce. One jedynie zdołały uratować mu życie. Obstawił obie karty. O ile zostanie pomówiony w Paryżu o nazbyt wielką łagodność, może przecież wskazać na tysiące mogił i na zburzone fasady pała-

ców lyońskich. Gdyby zaś miano go oskarżyć o dokonywanie rzezi i piętnować mianem oprawcy, będzie miał możność powołania się na skargi, zanoszone na niego przez Jakobinów, którzy zarzucają mu „moderantyzm", nazbyt wielkie jego umiarkowanie.

Może on teraz, zależnie od tego, w którą stronę wiatr wieje, wyjąć z prawej kieszeni dowód nieubłaganego swojego okrucieństwa, a z lewej — świadectwo humanitaryzmu, może występować zarówno w roli kata, jak w roli zbawcy Lyonu.

I w istocie, dzięki zręcznemu temu żonglowaniu, udało mu się i w następstwie zrzucić na barki swojego bardziej prostolinijnego i otwartego towarzysza, Collot'a d'Herbois, całą odpowiedzialność za rzezie. Udaje mu się wszelako wprowadzić w błąd potomnych jeno: nieubłaganie czuwa w Paryżu Robespierre, wróg, który nie może mu darować wyparcia z Lyonu własnego jego sprzymierzeńca, Couthon'a. Znany już jest Robespierre'owi z Konwentu ten dwulicowiec, nie dając się też niczem omamić, nieubłaganie śledzi on wszystkie zwroty i wyślizgiwania się Fouché'go, który teraz spiesznie chce przykucnąć, szukając osłony przed burzą.

Nieufność Robespierre'a ma żelazne szpony: niepodobna się z nich wywinąć.

12 germinala wymusza on na Komitecie Bezpieczeństwa Publicznego wysłanie groźnego dekretu do Fouché'go, polecającego mu niezwłoczne stawienie się w Paryżu celem usprawiedliwienia się z zajść w Lyonie. Ten, który w ciągu trzech miesięcy zasiadał na czele sądu, musi sam stawić się przed najwyższym trybunałem.

Przed trybunałem? Dlaczego? Dlatego, że kazał zmasakrować dwa tysiące Francuzów w ciągu trzech miesięcy? Jako współtowarzysz Carrier'a oraz innych masowych oprawców oczywiście. Otóż, teraz dopiero wychodzi na jaw polityczna genjalność zdumiewająco

czelnego ostatniego zwrotu, dokonanego przez Fouché'go: nie, musi on usprawiedliwić się z tego, że ciemiężył radykalną „*Société populaire*“ i jakobińskich patrjotów.

„*Le Mitrailleur de Lyon*“, kat dwóch tysięcy ofiar, oskarżony jest — niezapomniana farsa historyczna! — o najszlachetniejsze wykroczenie, jakie zna ludzkość: o nadmierny humanitaryzm.

— — — — — — — — — — — — —

## Rozdział trzeci

## WALKA Z ROBESPIERRE'M

### 1794.

3-go kwietnia dowiaduje się Fouché, że Komitet Bezpieczeństwa Publicznego nakazał mu niezwłoczne przybycie do Paryża dla usprawiedliwienia się, już 5-go więc wsiada on do podróżnego dyliżansu. Szesnaście głuchych chrzęstów towarzyszy jego wyjazdowi, szesnaście chrzęstów spodającego noża gilotyny, który po raz ostatni z jego polecenia pełni ostrą swoją powinność.

W tym ostatnim dniu dokonane zostają w pośpiechu jeszcze dwa wyroki, dwa bardzo szczególne wyroki, bowiem któż to są ci dwaj ostatni maruderzy wielkiej masakry, którzy (jak się w owym czasie jowjalnie wyrażano), muszą wypluć swoje głowy do kosza?

Nikt inny, jeno kat Lyonu i jego pomocnik.

Oni to właśnie, ci sami, którzy na rozkaz reakcji zgilotynowali Chalier'a i jego przyjaciół, ci sami, którzy potem z woli rewolucji obojętnie ścinali setkami reakcjonistów, dostają się teraz pod nóż. O jaką pomówiono ich zbrodnię, tego przy najlepszej woli niepo-

dobna wyraźnie wywnioskować z aktów sądowych; prawdopodobnie zostają oni tylko złożeni w ofierze, aby nie mogli opowiadać zbyt wiele o Lyonie następcom Fouché'go i potomności. Umarli potrafią najlepiej milczeć.

Wóz dyliżansowy odjeżdża. Fouché ma niejedno jeszcze do obmyślenia podczas drogi do Paryża. Bądź co bądź jednak, pociesza się on niewątpliwie, nic jeszcze nie stracone: ma wszak niejednego wpływowego przyjaciela w Konwencie, nadewszystko wielkiego przeciwnika Robespierre'a — Danton'a. Może jednak uda się utrzymać w szachu okrutnika.

Czy może wszelako Fouché przeczuwać, że w tych godzinach ważenia się losów Rewolucji wypadki toczą się szybciej, aniżeli koła kolasy pocztowej, zdążającej z Lyonu do Paryża? Że od dwóch dni już zaufany jego przyjaciel, Chaumette, siedzi w więzieniu, że potężna głowa Danton'a rzucona została przez Robespierre'a pod nóż gilotyny, że w tym samym dniu Condorcet, duchowy przywódca prawicy, wałęsa się głodny po okolicach Paryża i że, nazajutrz, zażyje truciznę, aby uniknąć sądu?

Ich wszystkich powalił jeden jedyny człowiek i ten właśnie jeden jedyny człowiek jest najzacieklejszym politycznym jego przeciwnikiem.

Dopiero stanąwszy późnym wieczorem 8-go kwietnia w Paryżu, dowiaduje się Fouché o całej grozie i rozciągłości niebezpieczeństwa, jakiemu dobrowolnie pospieszył wpaść w paszczę.

Niewiele zaiste zaznać musiał snu prokonsul Józef Fouché podczas tej pierwszej nocy w Paryżu.

— — — — — — — — — — — — —

Zaraz nazajutrz z rana udaje się Fouché do Konwentu, wyczekując z niecierpliwością otwarcia posiedzenia. Dziwne wszelako, wielka sala nie chce się jakoś zapełnić, połowa, więcej niż połowa miejsc, zostaje wciąż jeszcze pusta. Zapewnie: część deputowa-

nych wysłaną jest w sprawach misyjnych, może też co innego stanęło im na przeszkodzie, jednakże, jakaż ziejąca pustka na ławach prawicy, na których ongi zasiadali przywódcy, Żyrondyści, wspaniali mówcy rewolucyjni!

Gdzie się oni podziali?

Dwudziestu dwóch najśmielszych, Vergniaud, Brissot, Petion, skończyło na szafocie, albo śmiercią samobójczą, albo też rozszarpanych zostało przez wilki podczas swojej ucieczki. Sześćdziesięciu trzech zpośród ich przyjaciół, którzy mieli odwagę stanąć w ich obronie, skazała większość na banicję — jednym potężnym, straszliwym ciosem potrafił Robespierre uwolnić się od setki swoich przeciwników na prawicy. Niemniej energiczne spustoszenia czyniła jego pięść we własnych szeregach, wśród przedstawicieli „Góry". Wszystkich: Danton'a, Desmoulins'a, Chabot'a, Herbert'a, Fabre d'Eglantine'a, Chaumette'a i dwa tuziny innych, którzy poważyli się przeciwstawić własnej jego woli, jego dogmatycznej próżności, strącić rozkazał na dno dołu wapiennego.

Wszystkich usunął ten niepozorny, szczupły, mały człeczyna z żółciowo bladą twarzą, z niskiem, wtył uciekającem czołem, z małemi, koloru wody, krótkowzrocznemi oczkami, ten mizerak, kryjący się przez długi czas w cieniu olbrzymich postaci swoich poprzedników. Kosa czasu oczyściła mu wszelako i utorowała drogę. Z chwilą, kiedy nie stało Mirabeau, Marat'a, Danton'a, Desmoulins'a, Vergniaud'a, Condorcet'a, tem samem trybunów, podżegaczy, przywódców, pisarzy, mówców i myślicieli młodej Republiki, staje się Robespierre dla niej wszystkiem w jednej osobie: jej Pontifexem Maksimusem, jej dyktatorem i tryumfatorem. Z niepokojem spogląda Fouché na swojego przeciwnika, dokoła którego z natarczywemi hołdami cisną się wszyscy służalczy deputowani i który z niezachwianą obojętnością pozwala składać sobie te hołdy. Zakuty w „cnotę" swoją, jak w pancerz, lustruje ten nieprzedajny arenę krótko-

wzrocznemi swojemi oczkami w dumnem przeświadczeniu, że teraz nikt już więcej nie poważy się podnieść przeciwko niemu głowy i przeciwstawić się jego woli.

Znajduje się wszelako jeden taki śmiałek. Ten, który nic już nie ma do stracenia, Józef Fouché, żądający teraz głosu dla usprawiedliwienia swojego zachowania się w Lyonie.

— — — — — — — — — — — — — — —

To żądanie możności usprawiedliwienia się przed Konwentem jest wyzwaniem rzuconem Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego, nie Konwent bowiem, jeno Komitet zażądał od niego wyjaśnień. On wszelako zwraca się, jako do wyższej, do właściwej instancji, do Zgromadzenia Narodowego. Zuchwalstwo tego żądania rzuca się w oczy. Mimo to przewodniczący dopuszcza go do głosu.

Fouché nie jest bądź co bądź pierwszym lepszym, zbyt często wymieniono w tej sali jego nazwisko, nie zostały jeszcze zapomniane jego zasługi, jego komunikaty, jego czyny. Fouché występuje na trybunę i odczytuje szczegółowe sprawozdanie. Zgromadzenie wysłuchuje, nie przerywając mu, nie zdradzając ani oznak uznania ani potępienia. Kiedy skończył, nie porusza się ani jedna ręka. Członków Konwentu obleciał strach. Jeden rok świstu gilotyny chemicznie wyprał z męstwa dusze tych ludzi. Ci sami, którzy niegdyś namiętnie bronili swoich przekonań, którzy głośno, śmiało i otwarcie prowadzili walkę o słowa i poglądy, teraz unikają najstaranniej ujawniania swoich opinij.

Od czasu kiedy kat Polyphem sięga na prawo i na lewo w ich szeregi, od czasu kiedy złowrogi cień gilotyny czai się za każdem ich słowem, wolą milczeć, niż mówić. Jeden kuli się tchórzliwie za drugim, każdy zezuje na prawo i na lewo, zanim odważy się poruszyć. Strach, niby mgła przytłaczająca, powleka szarością ich twarze, a nic nie poniża bardziej człowieka, a zwłaszcza skupienia ludzi, aniżeli strach przed niewidzialnem.

Tak więc i tym razem nie ośmielają się wypowiedzieć swojego zdania. Byle nie wkraczać w dziedzinę kompetencji Komitetu, tego niewidzialnego Najwyższego Trybunału! Usprawiedliwienie Fouché'go nie zostaje też ani odtrącone, ani przyjęte, ale wprost przesłane Komitetowi do wyrażenia o nim opinji — tem samem dostaje się ono na ten właśnie brzeg, którego tak skwapliwie usiłował Fouché uniknąć.

Przegrana pierwsza jego bitwa.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Teraz oblatuje strach i jego samego. Zbyt daleko się zaawanturował, nie znając dobrze okolicy: należy czemprędzej się wycofać. Lepiej skapitulować, aniżeli w pojedynkę występować do walki przeciwko najpotężniejszemu. Dlatego też zgina Fouché pokutnie kolano, pochyla ze skruchą głową.

Tego samego jeszcze wieczora udaje się on do mieszkania Robespierre'a, aby porozumieć się z nim, a raczej, mówiąc szczerzej, aby wybłagać jego łaskę.

Przy tej rozmowie nie był nikt świadkiem. Znany jest tylko jej wynik, można też odmalować ją sobie na podstawie przebiegu analogicznej takiej wizyty, którą Barras opisał z upiorną wyrazistością w swoich „Pamiętnikach".

I Fouché, zanim wstępuje na drewniane stopnie klatki schodowej małego mieszczańskiego domku przy Rue St. Honoré, w którym Robespierre wystawia na pokaz cnotę swoją i ubóstwo, przejść musi surowy egzamin obojga właścicieli, którzy czuwają nad bezpieczeństwem boga swojego i lokatora, jak nad świętym skarbem. I jego, tak samo jak Barras'a, kiedy znalazł się w ciasnym, dumnie tylko własnemi podobiznami Robespierre'a przyozdobionym pokoju, nie zaprasza Robespierre, aby usiadł, przyjmując go w sztywnej pozycji stojącej, z rozmyślnie zaakcentowaną, obrażającą pychą, jak gdyby miał przed sobą nędznego przestępcę. Bowiem człowiek ten, namiętnie rozmiłowany w cnocie

i z równie grzeszną namiętnością rozmiłowany we własnej cnocie, nie zna pobłażania, nie potrafiłby wybaczyć człowiekowi, który poważył się kiedykolwiek być odmiennego niż on zdania. Nieugięty i fanatyczny, istny Savanarola rozumu i „cnoty", odrzuca on wszelkie paktowanie, co więcej, wszelkie nawet kapitulowanie swoich przeciwników. Tam nawet, gdzie względy polityczne władczo nakazują porozumienie, staje mu na przeszkodzie nieugięta jego nienawiść i dogmatyczna jego duma.

Bez względu na to, co wówczas powiedział Fouché Robespierre'owi i co sędzia jego mu odpowiedział, — wiadomo jedno tylko: nie spotkało go przyjęcie dobre, łaskawe, ale miażdżące, nieubłagane obrzucenie gromami potępienia, nieukrywana, zimna groźba, wyrok śmierci *in effigie*. Schodząc z wściekłym gniewem w duszy po stopniach klatki schodowej na Rue St. Honoré, wie odtrącony, upokorzony, zagrożony Józef Fouché, że jedyna tylko pozostaje dla niego możność uratowania własnej głowy — wtrącenie do kosza głowy Robespierre'a, zanim jego własna dostanie się pod nóż gilotyny.

Wypowiedziana została wojna na śmierć i życie.

Rozpoczęła się walka zapaśnicza pomiędzy Robespierre'm i Fouché'm.

Walka ta należy do najbardziej przykuwających, do psychologicznie najbardziej roznamiętniających epizodów historji Rewolucji. Obydwaj mądrzy, obydwaj politycy, popełniają, zarówno wyzywający jak wyzwany, jeden wspólny błąd: przez długi czas nie doceniają się wzajem tylko dlatego, że zdaje im się, jakoby znali się oddawna. W oczach Fouché'go jest Robespierre wciąż jeszcze obdartym, zasuszonym adwokaciną, pozwalającym sobie w jego prowincji, w Arras, wraz z nim w Klubie, na robienie żarcików, na fabrykowanie słodkawych wierszyków *à la Grécourt*, a potem na zanudzanie uczestników Zgromadzenia w 1789 nadętemi swojemi mowami. Fouché nie spostrzegł się, a w każdym razie

nie spostrzegł się w porę, jak, drogą wytrwałej, nieustępliwej pracy nad sobą, porwany doniosłością zadania, przedzierzgnął się Robespierre z demagoga w męża stanu, ze zręcznego intryganta w precyzyjnie myślącego polityka, z retora w mówcę. Poczucie odpowiedzialności za swoje czyny posuwa zawsze nieomal człowieka po szczeblach wznoszenia się ku wielkości; podobnie też i Robespierre wzrósł dzięki świadomości swojego posłannictwa. On jeden bowiem pośród chciwych zysku karjerowiczów i głośnych krzykaczy poczuwa się do obowiązku ratowania Republiki, jako do narzuconego jemu wyłącznie przez los zadania życia. Uważa za święte swoje posłannictwo w stosunku do ludzkości konieczność urzeczywistnienia jego własnej koncepcji republiki, rewolucji, moralności, a nawet idei bóstwa, jaką sobie wytworzył. Ta zatwardziałość przekonań Robespierre'a jest zarazem pięknem i słabością jego charakteru.

Upojony własną swoją nieprzedajnością, zaklęty niejako w dogmatyczną swoją surowość, uważa on każde zdanie, inne niż jego własne, nietylko za odrębne, ale za zdradę nieledwie, dlatego też lodowatą pięścią sędziego, sądzącego kacerza, rzuca każdego odmiennie myślącego na stos ofiarny pod nóż gilotyny. Nie ulega wątpliwości, że w duszy Robespierre'a z 1794-go roku jaśnieje płomień wielkiej, czystej idei. A raczej, właściwiej powiedziawszy, nie płonie ona, ale zastygła, skostniała w nim. Nie może ona w zupełności wyłonić się z niego nazewnątrz, a on nie może w zupełności wyzwolić się z jej pęt (los wszystkich umysłów dogmatycznych). Niezdolność promieniowania z siebie ciepła humanitaryzmu pozbawia jego działalność prawdziwie płodnej siły. Potęgą jego jest jego skostniała nieugiętość, okrutna surowość — jego siłą: dyktatorstwo stało się dla niego treścią i formą jego życia. Dlatego też musi przemocą odcisnąć na obliczu rewolucji piętno własnej swojej indywidualność, o ile nie ma się złamać.

Tego rodzaju człowiek nie znosi opozycji, nie znosi odmiennego poglądu w sprawach ducha, nie znosi nikogo obok siebie, a tembardziej nikogo przeciw sobie. Zdolny jest tolerować ludzi o tyle tylko, o ile opinje ich są zwierciadlanem odbiciem własnych jego poglądów, dopóki niewolniczo poddają mu się duchowo, jak Saint-Just i Couthon; każdego innego nieubłaganie wytrawia ponury ług jego usposobienia żółciowca. Biada tym wszelako, którzy nietylko pozwolili sobie niezupełnie zgadzać się z jego poglądem — i tych srodze prześladował — ale odważyli się przeciwstawić jego woli, nie liczyć się z jego nieomylnością.

A tego właśnie dopuścił się Fouché.

Nie zasięgał nigdy jego rady, nie korzył się nigdy przed dawnym przyjacielem, zasiadał na ławie jego przeciwników, śmiało przekroczył zakreślone przez Robespierre'a granice umiarkowanego, ostrożnego socjalizmu, głosił zasady komunizmu i ateizmu.

Dotychczas wszelako nie zajmował się Robespierre poważnie jego osobą; Fouché wydawał mu się zbyt drobną, pozbawioną większego znaczenia osobistością. W jego oczach nie jest ten deputowany niczem więcej, jak tylko skromnym wykładowcą w seminarjum dla kleryków, którego znał jeszcze w sutannie, a potem jako konkurenta do ręki swojej siostry, małego, lichego ambitnika, który złamał wiarę swojemu Bogu, swojej narzeczonej i wszystkim dawnym swoim przekonaniom. Pogardza też nim z całą nienawiścią nieugięcie zakrzepłej stanowczości dla giętkości przekonań, z wstrętem bezwzględności do skrytego, podstępnego działania dla osiągnięcia korzyści, z nieufnością natury wierzącej, religijnej, do umysłu nawskroś świeckiego. Dotychczas jednak nie zadawała sobie ta nienawiść trudu zajmowania się specjalnie osobą Fouché'go i kierowała ostrze swoje ogólnie przeciwko gatunkowi ludzi, w których naturze leży tego rodzaju postępowanie. W dumnem swojem samozaślepieniu przeoczał go

dotychczas: w jakim celu zajmować się osobą marnego takiego intryganta, którego w każdej chwili zgnieść można pod własną stopą? Tylko dlatego, że od tak dawna przywykł nim pogardzać, zadowalniał się Robespierre dotychczas jedynie obserwowaniem Fouché'go, nigdy wszelako poważnie go nie zwalczał.

Teraz dopiero spostrzegają obaj, jak bardzo wzajem się nie doceniali. Fouché'mu otwierają się oczy na olbrzymią potęgę, do jakiej wznieść się zdołał tamten przez czas jego nieobecności: podwładne mu są wszystkie urzędy, armja, policja, sądownictwo, komisje, Konwent i Jakobini. Myśl o zwalczaniu go nie ma żadnych widoków powodzenia. Ale Robespierre zmusił go do podjęcia walki i Fouché wie dobrze, że jest stracony, o ile go nie zwycięży. Zawsze moment ostatecznej rozpaczy rodzi ostatni wysiłek myśli i tym razem też, znalazłszy się o krok już tylko od przepaści, rzuca się nagle na przeciwnika, jak jeleń, tropiony i zagnany przez prześladowców, z ostatniej już kniei napada z odwagą rozpaczy na myśliwca.

Pierwsze kroki nieprzyjacielskie wszczyna Robespierre. Zrazu zamierza tylko udzielić nauczki zarozumialcowi, rzucić mu ostrzeżenie, kopnąć go butem.

Sposobność po temu nastręcza słynna mowa, wygłoszona przez Robespierre'a 6-go maja i wzywająca wszystkich przedstawicieli duchowieństwa z całej republiki, aby „uznali istnienie najwyższej istoty, a także nieśmiertelności, jako kierowniczych potęg wszechświata".

Nigdy jeszcze nie wygłosił Robespierre piękniejszej i podnioślejszej mowy nad tę właśnie, napisaną jakoby w posiadłości wiejskiej Jana Jakóba Rousseau: dogmatyk stał się w niej wieszczem nieledwie, mętny idealista — myślicielem.

Główną wytyczną, podstawową myślą tej mowy, która, mimo napuszonej swojej frazeologji, przepojona jest szczerą etyką i gorącem dążeniem do moralnego

podniesienia ludzkości, jest z jednej strony oddzielenie wiary od niewiary, a z drugiej od przesądu, stworzenie religji, wyższej zarazem od pospolitego, czczącego symbole chrystjanizmu, a także od pustki materjalizmu i ateizmu, zatem zachowanie złotego środka, jak to czyni zawsze Robespierre we wszystkich sprawach ducha. I w tej wszelako wzniosłej dziedzinie nie może on, ideolog, wyzwolić się z względów polityki. I do tych nawet myśli, sięgających poza ramy czasu i przestrzeni, przesącza jego, zaprawiona żółcią i ponuremi żalami, złość napaści czysto osobiste. Jadem nienawiści opluwa zmarłych, których on sam rzucił pod nóż gilotyny i wyszydza ofiary swojej polityki, Danton'a i Chaumette'a, jako godne pogardy przykłady zdemoralizowania i bezbożności. I nagle, wymierza cios w samo serce jedynego z pośród kapłanów ateizmu, który uszedł dotychczas cało przed skutkami jego gniewu: Józefa Fouché.

„Wyjaw nam wreszcie, kto powierzył ci misję głoszenia ludowi, jakoby nie istniało żadne bóstwo! Jaką korzyść widzisz we wmawianiu światu, że losami jego kieruje ślepa przemoc, rzucająca go zupełnie przypadkowo, raz w objęcia cnoty, to znów w objęcia występku, i że dusza jego jest jeno ulotnem pasemkiem oddechu, rozwiewającego się u wrót mogiły? Nieszczęsny sofisto, jakiem prawem rościsz sobie pretensje do wyrwania berła rozumu niewinności, aby powierzyć je rękom występku? Do rzucenia całuna śmierci na przyrodę, uczynienia nieszczęścia jeszcze bardziej rozpaczliwem, przysłonięcia kirem żałobnym blasku cnoty, poniżenia ludzkości?... Zbrodniarz jedynie, godny pogardy dla siebie samego, i wstrętny dla wszystkich innych, może wierzyć, że natura nie jest zdolna obdarzyć nas niczem piękniejszem nad nicość."

Niemilknąca burza oklasków ogłusza salę po wspaniałej tej mowie Robespierre'a. Za jednym zamachem czuje się Konwent zwolniony od poniżeń codziennych

staré, jednogłośnie uchwala też zaprojektowane przez Robespierre'a święto ku czci najwyższej istoty.

Jeden tylko Józef Fouché zachowuje grobowe milczenie i stoi z zaciśniętemi, nerwowo zagryzanemi wargami. Wobec takiego tryumfu przeciwnika trzeba zachować milczenie. Fouché wie dobrze, że w otwartym boju nie może się mierzyć z tak wytrawnym mistrzem retoryki. Bez słowa, blady, przyjmuje on wymierzony mu wobec całego Zgromadzenia policzek i tylko w głębi duszy zdecydowany jest pomścić zniewagę i odpłacić za nią.

W ciągu kilku dni, kilku tygodni nie słychać nic o nim. Robespierre pewien jest, że zmiażdżył go bezpowrotnie: kopnięcie nogą wystarczyło do unicestwienia zuchwalca. Kiedy jednak nic się nie widzi i nic się nie słyszy o Fouché'm, dzieje się to dlatego jedynie, że knuje on robotę podziemną, wytrwałą, krecią, planową. Odwiedza członków Komitetu, szuka znajomości pomiędzy deputowanymi, jest uprzejmy, ugrzeczniony względem poszczególnych jednostek, usiłuje przypodobać się każdemu. Najgorliwiej krząta się dokoła Jakobinów, u których zręczne, układne słówko wielkie ma znaczenie, a którym poważnie się naraził działalnością swoją w Lyonie. Nikt nie wie dokładnie, czego właściwie chce, co planuje, jakie żywi zamiary ten wielce obrotny, kręcący się wszędzie, nawiązujący wszędzie nici, skryty człowieczek.

I nagle staje się wszystko jasnem: niespodzianie dla wszystkich, a najbardziej niespodzianie dla Robespierre'a, 18 prairiala obrany zostaje Józef Fouché znaczną większością głosów na przewodniczącego Klubu Jakobinów.

— — — — — — — — — — — — —

Robespierre wzdryga się: nikomu nie wydawałoby się możliwem podobne zuchwalstwo. Teraz dopiero otwierają mu się oczy, na jak czelnego i przebiegłego przeciwnika natrafił w osobie Fouché'go. Od dwóch

lat już nie zdarzyło mu się nic podobnego, aby człowiek, przeciwko któremu wystąpił on publicznie, ośmielił się podnieść jeszcze do góry głowę. Każdy z podobnych ludzi znikał conajrychlej z widowni, jak tylko poczuł zwrócone przeciwko sobie jego spojrzenie: taki Danton nawet uciekł do siebie na wieś, Żyrondziści szukali schronienia na prowincji, inni pozamykali się szczelnie poza murami swoich domów i przestali istnieć dla świata. A ten, ten zuchwalec, którego wyciągniętym wskazująco palcem napiętnował Robespierre na publicznem Zgromadzeniu Narodowem, jako niegodnego moralnego brudasa, ośmiela się szukać ucieczki w sanktuarjum, w najświętszej skarbnicy Rewolucji, w Klubie Jakobinów, gdzie wyłudza podstępnie najwyższą godność, jaką można zaszczycić patrjotę?

Niewolno bowiem zapominać, przeciwnie należy usilnie podkreślać, jaką olbrzymią potęgę moralną skupił w swoich rękach ten Klub w ostatnich właśnie latach Rewolucji. Patrjota przeszedł wówczas dopiero przez ogień próbny i zyskał pełną wagę czystego złota, jeśli zaszczycił go Klub Jakobinów przyjęciem w poczet swoich członków. Kogo, natomiast, Klub ten odrzucił, tembardziej kogo wykluczył, napiętnowany jest przez to samo jako najbliższy kandydat pod nóż gilotyny. Generałowie, przywódcy ludu, politycy — wszyscy z pochylonem czołem stają przed tym stołem sędziowskiem, jako przed najwyższą, kapłańską nieledwie instancją ducha obywatelskiego. Klub ten stanowi do pewnego stopnia pretorjanów Rewolucji, gwardję i straż przyboczną czczonej nadewszystko świątyni.

I ci właśnie pretorjanie, ci najsurowsi, najuczciwsi, najbardziej nieugięci republikanie obrali takiego Józefa Fouché za swojego przywódcę!

Wściekłość Robespierre'a nie zna granic.

W biały dzień wdarł się ten łotr do jego państwa,

w granice jego królestwa, osiągnąwszy to właśnie stanowisko, z którego on sam rzucał gromy oskarżeń na swoich wrogów, stanowisko, na którem hartował i umacniał własną swoją siłę w gronie wypróbowanych. A teraz, ilekroć wypowiedzieć zechce mowę, będzie musiał prosić o pozwolenie Józefa Fouché, on, Maksymiljan Robespierre, będzie zmuszony podporządkować się humorowi czy niehumorowi takiego Józefa Fouché?

Natychmiast napręża też wszystkie siły. Porażka ta musi być okupiona krwią. Precz z nim, natychmiast precz z nim, nietylko z fotela prezydjalnego, ale i z środowiska patrjotów! Bezzwłocznie napędza na Fouché'go sforę obywateli Lyonu, którzy występują ze skargą na niego, a kiedy, zaskoczony, zawsze bezradny w otwartej walce na słowa, broni się nader niezręcznie, wdaje się Robespierre osobiście w tę sprawę, ostrzegając Jakobinów, aby „nie dali si omamić przez oszustów". Nieomal udaje mu się powalić Fouché'go tym pierwszym ciosem. Ale Fouché dzierży wciąż jeszcze w rękach swoich władzę prezydjalną, a tem samem ma możność przedwczesnego zamknięcia rozpraw. Korzystając z niej, mocno niczaszczytnie przerywa też dyskusję i daje znów zbawczego nurka w mrok, aby z ukrycia przygotować nową napaść.

Teraz jednak zrozumiał Robespierre, jak sprawy stoją. Poznał sposoby walczenia, jakiemi posługuje się Fouché; wie, że człowiek ten unika otwartej walki zapaśniczej, że stale cofa się, aby z ukrycia przygotować nowy cios od tyłu. Nie wystarczy więc, mając do czynienia z giętkim takim intrygantem, odrzucić go precz śmignięciem bata i powalić kopnęciem na ziemię, trzeba zagnać go aż do ostatniej jego kryjówki i tam zmiażdżyć i rozgnieść butem. Trzeba wydusić mu z gardzieli ostatni dech, unieszkodliwić go ostatecznie raz na zawsze.

Dlatego napada na niego Robespierre raz jeszcze

gwałtownie. Ponawia publiczne oskarżenie go wobec Jakobinów i żąda, aby Fouché stawił się na najbliższem posiedzeniu celem usprawiedliwienia swoich postępków. Fouché oczywiście ani myśli tego czynić. Zna on swoją siłę, zna jednak również swoją słabość, nie chce dostarczyć Robespierre'owi okazji publicznego nad nim tryumfu, możności poniżenia go wobec trzech tysięcy ludzi, w walce oko w oko. Lepiej cofnąć się w bezpieczną ciszę mroku i zyskać na czasie, na najmniejszym ze wszystkiego czasie!

Odpisuje więc grzecznie Jakobinom, że, niestety, zniewolony jest odmówić ich żądaniu publicznego usprawiedliwienia się; prosi ich tylko, aby wstrzymali się oni z wydaniem sądu o nim, dopóki obie Komisje nie wypowiedzą swojej opinji o jego postępkach.

Na ten list rzuca się Robespierre jak na łup. Teraz przyszła nareszcie chwila przychwycenia Józefa Fouché i ostatecznego zmiażdżenia go. Mowa, którą piorunuje wówczas Józefa Fouché, 23 mesidora (11-go czerwca), jest napaścią najbardziej zażartą, najgroźniejszą i najbardziej przepojoną żółcią, jaką cisnął Robespierre kiedykolwiek gromy na głowę któregokolwiek z swoich przeciwników.

Już z pierwszych jego słów wyczuć można, że Robespierre nietylko godzić nią chce w swojego wroga, ale śmiertelnie go ugodzić, nietylko go poniżyć, ale zmiażdżyć go i dokonać ostatecznie. Rozpoczyna ją z udanym spokojem. Pierwsze wyjaśnienie brzmi jeszcze obojętnie, jakoby „to indywiduum", Fouché, wcale go nie interesowało.

„Pozostawałem z nim może dawniej w pewnych stosunkach, bowiem uważałem go za patrjotę, a jeśli z tego miejsca publicznie go oskarżam, dzieje się to nietyle z racji popełnionych przez niego przestępstw, ile dlatego, że ukrywa się on, aby popełnić inne jeszcze, a także dlatego, że uważam go za przywódcę sprzysiężenia, które musimy unicestwić. Wsłuchałem się do-

kładnie w słowa listu, który przed chwilą został odczytany i oświadczam, że napisał go człowiek, który chce uniknąć konieczności usprawiedliwienia się przed swoimi współobywatelami. Zapoczątkowuje on w ten sposób system tyranji, bowiem, odmawiając żądaniu usprawiedliwienia się przed Zgromadzeniem Ludowem, którego jest członkiem, godzi w autorytet tego Zgromadzenia. Zdumiewające jest, że ten sam człowiek, który dawniej ubiegał się o względy i uznanie ogółu, lekceważy go teraz z chwilą, kiedy zostaje oskarżony i że w pewnej mierze zdaje się odwoływać o pomoc do Konwentu przeciwko Jakobinom".

Zaraz po wygłoszeniu tej wstępnej części swojej mowy daje Robespierre wolny upust osobistej swojej nienawiści, nie wahając się wykorzystać nawet fizyczną szpetotę Fouché'ego, która służy mu za pożądany pretekst do poniżenia go.

„Czy boi się on może — szydzi Robespierre — oczu i uszu ludu, boi się, że nędzny jego wygląd zbyt jawnie odsłoni jego zbrodnię? Że sześć tysięcy skierowanych na niego spojrzeń odkryje jego duszę w jego oczach, mimo że natura tak podstępnie umiała je ukształtować, iż możliwie je ukryła? Boi się, że mowa jego zbyt wyraźnie ujawni zmieszanie, niejasność i plątanie się winowajcy? Każdy rozsądny człowiek uznać musi, że strach jest jedynym powodem jego zachowania się, a każdy, kto boi się spojrzeć oko w oko swoim współobywatelom, jest winien zbrodni. Niech się usprawiedliwi i powie kto z nas, on czy my, godnie stał na straży praw przedstawicielstwa ludu i kto z nas śmielej zdruzgotał wszystkie stronnictwa"?

Nazywa go w dalszym ciągu swojej mowy „nędznym, godnym pogardy oszustem", którego postępowanie jest wystarczającem przyznaniem się do popełnienia zarzuconych mu przestępstw; rzuca podstępne napomknienia o „ludziach, mających ręce pełne łupu i zbrodni" i wreszcie kończy groźnemi słowami: „Fouché sam aż

nadto dobrze się scharakteryzował, ja zaś poczyniłem powyższe uwagi, aby podżegacze do buntów raz nazawsze wiedzieli, że nie ujdą czujności ludu".

Jakkolwiek słowa te wieszczą wyraźnie wyrok śmierci, idzie Zgromadzenie posłusznie za wolą Robespierre'a. Bez wahania i namysłu wyklucza byłego swojego przewodniczącego, jako niegodnego tego zaszczytu, z Klubu Jakobinów.

Z tą chwilą jest już Fouché napiętnowany tak samo niechybnie, jako ofiara gilotyny, jak drzewo poznaczone do ścięcia. Wykluczenie z Klubu Jakobinów równa się piętnu hańby, oskarżenie, ciśnięte ustami Robespierre'a — nieomal pewnemu straceniu. Fouché ma teraz na sobie w biały dzień śmiertelną koszulę. Każdy oczekuje już od tej chwili z godziny na godzinę niewątpliwego jego zaaresztowania, a najbardziej on sam. Oddawna już nie sypia u siebie w domu, na własnem łóżku, w obawie, aby, jak Danton i Desmoulins, nie być wywleczonym wśród nocy z domu przez żandarmów. Zaszywa się w kryjówki, jakich mu użycza kilku prawdziwie odważnych jego przyjaciół, nielada bowiem odwagi potrzeba do ukrywania takiego publicznie napiętnowanego, nawet do mówienia z nim w obecności ludzi. Każdy krok jego śledzi pozostająca pod rozkazami Robespierre'a policja Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, donosząca z kim on przebywa, kogo odwiedza. Niewidzialnie jest okrążony i śledzony, każdy jego ruch kontrolowany, a on sam wydany pod nóż.

Faktycznie z wszystkich siedmiuset deputowanych jest Fouché najbardziej zagrożony, nie istnieje też dla niego w pojęciu wszystkich żadna możliwość uratowania się. Raz jeszcze probował zaczepić się o kogoś: o Jakobinów, ale zawzięta pięść Robespierre'a oderwała go stąd, teraz więc już głowa jego wypożyczona jest chwilowo tylko jego ciału. Czego bowiem może spodziewać się od Konwentu, od tej tchórzliwej, zapędzonej trzody baranów, cierpliwie wybekujących swoje „tak"

z chwilą, gdy Komisja żąda wydania kogoś zpośród nich pod gilotynę? Bez oporu wydali wszystkich dawniejszych swoich przywódców w ręce trybunału rewolucyjnego: Danton'a, Desmoulins'a, Vergniaud'a, byle tylko stawianiem opozycji nie skierować uwagi na samych siebie — dlaczego więc nie mieliby wydać Fouchégo? Niemi, zatrwożeni, zgnębieni, siedzą na swoich ławkach ci dawniej tak odważni i pełni gorącego zapału. Potworny, szarpiący nerwy, miażdżący duszę jad strachu sparaliżował ich wolę.

Po wsze czasy było wszelako tajemnicą trucizny, że kryje ona w sobie zbawczy lek, o ile potrafi się go sztucznie wydestylować, wycisnąć z niego ukrytą w nim siłę. Dlatego też i tutaj — drogą osobliwszego paradoksu — może strach przed Robespierre'm stać się ratunkiem przed nim. Nie wybacza się temu, który miażdży dusze, zawieszając nad niemi grozę niepewności i paraliżując ich wolę. Ludzkość, czy też część jej lub poszczególna grupa, niezdolna jest znosić przez dłuższy czas dyktatury jednostki, nie przejmując się nienawiścią dla niej. A ta nienawiść uciemiężonych fermentuje podziemnie we wszystkich kołach.

Pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu deputowanych, którzy, podobnie jak Fouché, nie odważają się sypiać na własnem łóżku, zaciskają zęby, przechodząc mimo Robespierre'a; wielu zaciska pięści poza jego plecami, pozornie oklaskując na Zgromadzeniu jego mowy. Im dłuższe i surowsze jest panowanie nieprzedajnego, tem silniej wzrasta niezadowolenie z jego przemożnie panującej nad wszystkiem woli. Stopniowo kierował on ostrze swojego gniewu przeciwko wszystkim i wszystkich niem ugodził: zarówno prawe skrzydło — wysłaniem Żyrondystów na szafot, jak lewe — ciśnięciem do kosza gilotyny głów skrajnych republikanów; Komitet Bezpieczeństwa — narzuceniem mu przemocą swojej woli; poszukiwaczy pieniężnych zysków — zagrażaniem ich interesom; karjerowiczów — zagrodzeniem im dróg;

zazdrosnych — samym faktem swojego panowania, a ustępliwych — jawną niechęcią łączenia się z nimi.

Gdyby mogło się udać zestrzelenie tej stugłowej nienawiści, tego ogromu, rozproszonego we wszystkich środowiskach, tchórzostwa w jedną potężną wolę zbiorową, w jedno ostrze, którego cios trafiłby Robespierre'a w same serce, w takim razie uratowani byliby oni wszyscy: Fouché, Barras, Tallien, Carnot, wszyscy ukryci jego wrogowie. Ażeby jednak móc to uskutecznić, należałoby wrazić głęboko we wszystkie słabe te dusze cierń przeświadczenia, jakoby Robespierre zagrażał bezpośrednio im wszystkim, należałoby sztucznie rozszerzyć jeszcze krąg strachu i nienawiści, spotęgować do wyższego jeszcze stopnia napięcie, w jakim żyje wciąż każdy z osobna. Należałoby ponurą atmosferę, ów ucisk niepewności, promieniujący z mów Robespierre'a i ciążący ołowiem nad nerwami poszczególnych jednostek, uczynić jeszcze bardziej przytłaczającym wszystkich, strach — jeszcze straszliwszym, lęk jeszcze bardziej dojmującym. Wówczas dopiero zdobyłaby się może gromada na dostateczną odwagę wystąpienia przeciwko temu jednemu.

W tym punkcie właśnie rozpoczyna się właściwa działalność Fouché'go. Od wczesnego ranka do późnego wieczora przekrada on się od jednego deputowanego do drugiego, mamrocze coś o tajemniczych nowych listach konskrypcyjnych, przygotowywanych jakoby przez Robespierre'a. Każdemu poszczególnie podszeptuje przytem groźnie: „I ty także figurujesz na tej liście", albo „Teraz kolej na ciebie". Tą drogą udaje mu się istotnie szerzyć podziemnie krąg panicznego strachu, zwłaszcza że wobec takiego Katona, wobec takiego bezapelacyjnie nieprzekupnego człowieka nie ma żaden z deputowanych nieskazitelnie czystego sumienia. Jeden postępował nieco lekkomyślnie w sprawach pieniężnych, innemu zdarzyło się przeciwstawić Robespierre'owi w jakimś wypadku, trzeci

zbyt wiele miał do czynienia z kobietami (wszystko to są zbrodnie w pojęciu tego republikańskiego purytanina) czwarty pozostawał w stosunkach zażyłej przyjaźni z Danton'em, albo z jednym z stupięćdziesięciu straconych , piąty ukrywał u siebie jednego za skazanych, szósty otrzymał list od jednego z emigrantów.

Słowem wszyscy drżą, każdy uważa za możliwe wystąpienie przeciwko sobie, nikt nie czuje się dostatecznie czystym, aby w zupełności sprostać nadmiernie surowym wymaganiem, jakie Robespierre stawia cnocie obywatelskiej. I wciąż, niby czółenko na warsztacie tkackim, uwija się Fouché, przeskakując od jednego do drugiego, nawiązując coraz nowe nici, zadzierzgując coraz nowe oczka, omotując coraz więcej ludzi. pajęczą siecią nieufności i podejrzliwości.

Niebezpieczna to wszelako gra, jaką uprawia on, tka bowiem sieć pajęczą jedynie i jedno tylko nagłe, niespodziewane szarpnięcie się Robespierre'a, jedno niebaczne słówko zdrady, a delikatna tkanina porwana zostanie na strzępy.

Ta tajemnicza, rozpaczliwa, niebezpieczna i prowadzona z ukrytej zasadzki działalność Fouché'go w organizowaniu spisku przeciwko Robespierre'owi nie jest w większości opisów podkreślana dość mocno, w niektórych nawet, bardziej powierzchownych, nie wspomina się o niej wcale. Historja pisana bywa prawie zawsze na podstawie rzucających się w oczy faktów. Dlatego też kreślą zazwyczaj opisy tych podniecających ostatnich dni jedynie dramatycznie patetyczny gest Tallien'a, wymachującego z trybuny sztyletem, którym chce się przebić, nagły wybuch energji Barras'a, zwołującego wojska, mowę oskarżającą, wygłoszoną przez Bourdon'a — słowem, rysując obraz aktorów wielkiego dramatu, jaki rozegrał się 9 termidora, zapoznają najzupełniej rolę Fouché'go. W istocie też nie występuje on w owych dniach na arenie Konwentu. Rola jego polega wyłącznie na działaniu z zasadzki, na trudniej-

szem znacznie reżyserowaniu gry cudzej, na kierowaniu poruszeniami innych w tej zuchwale niebezpiecznej grze. Ułożył on porządek scen, wdrożył aktorów do ich ról odbył pociemku, niewidzialnie, próby i wyznaczył hasła. Pociemku, bowiem mrok jest właściwą, przyrodzoną mu sferą.

O ile wszelako późniejsi historycy przeoczyli odegraną przez niego rolę — przeczuł ją, proroczo niejako, wówczas już jeden jedyny człowiek, Robespierre, który nazwał Fouché'go publicznie właściwem mianem: *„Chef de la conspiration"* — przywódcą spisku.

— — — — — — — — — — — — — — —

Czuje bowiem ten podejrzliwy, nieufny duch, że knuje się coś w tajemnicy przeciw niemu. Dopatruje się tego w nagle wybuchającej opozycji w Komisjach, a może jeszcze wyraźniej w przesadnej uniżoności i służalczości poszczególnych deputowanych, o których wie, że są jego wrogami. Wyczuwa, że planowany jest przeciw niemu jakiś zamach z ukrycia; zna też rękę, która nim kieruje, zna tego, którego nazwał *„Chef de la conspiration"*, ma się więc na baczności.

Ostrożnie wysuwa swoje macki: własna jego policja, zastęp prywatnych szpiegów na usługach Robespierre'a, powiadamia go, krok za krokiem, o każdem poruszeniu o każdem spotkaniu, o przebiegu każdej rozmowy Tallien'a, Fouchégo i innych spiskowców; anonimowe listy ostrzegają go, a raczej podżegają do szybkiego pochwycenia w swoje ręce władzy dyktatorskiej i powalenia wrogów, zanim zdążą oni skupić swoje siły.

Mając na celu wprowadzenie ich w błąd i zaskoczenie, przybiera rozmyślnie maskę zobojętnienia w sprawie władzy politycznej. Przestaje ukazywać się w Konwencie i w Komisjach. Widuje się go samego, w towarzystwie jego psa, newfundlandczyka, z książką w ręku, milczącego, spacerującego po ulicach czy w pobliskich lasach, pozornie zagłębionego wyłącznie w czy-

tanie ulubionych filozofów i zobojętniałego na sprawy władzy. Kiedy jednak wieczorem powraca do swojego pokoju, opracowuje godzinami w jego zaciszu wielkie swoje przemówienie. Poprawia i przerabia je bez końca, rękopis pstrzy się coraz liczniejszemi korektami i uzupełnieniami, bowiem ta wielka, decydująca mowa, którą Robespierre chce zetrzeć na proch za jednym zamachem wszystkich swoich wrogów, ma być nieprzewidzianie miażdżąca i ostra jak cięcie topora, pełna zwrotów retorycznych, olśniewająca bogactwem ducha i druzgocąca nienawiścią. Tą bronią chce niespodzianie uderzyć zaskoczonych nią, zanim zdążą oni skupić się i porozumieć. Toczy więc i szlifuje bez końca jej ostrze, przepaja je śmiertelnym jadem i przy tej ponurej robocie upływają długie dni nieoszacowanie cennego czasu.

Nie ma on wszakże czasu tego do stracenia, coraz natarczywiej bowiem napływają doniesienia szpiegów o tajnych konwentyklach. 5-go termidora wpada w ręce Robespierre'a list Fouché'go, skierowany do siostry „szefa spisku“ i brzmiący tajemniczo: „Nie mam potrzeby obawiać się oskarżeń Maksymiljana Robespierre'a... wkrótce dowiesz się o wyniku tej sprawy, która, mam nadzieję, wypadnie na korzyść Republiki.“ Wkrótce zatem. Robespierre jest ostrzeżony. Wzywa on do siebie przyjaciela swojego, Saint-Just'a, z którym zamyka się w ciasnej swojej mansardce przy Rue Saint Honoré. Wyznaczony tam zostaje dzień i ustalona metoda napaści. 8-go termidora ma Robespierre zaskoczyć i sparaliżować Konwent swoją mową. A nazajutrz, 9-go, zażąda Saint-Just głów wrogów, głów deputowanych, zachowujących się opornie w Komisji, i nadewszystko głowy Józefa Fouché.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Napięcie jest tak wielkie, że nieledwie nie do zniesienia. Spiskowi również czują burzę w powietrzu. Wciąż jednak jeszcze zwlekają z zaczepieniem najpotężniejszego człowieka we Francji, pana i władcy

wszystkiego, skupiającego w swoim ręku wszystkie nici władzy, stojącego na czele zarządu miast i armji, Jakobinów i ludu, jaśniejącego glorją i potęgą nieskalanego nazwiska. Wciąż jeszcze zdają się nie być pewni swego, wciąż jeszcze nie są dość liczni, niezdecydowani jeszcze, niedość śmiali, aby w otwartej walce napaść na tego olbrzyma Rewolucji, i już wahają się niektórzy, probują przezornie zawrócić z niebezpiecznej drogi i mówią o wycofaniu się i pojednaniu. Sprzysiężeniu, skitowanemu z takim trudem, grozi rozpadnięcie się.

W tym krytycznym momencie rzuca los, genjalniejszy od najgenjalniejszego organizatora, decydujący ciężar na wahającą się szalę. Fouché jest właśnie powołany do podłożenia lontu pod minę. Bowiem w tych dniach ten człowiek przez wszystkie psy gończe rozpaczliwie tropiony, z godziny na godzinę oczekujący wyroku śmierci, doświadcza, na przydatek do politycznej swojej klęski, ostatecznej, najstraszliwszej katastrofy w swojem życiu prywatnem. Ten surowy, zimny intrygant, zamknięty w sobie w życiu politycznem i publicznem, jest — rzecz szczególna! — u siebie w domu najczulszym małżonkiem, najtkliwszym ojcem rodziny. Gorąco kocha swoją przerażająco brzydką żonę, a nadewszystko maleńką córeczkę, którą urodziła mu ona w dniach prokonsulatu i którą własnemi rękami ochrzcił na placu publicznym w Nevers imieniem „Nièvre“. Ta mała, wątła, blada, wypieszczona przez niego dziecina zachorowuje ciężko w owych pierwszych dniach termidora i troskę jego o własne życie potęguje i pomnaża w sposób okrutny niepokój o życie córeczki.

Straszliwy dopust losu: Fouché wie, że wątła, o słabych zawsze płucach, nad wszystko wielbiona przez niego dziecina walczy ze śmiercią w domu jego żony i nie śmie, tropiony przez gończe psy Robespierre'a, przesiadywać nocą przy łóżku śmiertelnie chorej naj-

droższej istoty, zmuszony ukrywać się po cudzych mieszkaniach i strychach. Zamiast starać się przynosić małej ulgę w jej cierpieniu musi na rozpalonych podeszwach biegać od jednego deputowanego do drugiego, kłamać, intrygować, błagać, zaklinać, bronić rozpaczliwie własnej głowy. Nieprzytomny z rozpaczy, z sercem rozdartem bólem ojcowskim, błąka się nieszczęsny niezmordowanie podczas najupalniejszych dni lipcowych (najgorętszych, jakie przypadły we Francji od szeregu lat) tam i zpowrotem po zakulisowych zakamarkach politycznych, nie mogąc być obecnym przy łóżu cierpień i konania jedynego, ubóstwianego swojego dziecka.

5-go i 6-go termidora następuje koniec jego tragedji. Fouché odprowadza do grobu małą trumienkę: dziecko umarło. Przejścia takie hartują. W obliczu śmierci dziecka przestaje trwożyć go groźba własnej jego śmierci. Nowe bohaterstwo, bohaterstwo rozpaczy, pręży jego wolę. I kiedy teraz spiskowcy wciąż jeszcze ociągają się i zwlekają, pragnąc odłożyć na później moment decydującej walki, występuje on, Józef Fouché, który nic już nie ma do stracenia i rzuca na szalę rozstrzygające słowo: „Jutro musi być zadany cios!“

Słowa te wypowiedziane zostały 7 termidora.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Brzask poranka 8 termidora. Historyczny, wiekopomny dzień. Już z samego rana ciąży nad nieprzeczuwającem nic miastem jasny błękit rozprażonego lipcowego nieba. W Konwencie jedynie panuje szczególne podniecenie: po kątach skupiają się grupki deputowanych, szepcących coś gorączkowo; nigdy nie widziano tylu obcych i ciekawych w krużgankach i na trybunach. Tajemniczość i napięcie czai się w całym gmachu, bowiem w niewytłómaczony sposób rozniosła się wieść, że Robespierre zamierza rozprawić się dzisiaj z swoimi wrogami. Może podsłuchał i podpatrzył ktoś Saint-Just'a, powracającego wieczorem z zamknię-

tego pokoju na poddaszu? A w Konwencie znane są zbyt dobrze wyniki tajemnych tych narad. A może, przeciwnie, doszły Robespierre'a słuchy o planach wojennych jego przeciwników?

Wszyscy sprzysiężeni, wszyscy, świadomi zawisłej nad nimi grozy, lustrują wzajem z niepokojem twarze kolegów: czy który z nich, i który mianowicie, wypaplał niebezpieczną tajemnicę? Czy Robespierre zdoła ich ubiec, czy też uda im się unieszkodliwić go, zanim zabierze głos? I wreszcie czy zdradzi ich i wyda ich na łup niepewna, tchórzliwa większość — „*le marais*", czy też stanie ona w ich obronie?

Wszyscy skamienieli w naprężonem oczekiwaniu. I tak samo jak parność rozprażonego, szarego już teraz jak ołów nieba zawisła ciężarem nad ulicami miasta, groźnie zaciążył niepokój duszy nad Zgromadzeniem.

I w istocie — zaledwie otwarte zostało sesja, zapisuje się Robespierre do głosu. Uroczyście przystrojony, jak na święto owej najwyższej istoty, w historycznem już odtąd jasnobłękitnem odzieniu, w białych jedwabnych pończochach, wolnym, rozmyślnie również uroczystym krokiem wstępuje on na stopnie trybuny. Nie trzyma jednak, jak wówczas, pochodni w ręku, ale dłońmi, jak liktorzy rękojeść topora, otacza gruby zwój papieru: rękopis jego mowy. Świadomość, że na kartach tego zwoju znajdzie własne swoje imię, równa się dla każdego poszczególnego wyrokowi śmierci, ustaje też nagle, jak podcięta nożem, gadanina i szeptanie na ławach. Z ogrodu nadciągają spiesznie deputowani i zajmują swoje miejsca. Każdy z niepokojem śledzi wyraz tej nazbyt dobrze znanej, ściągłej twarzy. Zamknięty wszelako z lodowatym spokojem w samym sobie, nieprzeniknionym dla ciekawie badających go oczu, zwolna rozwija Robespierre, stanąwszy na trybunie, rękopis swojej mowy. Zanim odczytywać ją zaczyna krótkowzrocznemi swojemi oczami, podnosi, celem spotęgowania napięcia, powieki i ogarnia zimnem, groźnem, hyp-

notyzującem spojrzeniem całą salę, z prawa na lewo, z głębi ku górze. Siedzi tu niewielka garstka jego przyjaciół, oraz liczna, niepewna i tchórzliwa grupa spiskowców, czyhających na jego zgubę. Śmiało i nieustraszenie patrzy Robespierre każdemu z nich prosto w twarz. Jednego jedynego z jego wrogów brak w tej rozstrzygającej godzinie: Józefa Fouché.

Ale rzecz szczególna: to jedno tylko imię, imię nieobecnego, imię i nazwisko Józefa Fouché wymienione zostaje podczas debaty. I właśnie o jego imię rozpala się żagiew ostatniej, decydującej o wszystkiem walki.

— — — — — — — — — — — — — — —

Robespierre mówi długo, rozwlekle, nużąco; starym swoim zwyczajem wymachuje wciąż ostrzem topora nad głowami niewymienionych; mówi o spiskach i sprzysiężeniach; o niegodnych i przestępcach; o zdrajcach i knowaniach, nie pada jednak z ust jego niczyje nazwisko. Wystarcza mu hypnotyzowanie Zgromadzenia: cios śmiertelny zada jutro niezliczonym ofiarom Saint-Just. Przez trzy godziny ciągnie Robespierre swoją mętną, często brzemienną w puste frazesy mowę, mierząc nią w pustkę, a kiedy wreszcie kończy, jest Zgromadzenie bardziej wyczerpane nerwowo, aniżeli przestraszone.

Zrazu nie składa się do oklasku ani jedna dłoń. Uczucie niepewności zaciążyło ołowiem nad wszystkimi. Nikt nie umiałby powiedzieć, czy to milczenie wieści porażkę czy zwycięztwo: rozstrzygnie o tem debata dopiero.

Wreszcie występuje jeden z satelitów Robespierre'a z żądaniem, aby Konwent uchwalił ogłoszenie mowy drukiem, u tem samem zaaprobował ją. Nikt nie oponuje przeciwko temu wnioskowi. Tchórzliwie, niewolnicze i poniekąd z uczuciem wyzwolenia, że nie zażądano od niej na dzisiaj niczego więcej, żadnych nowych głów, nowych aresztów, nowych samoograniczeń,

gotowa jest większość głosować za uchwaleniem wniosku.

Ale oto, w ostatnim momencie, występuje jeden ze spiskowych — imię jego należy odtąd do historji: Bourdon de l'Oise — przeciwko wydrukowaniu mowy. I ten jeden głos wyzwala wszystkie inne. Tchórzostwo skupia się stopniowo i cementuje wzajem, stwarzając łącznie odwagę rozpaczy. Jeden deputowany po drugim rzuca na Robespierre'a oskarżenie, że formułował on niedość wyraźnie swoje twierdzenia i groźby. Żądają, aby nareszcie wypowiedział się jasno, kogo właściwie oskarża. W ciągu kwadransa zmieniła się scena: Robespierre oskarżyciel zmuszony jest do bronienia się, osłabia też swoją mowę zamiast ją wzmocnić, oświadcza, że nie oskarżył nikogo i nikomu nie przypisał winy.

W tym momencie rozlega się wrzaskliwy głos, głos jakiegoś drobnego, bez znaczenia deputowanego, który woła w odpowiedzi:

— A Fouché'go?

Nazwisko zostało wypowiedziane, nazwisko tego, którego Robespierre raz już napiętnował mianem przywódcy spisku, zdrajcy Rewolucji. Teraz mógłby, teraz powinienby zadać cios. Ale dziwne, niezrozumiale dziwne, Robespierre wyślizguje się: „Nie chcę zajmować się nim teraz, słucham jedynie głosu mojego obowiązku".

— — — — — — — — — — — — —

Ta wymijająca odpowiedź Robespierre'a należy do tajemnic, które zabrał on z sobą do grobu. Dlaczego, czując, że rozgrywa się walka na śmierć i życie, oszczędza on najzacieklejszego swojego wroga? Dlaczego nie powala go jednem słowem, dlaczego ostrza swojej napaści nie kieruje na nieobecnego, na jedynego nieobecnego z nich wszystkich? Dlaczego nie wyzwala tem wyraźnem oskarżeniem wszystkich innych, nad których głowami zawisła taka groza zaniepokojenia i którzy bezwątpienia nie zawahaliby się przed wydaniem na łup Fouché'go, byle samym się uratować?

Tego samego wieczora — tak twierdzi Saint-Just — próbował Fouché jeszcze raz zbliżyć się do Robespierre'a. Czy to podstęp, czy też szczery odruch? Rozmaici świadkowie utrzymują, jakoby widzieli go w ciągu tych dni siedzącego na ławce obok Charlotty Robespierre, jego ex-narzeczonej: czyżby raz jeszcze próbował namówić starzejącą się dziewczynę, aby chciała być orędowniczką jego wobec jej brata? Czyżby w rzeczy samej zamierzał, doprowadzony do ostatecznej rozpaczy, dla uratowania własnej głowy, popełnić zdradę względem spiskowców? A może, chcąc unieszkodliwić Robespierre'a i kryć sprzysiężenie, uplanował udać wobec niego poddanie się i skruchę? Czy ten największy siewca niesnasek i intryg i tym razem, jak tysiące razy przedtem i potem, grał w podwójne karty? I czyżby nieprzedajny, a w tej chwili w równej jak on mierze zagrożony Robespierre miał oszczędzać najbardziej znienawidzonego wroga jedynie aby samemu utrzymać się na powierzchni? Czy to uchylenie się od wyraźnego oskarżenia Fouché'go miałoby być oznaką tajemnego porozumienia czy też wybiegiem?

Niewiadomo. Postać Robespierre'a przysłania dzisiaj jeszcze, po tylu latach, w dalszym ciągu cień tajemnicy. Historja nie przeniknie nigdy nawskroś tajników nieprzeniknionego. Niegdy nie dowie się nikt, jaka była ostatnia jego myśl przewodnia: czy istotnie celem jego była dyktaturą dla niego samego, czy też Republika dla innych? Czy pragnął uratować Rewolucję, czy też zagarnąć dziedzictwo po niej, jak Napoleon? Nikt nie znał najtajniejszych jego myśli, myśli ostatniej jego nocy z 8-go na 9-y termidora.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jest to bowiem jego ostatnia noc. Zanim zaświtał nowy dzień, kość została rzucona. W księżycowych blaskach dławiąco parnej nocy lipcowej upiornie bieleje widmo gilotyny. Czy jej obnażone ostrze spadnie jutro na trójlistek karków: Tallien'a, Barras'a i Fouché'go,

czy na kark Robespierre'a? Ani jeden z sześciuset deputowanych nie kładzie się spać tej nocy, oba stronnictwa zbroją się do rozstrzygającej walki. Robespierre pospieszył z Konwentu do Jakobinów; przy migotliwem świetle woskowych świec, drżący z wzruszenia odczytuje on im swoją odrzuconą przez deputowanych mowę. Obłędny zachwyt i zapał ich odpowiedzi upaja go raz jeszcze, raz ostatni, pełen wszelako ponurych przeczuć, nie daje się on złudzić tem, że trzy tysiące oklaskujących go skupia się dokoła niego z okrzykami zapału; odczytaną przed chwilą mowę nazywa swoim testamentem.

Równocześnie kiedy jego kanclerz pieczęci, Saint-Just, toczy w Komisji, rozpaczliwą walkę aż do brzasku dnia z Collot'em, Carnot'em i innymi spiskowcami, zadzierzguje się w kuluarach Konwentu sieć, która zaciśnie się jutro dokoła szyi Robespierre'a. Dwukrotnie, trzykrotnie, jak czółenko na warsztacie tkackim, biegną nici z prawa na lewo, od stronnictwa Góry do dawnej reakcji, aż wreszcie o brzasku dnia utkany z nich jest trwały, nierozerwalny pakt.

W tym momencie wyłania się znów na widownię postać Fouché'go, bowiem noc jest jego żywiołem, intryga właściwą mu sferą działalności. Jego szara, za strachu bardziej jeszcze spopielała twarz jawi się upiornie w przyćmionych salach. Naszeptuje, przychlebnie podlizuje się wszystkim, zastrasza, przeraża, wpędza w szał lęku jednego po drugim, nie zaznaje ani chwili spokoju, dopóki pakt nie zostaje zawarty.

O drugiej na ranem są wreszcie wszyscy przeciwnicy jednomyślni, wszyscy postanawiają zgodnie zrobić koniec z wspólnym wrogiem — Robespierre'm.

Teraz dopiero może Fouché udać się na spoczynek.

— — — — — — — — — — — — — — —

Również i na posiedzeniu 9-go termidora jest Józef Fouché nieobecny. Może sobie teraz pozwolić odpocząć i być nieobecnym. Dzieło jego zostało dokonane, sieć

trwale i nierozerwalnie utkana. Większość zdecydowała się wreszcie nie dopuścić, aby ten, kto zawiesza nad ich głowami nieprzerwaną grozę, uszedł z życiem. Zaledwie zagaja rzecznik Robespierre'a, Saint-Just, przygotowaną zabójczą swoją mowę przeciwko spiskowcom, przerywa mu ją Tallien, postanowiono bowiem wczoraj nie dopuścić do głosu żadnego z wielkich mówców, ani Saint-Just'a ani Robespierre'a. Obaj muszą być zagłuszeni, zanim zaczną mówić, zanim będą mogli rzucić słowa oskarżenia i dlatego wskakuje teraz, pod zręczną batutą reżyserską przewodniczącego, jeden mówca po drugim na trybunę, a kiedy Robespierre chce się bronić, zagłuszany jest głos jego wrzaskami, rykiem, waleniem w pulpity. Trzymane w karbach tchórzostwo sześciuset niepewnych dusz, nienawiść i zazdrość, dławione w ciągu długich tygodni i miesięcy, znajdują teraz ujście w rzuceniu się gromady na człowieka, przed którym drżał każdy z nich zosobna.

O szóstej wieczorem rozstrzygnięta jest sprawa ostatecznie — Robespierre napiętnowany i wtrącony do więzienia. Nadaremnie jego przyjaciele, prawdziwi rewolucjoniści, podziwiający w nim twardą, zapaloną duszę Republiki, uwalniają go i chronią w gmachu ratuszowym: w nocy wojska Konwentu zdobywają szturmem tę twierdzę Rewolucji. O drugiej nad ranem, w dwadzieścia cztery godziny po przypieczętowaniu przez Fouché'go i jego popleczników paktu, mającego na celu obalenie Maksymiljana Robespierre'a, leży wróg Fouché'go, wczoraj jeszcze najpotężniejszy człowiek na obszarze Francji, ociekając krwią, ze zmiażdżoną dolną szczęką, wpoprzek dwóch stołków w przedsionku Konwentu.

Wielka zwierzyna upolowana, Józef Fouché uratowany.

Nazajutrz rano turkoczą koła wozu, zdążającego na miejsce tracenia.

Okres teroru skończył się, zarazem jednak zdmuchnięty jest płomienny duch Rewolucji, era bohaterska minęła.

Wybija teraz godzina dziedziczących zdobycze, karjerowiczów i łowców zysku, grających w podwójne karty generałów i finansistów, godzina nowej gildji.

Teraz również, przypuśćiby należało, wybija godzina Józefa Fouché.

— — — — — — — — — — — — — — —

Podczas kiedy wóz, wiozący Robespierre'a i jego stronników, toczy się zwolna wzdłuż Rue St. Honoré, dążąc tragiczną drogą Ludwika XVI, Dantona, Desmoulins'a i innych niezliczonych ofiar ku miejscu stracenia, ciśnie się dokoła niego z okrzykami zapału zaciekawiony tłum. Kaźń stała się raz jeszcze świętem narodowem, chorągwie i bandery powiewają z dachów, okrzyki tryumfu i radości rozlegają się z wszystkich okien, fala radosnego upojenia ogarnęła Paryż.

W chwili, kiedy głowa Robespierre'a spadła do kosza, ogłusza powietrze ekstatyczny, jak gdyby wydarty z jednej piersi, okrzyk tryumfu. Sprzysiężeni nie mogą wyjść z podziwu: dlaczego lud z takim zachwytem przyjmuje stracenie człowieka, którego Paryż, którego Francja wczoraj jeszcze czciła jak Boga? Tallien i Barras zdumiewają się bardziej jeszcze, kiedy teraz, w momencie ich zbliżenia się do gmachu Konwentu, wita ich burzliwą tłuszcza okrzykami zapału, jako tych, którzy zgładzili tyrana, którzy odnieśli zwycięstwo nad terorem.

Są zdumieni.

Bowiem, utrupiając tego górującego nad nimi człowieka, mieli jedynie na celu uwolnienie się od niewygodnego cnotliwca, patrzącego im zbyt czujnie na palce. Ażeby jednak tem samem pozwolić gilotynie zardzewieć w bezczynności, położyć raz nazawsze kres terorowi, o tem żaden z nich nie pomyślał ani na chwilę.

Teraz wszelako, widząc, jak obmierzły ludziom ma-

sowe kaźnie i jak łatwo mogą oni sami zyskać miłość ludu, o ile zdobędą się na podporządkowanie pobudek zemsty osobistej względom humanitaryzmu, decydują się szybko na wykorzystanie tego nieporozumienia. Wszystkie akty gwałtu, będą oni utrzymywali od tej chwili, obciążają jedynie sumienie Robespierre'a (z dołu wapiennego nie może nikt przeczyć) oni sami, natomiast, byli zawsze apostołami wyrozumiałości i przebaczania, przeciwnikami nadmiernej surowości i okrucieństw.

Nie stracenie Robespierre'a, ale nieszczere, dyktowane przez tchórzostwo, zawieszenie kaźni przez jego następców nadaje 9-mu termidora dziejowe jego znaczenie w historji ludzkości. Bowiem do tego dnia zagarniała Rewolucja na swoją rzecz wszystkie prawa, spokojnie brała na siebie wszelką odpowiedzialność — od tego dnia, natomiast, przyznaje się ona trwożliwie i do popełniania bezprawi również, a jej obecni przywódcy zaczynają zarzekać się ich. Każdy wszelako kierunek myśli, każdy rodzaj światopoglądu z chwilą kiedy wyzbywa się niezaprzeczonego swojego prawa: własnej swojej nieomylności, już przez to samo załamał się, zachwiał w wewnętrznej swojej mocy.

Kiedy więc smutni zwycięzcy, Tallien i Barras, wyszydzają trupy wielkich swoich poprzedników, Dantona i Robespierre'a, nazywając je ścierwem morderców, i trwożliwie zajmują miejsca na ławach prawicy, pośród ukrytych wrogów Republiki, nietylko popełniają zdradę w stosunku do biegu i ducha Rewolucji, ale i w stosunku do samych siebie.

Wszyscy spodziewają się ujrzeć Fouché'go u ich boku, jego, herszta spisku, najzacieklejszego wroga Robespierre'a. On, jako najbardziej zagrożony, on, wódz *„de la conspiration"* miałby napewno prawo do szczególnie soczystego kęska łupu.

Ale, o dziwo, Fouché nie siada wraz z innymi na ławie prawicy, jeno na dawnem swojem miejscu na „Górze", obok radykałów, i nieprzystępnie odgradza



AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO BIBLIOTEKA

się płaszczem milczenia. Po raz pierwszy (budzi to podziw) nie łączy się z większością.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jaki jest powód tak samowolnego zachowania się Fouché'go? — pytano niejednokrotnie wówczas i potem. Odpowiedź jest jasna. Ponieważ rozumuje mądrzej i trafniej, ponieważ umie dalej sięgać okiem w przyszłość aniżeli inni, ponieważ jego górujący nad wszystkiem rozum polityka i męża stanu sięga głębiej do dna rzeczy, aniżeli zdobyć się na to potrafią słabe głowy Tallien'a i Barras'a, których niebezpieczeństwo jedynie obdarzyło energją, na krótką wszelako metę.

Fouché, dawny profesor fizyki, zna dobrze prawa, kierujące ruchem ciał i sprawiające, że fala nie zawisa nieruchomo w powietrzu. Musi ona, wie on o tem dobrze, odpłynąć naprzód czy wtył. O ile więc rozpoczyna się proces cofania i następuje moment reakcji, tak samo zupełnie nie zatrzyma się ona w swoim rozpędzie, jak nie zatrzymała się poprzednio Rewolucja. Zupełnie tak samo jak tamta, dotrze ona do najdalszego kresu, aż do ostateczności, aż do gwałtu i przemocy. A wówczas dojść będzie musiało do zerwania tego naprędce sklejonego związku i, w razie zwycięztwa reakcji, zginą wszyscy bojownicy, stojący w przednich szeregach Rewolucji.

Bowiem wraz z nowemi ideami ulegają też niebezpiecznemu przeistoczeniu oceny i sprawdziany czynów dnia wczorajszego. Co wczoraj jeszcze uchodziło za obowiązek i cnotę republikańską, chociażby naprzykład skartaczowanie tysiąca sześciuset ludzi i splądrowanie kościołów, będzie w razie potrzeby uważane za zbrodnię; wczorajsi oskarżyciele będą jutrzejszymi oskarżonymi. Fouché, który niejedno ma na sumieniu, nie chce popełnić olbrzymiego błędu innych termidorowców (tak zwą się odtąd kaci Robespierre'a), czepiających się trwożliwie koła reakcji — wie on dobrze, że to nic nie pomoże; z chwilą gdy koło jej się potoczy,

porwie ona wszystko za sobą. Idąc też jedynie za głosem przewidującego rozumu, pozostaje Fouché wiernym lewicy, radykałom, czuje bowiem, że rychła przyjdzie teraz kolej na najśmielszych właśnie.

Okazuje się, że Fouché przewiduje trafnie. Chcąc zyskać miłość i poklask tłumu okazaniem nieprakty-kowanego dotychczas humanitaryzmu, poświęcają termidorowcy najenergiczniejszych prokonsulów, pozwalają stracić Carrier'a, który utopił w Loirze tysiąc sześciuset ludzi, Józefa Lebon'a, trybuna z Arras, i Fouquier-Tinville'a. Dla przypodobania się prawicy powołują zpowrotem siedemdziesięciutrzech wykluczonych członków Żyrondy i, zbyt późno dopiero, spostrzegają się, że, przez to wzmocnienie sił reakcji, sami uzależniają się od niej. Muszą teraz posłusznie oskarżać własnych swoich pomocników przy zwalczaniu Robespierre'a: Billaud-Varenne'a i Collot'a d'Herbois, kolegę Fouché'go z Lyonu. Reakcja zatacza sieci swoje coraz bliżej osoby Fouché'go. Tym razem udaje mu się jeszcze uratować tchórzliwem wyparciem się wszelkiej współwiny co do Lyonu (jakkolwiek w rzeczywistości podpisywał każdy dekret razem z Collot'em) oraz niemniej kłamliwem twierdzeniem, jakoby prześladowany był przez tyrana Robespierre'a jedynie z racji zbyt wielkiej swojej łagodności. Szczwany lis wprowadza tem Konwent w błąd na pewien czas. Może, niemolestowany przez nikogo, pozostać na miejscu, podczas gdy Collot dostaje się „na suchą gilotynę", to znaczy na słynące z epidemji żółtej febry wyspy w pobliżu Zachodnich Indyj, gdzie ginie już po upływie kilku miesięcy.

Fouché za mądry jest wszelako, aby czuć się już bezpiecznym po tem pierwszem wykręceniu się; zna on dobrze nieubłagalność politycznych namiętności, wie, że reakcja, tak samo jak rewolucja, dopóki nie wyrwie się jej zębów, nie będzie miała nigdy dość sycenia się mięsem ludzkiem. Nie zaspokoi też swojej żądzy

zemsty, zanim nie wyda w ręce sądu ostatniego jakobina i nie zniszczy Republiki.

Dlatego też nie widzi Fouché innego ratunku dla Rewolucji, z którą nierozerwalnie jest związany popełnionemi krwawemi zbrodniami, poza odrodzeniem jej. A dla siebie samego jedno tylko widzi zbawienie: obalenie rządu. I znów najbardziej zagrożony ze wszystkich, zupełnie tak samo jak przed sześcioma miesiącami, wszczyna, sam jeden przeciwko przeważającej potędze, rozpaczliwą walkę o własne życie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Zawsze, ilekroć w grę wchodzi kwestja zagarnięcia władzy i uratowania własnego życia, ujawnia Fouché zdumiewającą siłę. Widzi, że na zwykłej drodze niepodobieństwem będzie powstrzymać Konwent od prześladowania dawnych terorystów, nie pozostaje zatem inny środek, aniżeli tak często wypróbowany skutecznie w przebiegu Rewolucji: teror. Raz już, przy straceniu Żyrondystów, przy straceniu króla zastraszono tchórzliwych i ostrożnych deputowanych (w ich rzędzie konserwatywnego jeszcze wówczas Józefa Fouché) zmobilizowaniem ulicy przeciwko Parlamentowi, ściągnięciem z przedmieść robotniczych bataljonów z ich potęgą i siłą proletarjacką, z ich nieposkromionym zapałem i zatknięciem na ratuszu czerwonej chorągwi. Dlaczegoby więc nie rzucić raz jeszcze tej starej gwardji Rewolucji, zdobywców i burzycieli Bastylji, bojowców z 10 sierpnia na zastraszony, ociekły gęsią skórką Konwent i pięściami ludu nie rozbić przemocy? Jedynie blady strach przed rewoltą, przed gniewem i zemstą proletarjatu zdolny byłby onieśmielić termidorowców — rozumuje Fouché — i dlatego postanawia podburzyć lud paryski, szerokie masy, i rzucić je na swoich wrogów, na swoich oskarżycieli.

Zbyt jest jednak ostrożny, rzecz prosta, aby iść na przedmieścia i wygłaszać tam płomienne mowy rewolucyjne, albo też, jak Marat, z narażeniem własnego

życia, ciskać między lud podżegające pamflety. Fouché nie lubi stawać w przednim szeregu, chętnie wykręca się od odpowiedzialności. Jego mistrzostwem nie jest wykrzykiwanie porywających, pełnych zapału mów, ale umiejętność cichego podszeptywania, strzelania z za płotu, zasłaniania się cudzemi plecami. I tym razem też znajduje odpowiedniego człowieka, który, występując śmiało i zdecydowanie, osłania go swoim cieniem.

Po Paryżu tuła się w owym czasie, prześladowany, ciemiężony, uczciwy, gorący republikanin, François Baboeuf, który przybrał imię Gracchusa Baboeuf'a.

Serce wezbrane miłością dla ludzi, rozum przeciętny, proletarjusz z głębi przekonania, ongi geometra i drukarz, o dość ciasnej przymitywnej ideologji, żywionej wszelako męską siłą zapału i podniecanej żarem prawdziwie republikańskiego i socjalistycznego światopoglądu. Obywatele republikanie, a nawet Robespierre, ostrożnie odsunęli na bok socjalistyczne, tu i ówdzie bolszewickie, ideały Marata, dotyczące wyrównania majątków; wolą dużo, bardzo dużo, mówić o wolności, dużo też o braterstwie, mało, natomiast, o równości, o ile dotyczy ona pieniędzy i stanu posiadania. Baboeuf kontynuuje nawpół już obumarłą myśl Marat'a, rozżarza ją gorącem swojego oddechu i obnosi ją, niby pochodnię, po ulicach Paryża. Płomień tej pochodni może, nagle rozdmuchany, strzelić wysoko w górę i w ciągu paru godzin objąć cały Paryż, kraj cały, powoli bowiem zaczyna sobie lud zdawać sprawę ze zdrady, jaką, w imię własnej swojej korzyści, popełnili termidorowcy na jego rewolucji, na rewolucji proletarjackiej.

Za plecami Gracchusa Baboeuf'a staje tedy Fouché. Nie pokazuje się z nim publicznie, pod ramię, ale w ukryciu podszeptuje mu, aby podniecił lud do buntu. Namawia go do pisania podżegających broszur i sam robi korektę wydrukowanych szpalt. W wystąpieniu robotników w ponownym wymarszu przedmieść z bęb-

nami i pikami widzi jedyny sposób skłonienia tchórzliwego Konwentu do opamietania się. Republika — zdaniem Fouché'go — może być uratowana jedynie terorem, zastraszeniem i sianiem grozy, niebezpieczne ciążenie na prawo może być wyrównane jedynie energicznem pchnięciem z lewa.

Do dokonania tak zuchwałego, prawdziwie karkołomnego, narażającego na utratę głowy pchnięcia cudownie służy mu ten prostolinijny, szczery, uczciwy, łatwowierny człowiek jako prowodyr: poza jego szerokiemi plecami proletarjusza jakże łatwo się ukryć! Baboeuf, natomiast, zwący się dumnie Gracchusem i trybunem ludu, czuje się wysoce zaszczycony, że słynny deputowany, Fouché, obrał go za powiernika narad. Tak, — myśli Baboeuf o nim — to jeszcze ostatni uczciwy republikanin, jaki pozostał na ławach „Góry", nie przystał do owej *jeunesse dorée* i nie powiększył zastępu dostawców dla armji. Chętnie też słucha jego podszeptów i rad i, pchnięty od tyłu zręczną ręką Fouché'go, rzuca się ochoczo na Tallien'a, termidorowców i rząd.

Tylko jego jednak, prostodusznego i prostolinijnie myślącego, zdolny jest Fouché wprowadzić w błąd. Rząd poznaje odrazu rękę osobnika, zapalającego przeciwko niemu lont i na publicznej sesji rzuca Tallien na Fouché'go oskarżenie, że stoi on za plecami Baboeuf'a. Jak zawsze, wypiera się Fouché w żywe oczy swojego sprzymierzeńca (zupełnie tak samo jak Chaumette'a u Jakobinów, jak Collot'a w Lyonie) — cóż znowu, zna Baboeuf'a przelotnie jedynie, potępia jego przesadę! — słowem dokonywa natychmiast odwrotu na całej linji. I znów skrupia się wszystko na wysuniętym przez niego przywódcy: Baboeuf zostaje niebawem zaaresztowany i rozstrzelany na podwórzu koszarowem — zawsze płaci inny za słowa, za politykę Fouché'go

Śmiały ten atak Fouché'go nie udał się, nie osiągnął

on nim nic poza tem, że znów zwrócił na siebie uwagę, a to bynajmniej nie było pożądane. Przypomniano sobie na nowo Lyon i nasiąkłe krwią pola Brotteaux. Ze zdwojoną energją podżega reakcja oskarżycieli z prowincyj, które pozostawały pod jego zarządem. Zaledwie zdołał z trudem odeprzeć napaści obywateli Lyonu, gdy już znów występują przeciwko niemu: Nevers i Clamecy. Coraz głośniej, coraz burzliwiej oskarżany jest Józef Fouché przed kratkami Konwentu o teroryzm. Broni się on chytrze, energicznie i dość szczęśliwie; nawet Tallien, jego przeciwnik, stara się teraz brać go w obronę, i jego samego bowiem przejmuje lękiem przewaga reakcji, i on sam też zaczyna drżeć o własną głowę.

Ale zapóźno już: 22 termidora 1794, w rok i dwanaście dni po upadku Robespierre'a, wniesione zostaje, po długich debatach, oskarżenie Józefa Fouché z powodu dokonanych przez niego aktów terorystycznych.

23-go termidora zapada wyrok zaaresztowania go. Jak po głowę Robespierre'a wyciąga ręce cień Danton'a, tak po głowę Fouché'go — cień Robespierre'a.

— — — — — — — — — — — — —

Pisze się jednak — i mądry polityk trafnie to obliczył — termidor czwartego roku Republiki, a nie trzeciego. W 1793 równało się oskarżenie nakazowi aresztowania, aresztowanie — wyrokowi śmierci: sprowadzony wieczorem do Conciergerie, stawiony był delikwent zaraz nazajutrz z rana przed sądem, a po południu siedział już na wózku. Ale w 1794 zbrakło stalowej dłoni „Nieprzekupnego", dzierżącego cugle sądownictwa; prawa i przepisy zluźniły się, można się przez nie prześliznąć, o ile jest się dość giętkim na to. A Fouché nie byłby Fouché'm, gdyby, tylokrotnie już wydobywszy się z najzawilszych matni, nie znalazł i tym razem drogi wyślizgnięcia się z rozluźnionych bądź co bądź oczek zarzuconej na niego sieci. Po-

dejściami udaje mu się odwlec moment zaaresztowania, który, nie następując niezwłocznie, daje mu czas do odpowiedzenia na zarzuty, do usprawiedliwienia się: a czas jest w danych warunkach wszystkiem. Wystarczy cofnąć się w cień, a idzie się w zapomnienie; wystarczy przykucnąć i milczeć podczas kiedy wszyscy inni wrzeszczą, a zostaje się przeoczonym!

Stosując świetną receptę Siéyes'a, który przez wszystkie lata teroru przesiedział na ławach Konwentu, nie otwierając ani razu ust, a potem, zapytany co robił przez cały ten czas, z uśmiechem dał genjalną odpowiedź: „*J'ai vecu*", — „Żyłem", udaje również i Fouché, za przykładem niektórych zwierząt, martwego, aby go nie zabijano. Byle tylko teraz, na krótki jeszcze moment przejściowy, uratować życie, a wyjdzie się zwycięsko. Wyostrzonym swoim węchem doświadczonego psa gończego wietrzy Józef Fouché, że cała świetność i siła Konwentu potrwa już parę tygodni, conajwyżej parę miesięcy tylko,

— — — — — — — — — — — — —

Udaje się tedy Fouché'mu uratować życie swoje, a to już wiele w owych czasach. Co prawda, ratuje on zaledwie życie tylko, nie ratuje opinji, ani stanowiska; nie zostaje obrany do nowego Zgromadzenia. Daremne są niesłychane jego wysiłki, stracony ogrom zapału i podstępów, zuchwalstwa i zdrady: jedyne, co udaje mu się uratować, to życie, nic więcej. Nie jest już Józefem Fouché z Nantes, deputowanym, przedstawicielem narodu, nie jest też wykładowcą u Oratorjanów, pozostał już tylko zapomnianym, pogardzanym człowiekiem bez stanowiska, bez znaczenia, nędznym cieniem, bronionym jeno przez mroki, w których się kryje.

W ciągu trzech lat nie wymawia już nikt we Francji imienia jego nawet.

— — — — — — — — — — — — —

Rozdział czwarty

## MINISTER DYREKTORJATU I KONSULATU. 1799—1802.

Czy wyśpiewał już ktoś hymn na cześć wygnania, tej kształtującej losy potęgi, podnoszącej człowieka w jego upadku, pozwalającej mu, w narzuconej przemocą samotności, na nowo i w innym porządku skupić zachwianą siłę ducha?

Duchy twórcze przypisują wygnaniu rolę zapory jedynie w rozwoju, niepotrzebnej pauzy, okrutnej przerwy. Ale rytm natury domaga się takich cezur. Bowiem życie poznał ten tylko, komu dana jest taka okazja zagłębienia się w samym sobie. Pchnięcie wtył, odparcie, daje dopiero człowiekowi pełnię siły jego rozmachu.

Genjuszowi twórczemu nadewszystko potrzebna jest narzucona taka czasowa samotność, aby mógł z głębi rozpaczy, z odległości usunięcia go poza nawias społeczeństwa, objąć widnokrąg i dosięgnąć wyżyn istotnego swojego zadania. Największe, najznamienniejsze posłannictwa świata dojrzały w mroku wygnania. Twórcy wielkich religij — Mojżesz, Chrystus, Mahomet, Buddha, wszyscy oni musieli wsiąknąć przedewszystkiem w grobową ciszę pustyni, odgrodzić się w zupełności od ludzi, zanim mogli wypowiedzeć decydujące słowa. Ślepota Milton'a, głuchota Beethoven'a, zamknięcie Dostojewskiego w domu karnym, wtrącenie Cervantesa do więzienia, zamknięcie Lutra na Wartburgu, wygnanie Dantego i dobrowolne schronienie się Nietzsche'go na samotne lodowe szczyty Engadinu, wszystko to są jeno przejawy nieuświadomionych tajemnych dążeń własnego ich genjuszu, działających wbrew świadomej woli człowieka.

Ale i w bardziej przyziemnym, w politycznym świecie darzy męża stanu czasowe odseparowanie od

świata nową świeżością wglądu w rzeczy, zdolnością głębszego rozpatrzenia i trafniejszego obrachowania szans politycznej gry sił. Nic zatem szczęśliwszego nie może spotkać człowieka na drodze jego politycznej karjery, aniżeli czasowe jej zahamowanie, bowiem ten, kto patrzy na świat stale z góry tylko, z cezarowej swojej glorji, ze szczytu wieży z kości słoniowej i z wyżyn władzy, zna jedynie czołobitny uśmiech podwładnych i ich niebezpieczną gotowość służenia. Kto nie wypuszcza z rąk szalek, zapomina o prawdziwej swojej wadze.

Nic nie osłabia bardziej artysty, wodza, człowieka stojącego u steru władzy, aniżeli nieustanne powodzenie, w myśl własnej woli i pragnień; w niepowodzeniu dopiero poznaje artysta właściwy swój stosunek do dzieła; po porażce dopiero jasnem się zdaje dla wodza, na czem polegał jego błąd; mąż stanu, dopiero wpadłszy w niełaskę, zyskuje właściwe objęcie okiem politycznego widnokręgu. Nieustanne bogactwo rozpieszcza, nieustanne zbieranie hołdów i poklasku otępia; tylko natrafienie na przeszkodę nadaje drętwiejącemu rytmowi nowe napięcie i twórczą giętkość. Jedynie poniesienie klęski rozszerza horyzont myślowy, pozwala przeniknąć trafniej rzeczywistość. Każde wygnanie jest twardą wprawdzie szkołą życia, ale szkołą, w której więcej można się nauczyć: słabemu hartuje ona i spręża na nowo wolę, wahającego się i ociągającego darzy mocą decyzji, twardego czyni jeszcze twardszym. Dla człowieka prawdziwie silnego nie jest wygnanie osłabieniem, ale zawsze wzmożeniem jego siły.

— — — — — — — — — — — — —

Wygnanie Józefa Fouché trwało z górą trzy lata, a samotnej, niegościnnej, nieprzytulnej wyspie, na którą został on zesłany, było na imię: nędza.

Wczoraj jeszcze prokonsul i współtwórca losów Re-

wolucji, runął on z najwyższych szczebli władzy w taką ciemnicę, w takie bagnisko i w taki muł, że rychło zatracają się w nim jego ślady. Jedyny człowiek, który go widział w owym okresie, daje wstrząsający obraz nędznego poddasza, owej nory tuż pod niebem, w której gnieździł się Fouché wraz z brzydką swoją żoną i dwojgiem słabowitych, rudowłosych dzieci, albinosów rzadkiej szpetoty. Na piątem piętrze, w brudnem, dusznem, rozprażonem pomieszczeniu, ukrył się ten, przed którego słowem drżały dziesiątki tysięcy i który za parę lat ponownie, już jako książę Otrantu, stanąć ma u steru losów Europy; w tej chwili wszelako nie wie, skąd wytrzaśnie nazajutrz parę groszy na mleko dla dzieci, na opłacenie marnego komornego, a zarazem w jaki sposób zdoła obronić nędzne życie własne przed niezliczonymi, niewidzialnymi wrogami, przed mścicelami Lyonu.

Nikt, nawet najwierniejszy, najdokładniejszy jego biograf, Madelin, nie potrafi podać dokładnie i wyczerpująco, z jakich źródeł opędzał Fouché nędzne swoje ówczesne istnienie. Nie pobiera on już żadnej pensji jako deputowany, majątek swój rodowy utracił podczas powstania w San Domingo, nikt nie miałby odwagi powierzyć mu publiczne stanowisko, czy otwarcie zatrudnić *„Mitrailleur'a de Lyon"*; opuścili go wszyscy przyjaciele, każdy starannie go unika i omija. Imać się miał podobno w owym czasie najciemniejszych, najdziwniejszych afer — i nie jest bynajmniej bajką, że późniejszy książę Otrantu trudnił się wówczas tuczeniem nierogacizny.

Rychło wszelako brudniejsze ma jeszcze zajęcie — szpiega na żołdzie Barras'a, jedynego z ówczesnych władców, który z wprawiającem w podziw dla niego współczuciem wciąż jeszcze przyjmuje strąconego w niełaskę. Co prawda, nie w audjencjonalnej sali ministerjum, ale gdzieś w ukryciu; tam, od czasu do czasu, rzuca niezmordowanie żebrzącemu drobną jakąś

sprawinkę do załatwienia, niewielkie jakieś dostawy dla armji, czy podróż inspekcyjną, zapewniające lichy zarobek i pozwalające dokuczliwemu natrętowi przeżyć jako tako parę tygodni.

Przy tych wielokrotnych próbach wychodzi wszelako na jaw właściwy talent Fouché'go. Barras knuje wówczas już rozmaite plany polityczne, nie ufa swoim kolegom, bardzo mu się też przydać może dla tajemnych tych celów prywatny szpieg, podziemny donosiciel i pies gończy, niewchodzący w skład policji, rodzaj prywatnego detektywa. Fouché jest jak stworzony do takiej roli. Węszy i podsłuchuje, wślizguje się do domów kuchennemi schodami, gorliwie wyciąga z ust wszystkim znajomym krążące ploteczki i potajemnie znosi Barras'owi wszystkie te brudne wydzieliny kuchni publicznej.

Im bardziej chciwym władzy i zaszczytów staje się Barras, im żądniej zdążają wszystkie jego plany do urządzenia zamachu stanu, tem niezbędniejszym staje mu się Fouché.

Oddawna już stoją mu na zawadzie w Dyrektorjacie (Radzie Pięciu, sprawującej teraz naczelne rządy we Francji) dwaj przyzwoici ludzie, nadewszystko zaś Carnot, najbardziej prawy ze wszystkich działaczy Rewolucji Francuskiej, planuje więc pozbycie się ich. Temu jednak, kto knuje zamachy stanu i spiski, potrzebni są przedewszystkiem pozbawieni skrupułów donosiciele i szpiedzy na obie strony, ludzie *à tout faire, bravi* i *buli*, jak ich nazywają Włosi, ludzie, z jednej strony pozbawieni charakteru, a zarazem dający tym brakiem charakteru rękojmię, że można się na nich spuścić. Nikt inny nie nadaje się lepiej niż Fouché do takiej roli. Wygnanie staje się dla niego przygotowaniem do karjery i w niej rozwija on przyszły swój talent mistrza policji.

— — — — — — — — — — — — —

Nareszcie, nareszcie, po długiej, nieskończenie długiej nocy wśród mroźnej atmosfery, w mroku nędzy, wietrzy Fouché tchnienie świtania. Kraj zyskał nową potęgę, powstaje nowa władza, postanawia więc oddać się na jej usługi. Tą nową potęgą jest pieniądz.

Zaledwie Robespierre i jego stronnicy legli na twardej desce, zmartwychwstała ta nowa potęga, wszechwładny pieniądz, który za jednym zamachem odzyskał tysiące pochlebców i pachołków. Wspaniałe ekwipaże, ciągnione przez konie kunsztownie dobranej maści, w lśniącej nowej uprzęży, pędzą znów po ulicach, a w nich rozpierają się, nawpółobnażone jak boginie greckie, czarujące kobiety, spowite w jedwabie i muśliny. W Lasku Bulońskim dojeżdża wierzchowców *jeunesse dorée* w opiętych białych nankinowych rejtuzach, w żółtych, brązowych i czerwonych frakach. W okrytych pierścieniami palcach trzymają eleganckie, ze złotemi główkami, szpicrózgi, chętnie przez nich wprawiane w ruch przeciwko dawnym terorystom. Perfumerje i sklepy jubilerskie robią świetne interesy; powstało pięć czy sześć setek nowych tancbud i kawiarni; jak grzyby po deszczu wyrastają mury nowych will i pałacyków; znajdują się odrazu chętni nabywcy na domy; teatry są przepełnione; kwitnie spekulacja i zakłady; poza adamaszkowemi firankami Palais Royal'u uprawiana jest gra ze stawkami i wygranemi na tysiące.

Odżyło ponownie zuchwałe, pewne siebie, zdobywcze panowanie pieniądza.

Gdzie podziewał się ten pieniądz we Francji pomiędzy rokiem 1791-ym a 1795-ym?

Istniał zawsze, starannie ukrywany wszelako. Zupełnie tak samo jak w Niemczech i w Austrji za czasów lęku przed komunizmem, w 1919, pochowali się nagle bogacze w mysie nory, udając trupy, albo lamentowali, ubrani w łachmany, nad utratą majątku, każdy bowiem, kto za Robespierre'a pozwalał sobie na naj-

mniejszy zbytek, uważany był, wyrażając się słowami Fouché'go, za *„mauvais riche“*, za podejrzanego. Niebezpiecznie było uchodzić za człowieka bogatego. Teraz, natomiast, ma walor ten tylko, kto jest bogaty. I, na szczęście, jak zawsze podczas chaosu, nadchodzi teraz przedziwna sposobność dochrapania się majątku. Przetasowuje się tylko podział bogactw. Dobra emigrantów sprzedawane są na licytacjach: doskonała okazja zarobku. Skazanym zostają skonfiskowane ich majątki: znów łatwa możność obłowienia się. Asygnaty spadają codzień w cenie, tracą na wartości, dzika gorączka inflacji wstrząsa podwalinami życia w całym kraju: nowa możność zbogacenia się. Na wszystkiem można zarobić, o ile ma się zręczne, śmiałe ręce i stosunki w sferach rządowych.

Nieporównanie wspaniale wszakże tryska jedno źródło nadewszystko: wojna.

Już w 1791, zaraz z początku, dokonały poszczególne jednostki (zupełnie jak dokonały poszczególne jednostki w 1914) genjalnego odkrycia, że z bratobójczej, niweczącej wszystkie wartości wojny można ciągnąć pokaźne zyski. Wówczas jednak nieprzekupni — Robespierre i Saint-Just — ponuro przyskoczyli do grdyk takim *„accapareurs“*. Teraz, kiedy obaj ci Katoni legli — Bogu dzięki! — w dole wapiennym, a gilotyna rdzewieje w lamusie, odrazu zwęszyli dostawcy dla wojska i paskarze, że nadchodzą dla nich złote czasy. Można teraz śmiało dostarczać za wysoką cenę buty na papierowych podeszwach, można suto napychać sobie kieszenie zadatkami i rekwizycjami. Oczywiście, pod warunkiem, że otrzyma się dostawy. Dlatego też potrzebny jest przy podobnego rodzaju interesach sprytny, dobrze ustosunkowany pośrednik, mimo to przystępny ułatwiacz, który od tyłu uchyla przed spekulantami wrota stajni, dopuszczające ich do bogatego żłoba państwowego i wojennego.

Do takich brudnych interesów jest teraz Józef

Fouché idealnie nadającym się człowiekiem. Nędza wypruła z niego doszczętnie wszelki ślad jego republikańskiego sumienia, nienawiść dla pieniądza zawiesił na kołku, łatwo też kupić można nawpółzamorzonego głodem. Z drugiej zaś strony posiada jaknajlepsze „stosunki", widuje go się przecież wchodzącego i wychodzącego (jako szpiega) z przedpokoju Barras'a, przewodniczącego Dyrektorjatu.

Tak więc w ciągu jednej nocy przedzierzguje się radykał-komunista, który chciał koniecznie piec „chleb równości", w zaufanego powiernika świeżoupieczonych republikańskich bankierów, załatwiającego wszystkie ich sprawy, spełniającego wszystkie ich życzenia, za drobną prowizję oczywiście. Tak naprzykład grozi paskarzowi Hinguerlot'owi, jednemu z najzuchwalszych i najbardziej pozbawionych skrupułów (Napoleon zawzięcie go nienawidził), proces z powodu wielce nieprzyjemnego oskarżenia: trochę zbyt zuchwale paskował i przy dostawach zbyt hojnie zaopatrywał własną kieszeń. Proces, jaki mu grozi z tego powodu, może kosztować dużo pieniędzy, a bodaj nawet i głowę. Co tu począć w podobnej sytuacji (wówczas równie dobrze jak i teraz)? Trzeba zwrócić się do człowieka, mającego duże stosunki w „wyższych sferach", korzystającego z politycznych i prywatnych wpływów i mogącego dzięki temu„odpowiednio" pokierować" niemiłą aferą. Zwraca się tedy Hinguerlot do Barras'owego zausznika, Fouché'go, który niezwłocznie smaruje sobie podeszwy i biegnie do wszechmocnego (list jest wydrukowany w jego memuarach). I w samej rzeczy nieczysta sprawa zostaje cicho i bez bólu zdławiona w zarodku. W nagrodę za to dopuszcza go Hinguerlot do udziału przy dostawach do wojska, przy interesach giełdowych, i... *„l'appetit vient en mangeant"*.

Fouché robi w 1797 doniosłe odkrycie, że pieniądz znacznie milej pachnie niż krew z 1793, zakłada więc,

dzięki świeżo nawiązanym przez siebie „stosunkom“ z jednej strony z wielkiemi finansami, a z drugiej z przekupnym rządem, nową spółkę wyjednywania dostaw dla „postrzygaczy“ armji. Żołnierze dzielnego generała dostaną liche buty i, marznąc w podszytych wiatrem płaszczach, będą pobici na równinach italskich, ale spółka: Fouché, Hinguerlet, a niewątpliwie i sam Barras także, grube ciągnie z tego zyski. Rozwiał się bez śladu wstręt do „pogardzanego i wiodącego na drogę zepsucia, metalu“, głoszony tak wymownie niedalej niż przed trzema laty przez ultrajakobina i superkomunistę, Fouché'go; zapomniane wybuchy nienawiści do „podłych bogaczy“; w niepamięć poszło, że „dobremu republikaninowi niepotrzeba nic więcej prócz chleba, żelaza i czterdziestu écus dochodu“. Teraz hasłem naczelnem stało się zbogacenie za wszelką cenę.

W nędzy wygnania poznał Fouché potęgę pieniądza, zaprzągł się więc teraz do służby dla niego, jako dla potęgi. Zbyt długo i zbyt boleśnie odczuwał na sobie ciężar pozostawania w dole, potwornego pozostawania w dole, w bagnie pogardy i braków — teraz natęża wszystkie swoje siły, aby wypłynąć na wierzch, aby znaleźć się w środowisku owego świata, w którym za pieniądze kupuje się władze, a władzę przekuwa się znów na pieniądze.

Pierwszy zrąb do tej najwydatniejszej ze wszystkich sztolni wykopany, zrobiony krok na fantastycznej, bajkowej drodze z poddasza na piątem pięterku do książęcego pałacu, z niczego do majątku, wynoszącego dwadzieścia miljonów franków.

— — — — — — — — — — — — — —

Teraz, kiedy Fouché raz nazawsze zrzucił ze swoich pleców niemiły balast rewolucyjnych zasad, nabrał on rzutkości ruchów: w ciągu jednej nocy potrafił zaczepić się zręcznie o stopień do karjery. Jego przyja-

ciel, Barras, nietylko macza ręce w dwuznacznych aferach pieniężnych, ale także i w niewyraźnych sprawach politycznych. Pokryjomu chce sprzedać Republikę Ludwikowi XVIII za tytuł książęcy i grubą sztabę złota. Stoi mu w tem jedynie na przeszkodzie obecność przyzwoitych, republikańsko usposobionych kolegów, jak Carnot, którzy wciąż jeszcze nie utracili wiary w Republikę i nie chcą sobie wdębić w głowy, że ideały istnieją po to tylko, żeby na nich zarabiać.

Przy dokonanym przez Barras'a zamachu stanu 18 fruktidora, uwalniającym go od niewygodnych tych strażników, niewątpliwie okazał Fouché wydatną pomoc swojemu kompanowi do brudnych interesów, oczywiście, pomoc po swojemu, ryciem podziemnych dróg. Z chwilą kiedy jego protektor staje się teraz nieograniczonym panem odnowionego Dyrektorjatu, Rady Pięciu, przeciska się ten dotychczas unikający trwożliwie dziennego światła gwałtownie naprzód i domaga się należnej mu nagrody. Barras musi zatrudnić go w polityce, w armji, na jakiembądź stanowisku, powierzyć mu jakąkolwiek misję, przy której można sobie grubo obładować kieszenie i nareszcie przyjść do siebie po latach nędzy. Barras, któremu ten człowiek jest potrzebny, nie może odmawiać pachołkowi swojemu do ciemnych sprawek. Bądź co bądź jednak nazwisko Fouché'go, „mitrailleur'a" Lyonu, zbyt wyraźnie jeszcze cuchnie przelaną krwią, aby można było otwarcie kompromitować się z nim w Paryżu podczas majowych miesięcy reakcji.

Dlategoteż posłany zostaje Fouché przez Barras'a, zrazu jako przedstawiciel rządu, do Włoch, do armji, a potem do Batawijskiej Republiki do Holandji, celem przeprowadzenia tam tajnych układów. Barras'owi dobrze jest wiadomo z własnego doświadczenia, że ma w osobie Fouché'go mistrza do podziemnych knowań i intryg: rychło dowie się on o tem jeszcze dobitniej i wyraźniej na własnej skórze.

W 1798 jest więc Fouché posłem Republiki Francuskiej: ma już znów nogę w strzemieniu. Zupełnie tak samo jak ongi za krwawej swojej misji, rozwija on i w powierzonej sobie teraz, dyplomatycznej, tę samą zimną energję; w Holandji zwłaszcza osiąga powodzenie z błyskawiczną szybkością. Postarzały wskutek tragicznych swoich przeżyć, szybko dojrzały w tych burzliwych czasach, zahartowany w twardej kuźni nędzy, zachował Fouché całą swoją energję czynu, zaprawioną obecnie zdwojoną ostrożnością działania.

Rychło przekonywają się stojący u steru, że zyskali w nim człowieka, z którym da się traktować, człowieka, umiejącego kierować się w stronę, skąd w danej chwili wieje wiatr i z workiem złota usłużnie podskakującego w górę, słowem bezwzględnego, prawdziwie zręcznego żeglarza na wzburzonych wodach. Że zaś statek rządowy chyboce się coraz groźniej i przy niepewnym swoim kursie zagraża w każdej chwili zatonięciem, decyduje się Dyrektorjat nagle i nieoczekiwanie w dniu 3 termidora na krok stanowczy: Józef Fouché, przebywający w danym momencie w Holandji w tajnej misji, zostaje mianowany ministrem policji Francuskiej Republiki.

— — — — — — — — — — — — —

Józef Fouché ministrem!

Przerażony Paryż wzdryga się jak na odgłos armatniego wystrzału.

Czyżby miało się znów rozpocząć panowanie teroru, że spuszczony został z łańcucha ten krwawy brytan, ten *„mitrailleur de Lyon“*, gwałciciel hostyj i rabuś świętości kościelnych, przyjaciel anarchisty Baboeuf'a? Czy, Boże broń, nie sprowadzi się teraz zpowrotem z królestwa żółtej febry, z Guyany, Collot'a d'Herbois i Billaud'a, i nie ustawi ponownie gilotyny na Place de la Republique? A może wypiekany będzie także „chleb równości“, wprowadzone Komitety Dobroczynne wydzierające bogaczom ich pieniądze z kieszeni?

Uspokojony oddawna Paryż z jego półtoratysiącem sal tańca, z jego olśniewającemi sklepami, z jego *jeunesse dorée*, zdjęty jest teraz przerażeniem — bogacze i obywatele drżą znów jak w 1792-im. Tylko Jakobini, ostatni republikanie, są zadowoleni. Nareszcie, po okresie straszliwych prześladowań, stanął znów jeden z ich ludzi u steru władzy, i to najśmielszy, najradykalniejszy, najbardziej nieugięty; nareszcie zaszachowana zostanie reakcja. Republika oczyszczona z rojalistów i spiskowców!

Rzecz szczególna jednak: jedni i drudzy zadają sobie po upływie kilku dni jednakie pytanie: — Czyżby temu ministrowi policji być miało naprawdę na imię Józef Fouché?

I znów sprawdziło się mądre powiedzenie Mirabeau (jeszcze dzisiaj aktualne w zastosowaniu do socjalistów), że Jakobini, jako ministrowie, przestają być jakobińskimi ministrami: bowiem, oto, usta, ociekające ongi krwią, przepełnione są teraz oliwą pojednania. Porządek, spokój, bezpieczeństwo — oto słowa, powtarzające się nieustannie w policyjnych proklamacjach byłego terorysty, którego dewizą jest teraz zwalczanie anarchji. Wolności prasy należy nałożyć kaganiec, położyć kres wiecznym mowom podżegawczym. Porządek, porządek, spokój i bezpieczeństwo — żaden Metternich, żaden Seldnitzky, żaden ultrareakcjonista cesarstwa austrjackiego nie redaguje bardziej konserwatywnych dekretów, aniżeli *„le mitrailleur de Lyon“*, Józef Fouché.

Obywatele oddychają z ulgą: W jakiegoż Pawła przedzierzgnął się ten Szaweł! Prawdziwi republikanie, natomiast, wściekają się z oburzenia w swoich salach zgromadzeniowych. Niewiele się nauczyli przez te wszystkie lata, wciąż jeszcze wygłaszają pełne zaciekłości mowy i mowy; podawnemu, cytatami z Plutarcha, wygrażają Dyrektorjatowi, ministrom i konstytucji. Zachowują się tak wrzaskliwie, jak gdyby żyli

jeszcze: Danton i Marat, jak gdyby, tak samo jak wówczas, biciem w dzwony alarmowe ściągnąć mieli setki tysięcy z przedmieść. Ich nudne kawęczenia zaczynają jednak w końcu mierznąć Dyrektorjatowi. Jak położyć im kres? — natarczywie dopytują się koledzy nowoobranego ministra policji.

„Zamknąć Klub“ — lakonicznie odpowiada nieugięty. Z niedowierzaniem patrzą na niego tamci i pytają, kiedy zdobędzie się na ten zuchwały krok.

„Jutro“. odpowiada Fouché z zupełnym spokojem.

I wistocie, następnego wieczora udaje się Fouché, ongi przewodniczący Klubu Jakobinów, do Klubu radykałów na Rue du Bac. W kole tem nie przestawało w ciągu wszystkich tych lat bić serce Rewolucji. Zasiadają w nim zawsze ci sami ludzie, wobec których Robespierre, Danton i Marat, wobec których on sam wygłaszał płomienne mowy: po upadku Robespierre'a, po klęsce Baboeuf'a, żyje jeszcze jedynie w Klubie *de Manège* wspomnienie burzliwych dni Rewolucji.

Ale sentymentalizm nie jest słabą stroną Fouché'go, potrafi on, o ile chce, niepokojąco szybko puścić w niepamięć całą swoją przeszłość. Dawny seminaryjny profesor matematyki mierzy jedynie równoległoboki realnych sił. Wie, że idea republikańska legła już w grobie, jej najlepsi przywódcy dawno już gryzą ziemię i dlatego znaczenie wszystkich tych klubów obniżyło się już tylko do roli miejsc gadania, w których uczestnicy wydzierają sobie wzajem frazesy z ust.

W roku 1799-ym spadły już w kursie, równocześnie ze spadkiem asygnat, patrjotyczne frazesy i cytaty z Plutarcha: mełło się zawiele frazesów i drukowało się zbyt wiele banknotów. Francji uprzykrzyli się już (a komu wiadomo o tem lepiej niż ministrowi policji, trzymającemu nieustannie rękę na pulsie opinji politycznej!) obrońcy, mówcy i reformatorzy. Francja cała ma już po uszy dekretów i praw, pragnie już tylko spokoju, porządku, pokoju i dobrego stanu finansów.

Podobnie jak po kilku latach wojny następuje kilka lat rewolucji, tak samo po każdym wybuchu zapału w imię dobra ogółu odzyskuje swoje prawa niezwalczony egoizm jednostki i rodziny.

Właśnie w momencie, kiedy jeden z republikanów, jeden z dawno zdewaluowanych, wygłasza płomienną mowę, rozwierają się szeroko drzwi i, odziany w mundur ministra policji, wkracza na salę Józef Fouché w towarzystwie żandarmów. Zimnym wzrokiem mierzy zrywających się ze zdziwieniem z miejsc uczestników zebrania: jacy marni przeciwnicy! Oddawna niema już wśród nich ludzi czynu, duchowych przywódców Rewolucji, niema już jej bohaterów i jej desperadów: pozostali puści szczekacze jeno, a w stosunku do szczekaczy wystarczy stanowczy gest.

Nie zwlekając tedy, ani nie ociągając się, wchodzi Fouché na trybunę. Po raz pierwszy od sześciu lat słyszą znów Jakobini jego lodowaty, trzeźwy głos, tym razem wszelako nie rozlega się on, aby wzywać do wolności i do nienawiści dla despotów, ale z całym spokojem, stanowczo i nieodwołalnie, pada z ust mówcy o wychudzonej postaci oznajmienie, że Klub zostaje zamknięty. Niespodzianka jest tak wielka, że nikt nie protestuje. Członkowie Klubu nie wrzeszczą jak opętani, nie rzucają się, jak to dawniej czynili, z sztyletami na gwałciciela wolności. Bąkają coś tylko niewyraźnie, cofają się przygarbieni i, zgnębieni, opuszczają salę obrad.

Fouché trafnie obrachował: z działaczami trzeba walczyć, do powalenia gadaczy wystarczy śmiały gest.

Teraz, kiedy sala została opróżniona, idzie Fouché spokojnie ku drzwiom, zamyka je za sobą na klucz i kładzie klucz do swojej kieszeni. To obrócenie klucza w zamku kładzie właściwie kres Rewolucji Francuzkiej.

— — — — — — — — — — — — — — —

Urząd jest zawsze tem, co robi z niego człowiek. Kiedy Józef Fouché obejmuje Ministerstwo Policji, powierzona mu zostaje tem samem podrzędna funkcja, rodzaj podprefektury Ministerjum Spraw Wewnętrznych. Zadaniem jego jest czuwanie i informowanie, gromadzenie i dowożenie, w charakterze taczkarza, materjału dla polityki wewnętrznej i zewnętrznej, z którego panowie z Dyrektorjatu budują, jak królowie, gmach państwowy. Nie upływa wszelako trzy miesiące od czasu objęcia władzy przez Fouché'go, gdy z przerażeniem spostrzegają możni jego, zupełnie już wobec niego bezbronni, protektorzy, że rozciągnął on sprawowanie czujności nietylko na podwładnych, ale i na stojących po nad nim, że minister policji kontroluje innych ministrów, Dyrektorjat, generałów, całą politykę. Siecią swoją ogarnął on wszystkie urzędy i władze, w rękach swoich skupił wszystkie wiadomości, nakazując kierować je bezpośrednio do siebie. Uprawia politykę obok polityki, prowadzi wojnę obok wojny, wszystko wklucza w granice swoich uprawnień, aż wreszcie Talleyrand zmuszony jest na nowo określić stanowisko ministra policji: „minister policji — mówi on — jest człowiekiem, troszczącym się przedewszystkiem o sprawy, które go dotyczą, a potem, w drugiej linji, o te wszystkie, które go nie dotyczą."

Wspaniale rozbudowana jest ta skomplikowana machina, ten uniwersalny aparat do kontrolowania całego państwa. Tysiące wiadomości wpływa co dnia do domu przy Quai Voltaire, bowiem w przeciągu kilku miesięcy potrafił ten mistrz nad mistrze obsadzić cały kraj szpiegami, tajnymi agentami i donosicielami. Nie należy wszelako wyobrażać sobie jego szpiclów tylko jako zwykłych, niezdarnych, małomieszczańskich detektywów, podsłuchujących w stróżówkach i w winiarniach, w domach publicznych i w kościołach, prowadzonych tam codziennych gawęd: agenci Fouché'go, strojni w złotem szamerowane mundury i fraki dyplomatyczne,

w zwiewne żaboty z prawdziwych koronek, prowadzą rozmowy w salonach Faubourg Saint-Germain i zarazem w patrjotycznych przebraniach wkradają się na tajne posiedzenia Jakobinów. Na liście pozostających na jego żołdzie znaleźć można markizów i księżne, noszących najświetniej w kraju brzmiące nazwiska, a nawet (fakt nieomal fantastyczny!) może się on poszczycić korzystaniem z usług najwyżej postawionej kobiety w państwie, Józefiny Bonaparte, późniejszej cesarzowej Francji. W prywatnym gabinecie późniejszego jego pana i władcy, Cesarza Francuzów, przekupił na swoją rzecz jego sekretarza, w Anglji — kucharza Ludwika XVIII. Donoszą mu o każdej plotce, otwierany jest każdy list. Wśród armji, u kupców, u deputowanych, w winiarni i na zgromadzeniach publicznych podsłuchuje czujne, acz niewidzialne ucho ministra policji. Ujściem dla wszystkich tych tysięcy wieści jest co dnia jego biurko. Tam podlegają bliższemu zbadaniu, przesianiu przez krytyczne sito i zestawieniu z innemi podobnemi, po części ważne i prawdziwe, po części zaś puste, bezprzedmiotowe denuncjacje, aż wreszcie z tysiąca kreślonych wedle umównego klucza notatek wyłoni się ścisła wiadomość.

Wiadomości są bowiem wszystkiem; na wojnie i podczas pokoju, w polityce i w dziedzinie finansów. Już nie teror, ale ścisła znajomość stanu rzeczy jest w 1799-ym potęgą, dzierżącą władzę naczelną we Francji. Dokładne informacje o każdym z marnych termidorowców: ile bierze pieniędzy, przez kogo jest przekupiony, za jaką sumę można go mieć, aby go trzymać w szachu i w ten sposób ze zwierzchnika uczynić go podwładnym; wywiadywanie się w porę i w najdrobniejszych szczegółach o spiskach i knowaniach, po części, aby je rozbijać, po części, aby je popierać i w ten sposób lawirować zawsze w polityce we właściwym kierunku; zasięganie uprzednie już wiadomości z teatru wojny i o układach pokojowych, aby za pośrednictwem

usłużnych maklerów operować na giełdzie i nareszcie założyć fundamenty trwałego, solidnego majątku.

W ten sposób nieprzerwanie kierowana przez Fouchégo maszyna do dostarczania wiadomości zaopatruje zarazem w pieniądze, zaś pieniądze służą znów do naoliwiania jej trybów, aby mogła cicho i sprawnie pracować bez przerwy. Ze spelunek gry, z domów publicznych, z kantorów bankierskich, dyskretnie wpływają do jego rąk podatki miljonowej wysokości, aby przedzierzgnąć się tam w złoto do przekupywania, zaś przekupywanie sprowadza nowe potoki informacyj. W ten sposób prowadzona olbrzymia, skomplikowana i wyrafinowana machina policyjna, którą jeden człowiek stworzył z niczego w przeciągu kilku miesięcy dzięki niesłychanej swojej pracy i energji czynu oraz psychologicznemu swojemu genjuszowi, nie ustaje i nie zawodzi ani na chwilę.

Najgenjalniejszą jednak stroną nieporównanej tej maszynerji Fouché'go jest fakt, że funkcjonuje ona, kierowana jedną jedyną ręką. Wkręcona została w nią w któremś miejscu śrubka: gdyby się ją wyjęło, stanie odrazu całość w pół obrotu. Fouché od pierwszej chwili zabezpiecza się na wypadek niełaski. Spokojny jest, że w razie gdyby chciano go usunąć, wystarczy jeden rękoczyn, aby niezwłocznie unieruchomić skonstruowaną przez niego maszynerję. Bowiem nie dla państwa, nie dla Dyrektorjatu, nie dla Napoleona, stwarza ten człowiek, stojący u steru, swoje dzieło, ale jedynie dla siebie samego. Ani mu się śni sumiennie, w myśl ciążących na nim obowiązków, komunikować zwierzchniej swojej władzy dystylat wszystkich wiadomości, chemicznie spreparowany w jego retorcie; z nieliczącym się z niczem egoizmem komunikuje on władzom to tylko, o czem chciał, aby się dowiedziały. Po co rozjaśniać w ciasnych głowach tych bałwanów z Dyrektorjatu i umożliwiać im zaglądanie sobie w karty? Dlatego też pozwala wychodzić ze swojego laboratorjum temu

jedynie, co może przynieść mu korzyść, wszystkie inne zatrute strzały przechowuje starannie w prywatnym swoim arsenale dla celów osobistej zemsty, dla politycznych skrytobójstw. Fouché wie zawsze więcej, aniżeli przypuszczają w Dyrektorjacie, że mu jest wiadomo i dlatego staje się on dla wszystkich zarazem niebezpieczny i niezbędny.

Wie o rokowaniach Barras'a z rojalistami, o pretendowaniu Bonapartego do tronu, o knowaniach bądź Jakobinów, bądź reakcjonistów, nigdy jednak nie ujawnia tych tajemnic z chwilą, kiedy dowiaduje się o nich, ale wówczas dopiero, kiedy wydaje mu się to ujawnienie korzystnem dla niego samego. Czasem staje sprzysiężeniom na przeszkodzie, czasem znów sztucznie je zadzierzguje, czasem z hałasem wyprowadza je na światło dzienne (równocześnie ostrzegając zamieszanych w nie, aby bezpiecznie się w porę ukryli); zawsze gra podwójną, potrójną, a nawet poczwórną grę, aż wreszcie oszukiwanie, podchodzenie, wyprowadzanie wszystkich w pole przeradza się u niego w namiętność wręcz.

Potrzebna jest oczywiście na to pełna stawka siły i czasu, tego jednak nie skąpi Fouché, którego dzień pracy przeciąga się stale poza dziesięć godzin. Ażeby nie wtajemniczać nikogo, po za sobą, w ukryte sprężyny roboty policyjnej, nie waha się przesiadywać w swojem biurze od rana do wieczora, sam przegląda i bada wszystkie papiery i osobiście też załatwia każdy poszczególny akt.

Każdego ważniejszego oskarżonego przesłuchuje sam przy zamkniętych drzwiach w swoim gabinecie, ażeby nikt inny, poza nim samym, nawet żaden z podwładnych mu urzędników, nie mógł się dowiedzieć decydujących szczegółów. Tym sposobem rychło, jako, niezwiązany tajemnicą konfesjonału, spowiednik całego kraju, skupia w swoim ręku tajemnice wszystkich ludzi. I znów, jak niegdyś w Lyonie, panuje on nad wszystkimi terorem, nie jest to już jednak brutalny, spada-

jący na karki topór, ale duchowa trucizna strachu, świadomość popełnionej winy, uczucie, że się zostało podsłuchanym i że się zostało wykrytym, którą zaciska on , niczem pętlą, szyje tysięcy.

Maszyna z 1792-go, gilotyna, wynaleziona celem zdławienia w zarodku wszelkiej opozycji przeciwko rządowi, jest prostaczem narzędziem w zestawieniu z wyrafinowaną, skombinowaną na podstawie przemocy duchowej, maszyną policyjną Józefa Fouché z roku 1799-go.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tym instrumentem, który Fouché zbudował sobie sam wedle potrzeb własnych i upodobań, władał on jak skończony mistrz. Poznał najwyższą tajemnicę władzy: korzystać z niej w ukryciu, używać jej oszczędnie i przezornie. Minęły już czasy Lyonu, kiedy surowi gwardziści Rewolucji bronili z nasadzonemi bagnetami dostępu do apartamentów wszechwładnego. Teraz cisną się tłocznie na jego przedpokojach damy z Faubourg Saint-Germain, chętnie przez niego przyjmowane. Fouché wie dobrze w jakim celu przychodzą. Jedna prosi o wykreślenie krewnego z listy emigrantów, inna chciałaby wystarać się o dobrą posadę dla kuzyna, trzecie uwikłana jest w przykry proces, który pragnęłaby zatuszować.

Fouché traktuje wszystkie jednakowo uprzejmie. Poco tracić sympatję któregokolwiek ze stronnictw Jakobinów czy rojalistów, umiarkowanych czy bonapartystów, dopóki się nie wie, które jutro stanie u steru? Dlatego też odgrywa dawny terorysta rolę człowieka czarująco przystępnego; publicznie, w mowach swoich i proklamacjach, ciska on wprawdzie gromy na rojalistów i anarchistów, w tajemnicy wszelako, znalazłszy się oko w oko z nimi, ostrzega ich albo przekupuje. Unika głośnych procesów, ponurych wyroków śmierci: wystarcza mu gest władzy zamiast

samej władzy, istotna podziemna potęga w państwie zamiast czczej jej oznaki, powiewającej na pióropuszach Barras'a i jego kolegów.

Tym sposobem Fouché z człowieka, budzącego straszliwą grozę, stał się ulubieńcem wszystkich; jakiż bowiem minister i mąż stanu zyskuje łatwiej sympatje wszystkich i wszędzie, aniżeli ten, który daje zawsze dostęp do siebie, pozwala z sobą mówić, obojętnie się przygląda, a nawet sam pomaga, zarabianiu pieniędzy czy zdobywaniu tłustych posadek, wszystkim robi ustępstwa i uprzejmie zamyka surowe oczy, byleby się nie wtykało zbyt głęboko nosa w sprawy polityki ani też nie krzyżowało mu się własnych jego planów?

Czyż nie lepiej pochlebstwem lub pieniędzmi zdobywać przekonania ludzi zamiast wymuszania ich od nich armatami? Czyż nie wystarcza wzywać niespokojne głowy do tajemnego swojego gabinetu i tam pokazywać im gotowy już, leżący w szufladzie wyrok śmierci na nie zamiast wykonywania tego wyroku?

Oczywiście tam, gdzie knuje się prawdziwy bunt, potrafi dawna twarda ręka rozprawić się z nim po dawnemu niemiłosiernie. Kto, natomiast, cicho siedzi i nie staje sztorcem, temu okazuje dawny terorysta jeszcze dawniejszą kapłańską swoją wyrozumiałość. Zna on dobrze słabostki ludzkie, wrażliwość ludzi na pieniądze, na przepych, na drobne zachcianki, na specjalne osobiste przyjemności — dobrze, habeant! Tylko spokojnie się zachowywać! Wielcy bankierzy, dotychczas pod rządami Republiki zaciekle prześladowani i tropieni, mogą teraz spokojnie paskować i zarabiać, Fouché podsuwa im wiadomości, wzamian za które dopuszczają go oni do udziału w zyskach. Prasa, za Marat'a i Desmoulins'a szczerząca krwiożerczo ostre swoje kły, teraz, patrzcie, jak przyjaźnie łasi mu się do nóg! I ona woli słodkie pierniczki niż bat oprawcy.

Niedługi upływa czas, a hałasowanie uprzywilejowanych patrjotów ustąpiło miejsca mlaskającej ciszy:

Fouché rzucił każdemu z nich kość, albo też kilkoma tęgiemi uderzeniami zagnał ich do kątów. Rychło przekonywają się jego koledzy, że równie przyjemnie i korzystnie jest mieć w Fouché'm przyjaciela, jak niebezpiecznie rozgniewać go i zmusić do wysunięcia pazurków z aksamitnych łapek.

Tak więc zyskuje ten niedawno najbardziej ze wszystkich pogardzany nieprzeliczone zastępy przyjaciół jedynie dzięki temu, że wie wszystko i każdego zobowiązuje przemilczaniem tego, co mu o nim wiadomo.

Nie zdołano jeszcze odbudować zburzonego miasta nad Rodanem, a już poszły w zapomnienie mitraillady Lyonu, już zdążył Józef Fouché zdobyć powszechną sympatję.

— — — — — — — — — — — — — — — —

O wszystkiem, co się dzieje w państwie, otrzymuje Józef Fouché pierwszy najdokładniejsze informacje: nikt nie ma możności zaglądania tak głęboko, dzięki tysiącgłowej, tysiącokiej i tysiącuchej czujności, we wszystkie najtajniejsze zakamarki wydarzeń. Nikt nie zna lepiej siły i słabości stronnictw, aniżeli ten człowiek o stalowych, zimnych nerwach, ten doskonały rachmistrz, obserwujący fakty przy swoim aparacie rejestracyjnym, zaznaczającym najdrobniejsze odchylenia i wahania polityki.

Zaledwie też upływa parę tygodni, parę miesięcy, a Józef Fouché widzi jasno, że Dyrektorjat jest stracony. Pięć głów stojących na jego czele żyje w stałej wzajemnej z sobą niezgodzie: jeden podchodzi drugiego za jego plecami, oczekując na właściwy moment, w którym będzie mógł zepchnąć go z jego stanowiska. Armje są pobite, w finansach panuje rozgardjasz, w kraju niepokój — dłużej trwać tak nie może. Fouché wietrzy rychłe odwrócenie się chorągiewki na dachu. Agenci informują go, że Barras paktuje potajemnie z Ludwikiem XVIII, aby za koronę książęcą przeszachrować

Republikę na rzecz dynastji burbońskiej. Jego koledzy oczkują miłośnie ku księciu Orleańskiemu albo też marzą o odrodzeniu Konwentu. Wszyscy wszelako, wszyscy bez wyjątku, czują i wiedzą, że dalej tak iść nie może. Naród wstrząsany jest bowiem wewnętrznemi buntami, asygnaty zamieniły się w bezwartościowe szmaty, na armję niema co liczyć: o ile nie uda się nowej jakiejś potędze zespolić rozproszonych sił, rozpadnie się w gruzy cały gmach Republiki.

Zbawić może jedynie dyktator, to też oczy wszystkich wpatrzone są w przestrzeń, aby znaleźć człowieka nadającego się do tej roli.

„Potrzeba nam głowy i szabli“ wywnętrza się Barras przed Fouché'm, uważając w głębi ducha siebie samego za głowę i szukając odpowiedniej szabli. Ale zwycięzcy wodzowie, Hoche i Joubert, umarli bardzo nie w porę dla swojej karjery Bernadotte zachowuje się jeszcze zbyt po jakobińsku, a jedynego, o którym wiedzą wszyscy, że jest w jednej osobie zarazem głową i szablą, Bonapartego, bohatera z pod Arcolo i Rivoli, wysłano ze strachu daleko, aby się go pozbyć; manewruje on też teraz bez celu i potrzeby na pustynnych piaskach Egiptu. Na niego, oddalonego o tysiące mil, niema co liczyć, tak sądzą.

Zpośród wszystkich ministrów jeden tylko Fouché wie już wówczas, że tego generała Bonaparte, o którym wszyscy inni przypuszczają, iż przebywa jeszcze w cieniu piramid, nie byłoby wcale potrzeby szukać tak daleko, bowiem wkrótce ma on wylądować na wybrzeżu francuzkiem.

Wysłano tego nazbyt ambitnego, zbyt lubianego i popularnego, władczego człowieka o parę tysięcy mil od Paryża; może nawet odetchnięto z ulgą, kiedy Nelson zburzył pod Abukirem całą flotę, czyż bowiem zależeć może intrygantom i politykom na kilku tysiącach poległych, jeżeli uda im się przy tej okazji usunąć konkurenta? Teraz śpią uspokojeni, wiedzą, że Bona-

parte przygwożdżony jest na amen do armji i ani im się śni odwołać go zpowrotem. Ani na chwilę nie przyszłoby im do głowy nawet, że mógłby się odważyć własnowolnie przekazać komendę nad armją innemu generałowi i spędzić im tem sen z powiek. Liczą się z wszelkiemi możliwościami, tylko nie z Bonapartem.

Fouché'mu, natomiast, wiadomo jest więcej, i to z najlepszego źródła! Bowiem osobą, która wszystko mu zdradza, która odczytuje mu każdy list Bonapartego i donosi mu o każdym jego kroku, tym najlepiej poinformowanym, najwierniejszym z wszystkich opłacanych przez niego szpiegów, jest nie kto inny, jeno — własna żona Bonapartego — Józefina Beauharnais. Nie było samo przez się wielką sztuką przekupić lekkomyślną kreolkę. Szalona rozrzutnica tkwi wciąż w długach po same uszy i jakkolwiek Napoleon hojnie ją zaopatruje w setki tysięcy z kasy skarbowej, są one zaledwie kroplą w morzu dla kobiety, która sprawia sobie trzysta kapeluszy i siedemset sukien na rok, która nie umie szczędzić ani pieniędzy, ani własnego ciała, ani swojej opinji i która ponadto wszystko czuje się niezbyt spokojną w danym momencie. Mój Boże, podczas kiedy mały, kąpany w gorącej wodzie, generał, który chciał koniecznien zabrać ją z sobą do nudnego kraju mameluków, jest daleko, miała ona stosunek z ładnym Charles'em, a może z paroma innymi jeszcze, prawdopodobnie nawet ponownie z dawnym swoim kochankiem, Barras'em. Ci głupi intryganci, bracia Napoleona, Józef i Lucjan, wzięli jej to za złe i z miejsca donieśli o tem jej gwałtownemu i zazdrosnemu jak Turek małżonkowi. Potrzebny więc jej jest ktoś, kto pomógłby jej, szpiegując z kolei obu szwagrów-donosicieli, ktoś, komu przysługuje prawo przeglądania wszelkiej korespondencji. Dlatego właśnie, a nadto za parę garści dukatów — on sam w swoich pamiętnikach wymienia wprost cyfrę tysiąca luidorów — wyjawia przyszła cesarzowa Fouché'mu wszystkie tajemnice,

a głównie, najważniejszą i najniebezpieczniejszą, dotyczącą bliskiego powrotu Bonapartego.

Fouché'mu wystarcza, że jest poinformowany. Oczywiście ani przychodzi obywatelowi ministrowi policji do głowy zawiadomić o tem zwierzchnią swoją władzę. Przedewszystkiem zacieśnia on przyjaźń swoją z żoną pretendenta, tajnie wykorzystuje otrzymywane od niej wiadomości i, jak zawsze, dobrze przygotowany, czeka na dalszy bieg wypadków, których decydujący wynik, wie on o tem doskonale, nie da już teraz długo na siebie czekać.

— — — — — — — — — — — — — — — —

11 października 1799-go roku pospiesznie wzywa Dyrektorjat do siebie Józefa Fouché. Nieprawdopodobną wieść głosi optyczny telegraf Chappe'a: Bonaparte, nie będąc wcale odwołanym, powrócił z Egiptu i wylądował w Fréjus. Co wobec tego czynić? Czy bezzwłocznie zaaresztować generała, który, bez otrzymania rozkazu, zatem jako dezerter, opuścił swoją armję, czy też przyjąć go z honorami?

Fouché, który udaje jeszcze bardziej zaskoczonego tą wiadomością, aniżeli są nią naprawdę zaskoczeni wszyscy inni, doradza względność. Przeczekać! Przeczekać! Nie jest bowiem jeszcze zdecydowany, czy ma stanąć przy Bonapartem czy też przeciw niemu, chce więc spokojnie przeczekać bieg wypadków. Podczas kiedy pięć bezmózgich głów Dyrektorjatu żarliwie jeszcze dyskutuje, czy należy darować Bonapartemu winę pomimo jego ucieczki z pod sztandaru, czy też zaaresztować go, oddawna wypowiedział się już naród w tej sprawie.

Avignon, Lyon, Paryż witają go, jako tryumfatora, wszystkie miasta na jego drodze są iluminowane, ze scen teatrów ogłaszana jest wieść o jego powrocie przyjmującym ją z okrzykami radości widzom: nie powraca podwładny, ale pan, potężny władca. Zaledwie

staje on w paryskiem swojem mieszkaniu na Rue Chantereine (niebawem nazwana ona zostanie na jego cześć Rue de la Victoire) cisną się do niego tłumnie wszyscy jego przyjaciele, a także ci, którzy uznają za korzystne dla siebie uchodzenie za takich. Generałowie, deputowani, ministrowie, sam Talleyrand nawet, korny składają hołd „człowiekowi szabli“, dlatego też, po bardzo niedługim czasie, sposobi się do złożenia mu wizyty we własnej najwyższej osobie i sam również pan minister policji. Każe się tedy wieźć na Rue Chantereine i zameldować się u Bonapartego.

Ale Bonapartemu wydają się te odwiedziny najdoskonalej obojętne i małoważne. Daje też Fouché'mu czekać w przedpokoju bitą godzinę, jak byle natrętowi, przychodzącemu z jakąś prośbą. Fouché — nazwisko to niewiele mu mówi: nie zna osobiście tego pana, przypomina może sobie tylko, że człowiek, noszący to nazwisko, odegrał dość smutną rolę w latach teroru w Lyonie, możliwe także, że spotykał od czasu do czasu w przedpokoju przyjaciela swojego, Barras'a, małego, obdartego, zupełnie podupadłego szpicla policyjnego. W każdym razie nie musi to być nikt ważny, może jakiś pokątny geszefciarz, któremu udało się wydreptać dla siebie posadkę, w któremś z ministerjów. Takiemu należy kazać antiszambrować.

I w samej rzeczy czeka Józef Fouché cierpliwie bitą godzinę w przedpokoju generała i przeczekałby może drugą i trzecią jeszcze na stołku, podsuniętym mu z litości przez służącego, gdyby nie to, że przypadkowo Real, jeden z uczestników spisku, przygotowujący wespół z Bonapartem przyszły zamach stanu, zauważył wszechpotężnego szefa policji, do którego ciśnie się cały Paryż na audjencje, w tak marnej sytuacji. Przerażony fatalnem uchybieniem wpada do pokoju generała i mówi mu w największem wzburzeniu o strasznym błędzie, jakiem było dopuszczenie, aby w tak obrażający dla siebie sposób zmuszony był czekać w przedpokoju ten

właśnie człowiek, który jednem poruszeniem ręki, rychlej niż wybuchem bomby, może rozbić na miazgę całą sprawę. Natychmiast też wybiega Bonaparte, zaprasza usilnie i nadzwyczaj grzecznie Fouché'go do siebie i spędza z nim dwie godziny na rozmowie w cztery oczy.

Po raz pierwszy stają obydwaj ci ludzie wzajem naprzeciw siebie: wnikliwie bada i ocenia jeden drugiego, czy tamten przyda się temu dla osobistych jego celów. I, jak zawsze, uwypuklają się odrazu cechy przewagi jednego i drugiego. Odrazu poznaje Fouché z niesłychanej dynamiki tego wcielenia potęgi niepokonany genjusz panowania, zaś Bonaparte bystrym swoim, jak ostrze stali, wzrokiem drapieżnego zwierza poznaje natychmiast w Fouché'm nieocenionego pomocnika, dającego się użyć do wszystkiego, przenikającego wszystko w mig i energicznie wprowadzającego w czyn wszelkie zamierzenia. Nikt nie przedstawił mu wówczas — opowiada on później na Świętej Helenie — tak dokładnie i wyraźnie całego położenia Francji i Dyrektorjatu, jak Fouché podczas tej pierwszej dwugodzinnej rozmowy. A sam fakt, że Fouché, do którego cnót nie należy bynajmniej szczerość i otwartość, odrazu wyjawia całą prawdę pretendentowi do tronu, wskazuje, że i on był zdecydowany oddać mu się do rozporządzenia. Już zaraz w tej pierwszej godzinie podzielone zostają role: pan i sługa, ten, który miał przekształcić świat i największy polityk swojego czasu — teraz może się rozpocząć wspólna ich gra.

— — — — — — — — — — — — —

Już zaraz podczas pierwszego tego spotkania zwierza się Fouché Bonapartemu z niezwykłą gotowością. Ale jednak: nie oddaje się w jego ręce. Nie bierze otwarcie udziału w spisku, mającym na celu obalenie Dyrektorjatu i uczynienie z Bonapartego wyłącznego władcy: na to jest zbyt ostrożny. Zbyt wiernie i niezłomnie

trzyma się ustalonego raz nazawsze prawidła swojego życia: nigdy nie decydować się nieodwołalnie, dopóki losy wojny nie są ostatecznie rozstrzygnięte.

Dzieje się wszelako coś szczególnego — w najbliższych tygodniach zazwyczaj tak czujnego, tak bystrego ministra policji dotyka przykra niemoc: nagle ślepnie on i głuchnie. Nie dochodzi do jego uszu nic z wszystkich wieści, krążących w mieście o mającym nastąpić zamachu stanu, nie widzi żadnego z listów, wsuwanych mu wprost w ręce. Wszystkie jego tak zawsze nieskazitelnie niezawodne źródła informacyj zdają się teraz zawodzić w tajemniczo niepojęty sposób, a podczas kiedy dwaj z pięciu członków Dyrektorjatu wciągnięci są już do spisku a trzeci nawpół już pozyskany, nie zdaje się nawet przeczuwać minister policji, że szykuje się jakieś sprzysiężenie wojskowe — udaje, jak gdyby nic nie wiedział. Codziennie jego sprawozdania, składane Dyrektorjatowi, nie zawierają wzmianki nawet o generale Bonaparte i o niecierpliwie wymachującej już szabelką jego klice. Naturalnie, nie dostarcza on też i stronie przeciwnej, Bonapartemu, ani jednego wiersza, ani jednego pisanego słowa.

Milczeniem jedynie zdradza on Dyrektorjat, dochowaniem milczenia zobowiązuje się Bonapartemu i czeka, czeka, przeczekuje co z tego wyniknie. W takich momentach naprężenia, na dwie minuty przed ostateczną decyzją jego zimnokrwista natura czuje się najlepiej. Być postrachem dla obu przeciwnych stronnictw, być dla obu jednako pożądanym i dlatego dla obu przedmiotem najgorętszych zabiegów, a przytem we własnym ręku czuć nieustannie drgocący języczek wagi — to dla rozmiłowanego w knuciu intryg rozkosz największa. Najcudowniejsza gra, niedająca się porównać z roznamiętnieniem przy zielonym stoliku, ani przy grze miłosnej, gra, przy której stawką decydującą są losy świata!

Wiedzieć w takich chwilach, że ma się w swoim ręku możność przyspieszenia wypadków czy też zahamowa-

nia ich, a mimo to, mając tę świadomość, i dzięki niej właśnie, umieć panować nad sobą i, chociaż palą dłonie do wmieszania się, nie czynić nic prócz biernego obserwowania z wysubtelnioną, upajającą, występną nieledwie ciekawością psychologa — ta żądza jedynie rozpłomienia ten zimny umysł, tylko ona jest w stanie wzburzyć tę mętną, rozcieńczoną, nieomal wodnistą krew. Tylko ten rodzaj psychologicznie perwersyjnej, duchowo zmysłowej chuci zdolny jest oszołomić trzeźwego, pozbawionego nerwów Józefa Fouché. I w takich momentach ostrego napięcia przed ostatecznym, decydującym strzałem uskrzydla jego zazwyczaj posępną, zgryźliwą powagę niesamowity rodzaj okrutnego, cynicznego humoru. Jak bowiem inaczej, aniżeli w przystępie dobrego humoru, w dobrotliwem czy kęśliwem usposobieniu do żartów, może znaleźć ujście podniecenie duchowe? I dlatego Fouché żartuje w takich chwilach, kiedy innym grozi największe niebezpieczeństwo, żartuje jak sędzia śledczy w „Raskolnikowie“ w najdowcipniejszy i zarazem najbardziej djaboliczny sposób wówczas właśnie, kiedy na winowajcy najbardziej cierpnie skóra, kiedy dreszcz strachu kurczy jego członki. W takich właśnie momentach lubuje się Fouché w mistyfikowaniu i dlatego inscenizuje i tym razem w najgroźniejszym momencie zręczną komedję, której deski sceniczne ułożone są na beczce z prochem poniekąd.

Na kilka dni przed wybuchem zamachu stanu (termin jest mu znany, rozumie się) wydaje on u siebie małe przyjęcie. Na to intymne zebranie zaproszeni są: Bonaparte, Real oraz inni sprzysiężeni, i, nagle, podczas kiedy siedzą wszyscy przy stole, spostrzegają, że lista ich jest kompletna, że więc w ten sposób minister policji sprosił do swojego domu całą, w pełnym jej składzie, kamaryllę, konspirującą przeciwko Dyrektorjatowi.

Co to ma znaczyć?

Z niepokojem patrzą na siebie wzajem Bonaparte i inni. Może drzwi obstawione są już żandarmami, aby na jednem posiedzeniu wyłowić pełną sieć spiskowców? Może ten i ów przypomina sobie z historji ów tragiczny bankiet, który Piotr Wielki wyprawił dla strzelców, żołnierzy gwardji moskiewskiej, i na którym kat podał na deser ich głowy? W domu Fouché'go nie zachodzi jednak nic podobnie okrutnego. Przeciwnie, kiedy, ku powszechnemu zdziwieniu wszystkich sprzymierzonych, wchodzi w końcu jeszcze jeden gość, a mianowicie (żart jest naprawdę szatańsko obmyślony!) ów przewodniczący, Gohier, przeciwko któremu skierowane jest ich sprzysiężenie, stają się oni świadkami zdumiewającego djalogu.

Przewodniczący pyta ministra o najświeższe wydarzenia: „Ach, wciąż to samo“, odpowiada Fouché, leniwie podnosząc powieki i nie patrząc na nikogo poszczególnie. — „Wciąż powtarza się gadanina o sprzysiężeniach. Wiem jednak co mam o tem wszystkiem myśleć. Gdyby istniało naprawdę jakieś sprzysiężenie, mielibyśmy rychło dowód tego na Placu Rewolucji.“

Ta delikatna wzmianka o gilotynie prześlizguje się niby ostrze noża po grzbietach przerażonych spiskowców. Nie wiedzą oni, czy Fouché stroi sobie żarty z nich czy z tamtych? Czy drwi z nich czy z przewodniczącego Dyrektorjatu? Nie wiedzą, a prawdopodobnie nie wie o tem sam Fouché, bo rozkoszuje się jednem tylko na ziemi: gryzącą, prężącą nerwy poczuciem niebezpieczeństwa, przyjemnością podwójnej gry.

— — — — — — — — — — — — —

Po tym wesołym żarciku zapada minister policji ponownie w zdumiewający swój letarg i aż do momentu wybuchu pozostaje ślepy i głuchy, podczas kiedy połowa Senatu jest już przekupiona, a armja pozyskana. I — rzecz szczególna! — on, znany z wczesnego swojego wstawania, z tego, że pierwszy zjawia

się w swoim resorcie, właśnie w dniu 18 brumaire'a, właśnie w dniu napoleonowego zamachu stanu przesypia ranek szczególnie smacznym, kamiennym snem. Najchętniej przespałby cały dzień, ale dwaj wysłańcy Dyrektorjatu budzą go przemocą, ściągają go z łóżka, oznajmiając zadziwiająco zdumionemu o dziwnych wydarzeniach w Senacie, o gromadzeniu się wojsk i o prawie wyraźnym już, oczywistym zamachu stanu.

Józef Fouché przeciera oczy i jest przykładnie zaskoczony (mimo że poprzedniego wieczora długo konferował z Bonapartem). Niestety, nie może już dłużej kontynuować swojego snu, czy też udawać śpiącego. Minister policji musi się ubrać i jechać do Dyrektorjatu, gdzie zostaje zaatakowany przez przewodniczącego Gohier'a, który nie pozwala mu nawet odegrać przed sobą komedji zdumienia.

„Obowiązkiem pańskim — rzuca się na niego Gohier — było zawiadomić nas o podobnem sprzysiężeniu i niewątpliwie miałaby pańska policja możność dowiedzenia się w porę o niem."

Fouché spokojnie chowa do kieszeni grubjańskie to potraktowanie go i pyta o rozkazy, jak gdyby był najwierniejszym sługą. Ale Gohier daje mu ostrą odprawę: o ile Dyrektorjat będzie miał jakieś rozkazy do wydania, wyda je tym, którzy będą godni jego zaufania. Fouché uśmiecha się w duszy: głupiec, nie wie jeszcze, że jego Dyrektorjat nie ma już oddawna nic do rozkazywania, że dwaj z pięciu odpadli już od niego, a trzeci jest przekupiony! Ale w jakim celu pouczać głupców? Składa sztywny ukłon i idzie na swoje stanowisko.

Gdzie znajduje się właściwie to stanowisko, nie wie oczywiście jeszcze Fouché dokładnie. Nie wie, czy pozostanie ministrem policji dawnego rządu, czy nowego, zależnie od tego, która strona osiągnie zwycięstwo. Dopiero najbliższe dwadzieścia cztery godziny rozstrzygną pomiędzy Dyrektorjatem a Bonapartem.

Pierwszy dzień wypadł wprawdzie korzystnie dla Bonapartego: Senat, wprawiony w ruch obietnicami, a jeszcze skuteczniej nasmarowany złotem, spełnia wszystkie życzenia Bonapartego, mianuje go wodzem wojsk i przenosi posiedzenie Izby Niższej, Rady Pięciuset, do Saint-Cloud, gdzie niema bataljonów robotniczych, niema opinji publicznej, niema „ludu“, tylko park, który daje się hermetycznie odosobnić dwiema kompanjami grenadjerów. Ale to nie rozstrzyga jeszcze o wygranej, bowiem pośród tych Pięciuset tkwi jeszcze parę tuzinów nieznośnych chłopaków, którzy nie dadzą się ani zastraszyć, ani przekupić, może nawet, kto wie, ten i ów gotów sztyletem i pistoletem bronić Republiki przeciwko pretendentowi do tronu.

Należy więc trzymać nerwy swoje na wodzy.

Zaledwie ruszył Bonaparte na czele swoich wojsk do Saint-Cloud, zaledwie podążyli za nim w karocach wielcy współspiskowi, Talleyrand, Sièyes oraz parę tuzinów innych, kiedy oto nagle, na rozkaz ministra policji, padają z hukiem szlabany na rogatkach Paryża. Nikt nie może opuścić miasta, nikt też nie może dostać się do miasta prócz wysłańców ministra policji. Nikt więc z ośmiuset tysięcy ludności Paryża poza tym jedynym, zdecydowanym na wszystko człowiekiem, nie może się dowiedzieć, czy zamach się udał, czy nie. Co pół godziny raportuje mu specjalny wysłaniec o przebiegu wypadków podczas dokonywania zamachu stanu, wciąż jednak jeszcze nie zapadło w duszy jego ostateczne rozstrzygnięcie. O ile uda się Bonapartemu wziąć górę, będzie oczywiście dzisiejszego jeszcze wieczora mianowany Fouché jego ministrem, będzie mu ślubował wierną służbę, chętną i zimną gotowość wtrąceniu do więzienia „rebeljantów“.

Ale otrzymywane przez Fouché'go wiadomości brzmią dość sprzecznie, bowiem podczas kiedy Fouché wspaniale utrzymuje na wodzy swoje nerwy, traci większy od niego Bonaparte panowanie nad swojemi:

18 brumaire'a, który obdarzył Napoleona wszechwładzą nad Europą, pozostaje, o ironjo losu! — najsłabszym bodaj dniem w osobistem życiu wielkiego człowieka. Nieugięty w obliczu armat, mięsza się zawsze Bonaparte, ilekroć ma słowami zdobywać dla siebie ludzi: przywykły od lat do komenderowania ludźmi, zapomniał, jak należy o nich się ubiegać. Potrafi z podniesionym w górę sztandarem, konno na czele swoich grenadjerów, burzyć armje, ale zastraszyć rzuconemi z trybuny kilkoma słowami garstkę obrońców Republiki okazuje się ponad siły zahartowanego w boju żelaznego żołnierza. Często opisywana była scena, jak ten wódz niezwyciężony, zdenerwowany deszczem wrogich okrzyków, rzucanych przez oponujących deputowanych, bąka niedorzeczne, puste frazesy, naprzykład: „Bóg bitew jest ze mną...“ i tak mizernie się zająkuje, że przyjaciele muszą czemprędzej ściągnąć go przemocą z trybuny. Tylko bagnety jego żołnierzy ratują bohatera z pod Arcolo i Rivoli od haniebnej porażki z rąk kilku hałasujących republikanów. Dopiero, kiedy znalazł się znów na koniu i kiedy, jako władca i dyktator, wydaje swoim żołnierzom rozkaz opróżnienia sali szturmem, promieniuje znów z rękojeści jego szabli siła, która nową energją pręży roztrzęsione jego nerwy.

O siódmej wieczorem jest już wszystko rozstrzygnięte, Bonaparte okrzyknięty Konsulem i jedynym władcą Francji. Gdyby został pokonany albo przegłosowany, kazałby Fouché natychmiast porozklejać na wszystkich rogach i murach Paryża proklamację, zaczynającą się od słów: „Niecny spisek został zdemaskowany... i t. d.“ Skoro wszakże Bonaparte okazał się zwycięzcą, wykorzystuje on niezwłocznie zwycięstwo jego na swoją rzecz.

Nie z ust Bonapartego, ale z ust pana ministra policji, Józefa Fouché, dowiaduje się nazajutrz Paryż o właściwym końcu Republiki i o początku dyktatury Napoleona.

„Minister policji“ — brzmi kłamliwe to przedstawienie wypadków — „zawiadamia współobywateli, że kiedy Rada zebrana w Saint-Cloud roztrząsała sprawy Republiki, omal nie padł generał Bonaparte, który zjawił się na posiedzeniu Rady Pięciuset celem ujawnienia matactw rewolucyjnych, ofiarą morderczego napadu. Ale genjusz Republiki uratował generała. Wszyscy republikanie mogą być spokojni... ich pragnienia zostaną spełnione... Niech się uspokoją słabi, mają oni po swojej stronie silnych... i ci tylko niech się lękają, którzy sieją niepokój, sieją zamęt w opinji publicznej i urządzają zaburzenia. Wszystkie kroki zostały poczynione do zwalczenia ich.“

I znów najszczęśliwiej udało się Fouché'mu zawiesić swój płaszcz od strony wiatru. Tak czelnie, tak bez obsłonek w biały dzień dokonało się jego przejście na stronę nowego zwycięzcy, że stopniowo zaczynają w najszerszych kołach poznawać, kim jest Józef Fouché. W parę tygodni później ukazuje się na scenie jednego z przedmiejskich teatrzyków Paryża zrozumiała dla każdego, oklaskiwana przez wszystkich, wesoła komedyjka: „Chorągiewka z Saint-Cloud“, w której, pod lekko zmienionemi nazwiskami, dowcipnie sparodjowane zostało chorągiewkowate, a mimo to ostrożne zachowanie się Fouché'go. Jako cenzor, miałby Fouché oczywiście możność nie pozwolić na takie ośmieszanie swojej osoby, posiadał jednak szczęśliwie dość sprytu, aby nie czynić nic podobnego.

Nie myśli bynajmniej ukrywać swojego charakteru, wprost przeciwnie popisuje się nawet swoją zmiennością i nieobliczalnością, uważając, że otacza go ona specjalną glorją. Pozwala, aby śmiano się z niego, byleby mu ulegano, byleby się go bano.

— — — — — — — — — — — — —

Bonaparte jest tryumfatorem dnia; Fouché — ukrytym pomocnikiem apostatą; właściwą ofiarą — Barras,

rozkazodawca Dyrektorjatu. Dzień ten udziela jemu właśnie klasycznej lekcji niewdzięczności. Bowiem obaj ci ludzie, którzy pospołu strącają go z wyżyn władzy i pozbywają się go za cenę miljonowego napiwka, niczem natrętnego żebraka, byli wszak przed dwoma laty jego kreaturami, obowiązanemi do wdzięczności dla niego, istotami wyciągniętemi przez niego z nicości. Dobroduszny, lekkomyślny, lubiący używać życia *bonhomme*, chętnie użyczający każdemu należnej mu części, wyciągnął, w najściślejszem rozumieniu tego słowa, z ulicy małego tego, o smagłej oliwkowej cerze, wypędzonego i omal nie skazanego na banicję, oficerka artylerji, Bonapartego, przypiął mu do połatanego i niezapłaconego jeszcze munduru szlify generalskie; przeskakując wszystkich, z dnia na dzień zrobił go komendantem Paryża, podsunął mu na żonę własną swoją kochankę, wypchał mu kieszenie pieniędzmi, wymusił dla niego naczelne dowództwo nad włoską armją, a tem samem przerzucił dla niego most do nieśmiertelności.

W taki sam sposób wyciągnął Fouché'go z jego brudnej mansardy na piątem piętrze, ocalił jego głowę z pod gilotyny, ratował go od głodu, jako jedyny, w czasie, kiedy wszyscy inni się od niego odwrócili, wreszcie podsadził mu, tak samo jak Bonapartemu, nogę w strzemię i tak samo jak tamtemu wypchał mu kieszenie pieniędzmi.

Otóż obaj ci ludzie, zawdzięczający mu wszystko, życie i karjerę, spiknęli się z sobą w dwa lata później i łącznemi siłami strącili go w to samo błoto uliczne, z którego on niegdyś ich wyciągnął. — Zaiste, historja świata, nie roszcząca bynajmniej pretensyj do roli kodeksu moralności, nie zna chyba jaskrawszego przykładu krańcowej niewdzięczności, aniżeli zachowanie się Napoleona i Fouché'go wobec Barras'a w dniu 18 brumaire'a.

Ale niewdzięczność Napoleona w stosunku do jego

protektora może przynajmniej znaleźć usprawiedliwienie w genjuszu. Siła jego i wielkość dają mu szczególne prawo, bowiem zdążająca ku gwiazdom droga genjusza ma w razie potrzeby prawo prowadzić naprzód poprzez głowy ludzkie, bodaj nawet, ulegając niewidzialnym nakazom dziejów, wyzyskać dla swoich celów drobne przejawy efemeryczne.

Niewdzięczność Fouché'go jest, w zestawieniu z niewdzięcznością Napoleona, tylko ową nierównie częstszą niewdzięcznością absolutnego amoralisty, mającego, zupełnie naiwnie, zrozumienie dla tego jedynie, co jemu samemu przynosi korzyść. Fouché umie, o ile chce, w zdumiewający i niepokojąco szybki sposób zapomnieć o całej swojej przeszłości. Dalsza jego karjera polityczna będzie dawała coraz bardziej zadziwiające dowody szczególnego w tym kierunku mistrzowstwa.

W dwa tygodnie później posyła on Barras'owi, człowiekowi, który uchronił go od „suchej gilotyny" i uratował go od zesłania, własnoręcznie zredagowany nakaz opuszczenia Francji i odebrania mu wszystkich papierów: prawdopodobnie znajdowały się pomiędzy niemi jego własne listy skamlające o jałmużnę oraz szpiegowskie jego sprawozdania.

Śmiertelnie dotknięty tem Barras zaciska zęby; dzisiaj jeszcze słyszy się w jego pamiętnikach ich zgrzytanie, ilekroć wymienia nazwiska Bonapartego i Fouché'go. Pociesza go przytem jedno tylko: że Bonaparte przyjął do swojej służby Fouché'go. Przeczuwa prorocze: jeden pomści się za niego na drugim.

— — — — — — — — — — — — —

Niedługo pozostaną przyjaciółmi.

Zrazu oczywiście, w pierwszych miesiącach ich współdziałania, najkorniej oddaje się obywatel-minister policji na usługi obywatela-Konsula. Bowiem w owym czasie pisze się wciąż jeszcze na urzędowych dokumentach „obywatel"; na razie jeszcze wystarcza próż-

ności i ambicji Bonapartego miano pierwszego obywatela Republiki.

Wobec wziętego na siebie olbrzymiego zadania, które przerosłoby siły każdego innego, ujawnia on w owych latach w całej pełni i wielostronności młodociany swój genjusz; nigdy nie jaśnieje postać Bonapartego wspanialej i bardziej humanitarnie, aniżeli w owym okresie wprowadzenia nowego ładu.

Przekuć rewolucję na statuty, zachować jej zdobycze, a zarazem złagodzić jej wybujałości, położyć kres wojnie przez odniesienie zwycięstwa, a potem nadać temu zwycięstwu właściwy jego sens zawarciem uczciwego, opartego na silnych podstawach, owocnego pokoju — na tem polega szczytna idea, jakiej poświęca się młody bohater, na równi z ogarnianiem szerokich horyzontów wyróżniającym się niezwykłą rozpiętością umysłem swoim, z wytrwałą, sprężystą energją człowieka, zwykłego pracować z zapałem po dziesięć godzin dziennie.

Nie owe lata, opiewane przez legendę, uznającą za czyny jedynie szarże kawaleryjskie, a podbicie nowych krajów za wielkie zdobycze, zatem nie Austerlitz i Eylau czy Valladolid stanowią herkulesowe czyny Napoleona Bonaparte, ale lata, podczas których wstrząśnięta w posadach, rozdzierana walkami stronnictw Francja wznosi się ponownie na wyżyny tętniącego życiodajną siłą państwa; bezwartościowe asygnaty ustępują miejsca wartościowej monecie, a świeżo ułożony *Code Napoléon* ujmuje prawo i obyczaj w żelazne, a mimo to humanitarne formy; lata, w których ten niebotyczny genjusz męża stanu z jednaką we wszystkich dziedzinach doskonałością uzdrawia państwo i ustala pokój w Europie.

Te właśnie lata, a nie lata wojen, są jego prawdziwie twórczemi latami, nigdy też jego ministrowie nie pracowali przy jego boku uczciwiej, owocniej i wierniej, aniżeli w tym specjalnie okresie. I w osobie

Fouché'go również znajduje on doskonałego sługę, jednozgodnego z nim w przeświadczeniu, iż lepiej jest położyć kres wojnie domowej pokojowemi układami i ustępstwami, aniżeli terorem egzekucyjnym i wyrokami śmierci.

Kilka miesięcy wystarcza Fouché'mu do przywrócenia spokoju w kraju, oczyszczonym przez niego z ostatnich gniazd zarówno terorystów jak i rojalistów, do zniesienia rozruchów i zamieszek ulicznych, przy czem jego sprawnie i precyzyjnie, w ograniczonym zakresie, funkcjonująca maszyna biurokratyczna podporządkowuje się chętnie wielkim państwowotwórczym planom Bonapartego.

Zawsze kojarzą i skupiają ludzi wielkie i zbawcze dzieła ludzkie: sługa znalazł odpowiedniego dla siebie pana, a pan idealnie nadającego się dla niego sługę.

— — — — — — — — — — — — —

Moment, w którym po raz pierwszy rodzi się w duszy Bonapartego nieufność w stosunku do Fouché'go, daje się, rzecz szczególna, ustalić ściśle co do dnia i godziny, mimo że ów epizod prawie zupełnie zatonął w powodzi wydarzeń tych lat, natłoczonych niemi aż do zbytku. Jedynie sępi, przenikający dusze ludzkie, wzrok Balzac'a, nawykły do rozpoznawania w pozornie małoważnem, w *„petit détail"*, istoty rzeczy i działającego na dalszą metę rozpędu, zdolny był wyłuskać ten moment (co prawda, w poetyckiem nieco ubarwieniu).

Drobna te scenka rozgrywa się podczas kampanji włoskiej, mającej rozstrzygnąć pomiędzy Austrją a Francją. 20-go stycznia 1800 zgromadzeni w Paryżu ministrowie i decydujące władze państwowe w szczególnym są nastroju. Wysłaniec z pola bitwy pod Marengo przybył z niedobremi wieściami; melduje on, że Napoleon poniósł druzgocącą klęskę, a francuska armja cofa się w nieładzie. Każdemu z zebranych przy-

chodzi natychmiast na myśl jedno i to samo: niepodobna utrzymać pobitego generała na stanowisku Pierwszego Konsula, wszyscy więc niezwłocznie myślą o jego następcy. Do jakiego stopnia wyraźnie zaznaczyli niektórzy tę okoliczność, nie wyszło na jaw po dziś dzień, nie ulega wszelako wątpliwości, że szeptem naradzano się nad przygotowaniami do przewrotu, co zauważyli bracia Napoleona. Najdalej bodaj odważył się posunąć Carnot, który czemprędzej wskrzesić chciał dawny Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. Co się tyczy Fouché'go, można, znając jego charakter, przypuścić z wielkiem prawdopodobieństwem, że, zamiast stać wiernie u boku rzekomo zwyciężonego generała, zachował przezorne milczenie, aby móc w razie potrzeby, pozostać przy dawnym, zaś, w przeciwnym razie, przejść do nowego pana.

Zaraz wszelako następnego rana przybywa następna sztafeta, która melduje wieść wręcz odwrotną o wspaniałem zwycięstwie pod Marengo: w ostatniej godzinie, dzięki genjalnej intuicji strategicznej Napoleona zdążył mu na pomoc generał Desaix i zamienił klęskę na świetne zwycięstwo. Stokroć silniejszy aniżeli wyruszył, zupełnie już teraz pewien swojej potęgi, zjawia się Napoleon, Pierwszy Konsul, po kilku dniach zpowrotem. Niewątpliwie dowiedział się on natychmiast, że wszyscy jego ministrowie i zaufani odstąpili go zaraz przy pierwszej wieści o rzekomo poniesionej przez niego porażce, i, jako pierwsza ofiara, płaci Carnot za swoje posunięcie się zbyt daleko: traci stanowisko ministra.

Inni, wpośród nich i Fouché, zachowują swoje urzędy: niepodobna dowieść nazbyt przezornemu popełnienia zdrady, zarazem jednak nie dał on wielkiego dowodu wierności. Nie skompromitował się, co prawda, ale też nie zachował się godnie, znów więc pokazał się takim, jakim był zawsze: człowiekiem, na którego liczyć można w powodzeniu, ale który zawodzi w nie-

szczęściu. Bonaparte nie wydala go, nie czyni mu wyrzutów, nie karze go. Ale od tego dnia przestaje mu już ufać.

— — — — — — — — — — — — —

Ten drobny, w ówczesnych dziejach prawie zupełnie ukryty w cieniu epizod rodzi inne jeszcze psychologiczne wyniki. Uwydatnia on bowiem z całą wyrazistością, że rząd, oparty wyłącznie na szabli i zwycięstwie, upada zawsze wraz z pierwszą poniesioną klęską i że władca, któremu niedostaje naturalnego przywileju krwi i przodków, musi nieodzownie i zawczasu postarać się o inne.

Sam Bonaparte w poczuciu swojej siły, pełen niezwalczonego optymizmu, stale nieodstępującego genjalne natury na drodze ich rozkwitu, mógłby łatwo przeoczyć takie napomknienie; ale nie jego bracia. Bowiem — o czem zbyt często zapomina większość opisów — Napoleon nie przybył do Francji sam, ale otoczony swoim zgłodniałym, żądnym władzy klanem familijnym. Zrazu wystarczało matce i czterem bezrobotnym braciom, aby ich leader, ich Napolione, dla możności dostarczania siostrom sukien, ożenił się z córką bogatego fabrykanta. Kiedy teraz wszelako osiągnął tak niespodziewanie wielką władzę, czepiają go się wszyscy spiesznie pazurami, aby podciągnął za sobą całą rodzinę; i oni chcą pławić się w tej glorji, chcą z całej Francji, a potem z świata całego, uczynić familijne lenno rodu Bonapartów. Ich brudne, nienasycone i nieusprawiedliwione żadnym błyskiem genjuszu korsarstwo wywiera potężny nacisk na brata, aby poczynił kroki ku przeistoczeniu swojej, zależnej od miłości ludu, władzy w niezależną i trwałą, w dziedziczną władzę monarszą. Domagają się, aby stworzył trony dla nich wszystkich, aby sam nadał sobie tytuł króla albo cesarza; żądają, aby rozwiódł się z Józefiną i pojął za żonę badeńską księżniczkę — nikt nie śmie

jeszcze podnieść oczu na siostrę cara czy córę domu Habsburgów! Nieustannemi swojemi intrygami odciągają go coraz bardziej od dawnych jego towarzyszy, od dawnych jego idei; z republiki pchają go do reakcji, z wolności do despotyzmu.

Sama jedna przeciw temu nienasyconemu, niesympatycznemu klanowi staje, dość bezbronna zresztą Józefina, małżonka Konsula. Wie ona, że każdy krok, wznoszący Napoleona na wyżyny, wiodący go do nieograniczonej władzy, oddala go od niej, jako że nie jest w możności obdarzyć króla czy cesarza tem, czego idea dynastyczna domaga się od niej jako pierwszego i jedynego jej obowiązku: następcą tronu, a tem samem zapewnieniem Napoleonowi ciągłości władzy. Nieliczni tylko doradcy Bonapartego stoją po jej stronie (nietylko nie ma ona pieniędzy do rozdawania na prawo i lewo, ale sama tkwi zawsze po uszy w długach). Najwierniejszym jej jest w owym okresie Fouché.

Z nieufnością obserwuje on już oddawna, jak, wraz z niedającem się przewidzieć powodzeniem, wzrasta też niepomiernie i nieprzewidywanie ambicja Bonapartego, jak uporczywie nastaje on na usuwaniu, a nawet na prześladowaniu każdego szczerego republikanina, jako anarchisty i terorysty. Fouché dostrzega bystrym, podejrzliwym swoim wzrokiem, że — stosując wyrażenie Victora Hugo — „*Déjà Napoleon perçait sous Bonaparte*“, że z poza generała niebezpiecznie wyziera już cesarz, cezarowy władca z pod obywatela.

On sam wszelako, Fouché, przykuty na złe i dobre czasy do republiki łańcuchem ślubowania przeciwko królowi, żywo jest zainteresowany w utrzymaniu republiki i republikańskiego ustroju. Dlatego obawia się wszelkich pozorów monarchizmu, dlatego walczy potajemnie i otwarcie po stronie Józefiny.

Tego nie wybacza mu klan. Z iście korsykańską zdolnością nienawidzenia szpiegują członkowie klanu

każdy krok Fouché'go, aby przy lada zachaczce móc strącić niewygodnego w przepaść.

— — — — — — — — — — — — —

Czekają długo i niecierpliwie. Nagle nastręcza się okazja podstawienia Fouché'mu nogi. 24-go grudnia 1800 jedzie Bonaparte do Opery, aby być obecnym na paryskiej premjerze Haydnowskiego „Stworzenia świata", kiedy wtem, w ciasnej Rue Nicaise, tuż poza jego karocą, wytryskuje słupem ognia fontanna materjałów wybuchowych, prochu i drobno posiekanych kul z tak straszliwą siłą, że eksplozja druzgoce całe domy. Zamach, osławiona machina piekielna. Jedynie szalony pęd, nadany karocy przez rzekomo pijanego stangreta ratuje Pierwszego Konsula, ale czterdzieści osób leży zmiażdżonych na ulicy, a karoca, podrzucona wgórę prądem powietrza, staje dęba, jak śmiertelnie trafione zwierzę. Blady, z marmurowo nieruchomą twarzą, jedzie Bonaparte do Opery, aby popisać się swoją zimną krwią wobec rozentuzjazmowanego tłumu. Z sztywną obojętnością, podczas kiedy siedząca obok niego Józefina, wstrząsana spazmatycznemi łkaniami, niezdolna jest ukryć swoich łez, przysłuchuje się łagodnym melodjom Ojca Haydna i dziękuje z wymuszonym spokojem za grzmoty radosnych okrzyków.

Jak dalece sztucznie odegraną sceną teatralną była ta zimna krew, poczuć mają wkrótce jego ministrowie i doradcy państwa, wezwani do Tuilerjów i czekający już tam po jego powrocie z Opery. Na głowę Fouché'go przedewszystkiem wyładowuje się gniew Napoleona; jak oszalały rzuca się na bladego, nieporuszonego ministra policji: on, jako szef bezpieczeństwa, powinien był oddawna wpaść na trop podobnego zamachu, wiadomo jednak, że oszczędza z dobrze obmyśloną zbrodniczą pobłażliwością swoich przyjaciół, swoich dawnych współwinowajców, Jakobinów. Spokojnie odpiera Fouché ten dziki atak, zwracając uwagę, że dotych-

czas nic nie wskazało, aby zamach miał być dokonany przez Jakobinów, i że on osobiście jest przeświadczony, jako umaczali tu rękę spiskowi rojaliści, a główną rolę odegrały angielskie pieniądze.

Ale ta spokojna odpowiedź, to śmiałe zadanie mu kłamu, rozwścieczą Pierwszego Konsula jeszcze bardziej.

„To Jakobini, to napewno Jakobini, teroryści, ci szubrawcy, nieustannie spiskujący, przeciwstawiający się zwartą masą wszystkim rządom. Oni właśnie są tymi łotrami, którzy, aby zgładzić mnie ze świata, nie zawahali się oddać na łup tysiące ofiar. Ale wymierzę im sprawiedliwość, dostrzegalną dla wszystkich w najdalszym promieniu."

Fouché odważa się wyrazić raz jeszcze swoje powątpiewanie. Rozjuszony tem zuchwalstwem rzuca się Bonaparte pięściami nieomal na ministra, tak, że Józefina uważa za konieczne wtrącić się i uspokajająco ująć małżonka pod ramię. Ale ten wyrywa się jej i piorunującym potokiem słów zalewa Fouché'go, recytuje mu pełną listę zbrodni i mordów, popełnionych przez Jakobinów, przytacza dni grudniowe w Paryżu, republikańskie gody w Nantes, rzeź pojmanych w Wersalu, — wyraźne wskazanie palcem na „mitrailleur'a" Lyonu, świadczące, że doskonale znana mu jest przeszłość jego ministra.

Im głośniej wszelako wrzeszczy Bonaparte, tem uporczywiej milczy Fouché. Ani jeden muskuł nie drga na żelaznej masce jego twarzy pod gradem wściekłych oskarżeń, pod rakietami szyderczych spojrzeń, rzucanych przez braci Napoleona i dworaków na znienawidzonego ministra, który nareszcie potknął się na swojej drodze. Z kamiennym spokojem odpiera on wszystkie podejrzenia, z lodowatym chłodem opuszcza Tuilerje.

Jego upadek wydaje się nieunikniony, bowiem Napoleon niedostępny jest na wszelkie prośby i perswazje Józefiny, wstawiającej się za Fouché'm.

„Cóż to? Czy on sam nie był jednym z ich przywódców? Czyż nie wiem dobrze, czego dopuszczał się w Lyonie i na brzegu Loiry? Sam już Lyon i Loira starczą za wyjaśnienie postępowania Fouché'go“, woła zażarcie. Już zaczynają ludzie bawić się w odgadywanie nazwiska przyszłego ministra policji, już dworacy zaczynają odwracać się od popadłego w niełaskę, już, jak to zdarzało się tylokrotnie, zdaje się karjera Józefa Fouché być pogrzebaną nazawsze.

— — — — — — — — — — — — —

W ciągu najbliższych dni nie poprawia się sytuacja. Bonaparte nie daje się przekonać, że nie ma słuszności, twierdząc, jakoby Jakobini byli autorami zamachu. Żąda surowych kar i zarządzeń. A kiedy Fouché jemu i innym daje do zrozumienia, że natrafił na inne ślady, przyjmowany jest drwinami i pogardą. Wszyscy głupcy wykpiwają niemądrego ministra policji, który nie chce ujawnić tak rzucającego się w oczy faktu; wszyscy jego wrogowie tryumfują, widząc, z jakim uporem obstaje on przy swoim błędzie.

Fouché nie odpowiada nikomu. Nie sprzecza się, milczy. Milczy przez całe dwa tygodnie, milczy i spełnia rozkazy bez opozycji, nawet kiedy otrzymuje nakaz przedstawienia listy stu trzydziestu radykałów i dawnych Jakobinów, przeznaczonych na zesłanie do Guyany, na „suchą gilotynę“. Nie mrugnąwszy okiem, sporządza dekret, pociągający do odpowiedzialności sądowej ostatnich „Montagnardów“, ostatnich członków „Góry“, uczniów jego przyjaciela Baboeuf'a, ich obu: Topina i Arenę, których wykroczenie polega na tem, że publicznie mieli oświadczyć, jako Napoleon ukradł we Włoszech kilka miljonów, za które kupuje sobie teraz nieograniczoną władzę. Wbrew swojemu przekonaniu przygląda się Fouché biernie deportowaniu jednych, kaźni innych; milczy jak kapłan, związany tajemnicą konfesjonału, i asystuje z zapieczęto-

wanemi ślubem milczenia ustami przy traceniu niewinnych.

Oddawna bowiem natrafił Fouché na ślad, i kiedy inni szydzą z niego, kiedy sam Bonaparte codziennie wyrzuca mu z ironją niedorzeczny jego upór, gromadzą się w niedostępnym dla niczyich oczu gabinecie ministra policji niewątpliwe dowody, że autorami zamachu byli chouani, stronnictwo rojalistyczne.

I podczas kiedy na posiedzeniach Rady Stanu i na przedpokojach Tuilerjów przeciwstawia on wszystkim napaściom rzekomą zimną, opieszałą obojętność, w ukryciu pracuje gorączkowo z najbliższymi swoimi agentami. Złoto przyobiecywane jest masami jako premjum, poruszeni są wszyscy szpicle i szpiedzy Francji, całe miasto powołane jest do świadczenia.

Już rozpoznana została rozszarpana na setki kawałków klacz, która była zaprzężona do machiny djabelskiej, wykryte nazwisko właściciela klaczy, już opisani są dokładnie ludzie, którzy ją kupili, już, dzięki prowadzonej po mistrzowsku, owej *„biografie chouannique“* (wynalezionemu przez Fouché'go leksykonowi, zawierającemu dokładny spis i opis wszystkich emigrantów i rojalistów. wszystkich „chouanów“) stwierdzone są nazwiska zamachowców — ale Fouché milczy wciąż jeszcze. Wciąż jeszcze z niezachwianem bohaterstwem pozwala szydzić z siebie, pozwala tryumfować swoim wrogom. Coraz szybciej tkają się ostatnie nici w nierozerwalną sieć; jeszcze parę dni tylko, a trujący pająk będzie w nią złowiony. Tylko jeszcze parę dni!

Bowiem Fouché, podrażniony w swojej ambicji, upokorzony w swojej dumie, nie zadowolni się ani małem, ani średniem zwycięstwem nad Bonapartem i wszystkimi tymi, którzy zarzucali mu brak informacyj — i on także chce mieć swoje Marengo, swoje bezwzględne, druzgocące zwycięstwo.

— — — — — — — — — — — — —

I nagle, w czternaście dni później, zadaje on cios. Spisek został wykryty do ostatnich szczegółów, wszystkie ślady otwarcie ujawnione. Zupełnie jak to Fouché przepowiedział, był jego przywódcą najgroźniejszy z wszystkich chouanów, Cadoudal, a jego pomocnikami byli, płaceni angielskiem złotem, zaprzysiężeni rojaliści.

Jak uderzenie pioruna ogłusza wieść ta wrogów Fouché'go. Widzą oni wyraźnie, że daremnie i niesprawiedliwie skazano stu trzydziestu ludzi przedwcześnie, nazbyt śmiało wyszydzono nieprzeniknionego. Silniejszy, bardziej szanowany, groźniejszy niż kiedykolwiek, staje nieomylny minister policji przed opinją publiczną. Ze złością i podziwem zarazem patrzy Bonaparte na żelaznego rachmistrza, który ponownie potrafił wykazać, że jego zimne rachuby są oparte na niezachwianej słuszności i logice. Acz niechętnie musi jednak przyznać: „Fouché lepiej ocenił stan rzeczy, aniżeli wszyscy inni. Ma słuszność. Trzeba dobrze pilnować powracających emigrantów, chouanów i wszystkich ludzi tego stronnictwa".

Tylko jednak na poważaniu zyskuje Fouché u Bonapartego za wykrycie tej sprawy, nie na miłości. Nigdy bowiem nie będzie autokrata wdzięczny człowiekowi, który poważył się zwrócić mu uwagę na popełniony przez niego błąd, czy niesprawiedliwość. Nieśmiertelną wciąż pozostaje opowieść Plutarcha o żołnierzu, który zagrożonemu podczas bitwy królowi uratował życie i, zamiast, jak mu poradził pewien mędrzec, niezwłocznie uciec, pozostał, licząc na wdzięczność monarchy i za tę nadzieję postradał głowę. Królowie nie lubią ludzi, którzy byli świadkami chwili ich słabości, a natury despotyczne nie lubią doradców, którzy raz jeden chociażby okazali się mędrszymi od nich samych.

---

W zacieśnionym takim zakresie, jakim jest działalność policji, osiągnął Fouché szczyt tryumfu. Jakże

małym jest wszelako ten tryumf w porównaniu z tryumfami Bonapartego podczas ostatnich dwóch lat Konsulatu!- Szereg zwycięztw uwieńczył dyktator najpiękniejszem, zawarciem ostatecznego pokoju z Anglją i konkordatu z Kościołem: dwie największe potęgi świata przestały, dzięki jego energji czynu, dzięki jego planowej, twórczej przewadze, być wrogami Francji. Kraj uspokojony, finanse uporządkowane, kres położony podziałowi na stronnictwa, ułagodzone opozycje: dobrobyt zaczyna znów wzrastać, przemysł rozkwita z nową siłą, sztuka nabiera nowego rozpędu, rozpoczął się wiek Augustowy i niedaleką już jest chwila, w której Augustowi wolno będzie nazwać się Cezarem.

Fouché, który zna każde poruszenie nerwów i każdą myśl Bonapartego, spostrzega odrazu ku czemu zmierza ambicja Korsykanina: widzi, że stanowisko pierwszego obywatela Republiki nie wystarcza mu już i że chce on nietylko na przeciąg własnego życia, ale na wieki zagarnąć na własność dla siebie i dla swoich ten uratowany przez niego kraj. Publicznie nie daje wprawdzie Konsul Republiki wyrazu tak nierepublikańskiej ambicji, pod osłoną wszelako daje do zrozumienia swoim powiernikom, że Senat mógłby imponującym aktem zaufania, *„par un témoignage éclatant“* wyrazić mu swoją wdzięczność. W głębi serca pragnie znaleźć dla siebie jakiegoś Marka Antonjusza, niezachwianie pewnego, wiernego sługę, który zażądałby dla niego korony cesarskiej, i Fouché, tak bogaty w pomysły podstępów, mógłby zapewnić sobie teraz jego wdzięczność nazawsze.

Ale Fouché uchyla się od wykonania tej roli — a raczej uchyla się nie jawnie. Okazuje pozorną gotowość, potajemnie usiłuje pokrzyżować te zamiary. Staje przeciwko braciom, przeciwko klanowi, po stronie Józefiny, drżącej ze strachu i niepokoju przed tym ostatnim krokiem swojego małżonka ku koronie monarszej: wie, że nie pozostanie już potem długo jego żoną. Fouché ostrzega ją przed jawnem opieraniem się: „Niech się

pani zachowuje spokojnie," mówi jej. „Niepotrzebnie staje pani swojemu małżonkowi na jego drodze. Troski pani nudzą go, moje rady uraziłyby go tylko."

Próbuje tedy, jak stale zwykł czynić, udaremnić ambitne plany i kiedy Bonaparte z udaną skromnością nie ma wciąż jeszcze odwagi wypowiedzieć się jawnie, a z drugiej strony Senat zamierza zaproponować ów *„témoignage éclatant"* należy Fouché do tych, którzy podszeptują senatorom, że wielki człowiek, jako szczery i wierny republikanin, nie pragnie niczego, jak tylko przedłużenia mu jeszcze na dziesięć lat stanowiska Pierwszego Konsula. Senatorzy, przekonani, że ucieszą tem i należycie uczczą Bonapartego, uroczyście uchwalają taki wniosek. Ale Bonaparte, przejrzawszy zręczną intrygę i, zrozumiawszy, kto ją reżyseruje, pieni się z wściekłości, kiedy otrzymuje ten żebraczy dar. Chłodnemi słowami podziękowania żegna wręczających mu go posłów. Temu, który z rozkosznem drżeniem czuł już na swoich skroniach ciężar złotej korony cesarskiej, wydać się musiało marne to dziesięciolecie dziurawym orzechem, zasługującym jeno na pogardliwe podeptanie nogami.

Nie wytrzymując już tedy dłużej swojej roli, odrzuca Bonaparte przybraną maskę skromności i, jasno i wyraźnie, oznajmia swoją wolę: Konsulat dożywotni. Ale pod przejrzystą obsłonką tej nazwy przebłyskuje już wyraźna dla każdego wnikliwego oka, przyszła korona cesarska.

I tak potężnym jest już wówczas Bonaparte, że miljonową większością głosów czyni naród życzenie jego obowiązującem prawem i obiera go na władcę, jak sądzą obywatele i on sam, na cały przeciąg jego życia.

Republika skończyła się. Nastała monarchja.

Że Józef Fouché tak niecierpliwemu pretendentowi do korony cesarskiej wetknął kołek między szprychy jego ostatecznego dążenia, nie zapomni mu tego cała sfora braci i sióstr, nie zapomni mu tego korsykański

klan familijny. Dlatego też napierają niecierpliwie na Bonapartego: na co mu teraz, kiedy z tak żelazną pewnością usadowiony już jest na siodle, uprzykrzony i niewygodny wkładacz nogi w strzemię? W jakim celu teraz jeszcze, kiedy kraj jednomyślnie oświadczył swoją wolę nadania mu dożywotniego Konsulatu, kiedy wszelkie sprzeciwy szczęśliwie zostały pokonane, a spory załagodzone, zatrzymywać tak nadmiernie gorliwego stróża, który, wraz z strzeżeniem kraju, pilnie baczy na ich własne kręte ścieżki? Precz więc z nim! Zakończyć z nim porachunki, wydalić go, wiecznego tego intryganta i utrudniacza sytuacji-!

Nieustannie, wytrwale i uporczywie wgadują w wahającego się jeszcze brata.

Bonaparte podziela w gruncie rzeczy ich zdanie. I jemu nie na rękę jest ten zbyt wiele wiedzący i wciąż chcący wiedzieć jeszcze więcej szary cień, snujący się nieodstępnie za jego glorją. Ale do usunięcia tego właśnie ministra, który położył tak szczególne zasługi, który cieszy się w kraju nieograniczonem uznaniem, niezbędny byłby pozorny bodaj powód. Poza tem człowiek ten wzrósł równocześnie z nim samym w potęgę: lepiej więc nie czynić sobie z niego jawnego wroga. Umaczał on ręce we wszystkich tajemnicach, zna zbliska, w sposób dość niepokojący, wszystkie niezupełnie czyste, intymne sprawy korsykańskiego klanu, dlatego nie byłoby wskazane szorstko go urazić.

Wynajduje się zatem zręczny, aksamitny wybieg, który nie pozwala, aby usunięcie Fouché'go uchodziło w oczach świata za niełaskę: nie udziela się ministrowi Józefowi Fouché'mu dymisji, ale oświadcza, że tak po mistrzowsku, tak świetnie pełnił on swoje obowiązki, iż obecnie urząd, mający na celu nadzór nad obywatelami, Ministerjum Policji, stał się najzupełniej zbędny. Nie usuwa się zatem ministra, ale rozwiązuje Ministerjum Policji, znosi się jego urząd, a tem samem w nierzucający się w oczy sposób pozbywa się jego samego.

Aby zaoszczędzić nazbyt wrażliwemu dotkliwego ciosu, jakiem musi być dla niego wyrzucenie na ulicę, starannie owija się dymisję w jedwabną watę. Za utratę stanowiska wynagradza się go miejscem w Senacie, a list, którym Bonaparte oznajmia dymisjonowanemu o nadaniu mu wyższej rangi, brzmi jak następuje:

„Obywatel Fouché, jako minister policji, w najcięższych okolicznościach i warunkach swojem uzdolnieniem i swoją energją czynu, swojem oddaniem rządowi odpowiadał zawsze wszelkim wymaganiom, jakie stawiał bieg wypadków. Ofiarując mu teraz miejsce w Senacie, zdaje sobie rząd sprawę, że gdyby inne czasy wymagać miały ponownie ustanowienia ministra policji, nie znalazłby nikogo innego, bardziej godnego jego zaufania.“

Poza tem buduje mu Bonaparte, który zauważył, jak dalece bez zastrzeżeń pojednał się były komunista z dawnym swoim wrogiem, pieniądzem, — złoty most do emerytury. Kiedy minister przy ostatecznym obrachunku przekazuje mu dwa miljony i czterysta tysięcy franków, jako pozostałość po zlikwidowanym stanie posiadania urzędu policji państwowej, robi mu Bonaparte prezent z połowy tych pieniędzy, darowuje mu zatem miljon dwieście tysięcy franków. Nadto otrzymuje nawrócony pogardzacz pieniędzmi, który przed dziesięciu laty piorunował z taką pianą na ustach na „brudny, zaprzepaszczający duszę metal“, w dodatku do swojego tytułu senatora, zarazem senatorstwo Aix, małego księstewka, rozciągającego się od Marsylji do Tulonu i ocenianego na dziesięć miljonów franków wartości.

Bonaparte zna Fouché'go: wie, że ma on niespokojne, żądne hazardu ręce intryganta; skoro więc niemożna ich związać, trzeba raczej obciążyć je złotem.

Dlatego też rzadkością jest w całym przebiegu dziejów, aby minister został usunięty z urzędu z większemi honorami i z większą ostrożnością, aniżeli Józef Fouché.

## Rozdział piąty

## MINISTER CESARZA
## 1804—1811.

W 1802-im wycofuje się Józef Fouché, raczej nie, — Jego Ekscellencja pan senator Józef Fouché — na stanowcze, choć w łagodnej formie wyrażone życzenie Pierwszego Konsula do prywatnego życia, z którego wzniósł się przed dziesięciu laty na wyżynę. Niewiarogodne dziesięciolecie, koszące ludzi i bogate w przeżycia, przekształcające światy i zagrażające istnieniu ludzkiemu — ale Józef Fouché umiał należycie wykorzystać podobny czas.

Nie szuka ucieczki jak w 1794, w nieopalanej, nędznej izdebce mansardowej; nabywa dla siebie pięknie urządzony przy Rue Cerutti dom, który ongi należeć musiał do któregoś z „podłych arystokratów“ albo z „bezwstydnych bogaczy“. W Ferrières, przyszłej rezydencji Rotszyldów, urządza sobie wspaniałą letnią siedzibę, a jego udzielne księstwo w Prowancji, senatorstwo Aix, stale przysyła mu dochody. I poza tem wszakże po mistrzowsku posiadł on arkana szlachetnej sztuki alchemików wydostawania ze wszystkiego złota. Jego protegowani, robiący interesy giełdowe, dopuszczają go do udziału w nich, dzięki czemu zaokrągla Fouché korzystnie swoje posiadłości gruntowe. Jeszcze kilka lat, a autor pierwszego manifestu komunistycznego stanie się drugim z kolei zpośród najbogatszych obywateli Francji, posiadaczem najobszerniejszych w całym kraju włości. Z tygrysa lyońskiego przedzierzgnął się w zabiegliwego, skrzętnego chomika, w mądrego, oszczędnego posiadacza kapitałów, w prawdziwego artystę w sztuce wyciągania procentów ze swojego stanu posiadania.

To fantastyczne bogactwo politycznego dorobkiewicza nie wpływa jednak ani trochę na zmianę jego wro-

dzonego i w zaciszu klasztornem trwale wyrobionego w nim braku potrzeb. Jako posiadacz piętnastomiljonowego majątku, żyje Józef Fouché osobiście nie o wiele inaczej, aniżeli wówczas, kiedy, gnieżdżąc się w swojej mansardzie, z największym wysiłkiem zdołał wydostawać, z pod ziemi nieledwie, niezbędne piętnaście susów dziennie. Nie pali, nie pije, nie gra w karty, nie wydaje pieniędzy na kobiety, ani na zadowolenie swojej próżności. Zupełnie jak pierwszy lepszy poczciwy hreczkosiej używa po łąkach i polach przechadzki ze swojemi dziećmi — troje nowych urodziło się już potem, jak, z wycięczenia i braków, zmarło pierwszych dwoje — od czasu do czasu wydaje u siebie skromne przyjęcia, przysłuchuje się muzykowaniu przyjaciół jego żony, czyta książki i znajduje przyjemność w prowadzeniu mądrych rozmów. Bardzo głęboko, na niedosięgłem dnie duszy tego trzeźwego, skostniałego obywatela przyczaiła się demoniczna jego żądza politycznej gry hazardowej, podniecenia niebezpieczeństwem uprawiania polityki na szerokiej arenie światowej. Jego sąsiedzi nie dostrzegają nic z tego, widzą w nim tylko dzielnego administratora własnych jego dóbr, przykładnego ojca rodziny, czułego, troskliwego małżonka. Nikt również, kto nie zna Fouché'go z czasów jego urzędowania, ani się nawet domyśla, że pod pogodnem jego milczeniem kryje się, dławiona z coraz większym niepokojem, namiętna żądza wysunięcia się znów naprzód i zanurzenia się w odmęt polityki.

Dowiem, o, meduzowe oblicze władzy! Kto kiedykolwiek w nie zajrzał, nie jest już zdolny odwrócić od niego oczu, tak go ono oczarowało i uwięziło nazawsze w swoich okowach. Kto raz zaznał upajającego poczucia panowania i rozkazywania, nie będzie już nigdy mógł się go wyrzec. Wystarczy przerzucić karty historji ludzkości, aby przekonać się, jak mało na nich znaleźć można przykładów dobrowolnego wyrzeczenia się:

poza Sullą i Karolem V wyłowić można zpośród tysięcy i dziesiątków tysięcy postaci conajwyżej tuzin takich, którzy, nasyciwszy swoją chęć panowania, w pełni jasnego, trzeźwego umysłu wyrzekli się dobrowolnie bluźnierczej żądzy decydowania o losach miljonów.

Jak niepodobieństwem jest dla szulera wyrzeczenie się kart, dla pijaka wódki, dla kłusownika-polowania, tak samo nie może Józef Fouché wyrzec się uprawiania polityki. Spokój dręczy go i podczas kiedy, pogodnie napozór, z dobrze udawaną obojętnością, odgrywa rolę Cyncynata przy pługu, palą go już palce i drgają zakończenia nerwów z żądzy pochwycenia znów kart politycznych.

Mimo że uwolniony jest ze służby, dobrowolnie pełni w dalszym ciągu obowiązki policyjne; ażeby nie wyjść z wprawy, aby nie utonąć zupełnie w cieniu zapomnienia, posyła co tydzień Pierwszemu Konsulowi tajne informacje. Stanowi to dla niego miłą rozrywkę, daje mu w nieobowiązujący go do niczego sposób zajęcie dla jego intryganckiego ducha, nie zadowalnia go jednak całkowicie. Jego pozorne trzymanie się na uboczu jest jedynie wyczekiwaniem z gorączkowem napięciem możności ujęcia znów cugli w ręce, zaznania świadomości władzy nad ludźmi, władzy nad losami świata, władzy, władzy nadewszystko.

Bonaparte z wielu przejawów dostrzega niecierpliwość Fouché'go wybicia się naprzód, raczy wszakże udawać, że jej nie widzi. Dopóki tylko będzie mógł trzymać od siebie zdala tego niepokojąco mądrego i niepokojące pracowitego człowieka, pozostawi go w cieniu. Odkąd zaczęto się przekonywać, jak potężna siła samowładcza tkwi w tym kryjącym się w podziemiach człowieku, nie ma nikt, komu nie jest Fouché niezbędny, ochoty zatrudniać go u siebie i to jedynie sprawami najniebezpieczniejszemi.

Pierwszy Konsul daje mu wszelkiego rodzaju dowody swojej życzliwości, używa go do załatwiania rozmaitych

interesów, dziękuje mu za cenne informacje, od czasu do czasu zaprasza go na posiedzenia Rady Stanu, nadewszystko daje mu sposobność zarabiania i bogacenia się, byle tylko siedział cicho; przed jednem tylko broni się Bonaparte uporczywie, jak długo się daje: przed ponownem powierzeniem Fouché'mu dawnego stanowiska i przywróceniem Ministerjum Policji. Dopóki Bonaparte czuje się silnym, dopóki nie popełnia błędów, nie jest mu potrzebny taki niebezpieczny i nad miarę mądry sługa.

Na szczęście wszelako dla Fouché'go popełnia Bonaparte błędy.

Przedewszystkiem ów historyczny, decydujący o losach świata błąd niewybaczalny: nie wystarcza mu już to, iż jest Bonapartem, nie wystarcza mu niezachwiana wiara w samego siebie; pożąda, poza nieporównowanym, olśniewającym blaskiem spontanicznego tryumfu, bladej poświaty prawowitości, glorji tytułu.

Tego, który mógł nie obawiać się nikogo dzięki własnej swojej sile, dzięki niebywałej potędze swojej osobowości, lękiem przejmuje cień przeszłości, zagasła glorja wypędzonych Burbonów. Ulega też podszeptom Talleyrand'a i, łamiąc prawo międzynarodowe, każe ściągnąć przez żandarmów księcia Enghien z neutralnego terenu i rozstrzelać go — czyn, dla określenia którego znalazł Fouché słynne powiedzenie: „To było więcej niż zbrodnia, to był błąd."

Ten mord stwarza dokoła Bonapartego pustkę, wypełnioną zgrozą i przerażeniem, niechęcią i nienawiścią. Niebawem też będzie uważał za wskazane udać się ponownie pod ochronę tysiącokiego argusa, pod bezpieczną osłonę policji.

A poza tem, i to nadewszystko: w roku 1804-ym ponownie potrzebny jest Konsulowi Bonapartemu zręczny i wyzbyty skrupułów pomocnik do najwyższego jego wzniesienia się. Potrzebny mu jest znów strzemienny. To, o czem marzył przed dwoma laty, jako o spełnieniu

wszystkich swoich ambitnych zamierzeń — dożywotnia godność Pierwszego Konsula, wydaje się uniesionemu w górę na skrzydłach powodzenia niewystarczającą już. Chce być nietylko pierwszym obywatelem pomiędzy obywatelami, ale panem i władcą nad poddanymi; prze go żądza ochłodzenia gorejących skroni złotą obręczą cesarskiej korony.

Temu wszelako, kto chce być Cezarem, potrzebny jest Antonjusz. Jakkolwiek też Fouché oddawna już odgrywał rolę Brutusa (dawniej Katyliny nawet), okazuje się ten wygłodniały dwuletnim politycznym postem gracz najzupełniej chętnym do wyłowienia pożądanej korony cesarskiej z zabagnionego Senatu. Za przynętę do nasadzenia na wędkę służą pieniądze i świetne obietnice, i w ten sposób świat przeżywa niezwykłe widowisko. Były przewodniczący Klubu Jakobinów, obecna Ekscelencja, wymienia uściski dłoni w kuluarach Senatu i tak długo nalega i podszeptuje, aż wreszcie kilku usłużnych Bizantyńczyków stawia wniosek „stworzenia instytucji, która nazawsze zniweczyłaby nadzieje spiskowców, dzięki zapewnieniu Rządowi przetrwania poza kres życia jego kierownika". Wyłuskując z bombastyczności tego zdania właściwe jego jądro, znajdziemy w niem zamiar przedzierzgnięcia dożywotniego Konsula Bonapartego w dziedzicznego cesarza Napoleona.

Prawdopodobnie z pod pióra Fouché'go (który równie dobrze umie pisać miodem jak krwią), wychodzi owa psio służalcza petycja Senatu, żądająca od Bonapartego, „aby uwieńczył swoje dzieło, czyniąc je nieśmiertelnem".

Niewielu dzielniej przyczyniło się do usypania mogiły Republice, aniżeli Józef Fouché z Nantes, były deputowany Konwentu, były przewodniczący Klubu Jakobinów, *„mitrailleur de Lyon"*, zwalczający tyranów, ongi najbardziej republikański ze wszystkich republikanów.

Rychło też spotyka go zasłużona nagroda.

Jak niegdyś obywatel Fouché z rąk Konsula Bonaparte, tak samo teraz, po dwóch latach złotego wygnania, jego Ekscellencja, pan senator Józef Fouché z rąk Jego Cesarskiej Mości Cesarza Napoleona otrzymuje ponownie nominację na ministra. Po raz piąty składa Józef Fouché ślubowanie wierności — pierwsze złożył rządowi wówczas jeszcze królewskiemu, drugie — Republice, trzecie — Dyrektorjatowi, czwarte — Konsulatowi. Ale Fouché ma dopiero czterdzieści pięć lat: ile czasu pozostaje jescze do nowych ślubowań, do nowej wierności i nowej niewierności!

Z wznowioną po wypoczynku siłą pogrąża on się ponownie w dawny umiłowany żywioł wichru i wiru, związany ślubem wierności nowemu cesarzowi, w rzeczywistości wszelako zaprzysiężony duszą i ciałem własnej tylko, nigdy niezaspokojonej żądzy.

— — — — — — — — — — — — —

W ciągu dziesięciolecia stoją teraz naprzeciw siebie na scenie historji świata — a raczej za jej kulisami — obie postacie: Napoleon i Fouché, skuci z sobą wzajem łańcuchami przeznaczenia pomimo obustronnego jasnowidzącego oporu. Napoleon nie lubi Fouché'go, a Fouché nie lubi Napoleona — pełni wzajemnej ukrytej niechęci, posługują się sobą wzajem, związani jedynie siłą przyciągania się przeciwnych biegunów. Fouché'mu znana jest dokładnie potężna i niebezpieczna demoniczność Napoleona; wie on, że minie wiele dziesiątków lat, a świat nie zdobędzie się na wydanie podobnie górującego po nad wszystkimi, równie godnego służenia mu genjusza. Napoleon również wie, że nikt nie będzie zdolny tak błyskawicznie go rozumieć, jak ten trzeźwy, jasny, ostro odbijający odbierane obrazy, zwierciadlano — szpiegowski wzrok, ten niezmordowanie wytrwały, zdolny do żelaznej pracy, jednako nadający się do pełnienia funkcyj najlepszych i najgor-

szych talent polityka, któremu do tego, aby był idealnym sługą brak jednego tylko: bezwzględnego oddania i wierności bez zastrzeżeń.

Bowiem Fouché nie będzie nigdy i niczyim sługą, ani tem mniej niczyim lokajem. Nie poświęci nigdy duchowej swojej niezależności, własnej swojej woli na ołtarzu obcej sprawy. Przeciwnie: im głębiej dawni republikanie, w przebraniu świeżoupieczonej arystokracji, pławią się w glorji imperatorskiej, im niżej z funkcji doradców spadają do roli pochlebców i lizusów, tem sztywniej pręży się kark Fouché'go. Niepodobna wprawdzie wobec coraz bardziej samowładnego, coraz bardziej cezarowo niedostępnego cesarza występować z otwartą opozycją, z szczerze wypowiadanym odmiennym poglądem, oddawna bowiem wymiecione zostało z Tuilerjów szczere koleżeństwo, otwarta wymiana zdań obywatela z obywatelami. Cesarz Napoleon, który każe się przez dawnych swoich towarzyszów broni, a nawet (jak musiało im się wydawać to śmiesznem!) przez własnych swoich braci tytułować „Sire", i nie pozwala tykać się przez żadnego śmiertelnika prócz własnej swojej żony, nie życzy sobie już więcej wysłuchiwać rad swoich ministrów. Już nie, jak dawniej, w niedbale zwisającym żabocie, w rozchylonym kołnierzu, swobodnym krokiem wchodzi obywatel minister Fouché do obywatela Konsula Bonaparte, ale w sztywno podpierającym podbródek, wysokim, haftowanym złotem halsztuku, opięty w pompatyczny uniform dworski, w czarnych jedwabnych pończochach i lśniących lakierowanych pantoflach, oklejony orderami, z kapeluszem stosowanym w ręku, udaje się teraz minister Józef Fouché na rodzaj posłuchania do cesarza Napoleona. „Pan" Fouché musi nasampierw złożyć dawnemu swojemu współspiskowcowi i towarzyszowi czołobitny ukłon, zanim wolno mu przemówić do „Jego Cesarskiej Mości". Z głębokim ukłonem wchodzi, z równie głębokim ukłonem wycofuje się, musi chylić bez oporu głowę

przed wydawanemi szorstko rozkazami, zamiast prowadzenia rozmów bardziej poufnych. Mowy być nie może o stawianiu oporu temu najgwałtowniejszemu ze wszystkich ludzi o żelaznej woli indywidualnej.

A przynajmniej o stawianiu oporu otwarcie. Fouché zbyt dobrze zna Napoleona, aby, w razie różnicy zdań, chciał narzucać mu swoje. Pozwala wydawać sobie rozkazy, komenderować sobą, zupełnie tak samo jak inni pochlebcy i służalczy ministrowie cesarscy; z tą maleńką wszelako różnicą, że niezawsze posłuszny jest tym rozkazom. O ile nakazane mu zostają aresztowania, z któremi on sam się nie zgadza, każe uprzednio ostrożnie ostrzec zagrożonych; jeśli zaś jest zmuszony karać, podkreśla zawsze i wszędzie z naciskiem, że dzieje się to na skutek wyraźnej woli cesarza, nie zaś w myśl jego osobistego życzenia. Uprzejmości natomiast i dowody łaski rozdaje zawsze w imieniu własnem.

Im bardziej władczo występuje Napoleon — zdumiewające jest istotnie, jak jego imperatywny z przyrodzenia temperament przybiera, wraz z wzrastającą potęgą, coraz bardziej autokratyczny i nieokiełznany charakter — tem uprzejmiej i bardziej pojednawczo występuje Fouché. Tak więc, bez słowa nagany dla cesarza, drobnemi tylko uwagami, uśmiechami i milczeniem stwarza on sam jeden wyraźną, acz nigdy nieuchwytną opozycję przeciwko nowemu Majestatowi z Bożej łaski. Oddawna przestał już zadawać sobie niebezpieczny trud narzucania cesarzowi prawd; zbyt dobrze mu wiadomo, że niema dla nich miejsca u cesarzy i królów, chociażby nawet nazywali się oni poprzednio Bonapartymi. Z ukrycia tylko złośliwie podsuwa mu czasem szczere uwagi, przemycając je niepostrzeżenie w codziennych swoich raportach. Zamiast powiedzieć: „sądzę“, „uważam“, i zasłużyć na naganę podobnem zuchwalstwem samodzielnego myślenia, pisze w swoich raportach: „mówią“, albo „jeden z ambasadorów wyraził się“ i w ten sposób wtyka do codziennego truflowego pasztetu pi-

kantnych nowinek parę ziarnek pieprzyku, dotyczących cesarskiej familji. Z pobladłemi wargami zmuszony jest Napoleon odczytywać odsłaniany cały brud, całą hańbę insynuacji, dotyczących jego sióstr i zaznaczanych w raportach, jako „złośliwe plotki"; także mocno napojone jadem kęśliwe uwagi o samym sobie, ostre, piekące docinki, jakiemi zręczna ręka Fouché'go rozmyślnie zaprawia biuletyny. Nie wypowiadając ani jednego słowa bezpośrednio od siebie, podsuwa od czasu do czasu wykrętny sługa niewygodnemu swojemu panu niepożądane prawdy i patrzy, asystując z obojętnie ugrzecznioną miną przy ich odczytywaniu, jak żelazny władca dławi się niemi nieledwie. W ten sposób wywiera drobną swoją zemstę na poruczniku Bonapartem, który, z chwilą wdziania na siebie munduru cesarskiego, zgadza się widzieć przed sobą dawnych swoich doradców, drżących tylko, ze zgiętym służalczo karkiem.

— — — — — — — — — — — — —

Widzimy więc, że atmosfera pomiędzy obu tymi ludźmi nie jest przyjazna. Podobnie jak Fouché nie jest przyjemnym sługą dla Napoleona, tak samo Napoleon nie jest przyjemnym panem dla Fouché'go. Ani razu nie pozwala, obojętny i ufny, złożyć sobie raportu policyjnego na stole. Każdy wiersz poszczególnie bada sokolim swoim wzrokiem, wnikliwie podchwytuje najdrobniejszą niezgodność, najmniejszą niedokładność, i w takich razach wybucha piorunami gniewu, łając swojego ministra jak żaka, nie starając się opanować ani powściągnąć nieokiełznanego, korsykańskiego swojego temperamentu. Stojący na warcie przy drzwiach, podglądacze przez dziurkę od klucza, koledzy z Rady Ministrów, jednozgodnie zaznaczają, jak bardzo podniecało i drażniło cesarza wręcz odwrotne zachowanie przez Fouché'go przy tych okazjach niezmącenie zimnej krwi. Ale i bez ich świadectwa (wszystkie pamiętniki z owych czasów czytać należy przez krytyczne szkło

powiększające) miałoby się o tem wystarczające pojęcie, już z samych listów bowiem pada twardy, ostry ton komendy: „Uważam, że policja nie przeprowadza z dostateczną mocą i czujnością strzeżenia prasy“, poucza on starego, doświadczonego w tych rzeczach mistrza, albo też beszta go szorstko: „Możnaby przypuścić, że panowie z Ministerjum Policji nie umieją czytać: nie dba się tam o nic.“ I na innem miejscu: „Przypominam, że niewolno panu wykraczać po za ramy pańskiej działalności i mieszać się do spraw, stojących poza panem.“

Napoleon nie krępuje się fukać na niego wobec innych świadków— dowodzą tego setki sprawozdań. Wobec adjutantów i Rady Stanu wymyśla mu bez skrupułów, i kiedy pieni się z wściekłości, nie cofa się nawet przed wypominaniem mu Lyonu i terorystycznego jego okresu. Bez ogródek nazywa go królobójcą i zdrajcą. Ale Fouché, zimny jak głaz obserwator, który po dziesięciu latach obeznał się dokładnie z całą klawiaturą tych wybuchów gniewu, wie, że wybłyskują one czasem wprost z gorącej krwi tego zapaleńca, często wszakże urządza je Napoleon po komedjancku, z pełnią świadomości. Nie daje się więc zastraszyć ani burzami prawdziwemi, ani sztucznemi, teatralnemi, jak austrjacki minister Cobenzl chociażby, który wpadł w nerwowe drgawki ze strachu, kiedy cesarz rzucił mu pod nogi kosztowną wazę porcelanową. Fouché nie daje się ani wyprowadzić w pole świetnie udawanym atakiem rozwścieczenia, ani zastraszyć wybuchem prawdziwego. Z nieporuszoną, jak maska, niezabarwioną śladem rumieńca kredową twarzą, nie zdradzając ani mrugnięciem kącika oczu, ani drgnieniem nerwu śladu wzburzenia, stoi spokojnie pod spadającym na niego gradem słów — jedynie tylko przy opuszczaniu pokoju krzywi może wązkie jego usta uśmiech złośliwy czy ironiczny.

Nie drgnie nawet, kiedy cesarz wpada na niego

z wrzaskiem: „Jest pan zdrajcą; powinien byłbym kazać pana rozstrzelać“, ale odpowiada obojętnym tonem, nie zmieniając nawet intonacji: „Nie jestem tego zdania, Sire“.

Setki razy pozwala, aby cesarz wymawiał mu miejsce, groził mu zesłaniem i pozbawieniem go stanowiska — i zawsze z całym spokojem opuszcza pokoje cesarskie, zupełnie pewien, że nazajutrz ponownie wezwany zostanie do cesarza. Okazuje się też, że trafnie zawsze przewiduje. Bowiem, pomimo swojego gniewu, swojej nieufności, a nawet swojej tajonej nienawiści, nie może Napoleon w ciągu dziesięciolecia ani razu naprawdę obyć się całkowicie bez Fouché'go.

Ta władza Fouché'go nad Napoleonem nie ma w sobie jednak nic czarodziejskiego ani hypnotyzerskiego. Jest ona zdobyta latami pracowitej, zręcznej, systematycznej obserwacji, jest starannie wykalkulowana na zimno. Fouché wie wiele, wie nawet zbyt wiele.

Zna, nietylko dzięki wylewności cesarza, ale nawet i wbrew jego woli, wszystkie jego tajemnice, trzyma też w szachu, zarówno całe państwo, jak i swojego władcę, posiadaniem w sposób magiczny nieledwie wszystkich bez wyjątku, informacyj. Przez własną żonę cesarza, Józefinę, poinformowany jest dokładnie o najintymniejszych szczegółach ich łoża małżeńskiego; przez Barras'a znane mu są najściślej wszystkie szczeble krętej drabiny pięcia się Napoleona wzwyż. Kontroluje, dzięki swoim stosunkom z finansistami, prywatne sprawy pieniężne cesarza. Nie uchodzi jego wiadomości żadna z setek brudnych sprawek rodziny Bonapartów, żadna z karcianych afer jego braci, żadna z messalinowych przygód jego siostry, Pauliny. Wiadome mu są wszystkie zdrady małżeńskie popełniane przez władcę. Ilekroć Napoleon, o jedenastej w nocy, otulony w cudzy płaszcz, nieledwie zamaskowany, wyślizguje się przez ukryte boczne drzwiczki Tuilerjów do której z kochanek, wie Fouché zaraz nazajutrz

z rana dokąd pojechał cesarski powóz, jak długo cesarz pozostawał w owym domu, o której powrócił do pałacu, a nawet pewnego razu jest w możności zawstydzenia władcy świata wiadomością, że owa wybrana zdradza go, zdradza Napoleona z jakimś marnym aktorzyną.

Każde ważniejsze pismo wędruje dzięki przekupionemu sekretarzowi z gabinetu cesarza do Fouché'go, a niejeden z wyższych i niższych lokajów otrzymuje dodatkową gażę miesięczną z prywatnej kasy ministra policji za wierne powtarzanie wszystkich prowadzonych w pałacu rozmów. Dniem i nocą, przy stole i w łóżku, podlega Napoleon czujnej kontroli swojego nadmiernie gorliwego sługi. Niepodobieństwem jest ukryć przed argusowem jego okiem jakąś tajemnicę, zmusza to więc cesarza do powierzania mu ich, czy chce, czy niechce.

To posiadanie niezawodnych informacyj o wszystkiem i o wszystkich stwarza jedyne źródło tak bardzo podziwianej przez Balzac'a władzy Fouché'go nad ludźmi.

— — — — — — — — — — — — —

Z tą samą wszelako starannością, z jaką Fouché otacza czujną strażą wszystkie sprawy, plany, myśli i słowa cesarza, przemilcza i ukrywa on przed nim swoje własne. Fouché nie zwierza się nigdy ani przed cesarzem, ani przed kimkolwiek, z istotnych swoich zamierzeń i prac; z olbrzymiego bogactwa swoich informacyj udziela tych tylko, których podoba mu się udzielać. Wszystko inne pozostaje pod szczelnem zamknięciem w szufladzie biurka ministra policji; do tej niedostępnej ostatniej warowni nie daje Fouché przystępu ani wglądu nikomu. Jedyną i wyłączną jego namiętność stanowi rozkosz pozostawania zawsze nieodgadnionym, nieprzeniknionym, zajmowania w dalszym ciągu wciąż stanowiska, z którego może nie zdawać przed nikim rachunku.

Daremnie tedy Napoleon otacza go szpiegami — Fouché wyszydza ich, a nawet wykorzystuje ich czujność, aby, za ich pośrednictwem, podsuwać o sobie ich wyprowadzanemu w ten sposób w pole mocodawcy zgoła fałszywe i bałamutne sprawozdania. Z biegiem lat staje się ta wzajemna ich gra szpiegostwa i kontrszpiegostwa coraz podstępniejszą i bardziej zajadłą, jej zaprzestanie jawnie wprost nieszczerem. — Nie, zaiste, atmosfera pomiędzy tymi dwoma ludźmi, z których jeden chce być zanadto panem, a drugi zamało sługą, nie należy do jasnych i przejrzystych. Im bardziej wzrasta Napoleon w siłę i potęgę, tem bardziej uprzykrzonym staje się dla niego Fouché. Im silniejszy jest Fouché, tem bardziej nienawistnym staje mu się Napoleon.

— — — — — — — — — — — — —

Poza tą prywatną wrogością, mającą źródło w odmienności duchowego ukształtowania, wytwarza się olbrzymie, wzrastające wciąż napięcie, zależne od dążeń czasu. Z roku na rok coraz wyraźniej zarysowują się wewnątrz Francji dwie przeciwstawne wole. Kraj pożąda raz wreszcie pokoju, zaś Napoleon dąży do nowych wciąż wojen. Bonaparte z 1800-go, spadkobierca i organizator Rewolucji, zespala się wciąż jeszcze w dążeniach z krajem swoim, ze swoim narodem, z swoimi ministrami; Napoleon z 1804-go, cesarz nowego dziesięciolecia, oddawna już przestał myśleć o swoim kraju i o swoim narodzie. Wzrokiem swoim ogarnia już tylko Europę, ogarnia świat, dąży do nieśmiertelności. Po mistrzowskiem dokonaniu poruczonych mu zadań sam nakłada sobie, w poczuciu bezmiaru własnej siły, nowe wciąż i coraz trudniejsze; i ten, który potrafił przeistoczyć chaos w porządek, gwałtownie pociąga za sobą własny czyn, własny porządek, zpowrotem w odmęt chaosu.

Nie znaczy to bynajmniej, aby jego. jak djament jasny i jak djament ostry, rozum miał się zmącić; nie,

przenigdy: intelekt Napoleona, pomimo całej swojej demoniczności, matematycznie ścisły i precyzyjny, pozostaje wspaniale żywy i przedziwnie czujny aż do ostatniej sekundy, w której umierający trzęsącą się już ręką spisuje swój testament, to dzieło swoich dzieł. Ale ten jego rozum utracił już oddawna ziemską swoją miarę. Jakże zresztą mogłoby być inaczej po podobnem spełnieniu zadań nieprawdopodobnych!

Czy jest do pomyślenia, aby po takich niesłychanych zdobyczach, urągających wszelkim przepisom politycznej gry świata, dusza, nawykła do tak bezmiernych stawek, nie miała zapragnąć pobicia rekordu nieprawdopodobieństwa spełnieniem czynów jeszcze nieprawdopodobniejszych?!

Napoleon zupełnie tak samo nie ulega zamroczeniu umysłu, nawet przy najzuchwalszych, najszaleńszych swoich awanturniczych przedsięwzięciach, jak nie ulegali zamroczeniu: Aleksander Macedoński, Karol XII, czy Kortez. Tak samo wszelako jak tamci, utracił — wobec niesłychanych, nieprawdopodobnych zwycięstw — miarę możliwości. I właśnie ten szał opętańczy przy zachowaniu najjaśniej zdrowego i trzeźwego rozumu — wspaniale imponujący przejaw ducha, niczem orkan mistralowy przy przejrzyście jasnem niebie! — rodzi czyny, które są równocześnie zbrodnią, popełnioną przez jednego człowieka na setkach tysięcy i legendarnem zbogaceniem ludzkości.

Pochód Aleksandra z Grecji aż do Indji — jeszcze dzisiaj wydający się bajką, ilekroć idzie się jego szlakiem, wodząc palcem po mapie —, podróż Korteza, marsz KarolaXII z Sztokholmu do Połtawy, karawana, złożona z sześciuset tysięcy ludzi, którą Napoleon ciągnie za sobą z Hiszpanji do Moskwy — wszystkie te czyny zarazem bohaterstwa i zuchwalstwa są w naszych dziejach nowoczesnych tem samem, czem walki Prometeusza i Tytanów z bogami w micie greckim:

nadludzkością i bohaterstwem, w każdym razie zuchwałem już maksimum wszelkiej osiągalności ziemskiej.

I ku tej najwyższej mierze zdąża niepowstrzymanie Napoleon odkąd poczuł na swoich skroniach koronę cesarską. Wraz z powodzeniem wzrastają jego cele; ze zwycięstwami — jego nieustraszone zuchwalstwo; wraz z odnoszeniem tryumfów nad losem — pragnienie coraz bezczelniejszego jego wyzywania. Nic więc naturalniejszego nad to, że inni ludzie dokoła niego, o ile nie ogłuszyły ich zwycięzkie fanfary i nie oślepił blask powodzenia, że mądrzy i zarazem rozważni, jak Talleyrand i Fouché, doznawać zaczynają uczucia grozy. Oni obaj myślą o czasie obecnym, o teraźniejszości, — o Francji — myśl Napoleona zaprzątnięta jest wyłącznie potomnymi, legendą, historją.

To wiecznie powtarzające się w historji przeciwieństwo namiętności i rozumu, charakterów demonicznych i logicznych, występuje na widownię dziejów we Francji wnet po przełomie stulecia, cechując pierwszoplanowe ówczesne jej postacie.

Wojna uczyniła Napoleona wielkim, wydźwignęła go z nicości na tron cesarski. Cóż naturalniejszego tedy, aniżeli jego nieustanne pożądanie wojny i szukanie wciąż nowych, coraz potężniejszych przeciwników. Już wprost tylko biorąc liczbowo, wzrasta fantastycznie wysokość jego stawek. Pod Marengo, w 1800-ym, zwyciężył na czele trzydziestu tysięcy żołnierzy, w pięć lat później prowadzi już na pole bitwy trzysta tysięcy, a w jeszcze pięć lat potem wyciąga z wykrwawionego, przemęczonego wojnami kraju miljon zbrojnych sił. Ostatniego pachołka w jego armji, najgłupszego chłopa możnaby wyliczeniem na palcach przekonać, że taka „guerromanja i courromanja“ (Stendhal ukuł te wyrazy) musi w ostatecznym wyniku doprowadzić do katastrofy, proroczo też mówi Fouché pewnego razu, na pięć lat przed Moskwą, do Metternicha: „Gdy was zwycięży, pozostanie mu już Rosja tylko i Chiny“.

Jeden tylko nie widzi tego, czy też umyślnie przysłania sobie ręką oczy: Napoleon. Człowieka, który przeżył mgnienie Austerlitzu, a potem chwilę Marengo i Eylau, skondensowaną w dwie godziny historję świata, nie może już zadowolnić, ani podniecić przyjmowanie na dworskich balach rzesz pochlebców w kąpiących od złota mundurach, zajmowanie loży w przystrojonej wspaniale na jego cześć Operze, wysłuchiwanie mów nudziarzy deputowanych. Nie, oddawna już czuje on miłe łaskotanie nerwów wówczas jedynie, kiedy na czele wojsk swoich przebiega w marszu pospiesznym całe kraje, druzgoce armje, niedbałem skinięciem palcem strąca królów z ich tronów, niby figury szachowe z szachownicy, a na ich miejscu osadza innych; kiedy wnętrze Inwalidów staje się lasem zdobytych sztandarów, a świeżo założona skarbnica napełnia się cennym, ściągniętym z całej Europy łupem. Myśli już tylko kategorjami pułków, korpusów, armji; oddawna już uważa Francję, cały kraj, świat cały, za stawkę jedynie, za przynależną mu bez ograniczeń własność *(„La France c'est moi")*.

Niektórzy wszelako z otaczających go uporczywie trzymają się w głębi duszy poglądu, że Francja przedewszystkiem należy do samej siebie, że jej ludność, jej obywatele nie powinni służyć do tego, aby czynić królów z korsykańskiej kliki, a z całej Europy bonapartystowski majorat. Z wzrastającą niechęcią przyglądają się przybijaniu do bram z roku na rok list konskrypcyjnych, wyrywaniu z domów osiemnasto- i dziewiętnastoletnich chłopaków, którzy potem bezsensownie marnieją i giną na granicach Portugalji i na śnieżnych obszarach Polski i Rosji, a conajmniej poświęcają swoje życie dla rzeczy, której sens oddawna przestał już być uchwytny. W ten sposób powstaje pomiędzy nim, zapatrzonym wgórę ku własnym gwiazdom, a ludźmi, jasno zdającymi sobie sprawę ze stanu rzeczy, dostrzegającymi znużenie i zniecierpliwienie

ludności własnego kraju, coraz bardziej zaostrzające się przeciwieństwo. Że zaś władczy już teraz, autokratyczny jego duch nie pozwala na dawanie sobie rad i przez najbliższych nawet, zaczynają oni rozważać potajemnie, w jaki sposób powstrzymać to toczące się w szalonym pędzie koło i uratować je od nieuniknionego zwalenia się w przepaść. Musi bowiem nastąpić chwila, w której rozum i obłędna namiętność ostatecznie się poróżnią i otwarcie staną wrogo wzajem przeciwko sobie, chwila, w której wybuchnie walka pomiędzy Napoleonem a najmędrszymi z jego sług.

— — — — — — — — — — — — —

Tajemna ta opozycja przeciwko roznamiętnieniu Napoleona do wojen i zatraceniu przez niego wszelkiej miary jednoczy wreszcie dwóch najzawziętszych przeciwników zpośród jego doradców: Fouchég'o i Talleyrand'a. Obaj ci najzdolniejsi ministrowie Napoleona, psychologicznie najciekawsi ludzie swojej epoki, nie lubią się wzajem — prawdopodobnie dlatego, że pod wieloma względami zbyt są do siebie podobni. Obaj, jako cyniczni i bezwzględni wyznawcy Machiavela, trzeźwo, realnie i jasno zapatrują się na rzeczy. Obaj przeszli przez szkołę kościoła i gorącą wyższą szkołę rewolucji, obaj odznaczają się jednaką, pozbawioną sumienności zimną krwią w sprawach pieniężnych i honorowych, obaj jednako niewiernie, jednako nie licząc się z żadnemi skrupułami, służą Republice, Dyrektorjatowi, Konsulatowi, Cesarzowi i Królowi. Nieustannie spotykają się — w przebraniu rewolucjonistów, senatorów, ministrów, sług królewskich — obaj ci charakterystyczni przedstawiciele kameleonowej zmienności na tej samej scenie historji świata; i właśnie dlatego, że należą do tej samej duchowo rasy i że wyznaczone im zostały do odegrania jednakie role dyplomatyczne, nienawidzą się wzajem z pełnią zimnego przenikania się i dobrą racją do nienawidzenia się, jakie cechują zawsze współzawodników.

I jeden i drugi są przedstawicielami tego samego amoralnego typu, o ile wszelako źródłem ich podobieństw są ich charaktery, o tyle podstawę ich odmienności stanowi pochodzenie każdego z nich.

W żyłach Talleyrand'a, księcia de Perigord, arcybiskupa d'Autun, płynie błękitna krew starego rodu arystokratycznego; obleczony on jest już w fjoletową togę dostojnika Kościoła, duszpasterza całej francuskiej prowincji, kiedy mały, mizerny syn kupca, Józef Fouché, jako pomiatany przez wszystkich, bez znaczenia wykładowca seminaryjny, wdębia za kilka susów miesięcznie, matematykę i łacinę w głowy kilku tuzinów wychowańców klasztoru. Tamten jest już przedstawicielem interesów Republiki Francuskiej w Londynie i słynnym przewodniczącym Stanów Generalnych, kiedy ten dopiero przypodchlebianiem się i zabieganiem z trudnością wyławia dla siebie mandat. Wyniosły Talleyrand, zstępując z wyżyn do rewolucji, raczy wysiąść jako władca z swojej karocy, witany kornemi okrzykami radości, i zejść o parę stopni niżej do trzeciego stanu, podczas kiedy Fouché z wysiłkiem, drogą podziemnych knowań i intryg, powoli się ku niemu wspina.

Ta odmienność ich pochodzenia nadaje szczególne zabarwienie ich zasadniczemu podobieństwu. Talleyrand służy, jako człowiek wyniosłego gestu, z obojętną, zimną łaskawością wielkiego pana; Fouché — z zabiegliwą, przymilną służalczością gorliwego urzędnika. W tem samem, w czem są wzajem do siebie podobni, różnią się też wzajem, i chociaż obaj tak bardzo lubią pieniądze, występuje ten rys u Talleyrand'a w sposób arystokratyczny: aby móc trwonić je i rozrzucać pełną garścią przy stoliku karcianym i na kobiety, gdy natomiast, syn kupca, Fouché, dąży do kapitalistycznego, skrzętnego gromadzenia i korzystnego, dywidendowego wyzyskiwania go.

Dla Talleyranda ma władza jedynie znaczenie moż-

ności łatwiejszego używania życia; dostarcza mu ona najlepszej i najwytworniejszej sposobności zagarnięcia na swój użytek wszelkich uciech świata: zbytku, kobiet, sztuki, wykwintu stołu biesiadnego, gdy, przeciwnie Fouché, nawet jako bogacz wielomiljonowy, wciąż jeszcze pozostaje spartańskim kutwą klasztornym.

Obaj nie pozbywają się nigdy całkowicie charakterystycznych cech sfery towarzyskiej, z jakiej pochodzą. Nigdy, nawet w okresie największego rozpasania teroru, nie jest książę de Perigord, nie staje się Talleyrand, prawdziwym człowiekiem ludu, prawdziwym republikaninem. Nigdy, nawet jako świeżoupieczony książę Otrantu, pomimo swojego kapiącego od złota munduru, nie będzie Józef Fouché prawdziwym arystokratą.

Bardziej olśniewa, bardziej czaruje, może nawet większe z nich obu znaczenie ma Talleyrand. Jego umysł, zapłodniony przez muzy, kształtowany przez wieki kultury, wyćwiczony przez *esprit* osiemnastego stulecia, lubuje się grą dyplomacji, jako jedną z wielu podniecających hazardowych gier bytu; nienawidzi on wszelako pracy. Niechętnie fatyguje się własnoręcznem napisaniem listu, z przyjemnością zrzuca z siebie ten prawdziwy lubieżnik, wyrafinowany rozkoszniś, całą ciężką robotę taczkową na cudze plecy i smukłemi, strojnemi w pierścienie, palcami swojemi, obojętnym, niedbałym ruchem zgarnia na swoją korzyść jej wynik. Wystarcza mu jego intuicja przenikania piorunowem spojrzeniem najbardziej zawikłanych sytuacji. Urodzony i urobiony przez studja psycholog, nawskroś przenika on, jak mówi Napoleon, wszystkie myśli i, nie dając żadnych rad, podtrzymuje każdego w tem, czego tamten w głębi duszy pragnie. Jego działalność polega na śmiałych zwrotach, na błyskawicznych koncepcjach, na zręcznem wyślizgiwaniu się z wszystkich niebezpiecznych sytuacji. Z lekceważe-

niem odmawia zajmowania się szczegółami, trudzenia się w pocie czoła.

To zamiłowanie do minimum wysiłku, do najbardziej skoncentrowanej postaci duchowych posunięć, stanowi też źródło niezwykłej jego zdolności rzucania najbardziej olśniewających dowcipem powiedzeń, tworzenia słynnych w następstwie aforyzmów. Nie pisze długich raportów: jednem, ostro wyszlifowanem słowem trafia w sedno rzeczy, streszcza sytuację, maluje całego człowieka.

Fouché'mu, wprost przeciwnie, brak tej zdolności szybkiego ogarniania widnokręgów. Z wysiłkiem, z mrówczą zabiegliwością i pracowitością zadzierzguje i ściąga on niezliczone, mikroskopijne oczka, skrzętnie gromadzi tysiące i tysiące drobnych spostrzeżeń, które potem, zebrane, zsumowane i skombinowane, dostarczą sumiennych, bezsprzecznych, nieodpartych wyników i dowodów. Fouché posługuje się metodą analityczną, Talleyrand — wizjonerską; talentem Fouché'go jest pracowitość, Talleyrand'a — błyskawiczność jego umysłu. Żaden artysta nie byłby w stanie wymyśleć dwóch ludzi bardziej krańcowo przeciwstawnych, aniżeli postawiła historja w osobach ich obu — leniwego improwizatora Talleyranda, i tysiącokiego, trzeźwego rachmistrza, Fouché'go — u boku Napoleona, tego skończonego genjusza, łączącego w sobie uzdolnienia jednego i drugiego: talent ogarniania szerokich horyzontów i zdolność wnikliwego rozważania, zapał i pracowitość, znajomość świata i jasnowidzenie.

Nikt wszelako nie jest zdolny nienawidzieć się wzajem zacieklej, aniżeli poszczególne odmiany tej samej rasy. Dlatego też, wiedzeni wewnętrznym, najbardziej utajonym instynktem, opierający się na dokładnej wzajemnej znajomości najintymniejszych swoich poruszeń, nienawidzą się wzajem Talleyrand i Fouché. Od pierwszego dnia czuje *grand seigneur* wstręt do mrówczego łatacza, kancelaryjnego koncypienta ra-

portów, donosiciela, do zimnego podsłuchiwacza i wypatrywacza, Fouché'go, zaś Fouché, ze swojej strony, nie znosi lekkomyślności, płochości, rozrzutności, pogardliwie szlacheckiej i leniwie gnuśnej opieszałości Talleyrand'a.

Dlatego też jeden, mówiąc o drugim, celnie rzuca zatrute strzały. Talleyrand mówi z uśmiechem: „Fouché dlatego tylko tak bardzo pogardza ludźmi, że sam zna się zbyt dobrze." Fouché, ze znanym swoim szyderczym dowcipem odpowiada na wiadomość, że Talleyrand zamianowany został wicekanclerzem: „*Il ne lui manquait que ce vice-là.*"

Ilekroć mogą wzajem wejść sobie w drogę, czynią to skwapliwie; ilekroć mogą wzajem sobie szkodzić, chwytają w lot tę sposobność. I właśnie fakt, że obaj ci ludzie: jeden, bystry, a drugi pracowity, tak świetnie dopełniają się wzajem swojemi właściwościami, czyni ich tak doniosłymi w ich roli ministrów dla Napoleona. Bardzo jest mu też na rękę, że obaj nienawidzą się wzajem tak zaciekle, bowiem wskutek tej wzajemnej ich wrogości szpieguje jeden drugiego skuteczniej, aniżeli mogłoby to uczynić stu gorliwych szpiclów. Fouché skwapliwie donosi Napoleonowi o każdej nowej przedajności, o każdem nowem marnotrawstwie i niedbalstwie Talleyrand'a, zaś Talleyrand ze swojej strony nie przepuszcza nic Fouché'mu, podając cesarzowi na gorąco wiadomość o każdej podstępnie prowadzonej intrydze Fouché'go, o każdej zdradzie i odstępstwie. W ten sposób czuje się Napoleon równocześnie obsługiwanym i strzeżonym przez niezwykłą tę dwójkę. Jako mądry psycholog najszczęśliwiej wykorzystuje on dla siebie współzawodnictwo obu swoich ministrów, aby wzajem ich przeciwko sobie podjudzać i zarazem obu trzymać na uwięzi.

Ta stała, niezmienna wrogość obu rywali, Fouché'go i Talleyrand'a, jest źródłem niezrównanej w ciągu wielu lat uciechy całego Paryża. Jak scenami z Moljera rozkoszują się widzowie nieskończonemi warjantami tej komedji, odgrywanej bez przerwy u stóp tronu; bawi też wszystkich nieustanne wzajemne docinanie sobie obu sług władcy zatrutemi strzałami szyderstw, czemu ich mistrz spokojnie przygląda się z wyżyn olimpijskich, jako pożądanej dla siebie walce zapaśników.

Kiedy jednak Napoleon i wszyscy inni w dalszym ciągu oczekują od nich zabawy w psa i kota, zmieniają nagle obaj ci wyrafinowani aktorzy swoje role i rozpoczynają poważną grę łączną. Po raz pierwszy odnosi obustronne rozgoryczenie przeciwko wspólnemu władcy zwycięstwo nad wzajemną rywalizacją. Jesteśmy w 1808-ym. Napoleon wszczyna nową znów wojnę, najniepotrzebniejszą, najniedorzeczniejszą ze wszystkich jego wojen — wyprawę na Hiszpanję. W 1805-ym pobił Austrję i Rosję, w 1807-ym zmiażdżył Prusy, zawładnął niemieckiemi i italskiemi państwami, nie zachodzi też najmniejszy powód wrogości względem Hiszpanji.

Ale ograniczonemu jego bratu, Józefowi (po kilku latach przyzna sam Napoleon, że „poświęcał się dla głupców), zachciało się także korony, że zaś nie było w tym czasie żadnej do dyspozycji, pada decyzja wydarcia jej poprostu dynastji hiszpańskiej z oczywistem pogwałceniem prawa narodów. I znów rozlega się bicie w bębny i chrzęst oręża, znów maszerują bataljony, znów leją się z kas państwowych potoki z trudem gromadzonego w nich złota, i znów upaja się Napoleon najniebezpieczniejszą z wszystkich żądz, żądzą wojowania i zwyciężania. Tego niepohamowanego furoru wojennego zaczyna już być zawiele nawet najbardziej gruboskórym. Zarówno Fouché jak i Talleyrand potępiają tę zupełnie bezsensowną wojnę, z której powodu Francja będzie się wykrwawiała w ciągu siedmiu lat

jeszcze, a ponieważ cesarz nie słucha ani jednego ani drugiego, niepostrzeżenie łączą się obaj i zbliżają wzajem z sobą. Wiedzą oni aż nadto dobrze, iż cesarz listy ich i rady zwija niecierpliwie w kulkę i, zirytowany, rzuca w kąt; oddawna już przestali mężowie stanu mieć głos wobec marszałków, generałów, panów, pobrzękujących szabelką, a nadewszystko wobec kliki korsykańskiej, której każdy członek conajszybciej ukryć chce pod królewskim gronostajem wielce skromną swoją przeszłość. W tych warunkach próbują obaj ministrowie wystąpić z głośnym protestem, że zaś pozbawieni są prawa publicznego zabierania głosu, decydują się na prawdziwą pantominę polityczną, na prawdziwy, w całem tego słowa znaczeniu *coup* teatralny: na demonstracyjne zawarcie z sobą wzajem sojuszu.

Który z nich tak teatralnie zaaranżował scenę — Talleyrand czy Fouché — niewiadomo. Odbywa się to w następujący sposób:

Podczas kiedy Napoleon walczy w Hiszpanji, upaja się bezustannie Paryż festynami i zabawami. Przyzwyczajono się już do corocznie powtarzających się wojen, jak do śniegu w zimie i burzy w lecie, także więc i w domu kanclerza, na Rue Saint Florentin, pewnego wieczora grudniowego 1808-go roku w tym samym czasie, kiedy Napoleon w byle brudnej izbie chwilowej swojej kwatery w okolicy Valladolidu pisze rozkazy do armji, jarzą się tysiącem świec okna, z poza których dolatuje pobrzękiwanie muzyki. W salonach siedziby kanclerskiej zgromadziły się piękne damy, które Talleyrand tak lubi, świetne towarzystwo, wysocy dostojnicy państwowi i posłowie zagraniczni. Nastrój wesoły, rozmowy, tańce, zabawa. Nagle powstaje szmer, szepty we wszystkich kątach, taniec urywa się w półobrotu, wylęknieni goście skupiają się w zwarte gromadki: wszedł gość, którego najmniej możnaby się tutaj spodziewać — chudy Kasjusz, Fouché, zaciekle

nienawidzony, jak powszechnie wiadomo, pogardzany i wyszydzany przez Talleyranda, wszedł ten, którego noga nigdy jeszcze nie przestąpiła progu jego domu.

Ale oto, patrzcie, z wytworną uprzejmością spieszy, utykając, minister Spraw Wewnętrznych na spotkanie ministra policji, wita go serdecznie jak najdroższego przyjaciela i najmilszego gościa i ujmuje go czule pod ramię. Wyraźnie i jawnie wyróżniając go, prowadzi przez salę, potem wchodzą do jednego z bocznych pokojów, siadają na szeslongu i rozmawiają przyciszonym głosem, wywołując bezmierne zaciekawienie wszystkich obecnych.

Nazajutrz z samego rana wie już cały Paryż o wielkiej sensacji. Nigdzie nie mówi się o niczem innem, jak tylko o tem wyraźnie afiszowanem pojednaniu, i każdy z osobna rozumie jego znaczenie. Tak nagłe i gwałtowne połączenie się psa i kota może być jedynie skierowane przeciwko kucharzowi. Wzajemna przyjaźń Fouché'go i Talleyrand'a oznacza otwarte potępienie ich pana, potępienie Napoleona przez jego ministrów. Natychmiast zrywają się na nogi wszyscy szpiedzy, aby wyśledzić i wywęszyć, co właściwie ma ten spisek na celu.

We wszystkich ambasadach i poselstwach skrzypią pióra nad koncypowaniem specjalnych raportów, Metternich pocztą pospieszną daje znać do Wiednia, że „to pojednanie odpowiada życzeniom nadmiernie przemęczonego narodu"; równocześnie wszelako Napoleonowe siostry i Napoleonowi bracia uderzają na alarm i posyłają ze swojej strony dziką, nieprawdopodobną tę wieść cesarzowi.

— — — — — — — — — — — — —

Przez pospiesznego kurjera pędzi nowina do Hiszpanji, ale jeszcze szybciej, o ile to możliwe, pędzi Napoleon, jak podcięty uderzeniem bicza, zpowrotem do Paryża. Po otrzymaniu listu nie wezwał do siebie

swoich powierników nawet. Zagryza, do krwi gryzie wargi i natychmiast wydaje rozkazy poczynienia przygotowań do powrotu: wieść o tem zbliżeniu się wzajemnem Fouché'go i Talleyrand'a podziałała na niego bardziej upiornie, aniżeli przegrana bitwa.

Wściekłe jest wprost tempo powrotu: 17-go wyrusza z Valladolid, 18-go jest w Burgos, 19-go w Bayonnie; ani razu nie zatrzymuje się na postojach; wszędzie pospiesznie przeprzęgane są śmiertelnie zapędzane konie; 22-go wpada on jak orkan do Tuilerjów i już, w odpowiedzi na zaaranżowaną przez Talleyrand'a komedję, urządza scenę niemniej teatralną. Jako komparsów ustawia cały zastęp uszamerowanych złotem dworaków, wszystkich ministrów i generałów: niech wszyscy widzą, jak cesarz najdrobniejsze bodaj oparcie się jego woli powala pięścią.

Fouché'go wezwał do siebie już w przeddzień i poza zamkniętemi drzwiami swojego gabinetu porządnie zmył mu głowę, którą ten, przywykły do tego rodzaju pryszniców, poddaje nieporuszenie, usprawiedliwiając się przytem zręcznemi słowy i zawczasu przygotowując sobie możność wyśliznięcia się z całej afery. Do zgniecenia tego służalczego robaka wystarczy, rozumuje cesarz, pogardliwe kopnięcie nogą.

Talleyrand, natomiast, właśnie dlatego, że uważany jest za silniejszego, za potężniejszego, zapłacić musi publicznie za swoją winę.

Przedstawienie to często bywało opisywane, rzadko też wydarza się w historji scena bardziej dramatyczna. Zrazu ogólnikowo tylko wyraża cesarz swoje niezadowolenie z tajnych knowań, jakie pozwalają sobie uprawiać niektórzy w czasie jego nieobecności, potem, nieporuszony, w zwykłej swojej, niedbałej pozie, stoi pochylony nad marmurowym kominkiem, opierając się ramieniem o jego gzyms. I w tej samej chwili wybucha nagle z nieudawaną już wściekłością komedjancko obmyślona w szczegółach lekcja, jaką miał Talleyrand

otrzymać od cesarza wobec całego zgromadzonego dworu. Na głowę starszego, doświadczonego człowieka tryska z ust Napoleona potok najordynarniejszych zniewag; Talleyrand nazwany jest przez niego złodziejem, zdrajcą, odszczepieńcem, przekupnym człowiekiem, który gotów byłby przeszachrować za pieniądze własnego ojca. Wyrzuca mu cesarz przyczynienie się do zamordowania księcia Enghien i do wywołania wojny hiszpańskiej. Żadna praczka nie byłaby zdolna bardziej zaciekle, bardziej niepowstrzymanie lżyć na podwórzu swojej sąsiadki, aniżeli czyni to władca Francji w stosunku do księcia de Perigord, weterana Rewolucji, pierwszego dyplomaty jego dworu.

Obecni drętwieją. Każdego zosobna ogarnia niepokój. Każdy czuje, że cesarz nie odgrywa w tej chwili zaszczytnej roli. Jedyny Talleyrand, którego obojętność na napaści wydaje się tak nieprzeniknienie gruboskórą, że opowiadano sobie o nim, jakoby miał pewnego razu zasnąć przy odczytywaniu skierowanego przeciw niemu pamfletu, i w tej chwili również nie mruga nawet powieką, zbyt dumny, aby odczuwać tego rodzaju wyzwiska jako obrazę dla siebie. Kiedy burza wyładowała się wreszcie do końca, opuszcza on w milczeniu salon, przemierzając lśniącą jego posadzkę utykającym swoim krokiem, a potem, już w przedpokoju, rzuca jedno z owych zjadliwych, zatrutych słówek, raniących bardziej śmiertelnie, aniżeli grzmiące obuchy cesarskiej pięści: „Jaka szkoda, że taki wielki człowiek jest tak źle wychowany“, mówi obojętnie, wkładając podawany mu przez lokaja płaszcz.

Tego samego wieczora pozbawiony zostaje Talleyrand swojej godności szambelana dworu, z zaciekawieniem otwierają też następnych dni wszyscy nieżyczliwi Fouché'mu „Moniteur'a“, spodziewając się wyczytać wiadomość o dymisji ministra policji. Mylą się jednak. Fouché pozostaje na stanowisku. Jak zawsze, ukrył się ze swojem wystąpieniem poza plecami sil-

niejszego, który posłużył mu za piorunochron. Pamiętamy przecież, że Collot, współostrzeliwacz Lyonu ogniem kartaczowym, zostaje zesłany do siedliska żółtej febry, ale Fouché został; Baboeuf, jego towarzysz broni w walce przeciwko Dyrektorjatowi — rozstrzelany, Fouché pozostaje; jego protektor, Barras, musi uciekać z kraju, Fouché pozostaje.

I tym razem również pada ten jedynie, którego wysunął Fouché naprzód: Talleyrand; Fouché pozostaje. Zmieniają się rządy, nastrój państwa, poglądy, ludzie, wszystko znika bezpowrotnie w szalejącym orkanie przełomu stulecia; jeden jedyny tylko pozostaje zawsze i niezmiennie na tem samem miejscu, na usługach wszystkich zmieniających się władców, przystosowany do wszystkich zmieniających się kierunków: Józef Fouché.

— — — — — — — — — — — — —

Fouché pozostaje przy władzy, co więcej nawet: sam właśnie fakt, że najmędrszy, najzręczniejszy i najbardziej niezależny z doradców Napoleona otrzymuje przysłany sobie jedwabny sznur i zastąpiony zostaje przez zwykłego, potulnego potakiwacza — wzmacnia wpływy Fouché'go. Poza tem — i co znacznie ważniejsze — oprócz jego współzawodnika, Talleyrand'a, opuszcza na pewien czas główną scenę wydarzeń i dokuczliwy władca również. Jesteśmy już bowiem w 1809-ym, Napoleon prowadzi, jak corocznie, nową znów wojnę, tym razem wojnę z Austrją.

Nieobecność Napoleona w Paryżu i oddalenie się jego od spraw kraju jest zawsze dla Fouché'go najmilszą z rzeczy, jakie mogą go spotykać. Im dalej — tem lepiej; im dłużej — tem przyjemniej; w Austrji, w Polsce czy w Hiszpanji: najchętniej widziałby go ponownie w Egipcie. Bowiem nazbyt silnie opromieniająca Napoleona glorja zasnuwa cieniem wszystko dokoła, górująca nad wszystkiem i wszystkimi twórcza

obecność paraliżuje władczą swoją wyższością każdą inną wolę. Oddalony wszakże o setki mil, komenderujący w bitwach, opracowujący plany kampanji, przestaje być groźnym dla Fouché'go: może on, pozostawszy na placu, odgrywać tu i ówdzie rolę władcy i kierownika przeznaczeń i niezawsze być marjonetką w tych twardych, energicznych dłoniach.

Okazja po temu nastręcza się wreszcie dla Fouché'go. Nareszcie, po raz pierwszy! Rok 1809-my jest dla Napoleona rokiem losowych przeznaczeń. Pomimo najwyraźniejszych powodzeń nazewnątrz nie była nigdy jego sytuacja militarna zagrożona w podobny sposób. W powalonych Prusach, w źle ujarzmionych Niemczech, leżą bezbronnie nieomal porozsiewane po poszczególnych garnizonach dziesiątki tysięcy Francuzów na straży onych setek tysięcy, oczekujących jeno wezwania do broni. Jeszcze jedna tylko wygrana Austrjaków, jak ta pod Aspern, a od Elby aż po Rodan, musi wybuchnąć powstanie całego narodu. I we Włoszech także nie dzieje się najlepiej: brutalne znęcanie się nad papieżem wzburzyło całe Włochy, poniżenie Prus — całe Niemcy. Francja sama jest w dodatku przemęczona. Gdyby się więc udać mogło zadanie jeszcze jednego ciosu tej, porozwłóczonej po całej Europie, od Ebro aż do Wisły, potędze wojsk cesarskich, kto wie, czy nie możnaby nim powalić zachwianego kolosa.

Zadanie takiego ciosu planują zaklęci wrogowie Napoleona: Anglicy.

Postanawiają, podczas kiedy armje cesarza porozdzielane są pod Aspern, pod Rzymem i Lizboną, wedrzeć się w samo serce Francji, opanować przedewszystkiem miejsca lądowania w Dunkierce, zdobyć Antwerpję siłą i podburzyć Belgję do powstania. Napoleon, obliczają się oni, jest daleko ze swoimi marszałkami i swojemi armatami; kraj leży otworem, bezbronny.

Ale na placu pozostał Fouché, ten sam Fouché, który w 1793-im, za Konwentu, nauczył się, jak w ciągu paru

tygodni postawić na nogi dziesięć tysięcy rekruta. Jego energja nie osłabła od tego czasu, mimo że mogła działać tylko w mroku ukrycia, wyczerpywać się na drobne podpełzywania i zdrady.

Ze zdwojonym zapałem chwyta się teraz stającego przed nim zadania, raz wreszcie mogąc wykazać narodowi i całemu światu, że Józef Fouché nietylko jest marjonetką w rękach Napoleona, ale w potrzebie potrafi wystąpić niemniej stanowczo i odważnie i działać z niemniejszą świadomością celów swoich i zadań, niż sam cesarz. Raz wreszcie — cudowna, z nieba nieledwie spadła okazja! — musi być wyraźnie ujawnione, że wojskowe i moralne losy kraju nie są nierozerwalnie związane z tym jedynym wyłącznie człowiekiem.

Z wyzywającą śmiałością podkreśla Fouché w swoich proklamacjach tę zbędność Napoleona: „Dowiedźmy Europie, że jakkolwiek genjusz Napoleona okrywa Francję blaskiem chwały, nie jest nieodzowną jego obecność, aby odeprzeć wroga“, — pisze on do burmistrzów i potwierdza czynem śmiałe te, samowładcze słowa.

Gdy tylko dowiaduje się o wylądowaniu Anglików na wyspie Walcheren, żąda niezwłocznie, w charakterze ministra Policji i ministra Spraw Wewnętrznych (którego urząd sprawuje prowizorycznie) powołania pod broń Gwardji Narodowej, spokojnie, od czasów Rewolucji, trudniącej się w rodzinnych swoich wioskach zwykłem swojem zajęciem krawców, ślusarzy, szewców i rolników. Pozostali ministrowie są przerażeni. Jakto?! Bez pozwolenia cesarza, na własną odpowiedzialność poważyć się na krok tak daleko idący?! Minister Wojny zwłaszcza, oburzony, że cywil, niepowołany, ma śmiałość wkroczenia w jego tajne atrybucje, broni się i opiera z całych sił: należałoby przedewszystkiem prosić w Schönbrunnie o pozwolenie na mobilizację. Należałoby, zamiast siania niepokoju w kraju, przeczekać na rozkazy cesarza. Ale cesarz jest, jak zwykle, oddalony

tak bardzo od Francji, że, na zapytanie i odpowiedź, czekać należałoby czternaście dni, nie obawia się więc Fouché siania niepokoju w kraju. A zresztą, czy i Napoleon nie czyni tego samego? W głębi duszy pragnie on niepokoju, pragnie buntu. Dlategoteż, zdecydowany i odważny, bierze Fouché wszystko na siebie. Rozkazy i bicie w bębny zwołują w zagrożonych prowincjach wszystkich mieszkańców do podjęcia natychmiastowej obrony w imieniu cesarza, który nic nie wie o tych poczynionych krokach. I jeszcze jedna śmiałość: Fouché mianuje naczelnym wodzem zaimprowizowanej w ten sposób armji północnej Bernadotte'a, tego właśnie zpośród wszystkich generałów, którego Napoleon, mimo że jest szwagrem jego brata, nienawidzi bardziej niż wszystkich, któremu udzielił najwyższej nagany i którego zesłał na wygnanie. Z wygnania tego sprowadza go Fouché, naprzekór cesarzowi, ministrom i wszystkim wrogom — najzupełniej obojętne mu jest, czy cesarz uzna podjęte przez niego kroki za usprawiedliwione. Ważne jest tylko, aby powodzenie zapewniło mu słuszność wbrew wszystkim.

Takie zuchwalstwo w momentach decydujących nadaje Fouché'mu odcień prawdziwej wielkości. Niespokojnie zużywa się jego nerwowy, nie cofający się przed żadną pracą duch w dążeniu do wielkich zadań, a, jak gdyby na złość, stawiane mu są zawsze drobne, z któremi załatwia się jak z zabawką. Cóż zatem dziwnego, że nadmiar niespożytkowanej energji szuka ujścia w knuciu złośliwych i przeważnie bezsensownych intryg.

Ale w tej chwili właśnie, kiedy los stawia tego człowieka — zupełnie tak samo jak ongi w Lyonie, a potem, po upadku Napoleona, w Paryżu — wobec prawdziwie historycznego, odpowiadającego jego sile, zadania, opanowuje on je po mistrzowsku. Miasto Vlissingen, które Napoleon sam w listach swoich określa jako niemożliwe do wzięcia, wpada, jak to trafniej przewidział

Fouché, w ręce Anglików. Ale armja, świeżo utworzona przez Fouché'go, bez niczyjego pozwolenia, zdążyła tymczasem uzbroić do obrony Antwerpję, dzięki czemu ten wypad Anglików kończy się kompletną i bardzo dotkliwą ich porażką. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Napoleon stanął u steru, odważył się jeden z jego ministrów samodzielnie rozwinąć sztandar, rozpiąć żagiel i trzymać się własnego kursu, ratując tą właśnie swoją samodzielnością Francję w decydującym o jej istnieniu momencie. Z tą chwilą zyskuje Fouché nową powagę i nowe poczucie własnej wartości, własnego znaczenia.

Nadeszły tymczasem do Schönbrunnu listy, pisane przez kanclerza i ministra Wojny; skargi ich idą za skargami na zuchwalstwa, na jakie poważył się minister resortu czysto cywilnego. Powołał on pod broń gwardję narodową, zaprowadził w kraju stan wojenny! Wszyscy oskarżyciele pewni są, że Napoleon należycie ukarze śmiałka i rozkaże Fouché'mu podać się do dymisji. Ku zdumieniu ich wszelako cesarz, zanim nawet jeszcze zdążył dowiedzieć się, jak świetnie obmyślany okazał się plan Fouché'go, przyznaje, wbrew wszystkiemu, słuszność jego niecofającej się przed niczem, zdecydowanej energji.

Kanclerza spotyka potężne utarcie nosa: „Rozgoryczony jestem, że pan w tak niezwykłych warunkach tak mało wykorzystał swoje pełnomocnictwo. Powinien pan był na pierwszą zaraz wieść powołać dwadzieścia, czterdzieści, czy pięćdziesiąt tysięcy gwardji narodowej." Do ministra Wojny pisze on dosłownie: „Widzę, że jedynie pan Fouché uczynił co mógł i poczuł całą niewłaściwość czekania w niebezpiecznej i hańbiącej bezczynności."

Nietylko więc pokonani zostali przez Fouché'go tchórzliwi, ostrożni i nieudolni jego koledzy, ale co więcej, zastraszeni uznaniem czynów jego za dobre przez Napoleona.

Odtąd, na przekór Talleyrand'owi i Kanclerzowi, zajmuje Fouché naczelne w kraju stanowisko. On jedyny wakazał, że nietylko potrafi spełniać rozkazy, ale i rozkazywać.

Zawsze i w każdej okoliczności widzimy, że Fouché umie zdobyć się w chwilach niebezpieczeństwa na wspaniały czyn. Wystarczy postawić go w najtrudniejszej sytuacji, zawsze opanuje on ją swoją swoją wyraźną, zdecydowanie śmiałą energją i wolą. Rozwiąże najbardziej zawikłany węzeł. Jednego tylko nie potrafi pomimo imponująco śmiałego brania się do dzieła: obcą mu jest najzupełniej siostrzana sztuka, najważniejsza i najtrudniejsza ze wszystkich sztuk politycznych — wycofania się w porę. Dokądkolwiek sięgnął swoją rękę i na czemkolwiek ją położył, nie umie wypuścić z uścisku zagarniętej przez nią rzeczy. I właśnie w chwili, kiedy rozwikłał węzeł, prze go szatańska jakaś siła do sztucznego zasupłania go nanowo.

Tak się też dzieje i tym razem.

Dzięki błyskawicznej sile jego rzutu, dzięki jego niezmożonej energji, szybko i zręcznie skupiającej się i zadającej stanowczy cios, odparty został podstępny atak flankowy. Z okrutnemi stratami w ludziach i materjale wojennym, z jeszcze większem poszwankowaniem swojego prestiżu, naładowali ponownie Anglicy swoich żołnierzy na okręty i odjechali zpowrotem.

Teraz możnaby spokojnie zatrąbić do odwrotu, z podziękowaniem i rozdaniem wstążeczek Legji Honorowej odesłać powołane gwardje narodowe do ich domów. Ale ambicja Fouché'go nabrała oskomy. Zbyt wspaniale było odegrać rolę cesarza, wezwać pod broń trzy prowincje, wydawać rozkazy, redagować odezwy, wygłaszać mowy, groźnie wymachiwać pięścią przed nosem tchórzliwym kolegom. A teraz miałby się skończyć już ten wspaniały okres? Teraz właśnie, kiedy rozkosznie poczuło się wzrastającą z dniem każdym własną energję czynu?

O, nie, Fouché'mu ani się śni położyć temu wszystkiemu kres. Raczej w dalszym ciągu bawić się w obronną wojnę, chociażby nawet miało się wynajdywać dopiero nieprzyjaciela. Byle móc bić w bębny na alarm, zrywać na nogi cały kraj, siać niepokój, burzliwe poruszenie. Dlatego też, w rzekomem przewidywaniu rzekomego zamiaru wylądowania Anglików w porcie Marsylskim, zarządza ponowną mobilizację. Gwardja Norodowa w całym Pjemoncie, w Prowancji, a nawet w Paryżu, powołana i ściągnięta zostaje ku powszechnemu zdziwieniu, jakkolwiek, jak daleko okien sięgnąć po całym obszarze kraju i wybrzeża, nie widać nigdzie śladu nieprzyjaciela. Wszystko to dzieje się z tej jedynie przyczyny, że Fouché porwany jest długopowściąganą żądzą organizowania i mobilizowania, że tłumiony i hamowany przez długi czas w swoich zapędach, tkwiący w Fouché'm człowiek czynu może raz wreszcie wyładować swoją energję dzięki nieobecności tego, który dyktuje swoją wolę światu.

Przeciwko komu wszelako wszystkie te armje? — pyta kraj cały z coraz większem zdziwieniem. Anglicy nie pokazują się. Stopniowo tracić zaczynają zaufanie do Fouché'go nawet życzliwi mu koledzy. Do czego zmierza ten nieprzenikniony działacz z niczem nieusprawiedliwionemi swojemi mobilizacjami? Nie rozumieją, że utajona w naturze Fouché'go żyłka hazardu upaja się własną potęgą czynu.

Nie dostrzegając nigdzie ostrza bagnetu, nie widząc nigdzie śladu nieprzyjaciela, przeciwko któremu liczebnie wzmagają się z dniem każdym gromadzone siły, zaczynają mimowoli podejrzewać Fouché'go o sięgające wysoko plany. Jedni pomawiają go o to, że przygotowuje powstanie, inni, że, w razie gdyby cesarzowi miała raz jeszcze powinąć się noga, jak pod Aspern, albo też gdyby innemu jakiemuś Fryderykowi Stapsowi miał się lepiej udać jego zamach, zamierza natychmiast ponownie ogłosić dawną Republikę. Pędzi więc list za

listem do Głównej Kwatery do Schönbrunnu, że Fouché albo oszalał, albo też knuje spisek.

Teraz już i Napoleon, pomimo życzliwego swojego usposobienia dla czynu Fouché'go, płoszy się i trwoży. Widzi, że Fouché zapędził się za daleko i że trzeba przytrzeć mu trochę rogów. Ton listów zmienia się wyraźnie. Cesarz nie szczędzi Fouché'mu łajania, nazywając go „Donkiszotem, walczącym z wiatrakami", i pisze dawnym, ostrym stylem: „Wszystkie otrzymywane przezemnie wieści raportują mi o gwardjach narodowych, wystawianych w Piemoncie, w Languedoc'u, w Prowancji i w Delfinacie. Na cóż one u licha potrzebne, skoro niema konieczności i skoro nie powinno się to dziać bez mojego zezwolenia?"

Wobec takiego dictum musi Fouché, acz z wielką niechęcią, wyrzec się zabawy w władcę, oddać prowizoryczne rządy Ministerjum Spraw Wewnętrznych i — miotło wymiotłaś, wróć do kąta! — wrócić do dawnej roli, być znów tylko ministrem policji powracającego do kraju w glorji chwały, powracającego zbyt wcześnie na apetyty Fouché'go, jego pana i władcy.

— — — — — — — — — — — — —

Jakkolwiekbądź jednak posunął się Fouché za daleko, wyświadczył on krajowi, rządzonemu w momencie najwyższego niebezpieczeństwa gronem wystraszonych i otępiałych ministrów, prawdziwą i niezaprzeczoną przysługę. Dlategoteż nie może Napoleon odmawiać mu dłużej zaszczytu, jaki udzielił już tylu innym.

Teraz, kiedy z przepojonej, nasiąkłej krwią, gleby francuzkiej wyrasta, jak grzyby po deszczu, nowa arystokracja, bowiem wszystkim generałom, ministrom i pomocnikom w rządach nadany zostaje klejnot szlachecki, przychodzi i na Fouché'go, na starego wroga arystokratów, kolej wydźwignięcia się i samemu również na wyżyny arystokracji.

Tytuł hrabiowski został dla niego wykombinowany już przedtem zupełnie po cichu. Ale dawny jakobin ma

sięgnąć jeszcze wyżej po szczeblach tej, wydmuchanej z powietrza, drabiny tytułów. 15-go sierpnia 1809-go roku, w jednym z paradnych salonów Schönbrunnu, pałacu Jego Apostolskiej Mości Cesarza Austrji, łaskawie podpisuje i pieczętuje ongi mały, bez znaczenia, oficerek korsykański dawnemu komuniście i uciekinierowi od ślubów kapłańskich pergamin, na mocy którego zyskuje Józef Fouché prawo — *chapeau bas!* — do noszenia tytułu księcia Otrantu.

Nie walczył on wprawdzie pod Otranto, a nawet nie oglądał nigdy na oczy tego południowo-włoskiego miasta, ale takie właśnie, pięknie z cudzoziemska brzmiące, arystokratyczne nazwisko nadaje się doskonale do zamaskowania dawnego ultrarepublikanina, bowiem przy zwracaniu się do niego, czy mówieniu o nim, z szczególnie pompatycznem wymienianiem jego nowego tytułu można zapomnieć, że pod tym księciem kryje się dawny kat Lyonu, stary Fouché, twórca idei jednakiego dla wszystkich chleba i konfiskowania majątków. Ażeby mógł on czuć się prawdziwie w skórze księcia, nadane mu zostają insygnia jego książęcego dostojeństwa: świeżuteńko wymalowana tarcza herbowa.

Ale rzecz szczególna: Czy ten niebezpieczny charakterystyczny przytyk był rozmyślnem dziełem Napoleona, czy też zatrudniony przy koncypowaniu herbu heraldyk pozwolił sobie prywatnie na psychologiczny żarcik? Faktem jest, że herb księcia Otrantu ma wpośrodku złotą kolumnę, bardzo odpowiednią dla gorącego tego wielbiciela złota. I oto, dokoła tej złotej kolumny wije się żmija — prawdopodobnie również delikatne przypomnienie dyplomatycznej giętkości nowomianowanego księcia. Bardzo mądrych heraldyków musiał mieć zaprawdę na usługach swoich Napoleon, trudno byłoby bowiem wynaleźć dla człowieka takiego, jak Józef Fouché, herb bardziej charakterystyczny.

## Rozdział szósty.

## WALKA PRZECIW CESARZOWI.

### 1810.

Wielki przykład obniża albo podnosi zawsze całe pokolenie. O ile na widownię dziejów występuje człowiek taki, jak Napoleon, nie mają przed sobą wszyscy, znajdujący się w jego otoczeniu, innego wyboru, jak tylko: bądź skurczyć się przed nim i zniknąć bez śladu wobec jego wielkości, bądź też, idąc za jego przykładem, napiąć własne siły do bezmiernej potęgi. Ludzie, grupujący się dokoła Napoleona, mogą być tylko albo jego niewolnikami, albo też jego współzawodnikami; istnienie takiej, niebotycznie górującej nad wszystkimi innymi, osobistości nie znosi na dłuższą metę żadnej miary średniej.

Fouché jest jednym z tych, których równowagę zachwiał Napoleon. Zatruł on jego duszę niebezpiecznym przykładem nienasycenia, demonicznem narzucaniem sobie konieczności nieustannego pobijania własnego rekordu; i on także, jak jego pan, dąży do nieustannego rozciągania granic swojej władzy i potęgi, i on również przepadł już dla spokojnego, trwałego utrzymywania się na zdobytem stanowisku, dla wygodnego samozadowolenia.

Dlatego też jakiem rozczarowaniem musiały być dla niego dni, kiedy Napoleon powrócił znów z Schönbrunnu jako tryumfator i ponownie ujął ster w własne ręce! Jak wspaniałe były miesiące, kiedy wolno mu było sprawować rządy zgodnie z własną chęcią i wolą, biciem w bębny zwoływać do broni armje, redagować proklamacje, po nad głowami zaskoczonych i wystraszonych kolegów wydawać śmiałe zarządzenia, raz nareszcie czuć się panem i władcą całego kraju, uczestnikiem przy wielkim stole gry o losy świata!

A teraz miałby Józef Fouché spaść do roli ministra policji wyłącznie, zamknąć całą swoją działalność w ramach rozciągania czujności nad niezadowolonymi i szczekaczami w prasie, drobiazgowego sklecania codziennego, nudnego biuletynu z raportów szpiegowskich, zaprzątania swojej uwagi błahostkami jedynie, jak naprzykład z którą z pań ma obecnie Talleyrand stosunek lub też kto spowodował w dniu wczorajszym spadek kursu renty państwowej na Giełdzie Paryskiej?

Nie, odkąd trzymał rękę na pulsie świata, odkąd przyczyniał się do kształtowania dziejów i dzierżył samoistnie ster wielkiej polityki, wydaje się już to wszystko niespokojnemu, żądnemu wciąż nowych wrażeń i wypadków, duchowi jego kramikiem jeno i, pozbawionem znaczenia, zasmarowywaniem papieru.

Kto raz zakosztował gry o tak wysoką stawkę, nie może nigdy już zadowolić się marnemi drobiazgami. Raczej raz jeszcze pokazać, że, obok Napoleona, jest jeszcze miejsce na czyny — ta myśl władnie nim odtąd nieodstępnie.

Czegóż wszelako możnaby jeszcze dokonać, stojąc obok człowieka, który zdobył się na wszystko: strącił kolosa rosyjskiego, powalił Niemcy, Austrję, Hiszpanję i Włochy; człowieka, któremu cesarz, głowa najstarszej dynastji europejskiej, daje arcyksiężniczkę za małżonkę; obok człowieka, który strącił z tronu papieża i obalił tysiącletnie panowanie Rzymu nad światem, a, natomiast, założył w Paryżu podwaliny europejskiego mocarstwa światowego?

Nerwowo, gorączkowo zazdrośnie i żądnie rozgląda się ambitny Fouché na wszystkie strony w poszukiwaniu odpowiedniego dla siebie zadania. I w istocie: w gmachu panowania nad światem brak tylko jeszcze ostatniego, szczytowego zrębu: zawarcia pokoju z Anglją. Wówczas dopiero uważać można byłoby dzieło za skończone.

Ten ostatni atut znaczenia wszecheuropejskiego wy grać chce Fouché zupełnie samoistnie, bez Napoleona i naprzekór Napoleonowi.

Anglja jest, zupełnie tak samo w 1809-ym, jak w 1795-ym, odwiecznym wrogiem, najniebezpieczniejszym przeciwnikiem Francji. Pod Akkonem, przed szańcami Lizbony, na wszystkich krańcach świata, zderzyła się wola Napoleona z pozbawioną nerwów, rozważną, metodyczną siłą Anglosasów. Podczas kiedy Napoleon dokonał podboju całego kontynentu Europy, wydarli mu Anglicy drugą połowę świata-morze. On ich, a oni jego, nie mogą ująć. I on i oni wybijają się nieomal od lat dwudziestu z sił, wznawiając wciąż bezowocne próby wzajemnego pokonania się. I on i oni straszliwie osłabili się niedorzeczną wzajemną tą walką. są też nią, mimo że się do tego nie przyznają, nieco już zmęczeni. Banki w Antwerpji, Francji i Hamburgu bankrutują od czasu jak Anglicy zdławili ich handel: na Tamizie piętrzą się znów statki pełne niesprzedanego towaru, renta angielska, tak samo jak francuska, spada coraz niżej. W obu krajach ludzie rozumni, trzeźwi, kupcy, przedstawiciele świata bankowego dążą do porozumienia i bardzo nieśmiało probują rozpocząć rokowania. Ale Napoleonowi wydaje się ważniejszem, aby tępego umysłu brat jego, Józef, utrzymał koronę hiszpańską, a jego siostra, Karolina-neapolitańską; dlatego też zrywa on, nawiązane z trudnością za pośrednictwem Holandji, nici rokowań, zmuszając żelazną swoją pięścią własnych sojuszników do zablokowania angielskich okrętów, do zatopienia w falach morskich ich towarowych ładunków. Równocześnie też śle do Rosji listy, utrzymane w tonie groźby i żądające podporządkowania się i przez nią również blokadzie lądowej.

I znów odnosi roznamiętnienie górę nad rozsądkiem; wojna zagraża przeciąganiem się w nieskończoność, o ile w ostatniej jeszcze godzinie nie zdobędzie się stronnictwo pokojowe na czyn decydujący.

Przy tem przedwczesnem przerwaniu pertraktacyj z Anglją umaczał i Fouché palce. Zajął się on wyszukaniem cesarzowi i holenderskiemu królowi pośrednika, francuskiego finansisty, ten zaś holenderskiego, który zkolei postarał się o angielskiego pośrednika; po tym wypróbowanej mocy złotym moście szły — jak podczas każdej wojny i zawsze wogóle — od rządu do rządu tajemne próby porozumienia. Teraz nagle wydał cesarz szorstki rozkaz przerwania rokowań. Nie poszło to w smak Fouché'mu. Dlaczego nie prowadzić rokowań w dalszym ciągu? Kupczenie, frymarczenie, przyobiecowanie, niedotrzymywanie obietnic, wprowadzanie w błąd, oszukiwanie — to jego żywioł, jego najulubieńsza namiętność. Zdobywa się tedy na zuchwały plan. Postanawia prowadzić w dalszym ciągu rokowania na własną rękę, oczywiście pozornie z ramienia cesarza, zatem, utrzymując zarówno własnych agentów, jak urzędy angielskie, w najlepszej wierze co do tego, że cesarz dąży za ich pośrednictwem do zawarcia pokoju, gdy w rzeczywistości jedynie książe Otrantu trzyma wszystkie nici w swojem ręku i odpowiednio je pociąga.

Szalony to krok, zuchwałe nadużycie imienia cesarskiego i własnego stanowiska ministra, wiekopomne, bezprzykładne zuchwalstwo. Ale podobne tajemnice, takie dwuznaczne, wykrętne gry, polegające na mistyfikowaniu nie jednej, ale trzech, a bodaj czterech osób równocześnie, są właściwym żywiołem urodzonego, zaprzysiężonego intryganta, jakim był Fouché. Jak uczniak, urządzający psikusy za plecami nauczyciela, lubuje się on w urządzaniu takich kawałów za plecami cesarza i, jak zatracony urwis, naraża się chętnie na wnyki, a w najlepszym razie na ostre zburczenie, dla samej przyjemności ważenia się na zuchwalstwo, dla rozkoszy, jaką mu daje krętactwo. Setki razy, jak zdołaliśmy się przekonać, powtarza on z szczególną lubością podobne wyskoki polityczne — nigdy jednak nie poważył się na śmielszy, bardziej własnowolny i nie-

bezpieczniejszy czyn, aniżeli prowadzenie, pozornie w imieniu cesarza, a w rzeczywistości wbrew jego woli, rokowań z angielskiem Ministerjum Spraw Zewnętrznych w sprawie zawarcia pokoju między Francją a Anglją.

Cała afera jest genjalnie zorganizowana. Fouché korzysta w tym celu z pomocy jednej z najciemniejszych kreatur świata finansowego, bankiera Ouvrard'a, który parę razy już otarł się wielce ryzykownie o mury więzienia. Napoleon czuje wstręt do nędznej tej osobistości z powodu fatalnej sławy, jakiej jegomość ten zażywa, nic a nic jednak nie wadzi to Fouché'mu, który wspólnie z nim robi interesy giełdowe. Jest go najzupełniej pewien, niejednokrotnie bowiem wyplątywał go z matni, ma go więc mocno w garści.

Otóż tego Ouvrard'a posyła on do holenderskiego bankiera, de Labouchère'a, człowieka, który zajmuje wybitne stanowisko i który w najlepszej wierze zwraca się do teścia swojego, bankiera Barring'a w Londynie, zaś ten zkolei nawiązuje już bezpośredni kontakt pomiędzy nim a angielskim gabinetem ministrów.

Wywiązuje się teraz dzika krętanina: Ouvrard nie wątpi oczywiście, że Fouché działa z ramienia cesarza i podaje rządowi holenderskiemu otrzymane od niego oferty, jako oficjalne. Zapewnienie to wystarcza z kolei Anglikom, którzy biorą rokowania najzupełniej na serjo. Anglja jest więc przekonana, że rokuje z Napoleonem, gdy w rzeczywistości prowadzi rokowania z Fouché'm jedynie, który ma się wielce na baczności, aby cesarz nie został poinformowany o tajemnem prowadzeniu w dalszym ciągu pokojowych pertraktacyj. Chce, aby cała sprawa uprzednio dojrzała dostatecznie, aby usunięte i wyrównane zostały wszystkie trudności, pozwalając mu potem stanąć nagle, jak *deus ex machina*, przed cesarzem i narodem francuzkim i oznajmić im dumnie: ‚Oto macie pokój z Anglją! Tego, czego wszyscy pragnęli i do czego dążyli, a czego nie udało

się doprowadzić do skutku żadnemu z dyplomatów, dokonałem ja, książe Otrantu, jako dzieła olbrzymiej wytrwałości i pracy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Ale jaka szkoda! Drobny, głupi przypadek zakłóca tę rozkosznie podniecającą grę szachową. Napoleon udał się z młodą swoją małżonką, Marją Luizą, do Holandji, w odwiedziny do swojego brata, Ludwika. Wspaniałe, oszałamiające przyjęcie pozwala mu zapomnieć o polityce. Pewnego dnia wszelako, w trakcie przypadkowej rozmowy, zwraca się do cesarza brat jego, Ludwik, z zapytaniem o przebieg i postępy pertrakcyj, przeświadczony oczywiście, podobnie jak wszyscy inni, że tajne owe rokowania z Anglją prowadzone są w porozumieniu z Napoleonem. Napoleon dębieje. Błyskawicznie przypomina sobie, że w Antwerpji właśnie spotkał znienawidzonego Ouvrard'a. Co się tu dzieje? Co ma oznaczać to ciągłe wędrowanie tam i z powrotem, pomiędzy Anglją a Holandją?

Udaje mu się wszelako nie zdradzić swojego zdziwienia. Napozór zupełnie obojętnie prosi on brata o dostarczenie mu przy okazji korespondencji, wymienianej z holenderskim bankierem. Życzeniu cesarza staje się niezwłocznie zadość, dzięki czemu ma Napoleon sposobność zapoznania się z treścią tych listów na drodze powrotnej z Holandji do Francji. Dowiaduje się z nich w samej rzeczy o fakcie prowadzenia rokowań, o których nie miał najmniejszego pojęcia. W najwyższem rozwścieczeniu węszy natychmiast trop podziemnej, kłusowniczej roboty księcia Otrantu, któremu zachciało się znów zapolować na cudzym gruncie. Nauczywszy się wszelako od szczwanego lisa chytrości, ukrywa swoje podejrzenia pod maską obłudnego ugrzecznienia, aby nie spłoszyć krętacza i nie pozwolić mu wyśliznąć się. Zwierza się jedynie komendantowi swojej żandarmerji, Savary'emu, księciu de Rovigo, któremu poleca

pospiesznie i w sposób niezwracający uwagi zaaresztować bankiera Ouvrard'a i zawładnąć wszystkiemi jego papierami.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dopiero w dniu 2-im czerwca, w trzy godziny po wydaniu tego rozkazu, zwołuje on swoich ministrów do Saint-Cloud, gdzie zapytuje księcia Otrantu szorstko i bez ogródek, czy i jakie posiada wiadomości o jakichkolwiek podróżach bankiera Ouvrard'a i czy przypadkiem nie on sam posłał go do Amsterdamu.

Zaskoczony tem pytaniem Fouché, ani się jednak domyślając jeszcze pułapki, w którą zdążył już wpaść, ratuje się w zwykły sposób, ilekroć zostaje schwytany za rękę. Zupełnie jak w swoim czasie w dobie Rewolucji z Chaumette'm, a za Dyrektorjatu z Baboeuf'em, usiłuje wymigać się, i bez wahania wypiera się wszelkiego wspólnictwa i konszachtów z swoim towarzyszem broni. O, Ouvrard to taki natrętny jegomość, tak lubiący mieszać się do rozmaitych spraw. Zresztą cała ta historja wydaje się jemu, Fouché'mu, bez znaczenia, dziecinną zabawką wprost.

Ale kogo Napoleon raz przychwyci, tego trzyma mocno i nie wypuszcza tak łatwo z swoich szpon. „To wcale nie bez znaczenia knowania“ — huknął na niego w odpowiedzi na to lekceważące bagatelizowanie. „To niesłychane wykroczenie, to zuchwałe przeniewierstwo — pozwalać sobie na paktowanie z wrogiem za plecami władcy kraju, na warunkach, które nie są mu znane i których napewno nigdy nie zaakceptuje. Jest to wykroczenie przeciwko obowiązkom, którego nie ścierpiałby najsłabszy nawet rząd. Ouvrard musi bezzwłocznie zostać zaaresztowany.“

Fouché'mu robi się mocno nieprzyjemnie.

Tego tylko jeszcze brakło! Zaaresztować Ouvrard'a. Nędzna ta kreatura nie zdobędzie się napewno na bohaterstwo utrzymania języka za zębami! Usiłuje więc

Fouché wszelkiemi sposobami i wykrętami odwieść cesarza od uczynienia tego kroku. Ale cesarz, który wie, że bankier zamknięty już jest za ryglami więzienia przez własną policję cesarską, słucha z szyderczą miną zapewnień zdemaskowanego ministra. Wie już teraz napewno kto był inicjatorem zuchwałych tych knowań, a przejęte w mieszkaniu Ouvrard'a papiery odsłaniają rychło wszystkie arkana podstępnej gry Fouché'go.

Z gromadzącej się i zgęszczającej przez długi czas chmury nieufności uderza teraz grom z całym impetem. Nazajutrz przypada niedziela i po mszy (mimo że niedalej niż przed paroma laty więził papieża, jest teraz, jako zięć Jego Apostolskiej Mości, ponownie pobożny) wzywa Napoleon wszystkich ministrów i dostojników dworu na odprawę poranną. Brak jednego tylko: księcia Otrantu. Jakkolwiek jest ministrem, nie otrzymał wezwania. Cesarz wskazuje członkom swojej Rady przybocznej miejsca dokoła stołu i odrazu, bez wstępów, zaczyna od pytania:

„Jakiego byliby panowie zdania o ministrze, który nadużywa swojego stanowiska i, bez wiedzy swojego władcy, nawiązuje pertraktacje z obcym rządem? O ministrze, który, na podstawie wysnutych z własnej fantazji danych, prowadzi rokowania i w ten sposób kompromituje politykę całego kraju? Jaką karę przewiduje nasz kodeks za podobne działanie przestępne?"

Po postawieniu surowego tego pytania rozgląda się cesarz dokoła, nie wątpiąc, że teraz wszyscy jego doradcy, wszystkie te własne jego kreatury czemprędzej zaproponują deportację czy inną karę hańbiącą. Ku zdumieniu swojemu widzi wszelako, że ministrowie, jakkolwiek od pierwszego słowa odgadli, w kogo cesarz godzi swojem oskarżeniem, zachowują grobowe milczenie. Bowiem w głębi duszy przyznają oni wszyscy rację Fouché'mu, że tak energicznie dąży do zapewnienia krajowi pokoju, a nadto, cieszą się, jako prawdziwe duchy służalcze, z zuchwałego kawału, jaki udało mu

się urządzić despotycznemu władcy. Talleyrand — mimo że nie jest już ministrem, został zaproszony na tę ważną naradę, jako wysoki dostojnik państwowy — uśmiecha się złośliwie, przypomina sobie własne swoje upokorzenie z przed dwóch lat, rozkoszuje się też teraz paskudną sytuacją, w jakiej znaleźli się obaj: zarówno Fouché jak sam Napoleon, bowiem obu jednako serdecznie nie lubi.

Wreszcie pierwszy przerywa milczenie kanclerz, Cambacérès, wypowiadając się w sposób pojednawczy:

„Jest to niewątpliwie fałszywy krok, zasługujący na surowe ukaranie, o ile nie popchnął winowajcy do popełnienia go nadmiar gorliwości".

„Nadmiar gorliwości?" wybucha wściekle Napoleon. Odpowiedź ta oburza go, bowiem nie chce usprawiedliwiania, ale przykładnej kary, rzucającego się w oczy napiętnowania tego aktu niesłychanej samowoli. Podniecony, opowiada cały przebieg sprawy i żąda od obecnych zaproponowania mu osoby następcy.

Znów jednak żaden z ministrów nie spieszy się z wypowiedzeniem swojego zdania w tak drażliwej sprawie — lęk przed Fouché'm dorównywa w duszy prawie każdego z nich lękowi przed Napoleonem. Wreszcie udaje się Talleyrand'owi, jak zawsze w trudnych sytuacjach, wykręcić zręcznym żartem. Zwraca się on mianowicie do najbliższego swojego sąsiada i mówi półgłosem:: „Pan Fouché popełnił niewątpliwie błąd, gdybym wszelako miał dać mu następcę i gdybym dał mu następcę, nie byłby nim nikt inny, jeno tylko sam pan Fouché."

Niezadowolony z swoich ministrów, z których sam zrobił automaty i bezwolnych, tchórzliwych mameluków, zamyka Napoleon posiedzenie i wzywa kanclerza do swojego gabinetu. „Niewarte doprawdy zachodu pytanie tych panów o ich zdanie. Widzi pan sam jakich można się spodziewać po nich pożytecznych propozycyj. Nie przypuszcza pan chyba jednak, abym miał na serjo

myśleć o zasięgnięciu ich porady, zanim nie byłem w zupełnej zgodzie z samym sobą i nie zdałem sobie jasno sprawy z sytuacji. Decyzja moja powzięta, zamianuję ministrem policji księcia Rovigo."

Nie dając obranemu przez siebie kandydatowi możności wypowiedzenia się, czy ma ochotę objąć tak niemiłe następstwo, wita go cesarz tego samego jeszcze wieczora nagłym rozkazem: „Jest pan ministrem policji. Proszę złożyć ślubowanie i zabrać się do roboty!"

— — — — — — — — — — — — — — —

Dymisja Fouché'go staje się ogólnym tematem rozmów. Cała opinja publiczna jest odrazu po jego stronie. Nic nie zjednało obłudnemu temu ministrowi tak wielu sympatyj, jak właśnie opór, stawiany przez niego nieznającemu hamulców, niemożliwemu już oddawna do zniesienia dla nawykłych do wolności Francuzów, caryzmowi człowieka, który wzniesienie się swoje zawdzięczał Rewolucji jedynie. Nikt nie chce zrozumieć, aby miało być karygodnem przestępstwem dążenie, bodaj wbrew opętanemu żądzą wojen cesarzowi, do zawarcia raz wreszcie pokoju z Anglją.

Wszystkie stronnictwa: rojaliści, republikanie, jakobini, a także cudzoziemscy posłowie, z jednogłośnym żalem widzą w upadku ostatniego niezależnego Napoleonowego ministra wyraźny zanik dążeń pokojowych. We własnym nawet swoim pałacu, w sypialni swojej, znajduje Napoleon w osobie drugiej małżonki swojej, Marji Luizy, podobnie jak w pierwszej, Józefinie, rzeczniczkę Fouché'go. Z szczerem zgnębieniem oświadcza cesarzowa mężowi, że jedyny człowiek w jej otoczeniu, którego ojciec jej, cesarz austrjacki, wskazał jako człowieka godnego zaufania, został teraz usunięty od rządów.

Nic nie stwierdza wyraźniej właściwych nastrojów w ówczesnej Francji, aniżeli fakt, że niełaska cesarska podnosi dotkniętego nią w opinji ogółu, a świeżo miano-

wany minister policji, Savary, ujmuje druzgocące wrażenie dymisji Fouché'go w następującem charakterystycznem powiedzeniu: „Wydaje mi się, że wieść o wybuchu dżumy nie mogłaby wywołać większej zgrozy, aniżeli o mojej nominacji na ministra policji."

Zaprawdę, w ciągu tych dziesięciu lat wzrósł w potęgę, wraz z cesarzem, i Józef Fouché.

Niewiadomo jaką stało się to drogą, musiało jednak echo tego wrażenia dotrzeć i do Napoleona i odbić się rykoszetem i na nim również. Zaledwie bowiem zdążył on zadać cios Fouché'mu, a już pospiesznie naciąga na pięść aksamitną rękawicę. Już po daniu Fouché'mu dymisji zostaje mu ona, zupełnie tak samo, jak wówczas, w 1802-im, mile ozłocona i zamaskowana powołaniem go na inne stanowisko. Księciu Otrantu nadany zostaje, jako rekompensata za utratę Ministerjum Policji, honorowy tytuł radcy stanu, a także powierzona mu godność ambasadora monarchji w Rzymie. Nic też nie uwydatnia lepiej nastroju cesarza, wahającego się pomiędzy obawą a gniewem, wyrzutami i wdzięcznością, rozgoryczeniem i chęcią pojednania, aniżeli, noszący czysto osobisty charakter, list pożegnalny:

„Książę Otrantu! Wiem, jakie oddałeś mi pan usługi, wierzę też w pańskie przywiązanie do mojej osoby i w gorliwość służby pańskiej dla mnie. Mimo to niemożliwością jest dalsze pozostawanie pana na stanowisku ministra: zadaleko posunąłbym moją wyrozumiałość. Urząd ministra policji wymaga pełnego, nieograniczonego zaufania, zaś zaufanie to nie może być utrzymane z chwilą, kiedy w doniosłej sprawie rzucił pan na szalę gry mój spokój i spokój kraju, co, w mojem pojęciu, nie da się nawet usprawiedliwić chwalebnemi pobudkami. Dziwny pański pogląd na obowiązki ministra policji nie zgadza się z dobrem kraju. Nie wątpiąc tedy o przywiązaniu pańskiem i wierności, byłbym zmuszony rozciągać nad panem stały, nużący nadzór, czego niepodobna odemnie wymagać. Nadzorowanie

pana byłoby konieczne z racji wielu rzeczy, jakie przedsiębierze pan na własną rękę, nie wiedząc, czy zgadzają się one z moją wolą i z mojemi zamierzeniami... Nie mogę mieć nadziei, aby pan zmienił swoje zachowanie, jako że od lat już dawane panu przezemnie wyraźne dowody mojego niezadowolenia nie spowodowały żadnej zmiany w pańskiem postępowaniu. Opierając się na uczciwości swoich zamiarów, nie chciał pan zrozumieć, że można zrządzić wiele złego, mając najlepsze zamiary czynienia dobrze. Zaufanie moje do pańskich zdolności i do wierności pańskiej jest niezachwiane. Mam nadzieję znaleźć rychło sposobność dania panu dowodu, że tak jest i wykorzystania tych pańskich walorów w służbie dla mnie."

List ten otwiera, niby sekretnym kluczem, wrota do najgłębiej utajonego stosunku Napoleona do Fouchégo, warto też przeczytać ten mały majstersztyk po raz drugi, aby wyczuć, jak wola i przeciwwola, uznanie i wstręt, obawa i ukryty szacunek, krzyżują się wzajem w każdem zdaniu. Autokrata chce mieć niewolnika, rozgoryczony więc jest, natrafiając na samodzielnego człowieka. Chce się go pozbyć, a równocześnie obawia się uczynienia sobie z niego wroga. Żałuje, że go traci i zarazem szczęśliwy jest, że pozbywa się niebezpiecznego sługi.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ale wraz z pewnością siebie Napoleona wzrosła też w tych samych gigantycznych rozmiarach pewność siebie jego ministra, a świadomość powszechnej sympatji bardziej jeszcze pręży sztywny kark Fouché'go.

Nie, książe Otrantu nie da się już wyrzucić w tak prosty sposób. Napoleon musi się przekonać, jak będzie wyglądało jego Ministerjum Policji z chwilą gdy się wskazało drzwi Józefowi Fouché. Jego następca musi poczuć, że ten, kto poważył się zastąpić Fouché'go, dostał się do gniazda os zamiast zasiąść na fotelu mini-

sterjalnym. Nie dla niezdarnego mruczykija, jak Savary, nie dla tego dyplomatycznego żółtodzióbka, stworzył on i urabiał w ciągu dziesięciu lat swój wspaniale nastrojony instrument; nie w tym celu, aby pierwszy lepszy partacz bezdarnie w dalszym ciągu na nim wystukiwał i wydawał za własne dzieło to, co jego poprzednik obmyślił i w co tchnął życie mozolną pracą nieskończonych dni i nocy.

Nie, tak łatwo i wygodnie, jak sobie to wyobrażają tamci dwaj, nie pójdzie z jego dymisją. Obydwaj: i Napoleon i Savary, przekonają się, że człowiek taki, jak Józef Fouché, nietylko, jak inni, zgina służalczo kark, ale umie też w razie potrzeby groźnie błysnąć zębami.

Fouché zdecydowany jest nie odejść z pochyloną głową. Nie chce nędznego pojednania, nie zgadza się na potulną kapitulację. Nie jest oczywiście tak głupi, aby pozwolić sobie na jawny opór, nie leży to w jego naturze. Chce tylko zrobić sobie żarcik, maleńki, wesoły, dowcipny żarcik, którym Paryż będzie się zachwycał, a który zarazem posłuży Savary'emu za nauczkę, że niejedna zdradliwa zasadzka czyha w królestwie księcia Otrantu.

Wciąż ponawia się okazja przypominania zdumiewająco szatańskiego rysu Józefa Fouché, w którego charakterze leży znajdowanie ujścia dla najwyższego swojego rozgoryczenia i gniewu w upodobaniu do ponurych, zdradziecko kęśliwych żartów i którego odwaga, w miarę wzrastania, nie staje się męstwem, ale groteskowo-niebezpieczną swawolą. Nigdy nie odpowiada on na zbyt bliskie zaczepki uderzeniem pięścią, ale zawsze i nieodmiennie, w największym gniewie, podcina biczem błazeńskim w ten sposób, że cięcie to czyni błazna z uderzonego. Wszystko co tkwi najgłębiej utajone w naturze tego zamkniętego w sobie, powściągliwego człowieka, tryska przy takich okazjach olśniewająco błyskotliwą kaskadą piany, i te momenty pozornej wesołości w najwyższym gniewie są zarazem temi, które

najlepiej ujawniają podziemny żar, demoniczny djabolizm jego prawdziwej natury.

Zatem cięty żarcik dla jego następcy!

Nie może on być trudny do obmyślenia, zwłaszcza gdy idzie o nieprzeczuwającego nic bałwana. Książe Otrantu wdziewa tedy na siebie galowy uniform i stroi twarz w bardzo ugrzeczniony uśmiech, aby godnie przyjąć zjawiającego się po raz pierwszy swojego następcę. Zaledwie też przestępuje Savary, książe Rovigo, próg Ministerjum, obsypuje go Fouché potokiem wyszukanych uprzejmości. Nietylko winszuje mu wielce zaszczytnego wyboru, dokonanego przez cesarza, ale gorąco dziękuję swojemu następcy, że uwolnił go od pełnienia nadmiernie ciążących mu oddawna już i wielce nużących go obowiązków. O, taki jest szczęśliwy, taki zadowolony, że może nareszcie odpocząć po tym przytłaczającym nawale pracy. Tak, olbrzymią i niewdzięczną pracą jest zarządzanie Ministerjum Policji — książę sam się o tem niebawem przekona, zwłaszcza że do tej pracy nie przywykł. W każdym razie on, Fouché, chętnie gotów jest przysłużyć się mu szybkiem uporządkowaniem nieco chaotycznego stanu rzeczy w Ministerjum — dymisja zaskoczyła go zbyt niespodzianie. Nie był na nią przygotowany. Doprowadzenie wszystkiego do porządku będzie wymagało oczywiście kilku dni czasu, o ile wszelako książe Rovigo przyjmie jego propozycję, zgadza się Fouché podjąć i ten jeszcze drobny trud, zaś równocześnie będzie mogła żona jego, księżna Otrantu, spokojnie zająć się przeprowadzką.

Poczciwy Savary, książe Rovigo, nie wyczuwa żądła w tym miodzie. Mile tylko jest zdziwiony tak wielką uprzejmością, okazywaną mu przez człowieka, którego wszyscy oczerniają przed nim, jako złośliwego i przebiegłego, nietylko więc skwapliwie przyjmuje jego ofertę, ale grzecznie dziękuje księciu Otrantu za nadzwyczajną jego usłużność. Oczywiście; niech pozostanie jak długo uzna to za dobre.

Składa przed nim głęboki ukłon i, szczerze wzruszony, potrząsa dłoń zacnego, wyraźnie niedocenianego Fouché'go.

Jaka szkoda, że niemożna było widzieć i odrysować twarzy Józefa Fouché w chwili, kiedy zamknęły się drzwi za wystrychniętym na dudka jego następcą. Wyobrażasz sobie naprawdę zatem, idjoto, że będę dla ciebie zaprowadzał porządek jeszcze, i że wygodnie rozłożę w tekach dla twoich grubych, pałąkowatych palców ostatnie tajemnice, z mozołem, niby kunsztowna mozajka, dobierane i składane, sztuka po sztuce, w ciągu dziesięciu lat? Że naoliwię jeszcze dla ciebie tryby maszyny, tak cudownie przezemnie obmyślonej, wchłaniającej w siebie bez szmeru i przerabiającej każdem swojem kółkiem, każdem zazębieniem, niewidzialnie dopływające do niej z całego państwa wiadomości? O, głupcze, szeroko jeszcze otworzysz oczy na to, co cię czeka.

Bez zwłoki też rozpoczyna się dzika orgja. Zamówiony jest do pomocy zaufany przyjaciel. Starannie zaryglowuje się drzwi do gabinetu i zaczyna się pospieszne wydzieranie z dossiers wszystkich ważnych, sekretnych dokumentów. Wszystkie, które mogą służyć mu jeszcze jako broń, wszelkie oskarżające i zdradzające, zabiera dla siebie Józef Fouché do prywatnego użytku, pozostałe rzucane są bez skrupułów w ogień. Po cóż miałby pan Savary wiedzieć, kto sprawuje obowiązki szpiclowskie na Faubourg St. Germain, kto w armji, a kto przy dworze? W ogień zatem spisy szpiegów! Pozostawia się tylko nazwiska zupełnie bezwartościowych donosicieli i oskarżycieli, stróżów domowych i ulicznych kobiet, od których i tak nie dowiesę niczego ważnego — niech je sobie zatrzyma, niech mu służą. Cenne spisy nazwisk cudzoziemskich rojalistów, tajnych korespondentów, nikną bez śladu; sztucznie stwarza się wszędzie bezład, niszczone są rejestry, akty opatrzone fałszywemi numerami, klucz szyfrowy

przestawiony i zmącony, a równocześnie zapewniona jest tajna służba najważniejszych funkcjonarjuszów przyszłego ministra policji, którzy będą potajemnie w dalszym ciągu składali raporty dawnemu i prawdziwemu swojemu panu.

Śrubkę po śrubce obluźnia Fouché i wyłamuje z olbrzymiej maszynerji, aby tryby i kółka nie mogły się już wzajem zazębiać i aby sprawne funkcjonowanie ich zahamowało się w rękach niepodejrzewającego nic następcy. Jak Rosjanie spalili, dla uchronienia jej przed Napoleonem, świętą swoją stolicę, Moskwę, aby nie mógł on znaleźć w niej spokojnej, wygodnej kwatery, tak samo niszczy i podminowuje Fouché umiłowane własne dzieło całego życia.

Przez cztery noce i przez cztery dni wali gęsty dym z komina, i cztery noce i cztery dni trwa szatańska robota. Niepostrzeżenie i nieświadomie dla całego otoczenia, które ani domyśla się co zachodzi, ulatują wszystkie tajemnice państwowe, jako nieuchwytna materja, ku dymnikowi albo też wędrują do szaf w Ferrières.

A teraz, ponowny, szczególnie uprzejmy, niezmiernie ugrzeczniony ukłon, złożony Bogu ducha winnemu następcy: — Proszę, niech pan raczy zająć miejsce! — Wywzajemniony uścisk dłoni i chytrze przyjęte podziękowanie. Książę Otrantu powinienby właściwie udać się teraz ekstrapocztą do swojej ambasady w Rzymie: woli jednak nasampierw jechać do swojego zamku w Ferrières. Przybywszy tutaj, oczekuje, drżąc z niecierpliwej, djabolicznej żądzy, na pierwszy wybuch rozwścieczenia wystrychniętego na dudka swojego następcy z chwilą gdy głupiec ten spostrzeże się, jakiego spłatał mu Józef Fouchè figla.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Prawda, że sztuczka wspaniale jest obmyślona, wyrafinowanie odegrana i zuchwale przeprowadzona do końca? Niestety tylko, pośliznął się lekko Józef Fouché,

przeoczając pewien drobny swój błąd w założeniu całej tej kunsztownej budowy. Sądzi on mianowicie, że wypłatał figla niedoświadczonemu, świeżoupieczonemu ministerjalnemu niemowlęciu. Zapomina wszelako, że ten figurant zamianowany został przez pana, który nie pozwala z sobą żartować.

Już i tak nieufnie obserwuje Napoleon sposób zachowania się Fouché'go. Niepodoba mu się jego długie zwlekanie z przekazaniem zajmowanego urzędu, niepokoi go to odkładanie bez końca podróży do Rzymu. Poza tem dało śledztwo, przeprowadzone w sprawie Ouvrard'a, pomocnika i zausznika Fouché'go, rezultat zgoła nieczekiwany. Okazuje się mianowicie, że Fouché już uprzednio wręczył innemu pośrednikowi notę do angielskiego gabinetu. A pozwalanie sobie na żarty z Napoleona nie wyszło jeszcze dotychczas nikomu na dobre.

Nagle, 17-go czerwca, pędzi, jak podcięty trzaśnięciem z bicza, ostry liścik do Ferrières:

„Książe Otrantu, upraszam pana o przesłanie mi owego raportu, doręczonego przez pana, celem wysondowania lorda Wellesley'a, niejakiemu panu Faganowi, który przywiózł panu od tego lorda odpowiedź, nigdy mi niepodaną do wiadomości."

Rozkazujący ton tej pobudki mógłby wskrzesić nieboszczyka. Ale Fouché, upojony pewnością siebie i własną swawolą, nie spieszy się z odpowiedzią. A tymczasem dolano w Tuilerjach oliwy do ognia. Savary wykrył obrabowanie Ministerjum Policji i, przerażony, melduje o tem cesarzowi. Natychmiast mknie następny list, potem trzeci, nakazujący „niezwłoczne wydanie całego portfelu ministerjalnego." Sekretarz gabinetu ministrów osobiście wręcza Fouché'mu liścik, przywożąc zarazem rozkaz natychmiastowego odebrania księciu Otrantu nieprawnie zagarniętych papierów.

Żarcik się skończył, rozpoczyna się walka.

Żart się skończył. W samej rzeczy: Fouché powinienby to nareszcie zrozumieć. Coś się w nim jednak zmieniło. Jak gdyby djabeł wlazł w niego i podszczuwał go do zmierzenia się na serjo z Napoleonem, z tym najpotężniejszym, najsilniejszym człowiekiem świata. Spokojnie oświadcza tedy wysłańcowi, nie zachłysnąwszy się nawet tem kłamstwem, że niezmiernie żałuje, nie posiada jednak żadnych listów, gdyż spalił wszystkie. Nikt naturalnie nie wierzy Fouché'mu, a już najmniej sam Napoleon. Po raz drugi upomina go więc — coraz ostrzej, coraz natarczywiej: niecierpliwość jego dobrze jest znana.

Teraz już staje się nieopatrzność Fouché'go uporem, upór — zuchwalstwem, zuchwalstwo wyzwaniem. Fouché zapewnia, jako nie posiada już ani jednej kartki. Co więcej usprawiedliwia się z rzekomego zniszczenia prywatnych dokumentów cesarza w sposób, zatrącający już wyraźnie o szantaż. Jego Cesarska Mość — zaznacza on szydersko — zaszczycał go takiem zaufaniem, że, ilekroć który z własnych Jego Cesarskiej Mości braci wywołał postępowaniem swojem Jego oburzenie, polecał jemu, Fouché'mu, przemówienie winowajcy do rozsądku i przypomnienie mu jego obowiązków. Że zaś w takich razach każdy z braci cesarskich ze swojej również strony zanosił skargi, uważał minister policji za wskazane nieprzechowywanie podobnych papierów. Także i siostry Jego Cesarskiej Mości nie były uchronione od oszczerstw, i cesarz we własnej osobie zaszczycał swojego sługę komunikowaniem mu wszystkich podobnych słuchów, polecając mu zbadanie, jakie nierozsądne postępki mogły dać do nich powód.

Jest to wyraźne, a nawet bardziej niż wyraźne: Fouché daje do poznania cesarzowi, że wie wiele rzeczy i nie pozwoli wydawać sobie rozkazów, jak lokajowi. Cesarski wysłaniec zdał sobie jasno sprawę z szantażowego tonu groźby, niełatwo mu też przyjść musiało ubranie zuchwałej odpowiedzi w odpowiednią formę,

aby móc powtórzyć ją Napoleonowi. Mimo najoględniejszego wszelako jej tonu wybucha teraz cesarz na dobre. Wściekłość jego rozpętała się do tego stopnia, że książę Massa musi go uspokajać i wreszcie, aby ułagodzić gniew Napoleona, ofiaruje się osobiście groźbą nakłonić opornego do wydania bezprawnie ukrywanych dokumentów. Następne z kolei upomnienie wychodzi z pod pióra nowego ministra policji, księcia Rovigo.

Ale Fouché odpowiada na wszystko jednako grzecznym, a zarazem jednako stanowczym tonem: niestety, niestety, powodowany nadmierną dyskrecją, spalił on wszystkie dokumenty.

Po raz pierwszy poważa się ktoś we Francji stawić opór cesarzowi.

— — — — — — — — — — — — —

Tego już zawiele. Tak samo jak Napoleon niedoceniał przez całe dziesięć lat Fouché'go, tak samo niedocenia Fouché Napoleona, wyobrażając sobie, że uda mu się zastraszyć go paroma niedyskrecjami. Stawiać w obecności wszystkich ministrów opór jemu, któremu cesarz Aleksander swoją siostrę, a cesarz austrjacki i król saski proponowali, każdy córkę swoją, za małżonkę, jemu, przed którym drżą, jak żaki szkolne, wszyscy koronowani władcy Niemiec i Włoch! Jemu, któremu nie są zdolne oprzeć się wszystkie armje Europy — chce zasuszona ta mumja, wymokły ten intrygant w nieznoszonym jeszcze płaszczu książęcym, wymówić posłuszeństwo?!

Nie, na takiego rodzaju kpiny z siebie nie można pozwolić jak się jest Napoleonem. Niezwłocznie wzywa cesarz szefa prywatnej swojej policji, Dubois i wyładowuje przed nim wściekły swój gniew na „nędznego, podłego Fouché'go". Gwałtownemi, gniewnemi krokami biega Napoleon tam i zpowrotem po pokoju i nagle wybucha wrzaskiem: „Niech jednak nie liczy na to, że uda mu się zrobić ze mną to samo, co zrobił

ze swoim Bogiem, z Konwentem, z Dyrektorjatem, których zdradził i sprzedał! Mam lepsze oczy niż Barras, ze mną nie pójdzie tak gładko, radzę mu też, niech się ma na baczności. Wiem, że posiada moje notatki i instrukcje, żądam więc, aby mi je natychmiast zwrócił. Gdyby śmiał opierać się temu żądaniu, ma pan go oddać natychmiast w ręce dziesięciu żandarmów i kazać im odprowadzić go do więzienia. Przysięgam na Boga, że pokażę mu, jak prędko załatwia się takie rzeczy".

Teraz sprawa zaczyna wyglądać kiepsko. Zalatujący od niej swąd spalenizny zaczyna żreć w oczy nawet człowieka takiego jak Fouché. Kiedy też zjawia się teraz Dubois, musi Fouché pozwolić, że jemu, księciu Otrantu, byłemu ministrowi policji, nakłada dawny jego podwładny pieczęcie na wszystkie jego papiery i dokumenty, co mogłoby stać się dla Fouché'go rzeczą wielce niebezpieczną, gdyby, rzecz prosta, nie był on przezornie pochował uprzednio właściwych i najważniejszych.

W każdym razie jednak zaczyna mu świtać myśl, że chciał przebić głową mur. W szalonym pośpiechu śle teraz list po liście: do cesarza, do każdego z ministrów poszczególnie, i w listach tych uskarża się na nieufność, jaką okazano jemu, najuczciwszemu, najszczerszemu, najwytrwalszemu, wiernie oddanemu ministrowi. W jednym z tych listów bawi zwłaszcza zachwycające zdanie: *„Il n'est pas dans mon caractère de changer"* (naprawdę, czarno na białem, własną ręką wypisane są te słowa w zastosowaniu do kameleona zmienności charakteru). I zupełnie tak samo, jak wówczas, przed piętnastu laty, za Robespierre'a, ma on jeszcze nadzieję szybkiem pojednaniem zapobiec klęsce. Wsiada do karocy, jedzie do Paryża, aby osobiście złożyć cesarzowi wyjaśnienia, a bodaj już nawet usprawiedliwienia.

Tym razem wszelako jest już zapóźno.

Zbyt długo bawił się, zbyt długo żartował sobie, niema już teraz żadnej możliwości pojednania, żadnego załagodzenia scysji; kto publicznie pozwolił sobie rzucić rękawicę Napoleonowi, musi zostać publicznie poniżony. Skierowany więc zostaje do Fouché'go list, tak nieubłaganie twardy i tak stalowo ostry, jakiego nigdy chyba nie wystosował Napoleon do żadnego z ministrów: „Książę Otrantu, pańskie usługi nie mogą być dla mnie dłużej pożądane. Ma pan w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin odjechać do swojego senatorstwa."

Ani słowa już o powołaniu go na stanowisko ambasadora w Rzymie; naga, brutalna dymisja i do tego jeszcze zesłanie. Równocześnie otrzymuje minister policji, książę Rovigo, rozkaz dopilnowania niezwłocznego wprowadzenia w czyn tego edyktu.

— — — — — — — — — — — — —

Napięcie było zbyt wielkie, gra nazbyt zuchwała. Staje się teraz rzecz niespodziewana: Fouché załamuje się kompletnie. Załamuje się, jak lunatyk, który, nic nie przeczuwając, łaził po wszystkich dachach, i, zbudzony nagłym, wzywającym go okrzykiem, z przerażenia wobec świadomości własnej szalonej sytuacji traci równowagę i spada w przepaść. Ten sam człowiek, który o dwa kroki od gilotyny pozostał trzeźwy i zdawał sobie jasno sprawę ze stanu rzeczy, nędznie załamuje się pod śmignięciem go batem przez Napoleona.

Ten trzeci czerwca 1803 roku — to Waterloo Józefa Fouché. Zatraca on nagle w zupełności panowanie nad swojemi nerwami, wpada do ministra z prośbą o zagraniczny pasport i, na łeb na szyję, zmieniając rozstawne konie na każdej stacji, nie zatrzymując się ani na jedną chwilę, pędzi do Włoch. Tam, jak oszalały szczur po rozpalonym kominie, przebiega kraj we wszystkich kierunkach, tłucze się z miejsca na miejsce. Dziś jest w Parmie, jutro we Florencji, potem w Pisie, w Livorno,

zamiast, jak mu rozkazano, udać się do swojego senatorstwa.

Ogarnęła go nazbyt dzika panika. Byleby tylko wydostać się poza granicę dosięgalności Napoleona, byle wymknąć się z okrutnych jego szpon!

Włochy nawet nie wydają mu się dość bezpieczne. Jest to wciąż jeszcze Europa, a całą Europę ujarzmił i podporządkował swojej woli straszny ten człowiek. Wynajmuje tedy Fouché w Liworno okręt, na którym chce się przeprawić do Ameryki, do jedynej krainy bezpieczeństwa i wolności, zawraca wszelako z drogi, przygnany zpowrotem przez burzę, chorobę morską i strach przed angielskiemi krążownikami. Teraz znów, straciwszy kompletnie głowę, pędzi powozem, zygzakując od portu do portu, od miasta do miasta; żebrze o pomoc u sióstr Napoleona, u książąt, u przyjaciół, niknie z horyzontu, wynurza się znów z mroku ku rozwścieczeniu urzędników policyjnych, którzy wciąż są na jego tropie i wciąż gubią jego ślady — słowem, zachowuje się jak skończony, ogłupiały ze strachu warjat. Po raz pierwszy w życiu ten człowiek o stalowych nerwach, czy też zupełnie pozbawiony nerwów, przedstawia kliniczny iście obraz doszczętnego nerwowego załamania się.

Nigdy nie zdruzgotał Napoleon przeciwnika kompletniej jednym jedynym gestem, jednem zwykłem uderzeniem pięścią, aniżeli teraz tego najśmielszego i najbardziej zimnokrwistego z swoich sług.

To ukrywane się i wynurzanie ponowne, to gorączkowe pędzenie z miejsca na miejsce, trwa dnie, trwa tygodnie, niepodobna wszelako odgadnąć (nawet i mistrzowski biograf Fouché'go, Madelin, nie wie nic, a prawdopodobnie nie wie tego i on sam również), dokąd dążył on w owym czasie i co właściwie zamierzał. Wydaje się, jak gdyby jedynie w mknącym naprzód, przed siebie, powozie czuł się książę Otrantu bezpiecznym przed wyimaginowaną zemstą Napoleona, któremu napewno już oddawna wywietrzała z głowy myśl poważ-

nego rozprawienia się z krnąbrnym służalcem. Napoleonowi zależało jedynie na zaznaczeniu i przeprowadzeniu swojej woli otrzymania zpowrotem papierów i cel ten osiągnął. Bowiem w tym samym czasie, kiedy gnany dzikim strachem, rozhisteryzowany do ostatecznych granic, na śmierć zapędza Fouché rozstawne konie we Włoszech, zachowuje się pozostała w Paryżu jego żona bezporównania rozsądniej. Kapituluje w jego imieniu. Nie może ulegać wątpliwości, że księżna Otrantu, aby uratować swojego męża, w dyskretny sposób dostarczyła zpowrotem Napoleonowi papiery, podstępnie ukryte przez Fouché'go. Świadczy o tem fakt, że nigdy nie przedostał się do wiadomości publicznej żaden z owych intymnych dokumentów, o których wzmiankował wówczas Fouché, próbując szantażować niemi cesarza.

Zarówno jak papiery, dotyczące Barras'a, od którego cesarz odkupił je, oraz innych niepożądanych powierników z czasu jego wznoszenia się wzwyż po szczeblach karjery, zaginęły także bez śladu dokumenty, będące w posiadaniu Fouché'go. Zaginęły te nadewszystko, które dotyczyły Napoleona. Bądź on sam, bądź może w następstwie Napoleon III, zniszczył wszystko, co nie było dopasowane do oficjalnego wizerunku wielkiego cesarza.

Wreszcie otrzymuje Fouché łaskawe zezwolenie udania się z powrotem do swojego senatorstwa, do Aix. Gwałtowna burza uciszyła się, pioruny wstrząsnęły tylko nerwami, nie porażając wszelako ich ośrodka.

25-go staje gnany z miejsca na miejsce w swoich dobrach, „blady i wyczerpany, zdradzający bezładem myśli swoich i swojej mowy zupełne zmącenie ducha". Pozostawiono mu jednak aż nadto czasu na odzyskanie spokoju nerwów, bowiem kto raz przeciwstawił się woli Napoleona, pożegnać się musi na długi czas z wszelkiem stanowiskiem publicznem. Ambitny minister za-

płacić musi za swój ponury żart: fala jego karjery grąży go znów w głębię.

W ciągu trzech lat pozbawiony zostaje Fouché wszelkich godności i urzędów: rozpoczyna się jego trzecie wygnanie.

## Rozdział siódmy

## PONIEWOLNE INTERMEZZO

### 1810—1815.

W swojej wspaniałej rezydencji, w zamku Aix, przebywa strącony z urzędu minister, książę Otrantu, żyjąc na stopie suwerennego władcy. Liczy sobie już pięćdziesiąt dwa lata, wysączył aż do ostatniej kropli kielich ziemskich doświadczeń ruchliwej swojej karjery, przeżył wszystkie momenty napięcia i wszystkie wzruszenia gry, wszelkie sukcesy i trudności związane z losem męża stanu, nieustanną kolejność przypływów i odpływów w politycznej grze fal. Zaznał łaskawych względów i poparcia możnych, a potem rozpaczy osamotnienia; przeszedł przez ostateczną nędzę aż do twardej troski o codzienny kęs chleba i zdobył niezmierzone bogactwa; był wielbiony i nienawidzony, czczony i piętnowany — teraz wreszcie może odpocząć na złotem wybrzeżu, jako książę, senator, ekscellencja, minister, radca stanu, wielokrotny miljoner, niezależny od nikogo, liczący się z własną wolą jedynie. Rozparty wygodnie w swojej karocy odbywa przejażdżki, składa wizyty w domach arystokracji, przyjmuje głośne hołdy mieszkańców swojej prowincji i, podszeptywane z Paryża, przejawy sympatji; uwolniony jest od denerwującego ciężaru codziennego użerania się z bezmózgimi urzędnikami i ścierania się z wolą despotycznego władcy.

Gdyby można było wierzyć jego zadowolonej minie, czuje się książę Otrantu dobrze *procul negotiis.*

Do jakiego stopnia ułudne jest wszelako to udawane zadowolenie, zdradza (niewątpliwie szczery) ustęp jego (skądinąd mocno wątpliwego) pamiętnika:[1])

„Nawyknienie wiedzenia o wszystkiem, które wżarło mi się już w krew, nie dawało mi spokoju, opanowując mnie jeszcze silniej w dniach nudy bardzo przyjemnego, ale jednostajnego wygnania."

Na „*charme de sa retraite*" składa się, sądząc z własnego jego wyznania, nie ów łagodnie wdzięczny pejzaż Prowancji, ale deszcz karteczek z raportami i regularnemi szpiegowskiemi doniesieniami z Paryża. „Dzięki pomocy wypróbowanych przyjaciół i wiernych sług urządziłem sobie potajemną wymianę listów, popieraną stałemi, wzajem się uzupełniającemi raportami ze stolicy. Słowem — miałem w Aix prywatną moją policję."

To, czego pozbawiony został w służbie, uprawia teraz niezmordowanie jako sport, a skoro nie ma prawa przestępowania progu ministerjów, korci go, aby cudzemi przynajmniej oczami podpatrywać przez wszystkie dziurki od klucza, brać cudzemi uszami udział w obradach, a, nadewszystko, podsłuchiwać i tropić, czy nie nastręczy się wreszcie okazja ofiarowania znów swoich usług, przepchnięcia się ponownie do stołu współczesnej politycznej gry świata.

---

*) W pracy niniejszej nie powoływałem się nigdy prawie na „Pamiętniki księcia Otrantu", które ukazały się w Paryżu w 1824, są one bowiem niewątpliwie zestawione obcą ręką, opierającą się, co prawda, na częściowo autentycznym materjale. Pytanie, w jakim stopniu nieodmienny ten dwulicowiec umaczał sam palce przy ich przygotowaniu, wciąż jeszcze zajmuje bezskutecznie naukę. W dalszym ciągu też można w zastosowaniu do nich powtórzyć dowcipne słowa Heine'go, który, pisząc o „znanie fałszywym człowieku" Fouchém, mówi, jako „doprowadził on fałszywość swoją do tego stopnia, że jeszcze po swojej śmierci opublikował fałszywe pamiętniki".

Długo jednak jeszcze przeczekać będzie musiał na uboczu książę Otrantu. Nie jest potrzebny Napoleonowi, który, po pokonaniu Europy, stoi u szczytu swojej potęgi, jest zięciem cesarza Austrjackiego, jest — ziszczone nareszcie najgorętsze jego pragnienie! — ojcem króla Rzymskiego. Pokornie skamlają przed nim wszyscy niemieccy i włoscy książęta, wdzięczni za łaskę pozostawienia im koron i tronów; chwieje się już i ustępuje ostatni i jedyny wróg: Anglja. Człowiek ten stał się tak silnym, że może z lekceważącym uśmiechem wyrzec się tak skwapliwych i tak mało godnych zaufania pomocników, jak Józef Fouché. Teraz dopiero, kiedy dano Fouché'mu poddostatkiem czasu na spokojny i rozważny namysł, może on ocenić całe opętańcze zarozumialstwo, które popchnęło go do zmierzenia się z tym najpotężniejszym ze wszystkich mężów. Napoleon nie zaszczyca go nawet swoją nienawiścią — z gigantycznej wyżyny, na jaką wzniosły i postawiły go losy, nie dostrzega on już wcale małego, dokuczliwego insektu, który niegdyś usłał sobie gniazdo w futrze cesarskiego płaszcza, a którego cesarz wytrząsnął jednem silnem kopnięciem. Nie zwraca też uwagi ani na jego natręctwo, ani na jego nieobecność. Raz nazawsze skończył z Fouché'm.

Nic wyraźniej nie wskazuje wpadłemu w niełaskę, jak mało Napoleon liczy się z nim teraz i obawia się go, aniżeli fakt, że wolno mu już powrócić do swojego zamku w Ferrières, położonego w odległości dwóch godzin od Paryża. Bardziej, co prawda, nie pozwala mu cesarz zbliżyć się do stolicy. Paryż i Tuilerje pozostają zamknięte dla człowieka, który poważył się stawić opór Napoleonowi.

Raz jedyny tylko w ciągu tych dwu lat niezapełnionej niczem pustki wezwany zostaje Józef Fouché do pałacu. Napoleon przygotowuje się do wojny z Rosją: ten jedyny raz ma Fouché, skoro wszyscy inni odradzają, wypowiedzieć również i swoje zdanie. Wypo-

wiada je, o ile można mu wierzyć, gwałtownie ostrzegając, podaje nawet (o ile nie sfałszował go *post festum)* pamiętne owo memorandum, które znaleźć można w jego pamiętnikach; ale Napoleon oddawna już zgadza się jedynie słyszeć potwierdzenie własnej swojej woli, żąda już tylko ślepej uległości dla siebie. Kto odciąga go od wojny, zdaje się wątpić o jego wielkości. Dlategoteż odesłany zostaje Fouché chłodno do swojego zamku, na bezrobotne swoje wygnanie, podczas gdy cesarz wyrusza na czele sześciuset tysięcy ludzi, aby dokonać najśmielszego i najszaleńszego swojego czynu — wyrusza na podbój Moskwy.

— — — — — — — — — — — — —

Szczególny rytm kieruje zadziwiającem, kalejdoskopowo zmiennem życiem Józefa Fouché. W okresie wznoszenia się w górę udaje mu się wszystko; kiedy pada, odwraca się los nieubłaganie przeciwko niemu. Właśnie teraz, kiedy zgnębiony, zgorzkniały, w cieniu niełaski czekać musi bezczynnie w odległym swoim zamku, poza granicznym słupem wydarzeń, teraz kiedy w rozczarowaniu swojem szczególnie odczuwa potrzebę ukojenia ducha, wiernego serca, szczerej wymiany myśli, tkliwej pociechy, teraz właśnie traci on jedyną osobę, która w ciągu dwudziestu lat, darząc go miłością, służąc mu za wytrwałą oporę, towarzyszyła mu nieodstępnie na niebezpiecznych jego drogach — traci żonę. W okresie pierwszego wygnania, w ponurej paryskiej mansardzie umarło mu dwoje pierwszych, nad wszystko ukochanych przez niego dzieci; podczas trzeciego wygnania opuszcza go nieodstępna towarzyszka jego życia. Ta strata zadaje pozornie nieczułemu cios w samo serce. Kapryśnie zdradzający wszystkie stronnictwa, wypierający się wszystkich idei, był nieprzenikniony ten, najtkliwiej wierny brzydkiej swojej małżonce człowiek, najczulszym dla niej i najbardziej pełnym względów mężem, dla dzieci naj-

troskliwszym ojcem. Podobnie jak pod maską suchego móla kancelaryjnego ukrywał się w nim nerwowy intrygant i duchowy żongler, tak samo kryje się w nim niedostrzegalnie, poza niebezpiecznym i niepewnym obłudnikiem — przecherą, wiernie mieszczański, typowo prowincjonalny francuski małżonek, samotnik, który czuje się dobrze i bezpiecznie jedynie w najciaśniejszem kole rodziny. Wszystko, co, ukryte w głębokim cieniu, tkwiło dobrego i uczciwego w tym przewrotnym dyplomacie, zwracał on z tajoną starannie miłością ku towarzyszce, która żyła wyłącznie nim i dla niego, nie ukazywała się nigdy na balach, festynach i przyjęciach dworskich, nie wtrącała się nigdy do jego niebezpiecznej gry. Kryjąc się w głębi niedostępnej tajni prywatnego życia, była dla Fouché'go żona jego wcielonem, kojącem przeciwstawieniem niestałości, chwiejności, ryzykowności i zmienności jego politycznej karjery. I tej właśnie nieocenionej opory zbrakło mu teraz, kiedy najbardziej było mu jej potrzeba. Po raz pierwszy stajemy tu wobec rzetelnego wstrząśnienia całego jestestwa tego zimnego jak lód człowieka, po raz pierwszy wyczuwamy w jego listach ton bardzo ciepły, bardzo szczery, prawdziwie ludzki.

Na nalegania przyjaciół, aby, po popełnieniu szalonego głupstwa przez jego następcę, księcia Rovigo, (który z okazji śmiesznego putschu jakiegoś półgłówka dał się, ku uciesze całego Paryża, zamknąć bezwolnie), ubiegał się ponownie o stanowisko ministra policji, odpowiada Fouché bezwzględną odmową powrotu do świata politycznego.

„Serce moje zamknięte jest dla wszystkich tych ludzkich niedorzeczności. Władza straciła już dla mnie urok, spokój nietylko jest odpowiednim stanem w mojem obecnem położeniu, ale jedynym, jakiego mi potrzeba. Sprawy publiczne upiornie majaczą przedemną obrazem tumultu jeno, zamieszania i niebezpieczeństw."

Po raz pierwszy darzy mądrego szkoła cierpienia

prawdziwym rozumem. Po długim okresie pchającej go nieustannie naprzód bezrozumnej ambicji ogarnia starzejącego się człowieka, od chwili kiedy śmierć wydarła mu towarzyszkę dwudziestu straszliwych lat, głęboka potrzeba spokoju, zwolnienia ciągłego wewnętrznego napięcia. Zgasło w nim na wieki, jak się zdaje, lubowanie się w prowadzeniu intryg; żądza władzy załamała się nareszcie w tym zapędzonym, wiecznie niespokojnym, gnanym niustanną ambicją karjerowiczu.

Ale o tragiczna ironjo! Po raz pierwszy i jedyny, teraz, kiedy ten wiecznie niespokojny duch pragnie już tylko spokoju i nie pożąda stanowiska ani urzędu, narzuca mu je gwałtownie jego słaby przeciwnik w grze, Napoleon.

— — — — — — — — — — — — —

Nie miłością powodowany, ani przywiązaniem, ani tem mniej zaufaniem, wzywa Napoleon Fouché'go raz jeszcze do służby dla siebie, ale właśnie nieufnością, nagłą niepewnością. Po raz pierwszy powrócił cesarz jako zwyciężony. Nie na czele armji, wyprostowany dumnie na wierzchowcu, witany lasem powiewających sztandarów, wjeżdża on przez Łuk Tryumfalny do Paryża, ale z ukrytym w futrze kołnierza podbródkiem, aby nie być poznanym, wślizguje się nocą do miasta. Najwspanialsza armja, jaką kiedykolwiek uzbroił, leży pogrzebana w rosyjskich śniegach. Wraz z zagasłą glorją niezwyciężoności rozpierzchli się wszyscy przyjaciele. Wszyscy cesarze i królowie, którzy wczoraj jeszcze i onegdaj gięli przed nim służalczo karki, z rażącą nagłością przypominają sobie wobec pokonanego cesarza osobistą swoją godność i swoje dostojeństwo. Uzbrojony świat powstaje przeciwko ich surowemu władcy. Z Rosji nadciągają kozacy; z Szwecji wysuwa się naprzód dawny współzawodnik, Bernadotte; własny teść, cesarz Franciszek, zbroi się w Czechach; rozgrabione, ujarzmione Prusy podnoszą głowę z dyszącym

żądzą zemsty zapałem. Smoczy posiew niezliczonych, bezpodstawnie lekkomyślnych wojen kiełkuje nagle na spalonych, porytych brózdami, udręczonych ziemiach Europy. Dojrzeje on najbliższej jesieni i wyda plon na polach Lipska.

Ze wszystkich stron chwieje się i trzeszczy w posadach gigantyczny gmach, wznoszony w ciągu dziesięciu lat władczą wolą jedynego tego wybrańca; z Hiszpanji, z Westfalji, z Włoch i Holandji uciekają przepędzeni bracia Bonapartowie.

Teraz musi Napoleon zdobyć się na najwyższy wysiłek, na najmocniejsze naprężenie energji. Orlim swoim, wszechogarniającym wzrokiem, z dziesięciokrotnie wzmożoną siłą czynu przgotowuje on wszystko do ostatniej, rozstrzygającej walki. Kto zdolny jest jeszcze dźwigać tornister na plecach, kto potrafi utrzymać się na koniu, ściągnięty jest z Francji; zewsząd: z Hiszpanji, z Włoch, wycofywane są wypróbowane wojska, aby skompensować te, które zmiażdżyła zima rosyjska lodowemi swojemi szczękami. Dniem i nocą pracuje tysiące ludzi w fabrykach przy wyrobie szabel i armat; z ukrytych skarbów wydobywa się, przekuwane w mennicy na monety, złoto; z tajnych skarbców tuileryjskich wyciągane są oszczędności; twierdze doprowadzane do porządku i, równocześnie z ruszeniem armij ciężkim krokiem od Wschodu i Zachodu na Lipsk, zarzucone są we wszystkich kierunkach sieci dyplomatyczne. Nigdzie nie może pozostać słabe i niepewne miejsce, nigdzie luka w żelaznem odrutowaniu kolczastem, którem ma być okolona Francja. Wszelka możliwość musi być obmyślona i, zupełnie tak samo jak front, muszą być też zabezpieczone tyły. Bowiem po raz drugi nie może błazen jakiś, czy człowiek złej woli, podminować czy zmącić, jak podczas kampanji rosyjskiej, wiary narodu w Napoleona. Nie może pozostać niikt niepewny; nikt niebezpieczny nie może nie być strzeżony.

O każdym czynniku władzy myśli cesarz przed tą ostatnią, rozstrzygającą bitwą, o każdej możliwości, o każdem możliwem niebezpieczeństwie. Dlatego też myśli o tym jednym, który mógłby stać się niebezpiecznym, o Józefie Fouché. Widzimy, że nie zapomniał o nim. Lekceważył go jedynie, dopóki sam był silny. Teraz, kiedy zaczyna tracić grunt pod nogami, musi ponownie trwale się co do niego upewnić. Żaden przypuszczalny wróg nie może pozostać poza jego plecami, nie może pozostać w Paryżu. Że zaś Napoleon nie zalicza Fouché'go do swoich przyjaciół, postanawia on, że Fouché musi być trzymany zdala od stolicy.

Ale uwięzić go i zamknąć w twierdzy, aby ten niespokojny duch wiecznego intryganta nie mógł knuć spisków — na to brak uchwytnych powodów. Nie można go wszelako pozostawić na wolności. Najlepiej więc uwiązać mu żądne gry palce do urzędu, możliwie do takiego, który leży jaknajdalej od Paryża.

Daremnie jednak szuka się, wpośród zamętu spraw, interesów i przygotowań wojennych w Głównej Kwaterze w Drezdnie, takiego stanowiska, które zarazem czyniłoby wrażenie zaszczytnego i dawało rękojmię bezpieczeństwa; niepodobna jest na razie znaleźć nic takiego. Ale Napoleon niecierpliwi się już, chciałby jaknajrychlej pozbyć się z Paryża tego zwolennika podziemnych dróg i krętych ścieżek. Gdy więc niemożna znaleźć odpowiedniego stanowiska dla Fouché'go, stwarza się je dla niego: nadaje mu się mianowicie urząd w bujającem w obłokach, kukułczem gnieździe: administrowanie okupowanych Prus. Piękna godność, dostojna, pierwszorzędna niewątpliwie, mająca, niestety, tę jedyną ujemną stronę, że związana jest z maleńkiem „wówczas". Regencja może się zacząć wówczas dopiero, kiedy Napoleon zdobędzie orężem Prusy. A wypadki wojenne dotychczas jeszcze niebardzo to zapowiadają, jako że Blücher poważnie już napiera na saskie skrzydło cesarza, tak że wystosowane przez Napoleona

do księcia Otrantu pismo w dniu dziesiątym maja farsowem jest jeno nadaniem mu w lenno zamku na lodzie. Pismo brzmi:

„Poleciłem zawiadomić pana, że jest moim zamiarem powołać go natychmiast do siebie z chwilą mojego wkroczenia na terytorjum króla pruskiego i powierzyć panu rządzenie tym krajem. O tem jednak niewolno pisnąć słówka w Paryżu. Należy nadać sprawie taki pozór, jak gdyby pan udawał się do swojego majątku ziemskiego, i kiedy w rzeczywistości stanie pan już tutaj, będą wszyscy przypuszczali, że przebywa pan w swojej wiejskiej rezydencji. Jedynie cesarzowa poinformowana jest o pańskim wyjeździe. Rad jestem sposobności zyskania od pana wkrótce nowych usług i nowych dowodów pańskiego wiernego oddania."

Tak pisze cesarz do Józefa Fouché właśnie dlatego, że ani trochę nie wierzy w jego „oddanie". Niechętnie, nieufnie, ile że przejrzał odrazu nawskroś intencje cesarza, szykuje się książę Otrantu w drogę do Drezna.

„Jasnem było dla mnie odrazu — czytamy w jego Pamiętniku — że cesarz, powołując mnie do siebie, chce tylko, z obawy o moje pozostanie w Paryżu, mieć mnie w ręku, jako zakładnika."

Dlatego też niezbyt spieszno jest przyszłemu Regentowi Prus przybyć na posiedzenie Rady Państwa do Drezna. Wie on, że nietyle idzie o wysłuchanie jego doradczego głosu w sprawach państwowych, ile o związanie mu rąk. Stawia się więc dopiero 29-go maja i pierwsze słowo, jakiem wita go cesarz, brzmi: „Późno przybywasz pan, Mości Książę."

O farsowym pretekście powierzenia mu rządów nad Prusami nie wspomina się oczywiście w Dreznie ani jednem słowem: czasy są zbyt poważne na tego rodzaju żarty. Ma się go teraz jednak bezpiecznie w ręku, szczęśliwie też znalazło się dla niego inną wspaniałą godność, pozwalającą odsunąć go jaknajdalej od widowni wydarzeń, i to niekoniecznie w zawieszonem

w obłokach, albo na księżycu, kukułczem gnieździe, jak tamta, ale jednak o setki kilometrów od Paryża: godność namiestnika Illirji.

Dawny towarzysz broni Napoleona, generał Junot, zarządzający dotychczas tą prowincją, dostał nagle obłędu. Opróżniła się zatem cela dla niesfornych. Cesarz, z zaledwie ukrywaną ironją, spieszy tedy nadać to panowanie na krótką metę Józefowi Fouché, który, jak zawsze, nie wzbrania się, posłusznie skłania głowę i oświadcza gotowość natychmiastowego udania się na miejsce przeznaczenia.

— — — — — — — — — — — — —

Illirja! Nazwa ta brzmi operetkowo. I w istocie, jakież to pstrokate państwo wykrojono i sfastrygowano, podczas ostatniego, narzuconego przemocą zawarcia pokoju, ze strzępków Friulu, Karyntji, Dalmacji, Istrji i Tryjestu! Państwo niesharmonizowane jednością idei, bez sensu i celu, z maleńką mieściną prowincjonalną Lublaną, jako stolicą, niezdolne do życia mieszańcze tworzydło, spłodzone łącznym wysiłkiem upojonego żądzą władzy monarchy i ślepej dyplomacji. Fouché nie znajduje tam nic prócz licho napełnionych kas, paru tuzinów znudzonych urzędników, bardzo niewielu żołnierzy i nieufnej ludności, czyhającej tylko na wymarsz Francuzów. Ze wszystkich stron kruszą się zręby tego zbyt pospiesznie, sztucznie skleconego państewka, kilka strzałów armatnich, a rozpadnie się w gruzy cały chwiejący się gmach.

Te strzały armatnie skieruje rychło przeciwko Napoleonowi własny jego teść, cesarz Franciszek. Bezpośrednio też potem skończy się panowanie w Illirji. O poważnym oporze nie może być dla Fouché'go mowy z jego kilkoma pułkami, składającymi się przeważnie z Kroatów, gotowych przy pierwszym zaraz strzale przejść na stronę dawnych swoich towarzyszy. Dlatego też przygotowuje on, już od pierwszego dnia właściwie, wycofanie się i, ażeby zręcznie je zamaskować, przy-

biera na pokaz minę beztroskiego władcy, wydaje bale i przyjęcia,, urządza w ciągu dnia pompatyczne parady wojskowe, podczas gdy w nocy tajnie są już przewożone kasy i papiery urzędowe do Tryjestu. Cała jego działalność, jako wielkorządcy i pana, może się ograniczyć jedynie na ostrożnem, krok po kroku, z możliwie małemi stratami, opróżnienia kraju. Przy tym strategicznym odwrocie wykazuje ponownie z całem dawnem mistrzowstwem swoją zimną krew, swoją, chwytającą w lot sedno sprawy, energję. Ustępuje on, krok po kroku jeno, i bez strat, z Lublany do Gorycji, z Gorycji do Tryjestu, z Tryjestu do Wenecji. Z krótkotrwałego swojego panowania w Illirji przywozi w pełnym nieomal komplecie swoich urzędników, kasę i wiele cennego materjału.

Cóż znaczy jednak utrata śmiesznej tej prowincji! W ciągu tych samych dni bowiem przegrywa Napoleon najważniejszą i ostatnią z wielkich swoich bitew w tej wojnie bitwę narodów pod Lipskiem i wraz z nią traci panowanie nad światem.

— — — — — — — — — — — — —

Wywiązał się już więc Fouché z poruczonego mu zadania i to wywiązał się w najzaszczytniejszy najbardziej honorowy sposób. Teraz, kiedy niema już Illirji do rządzenia nią, czuje się znów wolnym i chce naturalnie powrócić do Paryża. Nie leży to jednak bynajmniej w planach Napoleona. Za żadną cennę nie może pozwolić, aby teraz właśnie człowiek taki jak Fouché powracał do Paryża.

„Fouché jest człowiekiem, którego w obecnych warunkach niewolno pozostawiać w Paryżu“ — słowa te, powiedziane w Dreznie, są teraz, po Lipsku, podwójnie, siedmiokrotnie uzasadnione. Trzeba go oddalić, jaknajbardziej oddalić, i to za wszelką cenę. Pochłonięty olbrzymiem, potwornem zadaniem bronienia się pięciokrotnej przewadze, obmyśla pospiesznie cesarz inną misję dla niewygodnego. I znów taką misję, która unie-

szkodliwi go na cały przeciąg wojny. Byle dać mu teraz do ręki jakąś okazję zabawienia się w dyplomatę, prowadzenia drobnych intryżek, byle nie pozwolić jego swędzącym go już do tego palcom sięgnąć do Paryża!

Dlatego też poleca mu Napoleon udać się przedewszystkiem do Neapolu (Neapol jest daleko), aby przypomnieć więcej dbającemu o swoje królowanie, niż o cesarstwo, Muratowi, królowi Neapolitańskiemu, szwagrowi Napoleona, na czem polega jego obowiązek i skłonić go do przybycia z armją swoją na pomoc cesarzowi. Jak Fouché spełnił to polecenie — czy rzeczywiście zamierzał skłonić dawnego Napoleonowego kawaleryjskiego generała do wierności, czy też umocnił go jeszcze w jego odstępstwie — nie pozostało wyraźnie wyjaśnione w historji.

W każdym razie osiągnięty został główny cel cesarza: przetrzymanie w ciągu czterech miesięcy po tamtej stronie Alp Jozefa Fouché, pochłoniętego nieskończonemi pertraktacjami dyplomatycznemi. Podczas kiedy Austrjacy, Prusacy i Anglicy idą już na Paryż, zmuszony jest Fouché lawirować nieustannie, i właściwie bezcelowo, pomiędzy Rzymem, Florencją i Neapolem, pomiędzy Lukką i Genuą, trwonić ponownie czas swój i energję na nierozwiązalne zadanie. I tutaj bowiem posuwają się Austrjacy niepowstrzymanie naprzód; po Illirji przychodzi kolej na Włochy — drugie powierzone mu państwo stracone.

Wreszcie, w początku marca, nie posiada już cesarz Napoleon ani jednego kraju, do którego odsunąć mógłby niewygodnego. Nadto, i we własnej swojej Francji nie ma też nic już do rozkazywania ani do wzbraniania. 11-go marca powraca tedy Józef Fouché po przez Alpy do swojej ojczyzny, przetrzymany z genjalną przezornością przez cesarza w ciągu czterech miesięcy bezpowrotnie zdala od wszelkich politycznych knowań na terenie Francji. A kiedy wreszcie zrywa skuwający go łańcuch, jest już o całe cztery dni zapóźno.

W Lyonie dowiaduje się Fouché, że armje trójcesarskie maszerują na Paryż. Wkrótce więc strącony zostanie Napoleon z tronu i utworzony inny rząd. Ambicja Fouché'go pali się oczywiście niecierpliwością *„d'avoir la main dans la pâte"* — do umoczenia palców w zarabianiu tego ciasta i wyskubania sobie z niego conajwiększych rodzenek.

Ale prosta droga do Paryża zatarasowana już jest przez prącą naprzód armję, musi więc książę Otrantu objechać dłuższą, przez Tuluzę i Limoges. Wreszcie, 8-go kwietnia, wtacza się jego karoca pocztowa poza rogatki Paryża. Odrazu, na pierwszy rzut oka, poznaje, że przybył zapóźno. A kto się spóźnia, przegrywa sprawę. Za wszystkie jego kawały i sztuczki zapłacił mu raz jeszcze Napoleon mistrzowską swoją przezornością, przetrzymując go zdala dopóki było jeszcze coś do złowienia w zmąconej wodzie.

Teraz jest już po kapitulacji Paryża, Napoleon strącony z tronu, Ludwik XVIII ogłoszony królem i nowy rząd ukonstytuowany już w komplecie pod kierunkiem Talleyrand'a. Przeklęty kulas znalazł się w porę na miejscu i szybciej zmienił front, aniżeli zdołał to uczynić on sam, Fouché. Car Wszechrosji zamieszkał już w domu Talleyrand'a; nowy król obsypuje go dowodami swojego zaufania, pozwalając mu obsadzić wedle jego uznania wszystkie fotele ministerjalne i nikczemnie nie zarezerwować żadnego dla Jego Książęcej Mości księcia Otrantu, który tymczasem bez sensu i celu rządził Illirją i rozwijał we Włoszech swoje talenty dyplomatyczne. Nikt na niego nie czekał, nikt się na niego nie oglądał, nikomu na nic nie jest potrzebny, nikt nie życzy sobie zasięgać jego rady i pomocy.

I znów, jak tylokrotnie w swojem życiu, jest Józef Fouché wytrącony z siodła, wyrzucony poza nawias spraw publicznych. Długo jeszcze nie może uwierzyć, aby miano go istotnie tak obojętnie odstawić. Jego, wielkiego przeciwnika Napoleona!

Ofiaruje swoje usługi otwarcie i tajnie; widuje się go w przedpokoju Talleyrand'a, u brata królewskiego, u angielskiego posła, w salach posiedzeń Senatu — wszędzie. Nikt go jednak nie słucha. Wystosowuje listy: jeden do Napoleona, któremu radzi wywędrować do Ameryki i równocześnie posyła odpis tego listu Ludwikowi XVIII, aby wkraść się w jego łaski. Nie otrzymuje wszelako odpowiedzi. Zwraca się z petycjami do ministrów o powierzenie mu odpowiedniego stanowiska — przyjmują go grzecznie, chłodno, ale żaden z nich nie darzy go swojem poparciem. Szuka protekcji przez kobiety i przez dawnych swoich klijentów — daremnie jednak; popełnił nie do darowania błąd polityczny: przybył zapóźno. Wszystkie stanowiska już obsadzone i żadnemu z dostojników nie przychodzi na myśl ustąpić przez grzeczność własne miejsce księciu Otrantu. Nie pozostaje tedy ambitnemu dyplomacie nic innego, jeno raz jeszcze spakować kufry i wycofać się do zacisza swojego zamku w Ferrières.

Teraz, kiedy żona jego nie żyje, może już liczyć na jedyną tylko pomoc — czasu.

— — — — — — — — — — — — —

I w samej rzeczy: pomoc ta okazuje się i tym razem skuteczną. Niebawem węszy Fouché subtelnem swojem powonieniem, że znów zapachniało w powietrzu prochem. Kto ma wyczulony słuch, słyszy i z Ferrières groźne trzeszczenie posad królewskiego tronu.

Nowy władca, Ludwik XVIII, popełnia błąd za błędem. Pozwala sobie ignorować Revolucję i zapominać, że po dwudziestu latach wolnego obywatelstwa nie zechce Francja pokornie chylić karku przed dwudziestoma rodami arystokratycznemi. Lekceważy też całe niebezpieczeństwo pretorjańskiego cechu oficerów i generałów, którym obcięto połowę gaży i którzy z tej racji pomrukują z niezadowoleniem na nikczemne skąpstwo ogórkowego króla. O, gdyby powrócił Napoleon, roz-

poczęłaby się znów umiłowana, pyszna wojaczka! Możnaby znów wyruszyć na podbój i grabież obcych krajów, zrobić karjerę i znów ująć mocno cugle w ręce!

Już idą podejrzane poselstwa z jednego garnizonu do drugiego, już szykuje się powoli w armji sprzysiężenie, i Fouché, który nie myślał przecinać doszczętnie sznura pępkowego, jaki łączył go z własnym jego tworem — policją, nadsłuchuje i słyszy niejedno dające mu do myślenia. Uśmiecha się lekko sam do siebie: poczciwy król dowiedziałby się nie o jednem, gdyby wziął księcia Otrantu na ministra policji.

Ale po co ostrzegać tych pustaków na dworze królewskim? Dotychczas przewroty jedynie i zmienny kierunek wiatru wysuwały Fouché'go na czoło. Dlatego też zachowuje on milczenie i wciąga w siebie dech, jak zapaśnicy przed przystąpieniem do walki.

— — — — — — — — — — — — — — — —

5-go marca 1815-go roku przygalopowuje kurjer do Tuilerjów z oszałamiającą wieścią, że Napoleon uciekł z Elby i na czele sześciuset ludzi wylądował w Fréjus. Królewscy dworacy przyjmują wiadomość tę z pogardliwym uśmiechem.

Naturalnie, zawsze wszak mówiono, że ten Napoleon Bonaparte, który tyle narobił huku, nie musi mieć wszystkich klepek w porządku. Na czele sześciuset ludzi — parbleu! doprawdy śmiechu warte — chce ten głupiec zwyciężyć króla, za którym stoi cała armja i cała Europa! Niema się więc czem przejmować, ani troszczyć — garstka żandarmów wystarczy do ujarzmienia nędznego awanturnika.

Marszałek Ney, dawny towarzysz broni Napoleona, otrzymuje rozkaz owładnięcia uciekinierem. Samochwalczo przyobiecuje królowi, że nietylko ujmie burzyciela spokoju, ale „obwiezie go nawet po kraju w żelaznej klatce".

Ludwik XVIII i wierni jego dworacy najspokojniej obnoszą i obwożą swoją beztroskę po ulicach Paryża.

Przez pierwsze osiem dni i „Monitor“ przedstawia całą sprawę w niezmiennie wesołym tonie. Rychło wszelako mnożą się niemiłe wieści. Napoleon nie natrafił nigdzie na swojej drodze na opór, a każdy wysłany przeciwko niemu pułk, zamiast zagrodzić mu drogę, pomnaża jeno jego maleńką pierwotnie armję. A ten sam marszałek Ney, który miał go pojmać i obwozić w żelaznej klatce po kraju, przechodzi z powiewającemi sztandarami na stronę poprzedniego swojego pana. Już wkroczył Napoleon do Grenobli, do Lyonu — jeszcze tydzień, a spełni się jego proroctwo i cesarski orzeł załopoce skrzydłami na wieżach katedry Notre-Dame.

Dwór ogarnięty teraz nagłą paniką. Co czynić? Jakiemi tamami zagrodzić drogę tej lawinie? Zapóźno otwierają się oczy królowi i jego książęcym i hrabiowskim doradcom, jaką niedorzecznością było odsuwanie się od ludu i sztuczne zapominanie o tem, że pomiędzy 1792-im a 1815-ym było we Francji coś takiego jak Rewolucja. Teraz trzeba więc jaknajszybciej starać się o popularność! W bądź jaki sposób pokazać głupiemu ludowi, że się go naprawdę kocha, że szanuje się jego życzenia i prawa i zrychła nadać republikański, demokratyczny charakter rządom! — Zawsze, kiedy już jest zapóźno, skwapliwie odnajdują w sobie królowie i cesarze demokratyczne serce. Jak jednak zdobyć republikanów? Bardzo prosto: powołaniem jednego z nich do ministerjum, jakiegoś bardzo wielkiego radykała, który odrazu zabarwi na czerwono sztandar z lijami burbońskiemi!

Ale gdzie go znaleźć? Roztrząsa się w myśli to pytanie i przypomina się sobie nagle Józefa Fouché, który przed paroma jeszcze tygodniami wysiadywał we wszystkich przedpokojach i zalewał biurko króla i jego ministrów potokiem swoich propozycyj. Tak, to jest ten właściwy, którego użyć można zawsze i do wszystkiego — czemprędzej więc wyciągnąć go z głębi zapomnienia! Zawsze, ilekroć rząd znajdzie się w trudnym

momencie, czy tym rządem będzie Dyrektorjat, Konsulat, Cesarstwo czy Monarchja, zawsze, ilekroć zachodzi potrzeba odpowiedniego pośrednika, zażegnywacza, doprowadzacza do porządku, znajduje się drogę do człowieka, powiewającego czerwonym sztandarem, do najbardziej niepewnego charakteru i najpewniejszego dyplomaty, do Józefa Fouché.

W ten sposób doznaje książe Otrantu zadośćuczynienia, że ci sami właśnie książęta i hrabiowie, którzy przed paroma tygodniami chłodno się z nim rozprawiali, odwracając się do niego plecami, zwracają się teraz do niego z pełną szacunku natarczywością, ofiarowując mu, nieomal wciskając mu w rękę, tekę ministerjalną. Ale szczwany dawny minister policji zbyt dobrze zna istotne położenie polityczne, aby teraz jeszcze, o trzynastej godzinie, kompromitować się dla Burbonów. Węszy on, że musiała już nastąpić agonja, skoro tak pospiesznie wzywają go, jako lekarza.

Grzecznie więc, pod rozmaitego pozorami, odmawia, dając zarazem delikatnie do poznania, że należało zwrócić się do niego nieco wcześniej. Im bliżej wszelako docierają wojska Napoleona, tem bardziej topnieje poczucie godności na królewskim dworze. Coraz natarczywiej upomina się Fouché'go, coraz gwałtowniej nalega się na niego, aby objął rządy. Własny nawet brat Ludwika XVIII prosi go na poufną, sekretną naradę.

Tym razem wszelako pozostaje Fouché nieugiętym — nie z głębi przekonania i siły charakteru, ale dlatego, że nie czuje pociągu do niepewnych, do kiepskich interesów, i że bardzo wygodnie mu jest bujać w zawieszeniu pomiędzy obydwoma, pomiędzy Ludwikiem XVIII a Napoleonem. Teraz zapóźno jest — uspokaja on królewskiego brata — król najlepiej zrobi, znajdując sobie bezpieczne schronienie. Cała awantura napoleońska będzie bardzo krótkotrwała, on zaś, Fouché, zarządzi tymczasem wszystko co należy, aby rozwinąć kontrakcję przeciwko cesarzowi. Niech mu tylko zechcą zaufać.

Zachowując sobie w ten sposób uchyloną furtkę, może, w razie zwycięztwa Burbonów, odegrać rolę ich pomocnika. Gdyby zaś, przeciwnie, zwycięztwo miało być po stronie Napoleona, może z dumą powołać się na swoje odrzucenie propozycji Burbonów. Zbyt często wyprobowywał z dobrym skutkiem system asekurowania się na obie strony, aby nie miał zastosować go i tym razem: równocześnie udawać wiernego sługę dwóch panów — cesarza i króla.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tym razem jednak ma być odegrana jeszcze weselsza komedja — wciąż powtarza się w życiu Fouché'go, w najbardziej decydujących, ważkich, zwrotnych momentach przeznaczeń, fakt przeistaczania się sceny tragicznej w komiczną. Jednego nauczyli się już tymczasem Burboni od Napoleona, tego mianowicie, że nie powinno się nigdy w groźnym czasie pozostawiać poza własnemi plecami człowieka tatiego jak Fouché. To też na trzy dni przed wyjazdem króla, podczas kiedy Napoleon wali już wprost na stolicę, otrzymuje policja rozkaz zaaresztowania Fouché'go i wytransportowania go z Paryża, jako osobnika podejrzanego, bowiem wzdragał się zająć stanowisko ministra Spraw Wewnętrznych.

Owczesnym ministrem Policji, któremu przypada wykonanie niemiłego tego nakazu zaaresztowania, jest — historja lubi takie prawdziwie pikantne niespodzianki — Bourienne. To najbliższy, najserdeczniejszy przyjaciel Napoleona z lat młodości, jego kolega z Szkoły Wojskowej, towarzysz z Egiptu, jego długoletni sekretarz. Znał on wszystkich bliskich mu, zaufanych ludzi, dlatego też zna, i to jaknajgruntowniej, i samego Fouchégo. Nie dziwnego zatem, że przeraża go nieco otrzymany teraz od króla rozkaz uwięzienia księcia Otrantu. Pozwala sobie nawet wyrazić wątpliwość, czy jest to krok właściwy. A kiedy król w odpowiedzi powtarza ener-

gicznie swój rozkaz, potrząsa Bourienne po raz wtóry głową, ośmielając się zaznaczyć, że nie będzie to rzeczą łatwą. Stary ten szczupak — wie on dobrze — prześliznął się już przez zbyt wiele więcierzy i przepłynął przez zbyt wiele szluz, aby miał dać się złapać w biały dzień w sidła; złowienie tak niebezpiecznej ryby wymaga więcej czasu i dużej miary zręczności. Mimo to wydaje odnośne polecenie. I w samej rzeczy, 16 marca 1815-go roku, o 11-ej przed południem, okrążają policjanci na środku Bulwaru powóz księcia Otrantu i oświadczają mu, że, na mocy rozkazu ministra Bourienne'a, jest zaaresztowany. Fouché, nietracący nigdy swojej zimnej krwi, uśmiecha się pogardliwie: „Nie aresztuje się byłego senatora na ulicy.“ I, zanim zaskoczeni tem agenci, którzy zbyt długo byli jego podwładnymi, zdołali ochłonąć ze zdumienia, krzyknął Fouché na stangreta, aby porządnie zaciął konie — i już powóz mknie błyskawicznie ku domowi księcia. Oszołomieni, stoją policjanci z rozdziawionemi gębami, zachłystując się wzbitym kopytami końskiemi pyłem ulicznym. Bourienne miał słuszność: niełatwo jest przychwycić człowieka, który potrafił wymknąć się Robespierre'owi, poradzić sobie z nakazem Konwentu, wyjść cało ze szpon samego Napoleona.

Kiedy teraz wystrychnięci na dudków policjanci składają raport swojemu ministrowi, zeznając, że Fouché zdołał się im wymknąć, niezwłocznie ściąga Bourienne mocniej cugle; teraz już w grę wchodzi jego autorytet: nie pozwoli zadrwić z siebie w ten sposób.

Natychmiast wydaje rozkaz obstawienia ze wszystkich stron domu przy ulicy Caumartin i pilnowania bramy — silny, uzbrojony oddział wstępuje na schody, aby ująć uciekiniera. Ale Fouché ma w pogotowiu jeszcze jeden żarcik, jeden z owych wspaniałych, niezrównanie mistrzowskich kawałów, jakie prawie zawsze udają mu się w najdrastyczniejszych momentach, w momentach największego naprężenia. Właśnie w obliczu niebezpie-

czeństwa, widzieliśmy to wszak często, napada go taka chętka do wydrwiwania i bałamucenia urzędników, którzy przyszli go zaaresztować. Nasamprzód przegląda pilnie rozkaz uwięzienia. Tak — przyznaje — jest ważny. Oczywiście ani mu na myśl nie przyszłoby stawiać opór rozkazowi Jego Królewskiej Mości. Panowie będą łaskawi usiąść tutaj w salonie; musi jeszcze wydać pewne zarządzenia i zaraz potem będzie im służył. Tak zapewnia Fouché z uniżoną grzecznością i przechodzi do sąsiedniego pokoju. Tamci czekają z szacunkiem dopóki Fouché nie dokończy swojej tualety, — niemożna przecież bez ceremonji chwycić senatora, byłego ministra i dostojnika dworu, brutalnie, jak zwyczajnego złodzieja kieszonkowego, za ramię, albo nałożyć mu kajdanki na ręce. Czekają tedy z szacunkiem, czekają jakiś czas, aż dopóki nie wydaje im się on podejrzanie długi. Kiedy wreszcie Fouché wciąż jeszcze się nie zjawia, wchodzą do sąsiedniego pokoju i przekonywają się — iście farsowa scena wpośród politycznego zamętu — że książe Otrantu wymknął się im sprytnie. Pięćdziesięcioześcioletni człowiek przystawił sobie od strony ogrodu — zupełnie jak w niewynalezionem jeszcze wówczas kinie — drabinę do muru i podczas kiedy policjanci czekali na niego posłusznie i czołobitnie w salonie, wdrapał się ze zdumiewającą na jego wiek zręcznością na drabinę i przelazł po niej do sąsiedniego ogrodu królowej Hortensji, skąd już ukrył się w bezpiecznem schronieniu.

Wieczorem tego dnia śmieje się cały Paryż z tak zgrabnie zagranej sztuczki. Na dłuższą metę nie mogłaby się ona oczywiście utrzymać — książe Otrantu jest zbyt dobrze znany wszystkim w całem mieście, ażeby mógł stale ukrywać się.

Ale Fouché raz jeszcze trafnie obliczył szanse. Widział, że tym razem idzie tylko o kilka godzin, wnet już bowiem król i wierni mu stronnicy muszą mieć się na baczności, aby ich samych nie przyłapała wkracza-

jąca kawalerja Napoleona. W pośpiechu pakowane są w Tuilerjach kufry; zawziętym swoim rozkazem zaaresztowania tyle tylko zyskał Ludwik XVIII, że dał Fouché'mu do ręki publiczne świadectwo jego (nigdy nieistniejącej) wierności dla cesarza, wierności, w którą oczywiście nie uwierzy Napoleon. Kiedy jednak opowiadają mu o udatnym kawale tego politycznego sztukmistrza, nie może powstrzymać się od śmiechu i mówi z rodzajem gniewnego podziwu: *„Il est decidément plus malin qu'eux tous"*. Jest stanowczo przebieglejszy od nich wszystkich.

## Rozdział ósmy.

## ZAKOŃCZENIE WALKI Z NAPOLEONEM 1815, STO DNI.

19-go marca 1815-go roku wjeżdża o północy — olbrzymi plac jest ciemny i opustoszały — dwanaście powozów na dziedziniec Tuilerjów. Otwierają się niepozorne boczne drzwiczki i z nich, z pochodnią w podniesionej wysoko ręce, wychodzi lokaj pałacowy, za którym taszczy się z wysiłkiem, podtrzymywany z prawej i z lewej strony przez dwóch wiernych arystokratów, otyły, astmatycznie dyszący człowiek, Ludwik XVIII. Na widok chorego króla, który, zaledwie powróciwszy po piętnastu latach wygnania, musi w ciemną, zamgloną noc ponownie uciekać z kraju swojego, ogarnia wszystkich obecnych szczera litość. Większość zgina kornie kolano podczas podnoszenia do karocy tego odartego z majestatu przez chorobę, ale wzruszającego w swoim tragiźmie, starego człowieka. Wreszcie ruszają konie z kopyta, inne powozy jadą za pierwszym; w ciągu kilku minut słychać jeszcze uderzanie o żwir alei kopyt końskich. To kawalkada gwardji, towarzyszącej królewskiej karocy. I znów

ciemność i cisza zalegają olbrzymi plac aż do brzasku poranka 20-go marca, poranka, który rozpoczyna pierwszy z stu dni powracającego z Elby do kraju cesarza Napoleona.

Pierwsza podkrada się ciekawość.

Z rozedrganemi żądzą nozdrzami oblegają pałac, aby wypatrzyć, czy wypłoszona zwierzyna królewska umknęła już przed cesarzem: kramarze, próżniacy, spacerowicze. Wystraszeni, czy rozradowani, zależnie od temperamentu i usposobienia, szepcą sobie do ucha nowiny. O dziesiątej nadciągają już gęste, zwarte tłumy. Że zaś ludzie w tłumie dopiero nabierają odwagi, wyrywają się już pierwsze głośne, wyraźne okrzyki: „*Vive l'Empereur!*“ i „*À bas le Roi!*“ Nagle przygalopowuje kawalerja. Oficerowie, którym za monarchji obcięto połowę gaży, węszą znów, wraz z powrotem cesarza, wojnę, przydziały, pełny żołd, honorowe legje, awanse. Z hałaśliwemi tedy okrzykami tryumfu bez przeszkody zajmują pod rozkazami Exelmans'a Tuilerje (a że przejście to z ręki do ręki dokonywa się tak spokojnie i bezkrwawo, podnosi się natychmiast na Giełdzie renta o kilka punktów). W południe powiewa znów trójkolorowy sztandar na starożytnym zamku królewskim, a przecież w ciągu całego tego, bogatego w wydarzenia rana nie padł ani jeden strzał.

I już meldują się setki synekurzystów, „wierni“ słudzy dworu cesarskiego, damy pałacowe, lokaje, podczaszowie, oberkuchmistrze, dawni ochmistrze dworu i mistrze ceremonji, wszyscy, którym niewolno było służyć i zarabiać podczas rządów białej lilji, cała nowa arystokracja, wyciągnięta przez Napoleona z pod szczątków Rewolucji i podniesiona do wysokich godności dworskich. Wszystko to w galowym stroju: generałowie, oficerowie i domy; znów połyskują brylanty, pałasze, ordery. Otwierane są pokoje i szykowane na przyjęcie nowego pana, pospiesznie usuwane godła królewskie — na jedwabnem pokryciu foteli ponownie

jaśnieją, zamiast lilji burbońskiej, złote skrzydełka napoleońskiej pszczoły. Każdy drży, aby stawić się w porę na miejscu, być odrazu zauważonym w rzędzie „wiernych". Tymczasem zapada wieczór. Jak podczas balów i wielkich przyjęć zapalają liberyjni lokaje wszystkie kandelabry i świece; zdala, aż do Łuku Tryumfalnego, widać łunę oświetlonych okien cesarskiego ponownie pałacu, przynęcając masy ciekawych do ogrodów Tuileryjskich.

Wreszcie, o dziewiątej wieczorem, nadjeżdża w pełnym galopie powóz, na prawo, na lewo, od przodu, od tyłu, chroniony, otoczony kawalerzystami wszelkich stopni i rang, który z zapałem wymachują swojemi szablami, (użyją ich wkrótce przeciwko armjom Europy).

Niczem eksplozja, zrywa się z ust zwartej masy grzmiący okrzyk: *„Vive l'Empereur!"*. odbity dalekonośnem echem w rozległym czworoboku rozedrganych szyb okiennych. Szaloną, burzliwą falą rzuca się rozentuzjazmowany tłum na powóz, żołnierze muszą ostrzami szabel uchronić cesarza od zagrażającego jego życiu wybuchu zapału i radosnego naporu mas. W pewnym momencie porywają go sami na ramiona i niosą z czcią świętą zdobycz, wielkiego boga wojny, poprzez ogłuszające, dzikie okrzyki, po schodach do dawnego pałacu. Na ramionach swoich żołnierzy, z przymkniętemi oczami, upojony nadmiarem szczęścia, z dziwnym, nieomal sonambulicznym uśmiechem na wargach, dostaje się ponownie na tron cesarski Francji ten, który przed dwudziestu dniami zaledwie opuścił Elbę, jako wygnaniec.

To ostatni tryumf Napoleona Bonaparte. Po raz ostatni przeżywa on moment podobnie nieprawdopodobnego wzniesienia się, taki wzlot wymarzony z głębin ciemności na najwyższe szczyty potęgi. Po raz ostatni rozlega się w jego muszli usznej, niby huk wezbranego morza, tytaniczny grzmot ulubionego okrzyku na cześć

cesarza. Minutę, dziesięć minut z rozkoszą wchłania on w siebie z zamkniętemi oczami i łomocącem z zachwytu sercem, upajający eliksir władzy. Potem każe zamknąć podwoje pałacu, komenderuje odwrót oficerów i nakazuje wezwać ministrów: rozpoczyna się praca.

Człowiek musi bronić tego, czem obdarzył go los.

Natłoczone salony czekają na będącego zpowrotem w swoim pałacu władcę. Ale już pierwszy rzut oka przynosi mu rozczarowanie: ci, którzy pozostali mu wierni — nie są to najlepsi, najmędrsi, najważniejsi. Widzi dworaków i uniżonych, żądnych posad i żądnych sycenia ciekawości — wiele mundurów, ale mało głów. Brak prawie wszystkich marszałków — nie usprawiedliwili nawet swojej nieobecności — prawdziwych towarzyszy jego wzniesienia się; pozostali w swoich zamkach albo też przeszli na stronę króla, w najlepszym razie neutralni, przeważnie wrogowie nawet. Z ministrów nieobecny jest najmędrszy, najlepiej znający świat, Talleyrand; z nowokreowanych królów brak własnych jego braci, jego sióstr, a przedewszystkiem własnej jego żony i własnego jego syna.

Widzi wśród stłoczonego tłumu wielu ubiegających się o godności i mało godnych; jeszcze drgają mu oszałamiająco we krwi echa radosnych powitalnych okrzyków tysięcy poddanych, a już jasno ogarniający umysł Napoleona zaczyna w tym tryumfie odczuwać pierwsze ciary przewidywanego niebezpieczeństwa. Wtem, nagły, głośny, zdumiony i radośnie wzmagający się szmer na przedpokojach; w pośrodku mundurów i haftowanych fraków samorzutnie tworzy się korny szpaler. Zajechał powóz, nieco późno — przybywa się, ale się nie czeka, ofiarowuje się swoje usługi, ale się ich natarczywie nie narzuca, jak to czynią drobniejszego kalibru dworacy — i z powozu wysiada sucha, wymizerowana, wszystkim dobrze znana postać księcia Otrantu. Powoli, obojętnie, z chłodno przysłoniętemi, nieprzeniknionemi oczyma

kroczy on utworzonym szpalerem, nie dziękując, i właśnie ten dobrze znany, naturalny spokój budzi zachwyt. „Miejsce dla księcia Otrantu!“ woła służba. Bliżej go znający powtarzają okrzyk inaczej: „Miejsce dla Fouché'go. On właśnie jest człowiekiem najbardziej potrzebnym cesarzowi!“

Fouché jest już powołany, upragniony przez opinję publiczną, zanim jeszcze cesarz mógł powziąć decyzję. Książę Otrantu nie przychodzi jako ubiegający się, ale jako potęga, majestatyczny i dostojny, i w istocie Napoleon nie daje mu czekać. Natychmiast powołuje do siebie najstarszego ze swoich ministrów, najwierniejszego ze swoich wrogów. O rozmowie ich równie mało wiadomo, jak o owej pierwszej wówczas, kiedy Fouché pomógł powracającemu z Egiptu generałowi wznieść się do godności konsula i związał się z nim ślubem niewiernej wierności. Ale kiedy po upływie godziny wychodzi Fouché z pokoju, jest znów ministrem, ministrem policji po raz trzeci.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nie obeschły jeszcze czcionki,jakiemi *„Moniteur“* obwieszcza powołanie księcia Otrantu na ministra Napoleona, a już obaj, cesarz i minister, żałują w głębi duszy, że ponownie związali się wzajem z sobą.

Fouché jest rozczarowany: liczył na coś więcej. Oddawna już nie wystarcza jego płonącej zimnym ogniem ambicji mniejszej wagi urząd ministra policji. Powołanie na to stanowisko, które w 1796-ym było ratunkiem i wyróżnieniem dla nawpółzamorzonego głodem, napiętnowanego i pogardzanego ex-jakobina, Józefa Fouché, wydaje się w 1815-ym powszechnie lubianemu księciu Otrantu nędzną synekurą. Wraz z powodzeniem wzrosło jego pojęcie o sobie; nęci go już tylko wielka polityczna gra świata, podniecający hazard europejskiej dyplomacji, której stołem gry jest kontynent, a stawką — losy całych krajów.

W przeciągu dziesięciu lat zagradzał mu drogę Talleyrand; teraz, kiedy ten najniebezpieczniejszy konkurent odsłonił przyłbicę przeciwko Napoleonowi i z Wiednia kieruje na cesarza złączone przez siebie bagnety całej Europy, wydaje się księciu Otrantu, że ma, jako jedyny uzdolniony, prawo do objęcia Ministerjum Spraw Wewnętrznych. Ale Napoleon, podejrzliwy — nie bez racji — wzbrania się złożyć tę najważniejszą tekę w jego zręczne ręce — właśnie dlatego, że są nad miarę zręczne i nad miarę niepewne. Niechętnie podsuwa mu Ministerjum Policji, wiedząc, że niebezpiecznej ambicji Fouché'go rzucić trzeba ochłap władzy bodaj, aby nie pokazał drapieżnych swoich szpon. Jednakże i w tym nawet ciasnym resorcie stawia, poza plecami niepewnego sługi, szpiega w osobie najzaciętszego wroga Fouché'go, księcia de Rovigo, którego mianuje szefem żandarmerji.

W ten sposób wznawia się od pierwszego dnia ponowionego ich związku dawna gra: Napoleon umieszcza własną policję poza plecami swojego ministra policji. A i Fouché również uprawia po dawnemu własną politykę równorzędnie z cesarską i poza nią. Obydwaj oszukują się wzajem, obaj grają przytem w otwarte karty. I znów musi się rozstrzygnąć, kto trwale weźmie górę: silniejszy czy zręczniejszy, gorąca czy zimna krew.

Niechętnie obejmuje Fouché powierzone sobie Ministerjum. Obejmuje je wszakże. Ten wspaniały, zapalony żongler umysłowy posiada jeden tragiczny defekt: nie potrafi stać na uboczu, ani na jedną godzinę nie umie być widzem tylko w politycznej grze świata. Musi nieustannie mieć karty w ręku, rzucać atuty, tasować, oszukiwać, wyprowadzać na manowce, stawiać czoło i przebijać kozerą. Musi, pod wpływem nieodpartego nakazu wewnętrznego, zajmować miejsce przy jednym ze stołów — obojętnie przy jakim: królewskim, cesarskim, czy też republikańskim. Byle tylko brać udział

w grze, byle *„avoir la main dans la pâte“*, dopomagać przy ugniataniu gorącego ciasta, mniejsza o to jakiego, byle być ministrem: prawicy, lewicy, cesarza czy króla, byle ogryzać gnat władzy.

Nie zdobędzie się on nigdy na siłę moralną, nigdy nie okaże powściągliwości nerwów, ani dumy, odrzuceniem okrucha władzy, jaki mu ciskają. Zawsze gotów jest przyjąć wszelką służbę, do jakiej zostaje wezwany; niczem jest dla niego człowiek, niczem rzecz sama — wszystkiem, natomiast, gra.

Zupełnie tak samo niechętnie przyjmuje Napoleon Fouché'go ponownie do swojej służby. Zna tego podstępnie kryjącego się zawsze w cieniu człowieka z dziesięcioletniej ich współpracy, wie, że w rzeczywistości nie służy on nikomu, idąc jedynie za popędem swojej żądzy gry. Wie, że Fouché obojętnie pozwoli mu upaść, niczem zdechłemu kotowi, że opuści go i zdradzi w najgroźniejszym momencie, tak samo jak opuścił i zdradził żyrondystów, terorystów, Robespierre'a i termidorowców, swojego zbawcę, Barras'a, Dyrektorjat, Republikę i Konsulat.

Potrzebuje go jednak, albo też wyobraża sobie, że go potrzebuje. Tak samo jak Napoleon olśniewa i fascynuje Fouché'go swoim genjuszem, tak samo Fouché przykuwa do siebie Napoleona swoją sprawnością i obrotnością. Odsunąć go byłoby zagrażającem życiu niebezpieczeństwem; w tak niepewnym momencie zrobić sobie z Fouché'go jawnego wroga, na to nie odważa się Napoleon nawet. Dlatego też obiera mniejsze zło: decyduje się dać mu zatrudnienie, aby odciągnąć go powierzeniem mu urzędów i kompetencyj, od uprawiania zdradzieckiej względem siebie służby. „Tylko od zdrajców dowiadywałem się prawdy“, mówi w następstwie pokonany cesarz na Św. Helenie, mając na myśli Fouché'go. Nawet w momentach największego gniewu nie może się Napoleon uwolnić od mimowiednego szacunku dla niezwykłych zdolności tego mefistofelicznego

ducha, bowiem nic nie odpycha bardziej człowieka genjalnego, aniżeli przeciętność. Świadomy, że Fouché go oszukuje, czuje jednak Napoleon, że jest przez niego rozumiany przynajmniej. Jak konający z pragnienia sięga po wodę, o której wie, że jest zatruta, woli Napoleon obrać na sługę tego mądrego i niepewnego, aniżeli wiernych i bezradnych.

Dziesięć lat zaciekłej wrogości wiąże ludzi bardziej tajemniczo częstokroć, aniżeli przeciętna przyjaźń.

---

Dziesięć lat i dłużej jeszcze służył Fouché Napoleonowi, minister swojemu władcy, wielki umysł genjuszowi; dziesięć lat jako strona stale podlegająca. W 1815-ym, w walce końcowej, jest Napoleon w rzeczywistości już od samego początku stroną słabszą. Raz jeszcze, raz ostatni, przeżył moment upojenia sławą; na orlich skrzydłach sprowadził go los niespodzianie z obcej wyspy na tron cesarski! Pułki, posłane przeciw niemu w stokrotnej przewadze, odrzucają precz oręż na sam widok jego płaszcza. Po upływie dwudziestu dni szturmem zdobywa Paryż na czele armji ten bandyta, zesłany na samotną wyspę i przybyły z niej z oddziałem, złożonym z sześciuset ludzi. A teraz, mając jeszcze w uszach echa grzmotu radosnych okrzyków wielotysięcznych tłumów, układa się ponownie do snu w łożu królów Francji.

Ale jakie przebudzenie zaraz nazajutrz, w dniach najbliższych! Jak szybko blednie i rozwiewa się fantastyczny sen w zetknięciu z trzeźwiącą rzeczywistością! Napoleon jest znów cesarzem, to prawda, ale z imienia tylko, bowiem świat, który niegdyś leżał ujarzmiony u jego stóp, nie chce uznać już w nim pana. Pisze listy i proklamacje, gorące zapewnienia swoich pokojowych intencyj; wszystko to przyjmowane jest z szyderczym uśmiechem i obojętnem wzruszeniem ramion; nie zaszczyca się go nawet daniem mu odpowiedzi. Wysłańcy

do cesarza: królowie i książęta przychwytywani są na granicach, jak przemytnicy z kontrabandą, i bezwzględnie odstawiani z powrotem. Jeden jedyny list przedostaje się okrężnemi drogami do Wiednia, i ten wszelako rzuca Metternich, nierozpieczętowany, na stół obrad.

Dokoła Napoleona tworzy się pustka; rozproszyli się na wszystkie strony świata dawni przyjaciele i towarzysze. Berthier, Bourrienne, Murat, Eugenjusz Beauharnais, Bernadotte, Augereau, Talleyrand siedzą w swoich dobrach i korzystają ze swoich majątków, albo też przeszli na stronę jego nieprzyjaciół. Daremnie usiłuje Napoleon łudzić siebie i innych, każe wspaniale odnowić apartamenty cesarzowej i króla Rzymskiego, jak gdyby mieli jutro już powrócić do niego, w rzeczywistości wszelako flirtuje Marja Luiza ze swoim *cicisbeo,* Neippergiem, a syn jego, czujnie strzeżony pod okiem cesarza Franciszka, bawi się ołowianymi żołnierzykami austrjackimi w Schönbrunnie.

Nawet własny jego kraj nie uznaje już trójkolorowego sztandaru. Powstania na Południu i na Zachodzie: chłopi dość mają wiecznych branek i zaciągów i wystrzałami przyjmują żandarmów, którzy przybywają znów zabrać im konie do armat. Na ulicach porozlepiane są szydercze plakaty, nakazujące w imieniu cesarza co następuje:

„Art. I. Trzysta tysięcy ofiar rzezi ma być dostarczanych mi corocznie.

Art. II. W razie potrzeby podniosę tę liczbę do trzech miljonów.

Art. III. Wszystkie te ofiary mają być posyłane pocztą do rzeźni.“

Nie ulega wątpliwości, że świat pragnie pokoju. Wszyscy ludzie rozsądni gotowi są posłać do wszystkich djabłów niepożądanie powracającego, o ile nie zapewni trwałych gwarancyj rozejmu. Ale — o, tragizmie losu! — teraz, kiedy wojowniczy cesarz po raz pierwszy szczerze pożąda pokoju, pokoju dla siebie i dla świata,

pod warunkiem jeno, że pozostawiony mu będzie tron, świat nie wierzy mu już

Poczciwi obywatele, w strachu o swoją rentę, nie podzielają entuzjazmu oficerów, mających okrojony do połowy żołd, i zawodowych krzykaczy wojennych, dla których pokój jest zagrożeniem ich interesów. Zaledwie też zniewolony do tego Napoleon nadaje obywatelom prawo wyborcze, wymierzają mu oni z miejsca policzek, obierając tych właśnie, których gwałtownie prześladował on od piętnastu lat, rewolucjonistów z 1792-go, Lafayette'a i Lanjuinais'a. W nikim nie znajduje już cesarz sojusznika, niewielu prawdziwych stronników we Francji, ani jednego nieomal człowieka wpośród najbliższego otoczenia, którego rady poważnie mógłby zasięgnąć.

Zgnębiony i zirytowany błąka się po pustym pałacu. Jego nerwy i energja nie dopisują mu; chwilami wybucha nieopanowanym gniewem, to znów wpada w otępiały letarg. Często, wśród białego dnia, kładzie się spać: jakieś wewnętrzne znużenie, nietyle znużenie ciała, ile duszy, skuwa go na godziny całe ciężkim, ołowianym snem. Pewnego dnia zastaje go Carnot w jego apartamentach, wpatrzonego z oczami pełnemi łez w wizerunek swojego syna, króla Rzymskiego; jego zaufani słyszeli go niejednokrotnie, użalającego się, że opuściła go dobra jego gwiazda. W niepojęty iście sposób ostrzega go wewnętrzny magnet, że zenit jego powodzenia już przekroczony; niespokojnie drga i waha się pomiędzy biegunem a biegunem igła jego woli.

Niechętnie, bez wielkiej nadziei, gotów do wszelkiego porozumienia, wyrusza wreszcie, dotychczas stale tak pewny zwycięstwa, na wojnę. Nigdy jednak nie unosi się Nike nad pochylonem w pokorze czołem.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Takim był Napoleon w 1815-ym, pozorny już tylko cesarz i pozorny władca, w wypożyczonej na krótko od

losu glorji, będącej cieniem już jedynie dawnej jego potęgi. Natomiast ten, który stoi u jego boku, Fouché, dosięgnął w tych latach właśnie szczytu męskiej swojej siły. Jego rozum, zadający stalowo ostre ciosy, ukryty stale w pochwie przebiegłości i podstępu, nie stępia się i nie zużywa w tym stopniu, co wiecznie kołujące roznamiętnienie. Nigdy nie okazywał się Fouché obrotniejszym i duchowo sprawniejszym, podstępniej intrygującym, zręczniej wyślizgującym się i śmielszym, aniżeli w ciągu owych stu dni, jakie upłynęły od wznowienia i upadku cesarstwa. Nie ku Napoleonowi, ale ku niemu zwracają się z utęsknieniem, jako ku zbawcy, wszystkie spojrzenia. Wszystkie stronnictwa — fantastyczny fenomen! — większem zaufaniem darzą tego ministra cesarskiego, aniżeli samego cesarza. Ludwik XVIII, republikanie, rojaliści, Londyn, Wiedeń, wszyscy widzą w osobie Fouché'go jedynego człowieka, z którym naprawdę można pertraktować, a jego rachmistrzowski, zimny rozum daje wymęczonemu, łaknącemu pokoju światu pewniejszą rękojmię, aniżeli niespokojnie wybłyskujący nagłym ogniem, a potem znów blednący, dygocący na wichrze zamętu, genjusz Napoleona.

Ci, którzy wzdragają się nadać „generałowi Bonaparte“ tytuł cesarza, honorują wszyscy bez wyjątku osobisty kredyt Fouché'go. Te same rogatki graniczne, przy których przychwytani są i bezwzględnie wtrącani do psich bud państwowi agenci cesarskiej Francji, rozwierają się, jak gdyby odmykane czarodziejskim kluczem, przed tajnymi wysłańcami księcia Otrantu. Wellington, Metternich, Talleyrand, Orléans, car i królowie, wszyscy przyjmują z jaknajuprzejmiejszą gotowością jego emisarjuszów, i, nagle ten, który dotychczas oszukiwał wszystkich, uważany jest za najsolidniejszego z pośród uczestników gry światowej. Niech tylko kiwnie palcem, a dzieje się wedle jego woli; powstaje Wandea, szykuje się krwawa walka — wystarcza wszelako, że Fouché kieruje tam wysłańca, aby

ten jednem przemówieniem nie dopuścił do wybuchu wojny domowej.

„W jakim celu — powiada on, czyniąc zupełnie szczerze i otwarcie obrachunek — poświęcać jeszcze teraz krew francuską? Jeszcze kilka miesięcy i — albo cesarz okaże się zwycięzcą, albo też będzie stracony. Pocóż więc w takim stanie rzeczy walczyć o coś, co prawdopodobnie samo wpadnie wam w ręce bez walki? Odrzućcie precz broń i czekajcie spokojnie na rozwój wypadków!“ I rojalistyczni generałowie, którym najzupełniej trafiło do przekonania to trzeźwe, pozbawione wszelkiego sentymentu zobrazowanie sytuacji, zawierają bezzwłocznie pożądany pakt.

Wszystko, zarówno zagranicą, jak w kraju, zwraca się nasampierw do Fouché'go; żadna uchwała parlamentu nie zapada bez niego — bezsilnie musi Napoleon przyglądać się, jak własny jego sługa paraliżuje jego ramię wszędzie i we wszystkiem do czego się chce wziąć, jak kieruje on przeciwko niemu wybory w kraju i, powołaniem republikańsko nastrojonego parlamentu, nakłada hamulec despotycznej jego woli. Daremnie pragnąłby cesarz uwolnić się od Fouché'go; minął czas samowładztwa, kiedy to można było pozbyć się niewygodnego sługi kosztem paru miljonów i postawić go w stan spoczynku; dzisiaj raczej minister może strącić cesarza z tronu, aniżeli cesarz Napoleon księcia Otrantu z jego fotela ministerjalnego.

Te tygodnie samowolnej, a mimo to rozważnej, dwuznacznej, zarazem wyraźnej polityki, zaliczają się do najdoskonalszych w dziejach dyplomacji świata. Nawet osobisty przeciwnik Fouché'go idealistycznie usposobiony Lamartine, nie może odmówić hołdu machiawelskiemu jego genjuszowi. „Przyznać należy — pisze on — że Fouché dał w odegraniu dziejowej swojej roli dowody rzadkiej śmiałości i czynami popartej nieustraszoności. Narażał on codziennie głowę swoją, mógł, przy pierwszym zbudzeniu się w piersi Napoleona uczu-

cia wstydu, przy pierwszym jego wybuchu gniewu, zapłacić za swoje postępowanie utratą stanowiska, wolności, życia nawet. Ze wszystkich, pochodzących jeszcze z okresu Konwentu, on jedyny nie zdradzał ani wyczerpania sił swoich, ani osłabienia pod jakimkolwiekbądź względem swojego zuchwalstwa. Śmiałem swojem lawirowaniem z jednej strony pomiędzy ponownie postałą do życia tyranją, a wolnością, dążącą do ponownego powstania do życia; z drugiej zaś strony pomiędzy Napoleonem, poświęcającym ojczyznę w imię własnych interesów a Francją, niedającą zarzynać się dla jednego człowieka; bezlitośnie wparty klinem między te potęgi, zastraszał Fouché cesarza, przypodchlebiał się republikanom, uspokajał Francję, dawał znaki porozumiewawcze Europie, uśmiechał się do Ludwika XVIII, pertraktował z dworami, korespondował za pomocą gestów z Talleyrand'em i swojem zachowaniem się utrzymywał wszystko w zawieszeniu — słowem pełnił stulicową, trudną, zarazem poniżającą i wzniosłą, ale w każdym razie nieprawdopodobnie niezwykłą rolę, nie braną przez historję dostatecznie, po dzień dzisiejszy jeszcze, pod uwagę. Rolę, pozbawioną szlachectwa duszy, ale nie miłości ojczyzny i bohaterstwa, rolę, przy której pełnieniu poddany stawał na wysokości swojego pana, minister przewyższał swojego władcę, stając się rozjemcą pomiędzy Cesarstwem, Restauracją a wolnością, ale rozjemcą dzięki swojej dwujęzyczności.

Historja, wydając wyrok potępienia na Fouché'go, nie może odmówić mu śmiałości zachowania się podczas tych stu dni, rozsądku w dawaniu sobie rady z stronnictwami i wielkości w intrygowaniu. Stawiałoby go to w jednym rzędzie z czołowymi mężami stanu jego stulecia, gdyby mogli istnieć prawdziwi mężowie stanu, pozbawieni godności charakteru i cnoty."

Tak jasno sądzi o tem Lamartine, poeta, mąż stanu, nieomal współczesny Fouché'mu, żyjący w bezpośrednio jeszcze rozedrganej jego echem atmosferze. Napoleońska legenda, utworzona w pięćdziesiąt lat później, kiedy zdążył nastąpić już zupełny rozpad dziesięciu miljonów trupów, kiedy pogrzebano ostatnich inwalidów wojennych i oddawna odbudowano spustoszenia Europy, surowiej oczywiście i mniej sprawiedliwie sądzi Fouché'go. Każda bohaterska legenda jest wszak zawsze rodzajem duchowych tyłów historji, domaga się ona też bardzo słusznie, jak zawsze tyły, wszelkich cnót, w których wyniku nie musi ponosić i ona sama też nieograniczonych ofiar w ludziach, oddawać się bez zastrzeżeń bohaterskiemu szałowi bodaj, żądać cudzej śmierci bohaterskiej i cudzej bezsensownej wierności.

Legenda Napoleońska z jej obowiązującą czarno-białą techniką zna tylko „wiernych" jej bohaterowi i jego „zdrajców"; nie robi żadnej różnicy pomiędzy pierwotnym Napoleonem — konsulem, który dzięki rozumowi swojemu i energji zaprowadził w swoim kraju ład i spokój, a późniejszym Napoleonem, u którego prowadzenie wojny przerodziło się w manję, który wciąż na nowo, dla nasycenia osobistej swojej żądzy panowania, z całą bezwzględnością wciągał świat w mordercze przygody i który w rozmowie z Metternichem wypowiedział owe godne Thamerlana, słowa: „Człowiek taki jak ja gwiżdże na życie miljona ludzi."

Każdego rozsądnego człowieka we Francji, który umiarkowaniem odpowiadać usiłował na szał ambicji demonicznego opętańca, ślepo w swojej furji staczającego się ku własnemu, rychłemu upadkowi, każdego, kto we wszystkich możliwych okolicznościach nie dawał się niewolniczo wprzęgać do Djaggernatowego wozu: Talleyrand'a, Bourrienne'a, Murat'a, wszystkich ich wrzuca legenda z dantejskiem zacietrzewieniem na samo dno Piekieł. Nadewszystko zaś uchodzi Fouché za arcy-

zdrajcę wśród zdrajców, za prawdziwego *advocatus diaboli.*

W myśl tej legendy miałby Fouché w 1815-ym po to jedynie objąć Ministerjum, aby, stojąc w pobliżu cesarza, z góry już, zaprzedany Ludwikowi XVIII i Europie, móc zadać Napoleonowi w odpowiednim momencie cios sztyletem od tyłu. Miałby on — zawsze wedle tej legendy — kazać rzekomo powiedzieć monarchistom już 20-go marca, w dniu odjazdu króla: „Ratujcie tylko króla, ja uratuję monarchję", a w dniu objęcia teki ministerjalnej zwierzyć się swojemu Sancho Pansy: „Moim pierwszym obowiązkiem jest kontrminować wszystkie plany cesarza; za trzy miesiące będę silniejszy niż on, a jeśli do tego czasu nie każe mnie rozstrzelać, musi paść przedemną na kolana", — proroctwo, niestety, zbyt ściśle zgadzające się co do dat, aby nie miało być wymyślone *a posteriori.*

Ale przypisywanie Fouché'mu, jakoby z góry wstąpić miał do napoleonowego Ministerjum, jako stronnik Ludwika XVIII, jako płatny szpieg króla, jest marnem niedocenianiem go, jest przedewszystkiem zapoznawaniem wspaniale skomplikowanej psychologji, przeoczaniem tajemniczego demonizmu jego charakteru. Nie znaczy to, aby Fouché, bezwzględny amoralista i machjawelczyk nie miał być w danym razie zdolny do tej czy jakiejkolwiek zdrady; ale tego rodzaju podłość była zbyt prostacza, zbyt mało pociągająca dla jego żądnego intryg, zuchwale nieustraszonego umysłu. Ordynarnie oszukać j e d n e g o człowieka, chociażby był nim sam Napoleon nawet, nie idzie po jego linji: jedynem jego dążeniem, jedyną dla niego rozkoszą jest wyprowadzanie w pole wszystkich, niedawanie nikomu pewności i pociąganie, kuszenie każdego; równocześnie intrygowanie na wszystkie strony i przeciwko wszystkim, nie działanie nigdy wedle nakreślonego z góry planu, ale pod wpływem nagłego natchnienia. Rola Proteusza, boga przeistaczania się — to jego ideał, nigdy rola

Franciszka Moor'a, czy prostolinijnego intryganta, Ryszarda III. Jedynie błyskotliwa, oszałamiająca jego samego działalność jest w stanie zachwycić i natchnąć jego wrodzoną naturę dyplomaty. Lubuje się w przezwyciężaniu trudności jedynie, piętrzyje, nie zadowalnia się rolą jednorazowego zdrajcy, ale pragnie być zdrajcą wielokrotnym, zdradzać na wszystkie strony, być wcieleniem zdrajcy z przyrodzenia.

I w istocie ten, który go znał najlepiej, Napoleon, wypowiedział o nim, będąc już na Św. Helenie, to głębokie zdanie: „Znałem jednego prawdziwego, skończonego zdrajcę: Fouché'go!"

Skończonym zdrajcą — a nie przygodnym tylko, genjuszem zdrady był Fouché, bowiem zdradzanie było nietyle jego celem, jego taktyką, ile jego najistotniejszą, najgłębiej tkwiącą w nim naturą. Bodaj też można zrozumieć najlepiej jego istotę duchową na analogicznym przykładzie tak dobrze znanych podczas wojny podwójnych szpiegów, zdradzających tajemnice obcym mocarstwom, aby przy tej sposobności wywęszyć i wypatrzeć od nich z kolei bardziej cenne, i ostatecznie zatracających przy tem nieustannem lawirowaniu poczucie, któremu mocarstwu właściwie służą; opłacanych przez obie strony i niedochowujących wierności żadnej — prawdziwie oddanych tylko niebezpiecznej swojej grze, dwulicowej grze walenrodyzmu, oscylowania pomiędzy jednymi i drugimi, nieuchwytnej już prawie, nieziemskiej, bezwzględnie zabójczej żądzy szatańskiej.

Dopiero kiedy szala przechyla się nieodwołalnie na tę czy tamtą stronę, występuje znów w szranki, po nasyceniu żądzy intrygowania, rozsądek, aby zainkasować wygraną; dopiero po rozstrzygnięciu ostatetcznem po czyjej stronie jest zwycięstwo, decyduje się Fouché — powtarza się to zarówno za Konwentu, jak Dyrektorjatu, za Konsulatu i za Cesarstwa. Podczas trwania

walki nie stoi on po niczyjej stronie; po przeważeniu się jej losów — zawsze po stronie zwycięzcy.

Gdyby Grouchy zdążył w porę, byłby Fouché (przynajmniej na pewien czas) stał się zdecydowanym ministrem Napoleona. Że zaś przegrał on bitwę, pozwala mu Fouché upaść i sam od niego odpada. Nie usprawiedliwiając się też wcale, z zwykłym sobie cynizmem, wypowiedział znamienne słowa o swojem zachowaniu się podczas stu dni: „Nie ja zdradziłem Napoleona, zdradziło go Waterloo."

— — — — — — — — — — — — — — — —

Bądź co bądź jednak łatwo zrozumieć, że dwulicowa ta gra jego ministra musiała rozwścieczyć Napoleona. Wie on bowiem, że tym razem idzie o jego głowę. Co rano wchodzi do pokoju cesarza, jak to zwykł czynić od dziesięciu lat zgórą, suchy, chudy mężczyzna, o bladej bezkrwistej twarzy, wyzierającej z ponad ciemnego, zahaftowanego w palmy surduta, i składa ułożony bez zarzutu, jasny, niepozostawiający żadnych luk ani niedokładności raport o stanie rzeczy. Nikt nie potrafi lepiej ogarnąć wypadków, nikt nie umiałby dać bardziej przejrzystego obrazu wszechświatowej sytuacji, nikt nie jest zdolny przenikać tak głęboko każdy objaw i spostrzegać tak dokładnie wszystko, jak ten, górujący nad innymi na zimno rozważający umysł. Napoleon wie o tem dobrze. Zarazem jednak przeczuwa równocześnie, że do księcia Otrantu przybywają wciąż wysłańcy obcych władców, że przedpołudniem, w południe i w nocy przyjmuje jego własny minister poza zamkniętemi drzwiami podejrzanych agentów rojalistycznych, że prowadzi rokowania i nawiązuje stosunki, z których ani jednem słowem nie składa raportu swojemu cesarzowi. Czy jednak dzieje się to, jak Fouché chce przekonać Napoleona, istotnie tylko z chęci zyskania informacyj, czy też snute tu są tajemne intrygi? Potworna niepewność dla człowieka, zagrożonego, otoczonego

setką wrogów! Daremnie bądź wypytuje go przyjaźnie, bądź wnikliwie ostrzega, bądź wreszcie obsypuje go grubjańskiemi oskarżeniami: cienkie te usta pozostają niezachwianie zamknięte, oczy bez wyrazu — zaszklone. Niema przystępu do Fouché'go, niepodobna wydrzeć mu z gardła jego tajemnicy. I dlatego Napoleon gorączkuje się. Jak go wziąć? W jaki sposób dowiedzieć się wreszcie, czy człowiek, któremu pozwala on zaglądać do wszystkich kart, zdradza jego, czy też jego wrogów? Jak uchwycić nieuchwytnego, jak przeniknąć nieprzeniknionego?

Wreszcie — wybawienie! — ślad, trop, dowód nieomal.

W kwietniu wykrywa tajna policja, zatem ta sama, którą Napoleon zatrudnia specjalnie szpiegowaniem swojego ministra policji, iż rzekomy urzędnik jednego z wiedeńskich domów bankowych przybył do Paryża i wprost udał się do księcia Otrantu.

Wysłaniec zostaje natychmiast wyśledzony, zaaresztowany i — oczywiście bez wiedzy ministra policji, Fouché'go — sprowadzony do jednego z pawilonów pałacu Elizejskiego przed oblicze Napoleona. Cesarz grozi mu natychmiastowem rozstrzelaniem i tak długo zastrasza go, aż wreszcie biedak wyznaje, jako przywiózł napisany sympatycznym atramentem list od Metternicha do Fouché'go, który ma zwołać do Bernu konferencję mężów zaufania. Napoleon pieni się z wściekłości: listy o podobnej treści od ministra jego wrogów do własnego jego ministra — to zdrada stanu! Pierwszą też jego myślą jest naturalnie z miejsca wtrącić do więzienia niewiernego sługę i położyć areszt na wszystkich jego papierach.

Ale powiernicy cesarza odradzają mu podobny krok: niema jeszcze namacalnego dowodu, a przy tylokrotnie wypróbowanej ostrożności księcia Otrantu niepodobna spodziewać się znalezienia w jego papierach śladu jego knowań. Wobec tego postanawia cesarz poddać

ogniowej próbie szczerość jego oddania. Każe go wezwać i zwraca się do niego z niezwykłą sobie perfidją ukrywania, której nauczył się od własnego swojego ministra, sondując go co do stanu rzeczy i podsuwając mu myśl, czy nie dałoby się nawiązać pertraktacyj z Austrją. Fouché, ani przypuszczając, że poseł oddawna wypaplał już całą rzecz, nie wspomina ani jednem słowem o liście Metternicha. Cesarz, napozór obojętnie, pozwala mu odejść, nie wątpiąc już teraz o łotrostwie swojego ministra. Chcąc go jednak ostatecznie zasypać, inscenizuje — pomimo straszliwego swojego gniewu i rozgoryczenia — wyrafinowaną komedję z iście Moljerowskiem *qui pro quo*. Dzięki wynurzeniom agenta wiadome jest hasło komunikowania się z upoważnionym przez Metternicha posłem. Cesarz posyła więc jednego z swoich powierników, który ma występować w roli pełnomocnika Fouché'go — austrjacki agent napewno nie zatai nic przed nim i nareszcie dowie się cesarz nietylko tego, że Fouché go zdradza, ale i tego jak daleko tę zdradę posunął. Tego samego jeszcze dnia wyjeżdża wysłaniec Napoleona: za dwa dni będzie Fouché zdemaskowany i złapany w zastawioną przez siebie samego zasadzkę.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Chociażby się jednak chwytało jaknajzręczniej węgorza czy węża, nie dają się prawdziwe stworzenia zimnokrwiste łapać gołą ręką. Komedja, którą inscenizuje cesarz, ma, jak każda dobrze przemyślana komedja, zwrotne również działanie, rzec można, podwójne dno. Podobnie jak Napoleon utrzymuje tajną policję za plecami Fouché'go, tak samo Fouché opłaca korespondentów i tajnych reporterów poza plecami Napoleona: jego agenci pracują niemniej szybko i sprawnie, niż cesarscy. Tego samego jeszcze dnia, w którym agent Napoleona wyjeżdża na ową maskaradę do hotelu „Pod trzema królami“ w Bazylei, zwąchał Fouché pismo nosem.

Jeden z „powierników“ Napoleona zwierzył mu się z całej uplanowanej komedji, dzięki czemu ten, który miał być zaskoczony niespodzianką, urządza niespodziankę swojemu panu zaraz nazajutrz z rana przy zdawaniu codziennego raportu. W samym środku rozmowy uderza się Fouché nagle w czoło z niedbałą miną człowieka, któremu drobny jakiś fakcik bez znaczenia wymknął się z pamięci: „Ach, prawda, Sire, zapomniałem powiedzieć Waszej Cesarskiej Mości, że otrzymałem bilecik od Metternicha. Tyle ważniejszych spraw ma się na głowie. Pozatem jego wysłaniec nie wręczył mi proszku, czyniącego pismo czytelnem, podejrzywałem więc pierwotnie mistyfikację. Dlatego też dzisiaj dopiero mogę zdać z tego incydentu raport Waszej Cesarskiej Mości.

Teraz już nie jest cesarz dłużej w stanie opanować swojego gniewu. „Jesteś pan zdrajcą, Fouché!“ — wrzeszczy na niego „powinienem kazać pana powiesić.

Ale niedający się zbić z tropu, nietracący zimnej krwi minister odpowiada chłodno: „Nie jestem tego zdania, Sire.“

Napoleon kipi z wściekłości. I znów, dzięki niepożądanie przedwczesnemu wyznaniu, wyśliznął mu się Fra Diavolo. A agent, który przywozi cesarzowi sprawozdanie z rozmowy w Bazylei, mało ma rewelacyjnego do zakomunikowania, natomiast, wiele niewesołego. Mało decydującego, bowiem z zachowania się austrjackiego agenta widać, że ostrożny Fouché był zbyt wyrafinowany, aby zaangażować się w sposób nadto wyraźnie wiążący i że pozwalał sobie tylko, poza plecami swojego władcy, prowadzić ulubioną grę skupiania wszystkich możliwości w swoich rękach.

Zarazem jednak przywozi wysłaniec wiele niepożądanych i niewesołych wieści, mianowicie, że mocarstwa zgadzają się na każdą formę rządu we Francji, z wyjątkiem jednej jedynej — rządu Napoleona Bonaparte.

Gniewnie zagryza cesarz wargi, jego siła zadawania

ciosu została sparaliżowana. Chciał trafić przeniewiercę potajemnie od tyłu i w tym odbywającym się w ciemni pojedynku sam odniósł śmiertelną ranę.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Właściwy moment przeoczony został wskutek wystąpienia Fouché'go. Napoleon nie daje się tem złudzić: „Jasne jak słońce, że zdradza mnie on", mówi do swoich zaufanych, „żałuję tylko, że nie przepędziłem go na cztery wiatry, zanim zdążył zakomunikować mi o wszczęciu porozumień z Metternichem. Teraz już po niewczasie. Nie mam pretekstu. Rozgłaszałby wszędzie, że jestem tyranem, poświęcającym wszystkich i wszystko na ołtarzu mojej podejrzliwości".

Jasno zdaje sobie cesarz sprawę ze swojego skrępowania, walczy wszelako dalej aż do ostatniej minuty, próbując, czy niemożna będzie zjednać sobie dwulicowca, albo też, raz jeden chociażby, zaskoczyć go i zmiażdżyć. Ima się wszelkich po temu sposobów i dróg. Próbuje uprzejmości, okazywania mu zaufania, pobłażliwości, ale silna jego wola odbija się bezskutecznie od tego na wszystkich graniach jednako zimno, a zarazem jednako olśniewająco rzniętego kamienia: brylanty można rozłupać na miazgę albo odrzucić precz, ale nigdy przenizać na wskroś. Wreszcie nie wytrzymuje dręczony podejrzliwością próby nerwów. Carnot opowiada scenę, w której dramatycznie się ujawnia bezsilność cesarza w stosunku do jego dręczyciela: „Zdradzasz mnie pan, książe Otrantu, mam na to dowody!" — wybucha pewnego razu Napoleon, zwracając się wpośród przebiegu narady ministrów do niewzruszonego jego krzykiem Fouché'go i, chwytając leżący na stole nóż ze słoniowej kości, rzuca mu go: „Masz pan ten nóż, wraź mi go w pierś, byłoby to lojalniejsze aniżeli to, co czynisz. Miałbym prawo kazać pana rozstrzelać i cały świat przyznałby mi słuszność. Ale jeśli mnie pan zapytasz, dlaczego tego nie

czynię, odpowiem panu, że zbyt panem pogardzam i że ani jednej uncji nie ważysz pan na mojej szali."

Widzimy, że nieufność cesarza dosięga już punktu rozwścieczenia, jego udręka — nienawiści. Nigdy nie zapomni on temu człowiekowi, że do tego stopnia sprowokował go i Fouché wie o tem dobrze. Ściśle oblicza jednak liche możliwości władzy Napoleona. „Za cztery tygodnie będzie dla tego szaleńca wszystko skończone", mówi zarazem proroczo i szyderczo do swojego przyjaciela. Dlatego też ani myśli teraz o paktowaniu; jeden z nich musi, po rozstrzygającej bitwie, usunąć się z drogi: Napoleon albo on. Wiadome mu jest oznajmienie cesarza, że pierwszy wysłaniec, przywożący z pola boju wieść o zwycięztwie, przywiezie zarazem do Paryża dymisję ministra policji, a może także i rozkaz uwięzienia go. Jednym skokiem cofa się teraz zegar dziejów o dwadzieścia lat wstecz, do 1793-go, kiedy to najpotężniejszy również człowiek swojego czasu, Robespierre, tak samo stanowczo zapowiedział, że za czternaście dni musi spaść jedna z głów: Fouché'go, albo jego. Ale książę Otrantu wzrósł od tego czasu w poczucie własnej wartości. Z całym spokojem przypomina też w rozmowie z jednym ze swoich przyjaciół, który ostrzega go przed skutkami gniewu Napoleona, ową groźbę z przed dwudziestu lat i dodaje z uśmiechem: „Ale upadła jego głowa."

— — — — — — — — — — — — — — — —

18-go czerwca zaczynają nagle grzmieć armaty przed kopułą Inwalidów. Ludność Paryża pręży się, ogarnięta zapałem. Zna od piętnastu lat już ten śpiżowy głos. Wywalczone jest zwycięztwo, odegrana z powodzeniem bitwa — *„Moniteur"* ogłasza całkowitą porażkę Blüchera i Wellingtona.

Rozentuzjazmowane tłumy snują się po świątecznie natłoczonych bulwarach; nastrój ogólny, niepewny przed paroma dniami jeszcze, przeistacza się nagle

w wierność dla cesarza i w pełnię zachwytu. Jedynie najsubtelniejszy miernik, renta, spada o cztery punkty, bowiem każde zwycięztwo Napoleona oznacza przedłużenie się wojny.

Spiżowy ten grzmot tryumfu wywołuje dreszcz grozy w utajonej głębi duszy jednego tylko człowieka: Fouché'go. Zwycięztwo despoty może go kosztować głowę.

Ale — o, tragiczna ironjo! — w tej samej godzinie, kiedy w Paryżu francuzkie armaty wieszczą zwycięztwo, miażdżą angielskie pod Waterloo kolumny francuzkiej piechoty i gwardji. A kiedy, nieprzeczuwająca jeszcze nic, stolica odświętnie iluminuje swoje gmachy, pędzą przed siebie w obłokach kurzawy wierzchowce pruskiej kawalerji ostatnie niedobitki pierzchającej armji napoleońskiej.

Jeszcze jednym dniem ufnej ułudy cieszy się Paryż. Dopiero dwudziestego zaczynają przedostawać się niepokojące wieści. Pobladłemi, drżącemi wargami szepcą je jedni drugim. W mieszkaniach, na ulicy, na Giełdzie, w koszarach, wszędzie gromadzą się i mówią ludzie o katastrofie, mimo że gazety milczą jak oniemiałe. Wszyscy w nagle zastraszonej stolicy poruszeni, wylękli, pomrukują z niezadowoleniem, wyrzekają, nie tracąc jednak jeszcze w zupełności nadziei.

Jeden tylko człowiek działa: Fouché. Zaledwie zdążył (oczywiście przed wszystkimi innymi) otrzymać wieść o Waterloo, uważa Napoleona za zbędnego już tylko trupa, którego należy jaknajrychlej uprzątnąć. Natychmiast też uzbraja się w motykę do wykopania mu grobu. Nie tracąc czasu, wystosowuje list do Wellingtona, aby odrazu wejść w styczność ze zwycięzcą, równocześnie, z niezrównaną przezornością psychologiczną ostrzega deputowanych, że pierwszym czynem Napoleona będzie próba porozpędzania ich wszystkich. „Przybędzie bardziej rozwścieczony, niż kiedykolwiek i natychmiast zażąda dyktatury."

Szybko więc pokrzyżować mu plany! Wieczorem tego samego dnia jest już parlament przekabacony, rada ministrów zyskana przeciwko cesarzowi, ostatnia możliwość ujęcia ponownie steru władzy wytrącona Napoleonowi z ręki — i wszystko to, zanim jeszcze zdążył on postawić nogę na bruku paryskim.

Panem chwili nie jest już Napoleon Bonaparte, ale nareszcie, nareszcie Józef Fouché.

---

Na krótko przed świtaniem, osnuta jak całunem kirem nocy, toczy się nędzna kolasa (właściwą, ze skarbem koronnym, szablę cesarską i dokumentami, zdobył Blücher) przez wrota Paryża ku pałacowi Elizejskiemu. Ten, który przed sześcioma dniami w swoim rozkazie dziennym do armji pisał patetycznie: „Dla każdego Francuza, mającego odwagę, nadszedł moment: zwyciężyć lub umrzeć!“ ani nie zwyciężył, ani nie umarł, poległo natomiast za niego pod Waterloo i Ligny sześćdziesiąt tysięcy żołnierza. On sam przygnał teraz pospiesznie do Paryża, jak ongi z Egiptu, a potem z Rosji, aby uratować dla siebie władzę: rozmyślnie kazał w ostatniej chwili zwolnić tempo jazdy, aby wjazd odbył się potajemnie pod osłoną nocy. I, zamiast zajechać wprost do Tuilerjów i stanąć przed przedstawicielami francuzkiego narodu w swoim pałacu cesarskim, kryje on rozbite swoje nerwy w mniejszym i bardziej oddalonem Elizeum.

Z karocy wysiada wyczerpany, zdruzgotany, z trudnością bąkając niepowiązane, chaotyczne wyrazy, któremi probuje usprawiedliwić i wyjaśnić to, czego nie dało się uniknąć. Gorąca kąpiel uspokaja go nieco, potem dopiero zwołuje swoją Radę. Niespokojnie, oscylując pomiędzy oburzeniem i litością, z pozornym, ale nie istotnym szacunkiem, wysłuchają członkowie Rady zagmatwanego, gorączkowego przemówienia pokonanego

wodza, fantazjującego znów o setkach tysięcy żołnierza, które zamierza powołać pod broń, o konieczności zarekwirowania wierzchowców do konnej jazdy i koni cugowych, wyliczającego im (którzy wiedzą, że niepodobna stu ludzi więcej wyciągnąć z wyciśniętego jak cytryna kraju), że za dwa tygodnie będzie mógł przeciwstawić znów aljantom paręset tysięczną armję. Ministrowie, pośród nich i Fouché, stoją z opuszczonemi głowami. Wiedzą, że te gorączkowo wyrzucane przemówienia są ostatniemi podrygami owej gigantycznej żądzy władzy, która wciąż jeszcze nie jest zdolna zamrzeć całkowicie w olbrzymie. Zgodnie z przewidywaniami Fouché'go żąda cesarz — dyktatury, skupienia w jego wyłącznie rękach całej wojskowej i politycznej władzy. Żąda jej tylko dla tego bodaj, aby ministrowie odmówili mu jej, stwarzając dla niego tą odmową możność zwalenia na innych w przyszłości przed historją winy niewyzyskania ostatniej możliwości zwycięstwa (teraźniejszość zna analogje podobnych obstawień).

Ale wszyscy ministrowie wypowiadają się ostrożnie, wszyscy do głębi zażenowani, skrępowani obawą urażenia ostrem słowem cierpiącego, gorączkowo majaczącego człowieka.

Tylko Fouché nie ma potrzeby zabierać głosu. Milczy, oddawna już bowiem działał, poczynił wszelkie kroki celem postawienia zapory tej rozpaczliwej próbie sięgnięcia przez Napoleona po raz ostatni po władzę.

Z niewzruszonym objektywizmem ciekawości, ciekawości lekarza, obserwującego z klinicznym chłodem agonję pacjenta i obliczającego, kiedy puls ustanie zupełnie i złamana zostanie ostatnia resztka oporu, słucha on bez współczucia tych daremnych, kurczowych wysiłków: ani jedno słowo nie wychodzi z jego bezkrwistych, cienkich warg. Konający, przepadły, stracony — jakie znaczenie mogą jeszcze mieć tragiczne jego szamotania się!

Fouché wie, że podczas gdy cesarz usiłuje odurzyć

samego siebie i rozpaczliwem fantazjowaniem swojem ogłuszyć innych, zebrane o tysiąc kroków dalej, w Tuilerjach, Zgromadzenie Rady rozstrzyga już sprawę z okrutną logiką, podyktowaną przez niczem wreszcie nieskrępowaną wolą Fouché'go i na jego rozkaz.

On sam, co prawda, nie zjawia się — tak samo jak wówczas, 9-go termidora — i w tym dniu 21-go czerwca na Zgromadzeniu Deputowanych. W cieniu ukrycia ustawił — i to najzupełniej wystarcza — swoje baterje, nakreślił plan kampanji, obrał odpowiednią chwilę do zaatakowania właściwego człowieka, tragicznego, groteskowego nieomal przeciwnika Napoleona — Lafayette'a.

Powróciwszy przed ćwierćwieczem, jako bohater amerykańskiej wojny wolnościowej, młodziutki, a mimo to uwieńczony już wawrzynem dwóch światów arystokrata, chorąży Rewolucji, pjonier nowych idei, ulubieniec ludu, wcześnie, nazbyt wcześnie zaznał Lafayette ekstatycznego upojenia władzą. Lecz oto, nagle, z nicości, z sypialni Barras'a, wyskoczył mały Korsykanin, marny oficerzyna w oberwanym płaszczu i wydeptanych butach, który w przeciągu dwóch lat porwał za sobą to wszystko, co on, Lafayette, zbudował i rozpoczął, strącił go z jego stanowiska, ograbił go ze sławy; — takich rzeczy nie zapomina się nigdy.

Wzburzony i rozgoryczony szlachcic pozostaje na wsi w swoich dobrach, gdy tamten, strojny w złotem haftowany płaszcz cesarski, raczy łaskawie przyjmować u stóp swojego tronu ukoronowane głowy Europy, wprowadza nowe despotyczne rządy, bardziej bezwzględne rządy genjusza zamiast dawnych rządów arystokracji. Ani jednego promienia swojej łaski nie rzuca to wschodzące słońce na odległą wiejską sadybę, a kiedy markiz Lafayette przybywa pewnego razu w skromnem odzieniu do Paryża, nie zwraca na niego cesarski parwenjusz żadnej prawie uwagi, jako że kapiące od złota mundury generalskie, świetne uniformy świeżo z krwawego ciasta upieczonych marszałków

całkowicie zaćmiewają jego dawno już przyblakłą sławę.

Lafayette jest zapomniany, nikt w ciągu dwudziestu lat nie wymienia jego nazwiska. Włos jego posiwiał, wynędzniała i wyschła wspaniała niegdyś jego postać, nikt go też nie wzywa, ani do armji, ani do Senatu; z pogardą i lekceważeniem pozwala mu się hodować w La Grange róże i specjalnie wydajne odmiany kartofli.

Nie, takich rzeczy nie zapomina człowiek ambitny.

Kiedy więc teraz, w 1815-ym, naród, przypomniawszy sobie czasy Rewolucji, obiera znów na swojego przedstawiciela dawnego swojego ulubieńca i Napoleon zmuszony jest osobiście zwrócić się do niego, odpowiada Lafayette chłodno i nieprzystępnie — zbyt dumny, zbyt uczciwy, zbyt szczery, aby ukrywać swoją wrogość.

Teraz, pchnięty od tyłu przez Fouché'go, występuje na widownię. Nagromadzona i dławiona w nim przez tyle lat nienawiść daje nieomal efekty mądrości i siły. Po raz pierwszy znów słyszy się z trybuny głos dawnego chorążego: ‚Zabierając po raz pierwszy głos, który poznają dawni przyjaciele wolności, czuję się zniewolonym do wyjawienia wam całej grozy niebezpieczeństwa, zawisłego nad ojczyzną, której ratunek w waszej jest teraz wyłącznie mocy."

Po raz pierwszy wypowiedziany znów został wyraz: „wolność!" a w tej chwili oznacza on: uwolnienie się od Napoleona. Wniosek, postawiony przez Lafayette'a, przecina wszelką możność rozwiązania Izby, probowania raz jeszcze zamachu stanu. Przyjęte z zapałem, zapada postanowienie, aby przedstawicielstwo narodu ogłosiło się nieustającem, uważając za zdrajcę ojczyzny każdego, kto okazałby się winnym czynienia prób rozwiązania go.

Pod czyim adresem zwraca się surowe takie posłannictwo — nie może ulegać wątpliwości. Z chwilą gdy zakomunikowano o niem Napoleonowi, czuje on całą

wagę tego, wymierzonego przeciwko sobie, policzka. „Powinienem był rozpędzić ich przed moim wyjazdem“ — woła z wściekłością — „teraz już zapóźno, teraz już po wszystkiem.“

W rzeczywistości nie jest ani zapóźno, ani po wszystkiem. Mógłby teraz jeszcze, jednem pociągnięciem pióra, podpisaniem zrzeczenia się władzy na rzecz syna, uratować dla niego koronę cesarską, dla siebie samego — wolność; mógłby jeszcze przejść tysiąc kroków, dzielących go od pałacu Elizejskiego do Sali Obrad i tam swojem zjawieniem się przemocą narzucić wolę swoją niezdecydowanej trzodzie owiec. Wciąż jednak na nowo daje nam historja świata zdumiewające zjawisko, niezrozumiały fakt, że najenergiczniejsze, najpotężniejsze właśnie jednostki, znalazłszy się u zenitu decydującego momentu, wykazują dziwny brak stanowczości, jak gdyby rażone nagłym paraliżem ducha.

Wallenstein przed odstąpieniem, Robespierre w noc 9 termidora, i w niemniejszym stopniu przywódcy ostatniej wojny, wszyscy oni wykazują wówczas właśnie, kiedy działanie przedwczesne bodaj byłoby mniejszym błędem, fatalny brak decyzji.

Napoleon parlamentuje, dyskutuje, próbuje przekonywać kilku obojętnie słuchających go ministrów, i w tej samej właśnie godzinie, która decydować ma o całej jego przyszłości, bawi się w jałowe roztrząsanie wszystkich błędów przeszłości, oskarża, fantazjuje, sili się na nuty patetyczne szczere i teatralne, nie zdobywa się wszelako na akt męstwa. Deklamuje, mówi, ale nie działa. I jak gdyby historja powtarzała się wraz z każdym nowym kręgiem życia, jak gdyby analogje nie były najniebezpieczniejszemi błędami myślenia w polityce, posyła, zamiast pójść samemu, zupełnie jak 18 brumaire'a, brata swojego, Lucjana, jako mówcę do Zgromadzenia, aby zjednał deputowanych. Wówczas wszelako miał Lucjan na swoją obronę wymownego rzecznika — dokonane przez brata zwycięztwo; u boku jego

stali, jako komparsi, grenadjerzy o twardych dłoniach i pełni zapału generałowie. A nadto, i o tem fatalnie zapomniał Napoleon na swoją zgubę, ten przedział piętnastu lat zapełniło dziesięć miljonów poległych.

Kiedy więc Lucjan wstępuje teraz na trybunę i rzuca francuzkiemu narodowi oskarżenie, że niewdzięcznie opuszcza Napoleona w ciężkim jego momencie, zrywa się nagle z piersi Lafayette'a nagromadzony i tłumiony gniew rozczarowanego narodu przeciwko jego rzezakowi, z ust dawnego chorążego Rewolucji tryska potok niezapomnianych słów, które, jak iskra rzucona do beczki z prochem, wysadzają w powietrze ostatnią ostoję nadziei Napoleona.

„Ośmielasz się pan rzucać nam oskarżenie, że niedość uczyniliśmy dla pańskiego brata? Czyż zapomniał pan, że kości naszych synów, naszych braci, składają wszędzie świadectwo naszej wierności? W piaszczystych pustyniach Afryki, na brzegach Gwadalkwiwiru i Tajo, na pobrzeżu Wisły i na lodowych równinach Moskwy, poległo w ciągu trzech lat z górą trzy miljony Francuzów na rozkaz jednego człowieka! Jednego człowieka, który dzisiaj jeszcze chce krwią naszą toczyć walkę z Europą. Chybaż dość tego, aż nadto nawet, jak na jednego człowieka! Teraz obowiązkiem naszym jest ratować ojczyznę!"

Grzmot oklasków ze wszystkich ław mógłby, zdawało się, pouczyć Napoleona, że najwyższy już czas na dobrowolną abdykację. Nic jednak nie wydaje się trudniejszem na świecie, aniżeli zrzeczenie się władzy. Napoleon ociąga się. To ociąganie się kosztuje jego syna utratę tronu cesarskiego, a jego samego — utratę wolności.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Teraz wreszcie traci Fouché cierpliwość. Skoro niewygodny pasażer nie chce wysiąść dobrowolnie, w takim razie precz z nim. Byle tylko zdążyć podłożyć należycie minę, a ta nawet niebotyczna wieża glorji zapadnie się z trzaskiem. W ciągu nocy obrabia książe Otrantu

oddanych sobie deputowanych i zaraz nazajutrz z samego rana władczym tonem występuje Izba z żądaniem abdykacji. I to jednak nie wydaje się dostatecznie wyraźnem dla człowieka, w którego krwi wre gorączka władzy. Wciąż jeszcze probuje Napoleon parlamentować na wszystkie strony, aż dopóki, za naciśnięciem klawisza przez Fouché'go, nie wypowiada Lafayette decydujących słów: „O ile będzie on zwlekał z abdykacją, wystąpię z propozycją strącenia go z tronu."

Jedna godzina tylko dana jest władcy świata na zaszczytne odejście, jedna godzina tej najwyższej potędze na ostateczne zrzeczenie się; zupełnie jednak, jak w 1814-ym wobec swoich generałów w Fontainebleau, wykorzystuje Napoleon dany sobie krótki ten czas teatralnie, a nie politycznie.

„Jakto — woła oburzony, — Przemoc? Jeśli tak, nie myślę abdykować. Izba jest jeno zgrają jakobinów i ambitnych karjerowiczów, których powinienem był oskarżyć otwarcie przed narodem i rozpędzić na cztery wiatry! Ale stracony przeze mnie czas da się jeszcze odrobić!"

W rzeczywistości wszelako chce się dać prosić jeszcze natarczywiej, aby spotęgować wielkość ofiary; w istocie też, zupełnie tak samo, jak wówczas generałowie, usiłują teraz jego ministrowie łagodnie go przekonać i nakłonić. Jedyny tylko Fouché milczy. Nadchodzi jedna wieść za drugą, wskazówka zegara posuwa się nielitościwie naprzód. Wreszcie rzuca cesarz na Fouché'go spojrzenie zarazem szydercze, jak opowiadają naoczni świadkowie, i pełne gorącej nienawiści: „Napisz pan do tych panów — pogardliwie rzuca mu Napoleon — ażeby zachowali się spokojnie. Uczynię im zadość."

Natychmiast kreśli Fouché kilka słów ołówkiem na karteczce do swoich reżyserów w Izbie, że nie jest już potrzebne kopnięcie nogą. Napoleon udał się do jednego z odległych pokojów, aby podyktować tam bratu swojemu, Lucjanowi, akt abdykacji.

Po kilku minutach powraca znów do głównego gabinetu. Komu wręczyć ten doniosłej treści dokument? Ironja losu! — Temu właśnie, który wcisnął mu go przemocą pod pióro, a który teraz stoi w nieruchomej pozie oczekiwania, niby nieubłagany poseł Hermes. Cesarz podaje mu papier bez słowa. Bez słowa przyjmuje Fouché wywalczony z trudem dokument i składa niski ukłon.

Był to jego ostatni ukłon, złożony Napoleonowi.

---

Na posiedzeniu Izby brakło Fouché'go, księcia Otrantu. Teraz, kiedy zwycięztwo już dokonane, zjawia się on i wkracza wolnym krokiem po stopniach trybuny z historycznym dokumentem w ręku. Drżała mu chyba w tej chwili z dumy ta jego wązka, twarda dłoń intryganta, bowiem zatryumfował, po raz drugi odniósł zwycięztwo nad najpotężniejszym człowiekiem we Francji, i ten 22 czerwca ma dla niego ponownie znaczenie 9-go termidora. Wpośród zaległej salę wstrząsającej ciszy wypowiada, sam zimny i nieporuszony, kilka słów pożegnalnych na cześć tego, który był ongi jego władcą. Słowa jego padają niby kwiaty papierowe na świeżo usypaną mogiłę. Ale teraz, po wygłoszeniu podzwonnego, żadnych więcej sentymentów! Nie po to wytrąciło się olbrzmowi władzę z ręki, aby pozwolić jej luzem potoczyć się na ziemię, gdzie mogłaby stać się łupem każdego jako tako zręcznego. Teraz trzeba przychwycić ją samemu, wykorzystać chwilę, od lat wielu gorąco upragnioną chwilę. Formułuje tedy wniosek natychmiastowego obrania prowizorycznego rządu, Dyrektorjatu, złożonego z pięciu mężów, z góry już przeświadczony, że w tym momencie wreszcie wybór padnie na niego.

Nadspodziewanie wszelako raz jeszcze zagraża mu wyśliznięcie się z ręki tak dawno wyczekiwanej samodzielności. Udało mu się wprawdzie podstępnie pod-

stawić przy wyborach nogę najniebezpieczniejszemu współzawodnikowi, Lafayette'owi, który prostolinijnością swoją i republikańskiemi swojemi pojęciami doskonale mu się przysłużył, jako kozioł ofiarny; w pierwszem wszelako głosowaniu otrzymuje Carnot 324 głosy, a on sam, Fouché, tylko 293, wskutek czego przewodniczenie w nowym prowizorycznym rządzie przypaść musi niewątpliwie Carnot'owi. Ale w tym rozstrzygającym momencie, o włos od celu, udaje się Fouché'mu, kutemu na wszystkie boki hazardownemu graczowi, przerzucić najcudowniejszą i najhaniebniejszą zarazem woltę. Zgodnie z powyższym cyfrowym wynikiem głosowania należy się, rzecz prosta, przewodnictwo Carnot'owi, i w takim razie on sam, Fouché, byłby, jak zawsze, i w tym rządzie również, drugim tylko, gdy duszą całą dąży do tego, aby nareszcie być pierwszym, być nieograniczonym władcą. Dlatego też ima się wyrafinowanego podstępu: zaledwie zebrała się Rada Pięciu i Carnot chciał zająć należne mu miejsce przewodniczącego, proponuje Fouché kolegom, jako coś rozumiejącego się samo przez się, aby się ukonstytuowali. — „Co pan rozumie pod ukonstytuowaniem się?“ — pyta wielce zdziwiony Carnot. — „Jakto?“ — odpowiada Fouché rozbrajające naiwnie, — „obranie z pomiędzy nas sekretarza i przewodniczącego.“ — I zaraz z udaną skromnością dodaje: — „Oczywiście ma pan zgóry zapewniony mój głos na przewodniczącego.“ — Carnot daje się nabrać i odpowiada uprzejmie: — „A pan mój?“

Ale dwaj członkowie są potajemnie zjednani już dla Fouché'go, dzięki czemu ma on trzy głosy przeciwko dwóm, zanim też Carnot zdążył się zorjentować, jak sprytnie został wystrychnięty na dudka, zasiada już Fouché na fotelu prezydjalnym.

Po załatwieniu się z Napoleonem i Lafayette'm przyszła szczęśliwie kolej na Carnot'a. Zamiast tego najpopularniejszego we Francji człowieka jest teraz panem jej losów najbardziej szczwany z jej synów, Józef Fou-

ché. W ciągu pięciu dni, między 13-ym a 18-ym czerwca, utracił cesarz władzę; nie trwało dłużej niż pięć dni, od 17-go do 22-go czerwca, a Fouché zagarnął ją dla siebie, przestając wreszcie być sługą, stając się po raz pierwszy nieograniczonym panem Francji, który ma już rozwiązane, bosko rozwiązane ręce do swobodnego uprawiania umiłowanej i bałamutnej wszechświatowej gry politycznej.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Pierwszy krok teraz: precz z cesarzem! Cień nawet potęgi, takiej jak Napoleona, przygniata człowieka takiego jak Fouché; i zupełnie tak samo, jak Napoleon, będąc władcą, nie czuł się dobrze w Paryżu, dopóki wiedział, że ten nieobliczalny Fouché przebywa w stolicy, tak samo nie może Fouché swobodnie zaczerpnąć oddechu, dopóki kilka tysięcy mil nie będzie go dzieliło od szarej kapoty. Unika osobistego porozumienia się z Napoleonem — poco te sentymenty? — posyła mu tylko przepisy, przystrojone jeszcze leciuchną różową obsłonką uprzejmości. I tę jednak słabą, grzecznościową formę odrzuca rychło, i bezlitośnie ujawnia zdetronizowanemu jego bezsiłę.

Patetyczną proklamację, z którą Napoleon zwraca się na pożegnanie do swoich żołnierzy, rzuca Fouché bez ceremonji pod stół, daremnie też szuka zdumiony Napoleon nazajutrz z rana swoich cesarskich słów w „Monitorze“ — przewodniczący Dyrektorjatu zakazał ich opublikowania. Fouché zakazuje cesarzowi!

Napoleon nie może jeszcze uwierzyć w to bezgraniczne zuchwalstwo, z jakiem dawny jego sługa poważa się go lekceważyć; z dotkliwszą wszakże z godziny na godzinę oczywistością odpychany jest przez twardą tę pięść, aż wreszcie zgadza się przenieść do Malmaison. Stąd już jednak nie daje się usunąć i stawia się sztorcem. Nie chce przenieść się dalej, mimo że dragoni Blüchera są mu już prawie na karku, mimo że z godziny

na godzinę Fouché śle mu coraz gniewniejsze upomnienia, aby wreszcie opamiętał się, zrozumiał sytuację i znikł z horyzontu.

Coraz bardziej kurczowo jednak, w miarę jak czuje swoje staczanie się coraz głębsze z wyżyn, czepia się Napoleon majaków dawnej swojej władzy. I wreszcie, podczas kiedy kolasa podróżna stoi już w pogotowiu na dziedzińcu, przychodzi mu na myśl gest w wielkim stylu. On, cesarz, oświadcza gotowość, jako zwykły generał, stanąć na czele armji, aby raz jeszcze zwyciężyć lub zginąć.

Ale trzeźwy Fouché nie bierze na serjo podobnie romantycznych ofert. — „Cóż to? Czy ten człowiek pozwala sobie drwić z nas?“ — woła gniewnie. — „Jego obecność na czele armji byłaby nowem tylko, rzuconem całej Europie wyzwaniem, a charakter Napoleona nie pozwala posądzać go o zobojętnienie na sprawę władzy.“

Ostrem ofuknięciem zbywa generała, jak mógł mieć śmiałość przyjmowania podobnej misji, zamiast wyekspedjowania cesarza, i rozkazuje mu natychmiastowe doprowadzenie do skutku jego wyjazdu. Samego Napoleona nie zaszczyca ani słowem odpowiedzi. Zwyciężeni nie są dla Fouché'go warci bodaj nawet uncji atramentu.

---

Teraz jest wolny, jest u celu. Po uwolnieniu się od Napoleona stanął pięćdziesięcioszścioletni Józef Fouché, książę Otrantu, nareszcie sam i nieskrępowany niczyją wolą, u szczytu władzy. Nieskończone błądzenie poprzez labirynt ćwierćwiecza: z małego, mizernego syna drobnego kupca do roli smutnego, pokornego tonsurowanego wykładowcy seminaryjnego, potem, wzwyż, do karjery trybuna ludowego i prokonsula, do mitry księcia Otrantu, do stanowiska cesarskiego sługi i wreszcie, do świetności niczyjego sługi, wyłącznego władcy Francji.

Intryga zatryumfowała nad ideą, osobista zręczność i wola losu nad genjuszem.

Całe pokolenie nieśmiertelnych runęło dokoła Fouché'go, strącone w głębiny. Padł Mirabeau; zamordowany Marat; Robespierre, Demoulins, Danton, zgilotynowani; współkonsul Fouché'go, Collot — wygnany na wyspę żółtej febry, Guyanę; Lafayette odsunięty; towarzysze rewolucyjni, wszyscy, wszyscy, straceni, przepadli.

Podczas gdy, obrany wolnemi głosami ufności wszystkich stronnictw, Fouché rozstrzyga o losach Francji, umyka ku wybrzeżu Napoleon, pan świata, w nędznem przebraniu, opatrzony fałszywym pasportem sekretarza jednego z małoznacznych generałów; Murat i Ney czekają na swoje rozstrzelanie; małe familijne króliki z łaski Napoleona błądzą z pustemi kieszeniami i bez ziemi z kryjówki do kryjówki. Padło całe, uwieńczone sławą pokolenie tego jedynego w swoim rodzaju zwrotnego punktu dziejów, jeden tylko Fouché wzniósł się mocą swojej wytrwałej, knującej w cieniu, podziemnie kreciej, uporczywej cierpliwości. Niby miękki wosk urabiane są teraz pod mistrzowską jego dłonią: Senat i Zgromadzenie Narodowe; tak wyniośli ongi generałowie w strachu o swoje pensje, podporządkowują się, jak potulne jagnięta, nowemu Prezydentowi; mieszczaństwo i lud całego kraju oczekują jego decyzji; Ludwik XVIII śle mu posłów; Talleyrand przesyła pozdrowienia; Wellington, zwycięzca z pod Waterloo, komunikuje mu poufne wiadomości — po raz pierwszy zbiegają się nici przeznaczeń imponująco otwarcie i swobodnie w jego rękach.

Staje przed nim olbrzymie zadanie: obronienia przed nadciągającymi nieprzyjaciółmi rozbitego, zwyciężonego kraju, zapobieżenie bezcelowemu, patetycznemu oporowi, uzyskanie lżejszych warunków, obmyślenie właściwego ustroju państwowego, obranie odpowiedniego władcy, stworzenie z chaosu nowych norm, zapro-

wadzenie trwałego porządku. Takie zadanie wymaga mistrzowstwa, niesłychanej sprawności i giętkości umysłu. I w istocie, w tym momencie, kiedy wszyscy, oszołomieni, tracą głowę, wykazują zarządzenia Fouché'go pełnię opanowania sytuacji, najwyższą miarę energji. Jego podwójne i poczwórne plany — zdumiewają rzutkością swoją i niezłomną pewnością.

Pozostaje w przyjaznych stosunkach z wszystkimi, aby móc wszystkich wyprowadzać w pole i czynić wyłącznie to tylko, co jemu osobiście wydaje się ważne i korzystne.

I kiedy wobec Parlamentu domaga się korony dla syna Napoleona, wobec Carnot'a — Republiki, wobec sojuszników — wstąpienia na tron Księcia Orleańskiego, podsuwa zcicha ster rządów poprzedniemu królowi, Ludwikowi XVIII.

Zupełnie niespostrzeżenie, drobnemi, zręcznemi posunięciami, nie zdradzając właściwego swojego celu wobec najbliższych towarzyszy pracy, brodzi on, przedostając się do rojalistów, poprzez bagno przekupstwa i przehandlowuje powierzone mu rządy Burbonom, podczas gdy w Radzie Ministrów i w Izbie niezłomnie odgrywa rolę bonapartysty i republikanina. Rozpatrywany ze stanowiska psychologicznego był jego sposób rozstrzygania kwestji jedynie racjonalny. Tylko szybka kapitulacja przed królem mogła zapewnić zaoszczędzenie wykrwawionej, zrujnowanej, zalanej obcemi wojskami Francji, możliwie uwolnić okres przejściowy od nieuniknionych nieomal wstrząsów i tarć. Jedyny tylko Fouché ogarnia trafnie sytuację i, dzięki swojemu poczuciu rzeczywistości, rozumie tę konieczność, urzeczywistnia ją też — wbrew oporowi Rady, narodu, armji, Izby i Senatu — z własnej woli i o własnej sile.

Ale Fouché wykazuje w tym czasie wszelką mądrość, nie posiada tylko jedynej — i to jest jego tragedją! — ostatniej, najszczytniejszej, najczystszej: zapominania o sobie samym, o własnej korzyści dla dobra sprawy.

Przyrodzenie pozbawiło go tej ostatniej, najwyższej mądrości, która nakazywałaby mu, po dokonaniu mistrzowskiego dzieła, zrzec się władzy i odejść w zacisze przywatnego życia, jako pięćdziesięcioześcioletni, więc w pełni sił, mężczyzna, stojący u szczytu powodzenia, dziesięciokrotny czy dwudziestokrotny miljoner, szanowany i czczony przez współczesnych i potomność.

Kto wszelako przez lat dwadzieścia łapczywie pożądał władzy, kto dwadzieścia lat żył nią, nigdy w zupełności nienasycony, niezdolny jest do wyrzeczenia się jej dobrowolnie. Fouché, zupełnie tak samo jak Napoleon, nie jest w stanie podać się do dymisji ani o jedną minutę wcześniej, dopóki nie zostanie strącony przemocą. Że zaś teraz nie ma nad sobą pana, którego mógłby zdradzić, nie pozostaje mu nic innego, jeno dokonać zdrady na samym sobie, na własnej swojej przeszłości.

Zwrócenie pokonanego kraju dawnemu jego władcy w tym momencie było prawdziwem dziełem mądrej i śmiałej polityki. Ale kazać zapłacić sobie za ten czyn napiwkiem w postaci teki królewskiego ministra — było łotrostwem i więcej niż zbrodnią: głupotą. I tę głupotę popełnia teraz oszalały żądzą władzy karjerowicz. Byle tylko na parę krótkich jeszcze, znikomych chwil *„avoir la main dans la pâte“* — popełnia tę pierwszą swoją, i swoją największą, nie do naprawienia głupotę, która nazawsze pognębia go w obliczu historji.

Cierpliwie, zręcznie, układnie, wspiął się w górę po tysiącu stopni: i jednem jedynem, niezdarnem, niepotrzebnem potknięciem się powoduje własne runięcie z wyżyny w przepaść.

— — — — — — — — — — — — —

W jaki sposób doprowadzone zostało do skutku to przefrymarczenie rządów na rzecz Luwika XVIII wzamian za otrzymanie, w charakterze zapłaty, ministerjalnego fotela, obrazuje nam szczęśliwie posiadany przez

nas historyczny dokument, jeden z niewielu, notujących dosłownie przebieg dyplomatycznych pertraktacyj nadmiernie zazwyczaj ostrożnego księcia Otrantu.

W ciągu trwania Stu Dni zdołał jedyny nieugięty stronnik króla, baron de Vitrolles w Tuluzie, zgromadzić armję, zwalczającą przywróconego tronowi Napoleona. Wziętego do niewoli i odstawionego do Paryża de Vitrolles'a, chciał cesarz kazać bezzwłocznie rozstrzelać, ale Fouché wtrącił się do tej sprawy: był zawsze zwolennikiem oszczędzania, nieprzyjaciół zwłaszcza, którzy mogą jeszcze okazać się potrzebni w rozmaitych okolicznościach życia. Dzięki tedy wstawiennictwu Fouché'go zadowolniono się, do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd wojenny, zamknięciem barona de Vitrolles'a w więzieniu wojskowem w Tuluzie. Z chwilą wszelako, gdy żona uwięzionego usłyszała, że Fouché stał się rozkazodawcą Francji, pospieszyła do niego, celem wybłagania uwolnienia męża. Fouché spełnił bezzwłocznie jej prośbę, zależało mu bowiem bardzo na zapisaniu się dobrze u Burbonów.

Zaraz nazajutrz zjawił się uwolniony z więzienia przywódca rojasiltów, baron de Vitrolles, na audjencji u księcia Otrantu, aby złożyć mu swoje podziękowanie. Przy tej okazji odbyła się pomiędzy, obranym głosami republikanów, kierownikiem kraju a zaprzysiężonym arcyrojalistą następująca rozmowa:

— I cóż zamierza pan teraz czynić? — pyta Fouché.

— Mam zamiar udać się do Gandawy. Moja kolasa pocztowa czeka już przed wrotami.

— To najmędrsza rzecz, jaką może pan przedsiębrać; tutaj nie jest pan bezpieczny.

— Czy nie ma pan dla mnie żadnego polecenia do króla? — pyta de Vitrolles na pożegnaniie.

— O, mój Boże, nic, nic. Powiedz pan tylko, proszę, Jego Królewskiej Mości, że może liczyć na wierne moje oddanie i że, niestety, nie odemnie zależy rychłe Jego wprowadzenie się zpowrotem do Tuilerjów.

— Sądzę jednak, że tylko od pana zależy, aby stało się to rychło.

— Mniej, aniżeli pan przypuszcza. Zachodzą wielkie trudności. Co prawda, Izba znacznie uprościła sytuację. Wiadomo panu zapewnie — Fouché mówi to z uśmiechem — że ogłosiła ona władcą Napoleona II?

— Jakto, Napoleona II?

— Oczywiście. Od tego trzeba było zacząć.

— Przypuszczam jednak, że niemożna brać tego na serjo?

— Należałoby tak sądzić. Im więcej o tem myślę, tem niezłomniej dochodzę do przekonania, że to powołanie na tron jest zupełnie bezsensowne. Nie może pan sobie jednak wyobrazić, jak wielu ludzi czepia się jeszcze tego imienia. Niektórzy z moich kolegów, nadewszystko Carnot, są przekonani, że, wraz z objęciem rządów przez Napoleona II, wszystko będzie uratowane.

— I jak długo ma trwać ten żart?

— Prawdopodobnie tyle czasu, ile nam go potrzeba, aby się uwolnić od Napoleona I.

— A potem? Co nastąpić ma potem?

— Skąd miałbym to wiedzieć? W chwilach, takich jak obecna, trudno jest przewidywać, co się stanie nazajutrz.

— O ile jednak kolega pański, pan Carnot, tak bardzo obstaje przy Napoleonie II, będzie panu bardzo trudno uniknąć tej kombinacji.

— O, nie zna pan Carnot'a! Wystarczy, aby odwieść go od tego, okrzyknąć rząd ‚francuskiego narodu'. Naród francuski! Jak to usłyszy, pomyśl pan tylko! — Obaj wybuchają przy tem śmiechem: wybrany republikańskiemi głosami, wyszydzający swojego kolegę książę Otrantu i rojalistyczny wysłaniec. Zaczynają lepiej się rozumieć.

— Tak, to słusznie. W takim razie wszystko w porządku — nawiązuje baron de Vitrolles ponownie roz-

mowę. — Mam wszelako nadzieję, że po Napoleonie II i ‚francuskim narodzie' pomyśli pan też wreszcie i o Burbonach.

— Oczywiście — odpowiada Fouché — wówczas przyjdzie kolej na księcia Orleańskiego.

— Co? Na księcia Orleańskiego?! — woła zdumiony pan de Vitrolles — na księcia Orleańskiego?! Sądzi pan zatem, że król zdecydowałby się kiedykolwiek przyjąć tak obnoszoną i całemu światu przehandlowywaną koronę?

Fouché milczy i uśmiecha się.

Ale baron de Vitrolles zrozumiał już. Tą nieszczerą, ironiczną, pozornie niedbałą pogawędką odsłonił mu Fouché swoje zamiary. Dał baronowi wyraźnie do zrozumienia i odczucia, że, o ile zechce, znajdą się na drodze trunności, i że, zamiast króla Ludwika XVIII, będzie można powołać na tron i Napoleona II także, albo ‚naród francuski', albo księcia Orleańskiego, że jednak jego samego, księcia Otrantu, osobiście, nie pociąga szczególniej żadna z tych możliwości, że więc byłby zupełnie gotów działać na rzecz Ludwika XVIII, o ile...

To ‚o ile' nie zostało wypowiedziane, ale baron de Vitrolles wyraźnie je wyczuł, może z błysku uśmiechu w oczach, a może z jakiegoś gestu. W każdym razie decyduje się on nagle zaniechać swojej podróży do Gandawy i pozostać w Paryżu u Fouché'go, oczywiście pod warunkiem możności swobodnego korespondowania z królem. Stawia i inne także warunki: przedewszystkiem dwadzieścia pięć pasportów dla swoich agentów do Gandawy, do Głównej Kwatery królewskiej.

— Pięćdziesiąt, sto, ile pan tylko chce — odpowiada wesoło usposobiony republikański minister policji przedstawicielowi przeciwnika Republiki.

— Nadto, proszę pana o zezwolenie mi na rozmawianie z panem raz jeden codziennie.

I znów brzmi wesoła odpowiedź księcia Otrantu:

— Raz nie wystarcza! Dwa razy, raz rano i raz wieczorem.

Baron de Vitrolles może teraz pozostać spokojnie w Paryżu, aby, pod osłoną księcia Otrantu, pertraktować z królem i zawiadomić go, że wrota Paryża stoją przed nim otworem, o ile... otóż właśnie, o ile Ludwik XVIII gotów będzie przyjąć, wraz z tronem, i księcia Otrantu, jako ministra w nowym królewskim rządzie.

— — — — — — — — — — — — —

Na propozycję, uczynioną Ludwikowi XVIII, otworzenia mu przez Fouché'go wrót Paryża wzamian za napiwek w postaci teki ministra w nowym rządzie królewskim, wybucha flegmatyczny zazwyczaj Burbon wściekłym gniewem.

— Nigdy! — przyjmuje wrzaskiem pierwszych, którzy chcą umieścić na liście znienawidzone nazwisko.

I w istocie, jakie niedorzeczne przypuszczenie, że mógłby on przyjąć w poczet swoich sług królobójcę, jednego z tych, którzy podpisali wyrok śmierci na własnego jego brata! Aby mógł tolerować na stanowisku swojego ministra, uciekiniera od ślubów kapłańskich, wściekłego ateistę i sługę Napoleona!

— Nigdy! — woła oburzony.

Znamy jednak dobrze z historji takie „Nigdy!" królów, polityków i generałów; jest ono zawsze prawie przygrywką do kapitulacji.

Czy Paryż nie jest wart mszy? Czy od czasów Henryka IV nie czynili królowie, jego przodkowie, w imię panowania, podobnych *sacrifici dell'intelleto* — ofiar z ducha i sumienia?

Nagabywany, naciskany ze wszystkich stron, przez dworaków, generałów, przez Wellingtona, a nadewszystko przez Talleyrand'a (któremu, jako żonatemu biskupowi, należy się na tym dworze jeszcze czarniejsza karta), zaczyna Ludwik XVIII ustępować powoli.

Wszyscy zapewniają go, że jeden tylko człowiek zdolny jest otworzyć przed nim bez oporu wrota Paryża: jedynie Fauché! Jedynie on, mąż wszystkich stronnictw, haseł i poglądów, najlepszy, wieczny strzemienny wszystkich potentatów do korony, może zaoszczędzić przelewu krwi. A zresztą, stary jakobin stał się oddawna już konserwatystą, żałuje swoich postępków, świetnie zdradził Napoleona.

Wreszcie król spowiada się dla ulżenia swojemu sumieniu —, „O biedny bracie, gdybyś mógł mnie teraz widzieć!“ — miał on podobno zawołać — i oświadcza gotowość przyjęcia Fouché'go w Neuilly — potajemnie, bowiem w Paryżu nie powinien nikt przypuszczać, że, wzamian za tekę ministra, obrany głosami narodu jego przywódca przehandlowuje swój kraj, a pretendent do tronu, wzamian za koronę — swoją cześć.

Potajemnie też, jedynie w obecności odstępczego biskupa, jako świadka, ubity zostaje ten najbezwstydniejszy w całej nowszej historji handel pomiędzy eksjakobinem, a tym, który miał dopiero zostać królem.

Tam, w Neuilly, odbywa się owa ponura, fantastyczna, godna Shakespeare'a, a bodaj Aretina scena: król Ludwik XVIII, potomek Ludwika Świętego, przyjmuje współmordercę swojego brata, siedmiokrotnego wiarołomcę, Fouché'go, ministra Konwentu, Cesarstwa i Republiki, aby odebrać od niego przysięgę, ósmą z kolei, przysięgę na wierność. I Talleyrand, były biskup, potem republikanin, jeszcze później sługa cesarski, wprowadza swojego kompana. Utykający ex-biskup, aby kroczyć pewniej, opiera się ramieniem o ramię Fouché'go — występek, oparty na zdradzie — jak szyderczo zaznacza Chateaubriand —, i w ten sposób zbliżają się bratersko obaj ateiści — oportuniści do następcy Ludwika Świętego. Nasampierw głęboki ukłon. Potem bierze na siebie Talleyrand przykry obowiązek zaproponowania królowi mordercy jego brata na ministra. Chuderlawy mężczyzna bledszy jest jeszcze niż

zazwyczaj, zginając teraz kolano przed „tyranem", przed „despotą", aby ucałować jego rękę, rękę człowieka tej samej krwi, co ta, którą dopomógł przelać, i aby złożyć przysięgę w imieniu tego samego Boga, którego kościoły rabował i bezcześcił w Lyonie na czele prowadzonej przez siebie tłuszczy.

Duża bądź co bądź odwaga, nawet ze strony takiego Fouché'go!

Dlatego też jest wciąż jeszcze książę Otrantu bardzo blady, kiedy teraz opuszcza pokój audjencjonalny króla; w tej chwili, raczej utykający Talleyrand podtrzymywać musi towarzysza. Fouché milczy. Nie wypowiada ani jednego słowa. Nie są też w stanie wyrwać go z tego bolesnego milczenia nawet szydercze uwagi cynicznego ex-biskupa, który odmawiał mszę zupełnie tak samo, jak grał w karty. W nocy wraca Fouché, z podpisanym na ministra dekretem w kieszeni, do Paryża, do nieprzeczuwających nic kolegów w Tuilerjach, do kolegów, których jutro powyrzuca, a pojutrze skaże na banicję: nie musiało mu jednak być bardzo przyjemnie znaleźć się pośród nich.

Raz jeden zaznał wolności ten najniewierniejszy ze wszystkich sług , ale — szczególna pomsta losu! — dusze służalcze nie mogą nigdy znieść wolności, zmuszone niejako nakazem wewnętrznym do uciekania wciąż zpowrotem od niej do nowej służalczej niewoli. I tak poniża się własnowolnie Fouché, wczoraj jeszcze silny i samowładny, dzisiaj zginający kolano przed nowym panem, ponownie wprzęga wolne wczoraj jeszcze swoje ręce do galery władzy (w przeświadczeniu, że jest to burta jego losów).

Rychło wszelako wyciśnięte zostanie na jego czole piętno galernika, które pozostanie już na niem do końca.

— — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz z rana wkraczają wojska aljanckie. Zgodnie z tajną umową obsadzają one Tuilerje i zamykają wprost drzwi przed deputowanymi. Daje to pozornie zaskoczonemu Fouché'mu okazję do zaproponowania swoim kolegom, aby złożyli rządy na znak protestu przeciwko przemocy bagnetu. Wyprowadzeni przez niego w pole naiwni dają się złapać na ten patetyczny gest — dzięki czemu, zostaje tron, jak było umówione, nagle opróżniony. Przez dzień jeden panuje w Paryżu bezkrólewie, niema rządu. Wystarcza też, aby Ludwik XVIII zbliżył się do wrót stolicy wpośród, zaaranżowanych przez jego nowego ministra policji, radosnych okrzyków tłumu, a zostaje powitany z zapałem, jako zbawca.

Francja stała się znów królestwem.

Teraz dopiero otwierają się kolegom Fouché'go oczy, jaką wyrafinowaną zagrano z nimi grę. Teraz dopiero z „Monitora" dowiadują się, jaką cenę kupna otrzymał Fouché. W tej chwili wybucha uczciwy, szczery, nieskazitelny (nieco tylko ograniczony) Carnot wściekłym gniewem. „Dokąd mam teraz iść, zdrajco?" — rzuca pogardliwie świeżoupieczonemu rojalistycznemu ministrowi policji.

Ale ten odpowiada mu tak samo pogardliwym tonem: „Dokąd chcesz, głupcze."

Tym lakonicznie charakterystycznym djalogiem obu dawnych jakobinów, ostatnich przeżytków 9-go termidora, kończy się najbardziej zadziwiający dramat historji nowożytnej — Rewolucja z jej świetną fantasmagorją: napoleonowym przemarszem przez dzieje świata.

Epoka przygód bohaterskich minęła, rozpoczyna się okres mieszczański.

— — — — — — — — — — — — —

## Rozdział dziewiąty.

## UPADEK I ZNIKOMOŚĆ
## 1815—1820

28-go lipca 1815-go roku — sto dni napoleonowego międzyaktu skończone — odbywa Ludwik XVIII powrotny wjazd do swojego miasta Paryża, wjazd uroczysty w galowej, wspaniale zaprzężonej w białe rumaki, karocy. Zgotowano mu niebywałe przyjęcie. Fouché jest świetnym aranżerem. Tłumy, wznoszące radosne okrzyki, cisną się dokoła królewskiego pojazdu, z dachów powiewają białe chorągwie, a kto nie mógł ich nigdzie dostać, poprzybijał do lasek ręczniki i prześcieradła i powywieszał je z okien. Wieczorem tonie miasto w niebywałej iluminacji, upojony nadmiarem radości lud tańczy nawet z oficerami angielskich i pruskich załóg okupacyjnych. Ani jednego wrogiego okrzyku; przezornie porozstawiana na ulicach żandarmerja okazuje się zbędną; nowy minister policji arcychrześcijańskiego monarchy wspaniale w samej rzeczy zorganizował uroczysty wjazd nowego swojego władcy.

W Tuilerjach, w tym samym pałacu, w którym przed niespełna miesiącem kornie odgrywał rolę najwierniejszego sługi cesarskiego, oczekuje książę Otrantu króla, Ludwika XVIII, brata „tyrana“, którego on sam dwadzieścia dwa lata temu w tym samym gmachu skazał na śmierć. Teraz wszelako składa głęboki, pełen czci ukłon przed potomkiem Ludwika Świętego i w listach podpisuje się „z czcią korną Waszej Królewskiej Mości najwierniejszy i najuniżeńszy poddany“ (dosłownie czytamy ten podpis pod tuzinem własnoręcznych raportów).

Z wszystkich szalonych skoków jego akrobatyki był ten najzuchwalszym, będzie on też ostatnim, uczynionym

z politycznej jego trampoliny. Na razie wszelako zdaje się wszystko układać jaknajpomyślniej. Dopóki Ludwik XVIII nie czuje się jeszcze dostatecznie umocniony na swoim tronie, nie gardzi on pomocą i podporą „pana Fouché". A zresztą: potrzebna jest jeszcze ta figura, ten istny Figaro, umiejący tak świetnie żonglować na wszystkie strony. Przedewszystkiem potrzebny jest do wyborów, bowiem dwór życzy mieć w ludowym parlamencie większość, na której możnaby było polegać; do osiągnięcia tego celu posłużyć może „wypróbowany" republikanin, jako niedościgniony napędzacz. Poza tem są jeszcze do załatwienia rozmaitego rodzaju nieprzyjemnie krwawe porachunki: dlaczegóżby nie użyć do nich tej wyćwiczonej ręki w znoszonej rękawiczce? Można będzie potem rękawiczkę tę odrzucić, nie brukając sobie własnych królewskich rąk.

Tego rodzaju brudny interes załatwić wypadnie zaraz w pierwszych dniach. Król przyobiecał, co prawda, będąc na wygnaniu, udzielenie amnestji i nieprześladowanie nikogo z tych, którzy w przebiegu Stu Dni służyli obcemu uzurpatorowi.

Ale po obiedzie mówi się inaczej: rzadko jedynie czują się królowie zobowiązanymi do dotrzymania tego, co przyobiecywali, będąc pretendentami do tronu.

Zażarci rojaliści, dumni z własnej swojej wierności, żądają teraz, kiedy król znów mocno siedzi na tronie, aby ukarani zostali wszyscy ci, którzy w ciągu Stu Dni odpadli od sztandaru z lilją burbońską. Pod naporem rojalistów, usposobionych zawsze bardziej rojalistycznie, aniżeli sam król, zmuszony jest wreszcie Ludwik XVIII ustąpić.

Ministrowi policji przypada przykre zadanie sporządzenia listy proskrypcyjnej.

Polecenie to nie może iść w smak księciu Otrantu. Czy istotnie karać należy ludzi za takie błahostki, karać ich naprawdę za to tylko, że zrobili co można było zrobić najrozsądniejszego, przechodząc na stronę silniej-

szego, na stronę zwycięzcy? Nadewszystko jednak przychodzi na myśl ministrowi policji arcychrześcijańskiego króla — że na takiej liście banicyjnej, winnoby, z prawa i z urzędu, figurować, jako pierwsze, nazwisko księcia Otrantu, ministra policji za rządów Napoleona, zatem jego własne.

Dalibóg, nieprzyjemna sytuacja!

Zrazu usiłuje Fouché podstępem, jak zwykle, wykręcić się od spełnienia niemiłej tej misji. Zamiast listy, mającej, jak się spodziewano, obejmować trzydzieści albo czterdzieści nazwisk głównych winowajców, przedstawia on, ku powszechnemu zdumieniu, kilka wielkich foljałów ze spisem trzechset do czterechset nawet, a jak utrzymują niektórzy, do tysiąca nazwisk i żąda, aby: bądź ukarano wszystkich wymienionych na liście, bądź nikogo.

Na tyle jednak odwagi, — ma on nadzieję, — nie zdobędzie się król i w ten sposób załatwiona zostanie przykra ta sprawa. Niestety jednak, przewodniczącym Rady Ministrów jest taki sam szczwany lis, jak on: Talleyrand. Widzi on odrazu, że podana jego przyjacielowi, Fouché'mu, pigułka niebardzo chce przejść mu przez gardło; tem więcej też nalega na zmuszenie go do przełknięcia jej. Przedewszystkiem tedy bez pardonu nakazuje powykreślać kogo się da z przedstawionej przez Fouché'go listy, aż wreszcie pozostaje na niej niewięcej niż cztery tuziny nazwisk. Uporawszy się z tem, przekazuje ministrowi policji fatalne zadanie sporządzenia wszystkich poszczególnych wyroków wygnania i śmierci i opatrzenia ich własnoręcznym swoim podpisem.

Najmędrszem, co mógłby teraz uczynić Fouché, byłoby włożenie kapelusza na głowę i zamknięcie za sobą od zewnątrz drzwi pałacowych.

Wielekrotnie już wszelako zaznaczany był na tem miejscu słaby punkt natury Fouché'go: jego ambicję cechuje wszelka mądrość, tylko nie ta jedna — w porę

się wycofać, w porę się wyrzec. Nie, Fouché woli raczej ściągnąć na siebie niełaskę, nienawiść, czy gniew, aniżeli w jakiejkolwiek sytuacji dobrowolnie opuścić fotel ministerjalny.

Dlatego też, ku rozwścieczeniu wszystkich, ukazuje się lista proskrypcyjna, zawierająca, okryte najchlubniejszą sławą, najszlachetniejsze nazwiska Francji i kontrasygnowana przez byłego jakobina. Na liście tej niebrak nikogo: figuruje na niej Carnot *„l'organisateur de la victoire"* twórca Republiki, także marszałek Ney, zwycięzca w niezliczonych bitwach, zbawca niedobitków armji z kampanji rosyjskiej, wszyscy towarzysze Fouché'go w RządzieTymczasowym, ostatni jego koledzy z Konwentu, współtowarzysze walk rewolucyjnych. Nazwiska wszystkich znaleźć można na tej straszliwej liście, po nad którą unosi się upiorna groza śmierci albo banicji. Znajdują się tu wszystkie nazwiska, których działalność w przeciągu ostatnich dwóch dziesiątków lat opromieniała Francję glorją chwały.

Brak na niej jednego tylko nazwiska: Józefa Fouché, księcia Otrantu.

A raczej: nie, nie brak. Nazwisko księcia Otrantu figuruje również na tej liście. Nie w tekście jej wszakże, jako należące do jednego z oskarżonych i skazanych ministrów napoleońskich, ale jako królewskiego ministra, który posłał wszystkich swoich towarzyszy na śmierć czy na banicję: jako kata.

— — — — — — — — — — — — — — —

Za taki gwałt, jak ów, jaki były jakobin zadał własnemu sumieniu przez dobrowolne to poniżenie się, nie może król odmówić mu pewnego rodzaju wdzięczności. Udziałem Józefa Fouché, księcia Otrantu, staje się też ostatnie, najwyższe wyróżnienie. Owdowiały od pięciu lat, postanowił on powtórnie się ożenić, a mianowicie, zamierza ten sam człowiek, który ongi zażarcie pożądał „krwi arystokratów", pojąć za małżonkę przedstawi-

cielkę błękitnej krwi, hrabinę Castellane, damę z wysokiej noblessy, a więc „członka zbrodniczej bandy, która musi paść pod mieczem prawa", jak zwykł niegdyś głosić w Nevers. Od tego czasu wszelako — niejedne mieliśmy zabawne tego próbki — poddał dawny ultrajakobin, krwawy Józef Fouché, swoje przekonania gruntownej rewizji; kiedy też teraz, 1-go sierpnia 1815-go roku, jedzie do kościoła, nie czyni tego, jak w 1793-im, aby rozbijać młotem „haniebne symbole fanatyzmu" — krucyfiksy i ołtarze, ale aby wraz z arystokratyczną swoją oblubienicą kornie przyjąć błogosławieństwo człowieka w tej samej mitrze, którą — pamiętamy to wszak! — w 1793 nasadzić kazał dla wyszydzenia jej na łeb osła.

Wedle odwiecznego arystokratycznego obyczaju — książe Otrantu, poślubiający hrabinę Castellane, wie co się powinno czynić w takiej okoliczności — podpisany być musi kontrakt ślubny przez przedstawicieli najpierwszych rodów przy dworze królewskim i wysokiej szlachty. Otóż, jako pierwszy świadek, podpisuje Ludwik XVIII *manu propria* ten jedyny chyba w dziejach świata dokument na rzecz mordercy królewskiego swojego brata, jako najdostojniejszy i najniegodniejszy świadek ślubnej ceremonji.

To wiele, bezprzykładnie wiele. A nawet zawiele.

Bowiem ten właśnie szczyt zuchwalstwa: pozwolić sobie, jako *„régicide"*, jako królobójca, zaprosić brata zgoilotynowanego przez siebie króla na świadka uroczystości ślubnej, wzbudza śród arystokratycznych kół niesłychane rozgoryczenie.

Ten nędzny przeniewierca, ten rojalista od onegdaj — pomrukują oburzeni — zachowuje się tak, jak gdyby należał w samej rzeczy do dworu i arystokracji. Na co właściwie jest jeszcze potrzebny ten *„le plus dégoûtant reste de la révolution"*, ten ostatni, najwstrętniejszy szczątek Rewolucji, który ohydną swoją obecnością kazi i bezcześci ministerjum? Prawda, że dopomógł on do

wprowadzenia króla ponownie do Paryża, że użyczył przedajnej swojej ręki do podpisania aktu, skazującego na banicję najlepszych ludzi Francji. Teraz jednak precz z nim! Ci sami właśnie arystokraci, którzy, dopóki król czekał z najwyższem zniecierpliwieniem na otworzenie się przed nim wrót Paryża, nalegali na niego natarczywie, aby powołał księcia Otrantu na ministra, jako że on jeden umożliwi mu wjazd do Paryża bez przelewu krwi, ci sami panowie nie chcą odrazu nic wiedzieć o żadnym księciu Otrantu. Pamięć ich przechowała uporczywie jedynie niejakiego Józefa Fouché, który zmasakrować kazał w Lyonie wystrzałami armatniemi setki księży i arystokratów i domagał się orzeczenia wyroku śmierci na Ludwika XVI.

Książe Otrantu spostrzega nagle, przechodząc przez przedpokoje królewskie, że cały szereg arystokratycznych panów nie kłania się mu już i odwraca się od niego z wyzywającą pogardą. Ukazują się niespodzianie, przechodzące z ręki do ręki, pamflety na *„Mitrailleur de Lyon“*. Świeżo zawiązany patrjotyczny Związek *„Francs regénérés“*, praprzodków *„Camelots du roi“* i „budzący się Węgrzy“, urządzają zgromadzenia, na których bez ogródek żądają, aby zahaftowany w lilje sztandar oczyszczony został nareszcie z hańbiącej tej plamy.

Tak łatwo jednak nie poddaje się Fouché, o ile idzie o władzę. Trzyma się jej zębami i pazurami. W tajemnym raporcie jednego z szpiegów, którego zadaniem było śledzenie go, czytamy, jak rozpaczliwie szukał na wszystkie strony punktu oparcia. Ostatecznie są wszak jeszcze w kraju przedstawiciele nieprzyjacielskich mocarstw: oni to obronić go mogą przed nazbyt królewskimi sługami króla. Udaje się tedy do cesarza rosyjskiego, codziennie odbywa godzinne narady z Wellingtonem i angielskim ambasadorem, zakłada wszystkie podkopy dyplomatyczne, usiłując z jednej strony zjednać dla siebie lud skargą na zalegające Francję obce wojska, a równocześnie nastraszyć króla przesadnemi

sprawozdaniami. Jako orędownika do króla Ludwika XVIII posyła zwycięzcę z pod Waterloo, mobilizuje finansistów, kobiety i ostatnich, pozostałych mu jeszcze przyjaciół.

Nie, nie odejdzie: zbyt drogą ceną opłaciło sumienie jego to stanowisko, aby nie miał bronić się rozpaczliwie.

I rzeczywiście, w ciągu kilku tygodni udaje mu się utrzymać na fali politycznej dzięki stosowaniu manewrów zręcznego pływaka, kładącego się to na bok, to na plecy. Przez cały czas — jak dowiadujemy się z wspomnianego raportu szpiegowskiego — zdaje się być jaknajlepszej myśli; prawdopodobnie nietylko pozornie, ale i w głębi duszy nie traci również nadziei pomyślnego wybrnięcia z opresji. Wszakże w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat zawsze wypływał na wierzch. A skoro potrafił dać sobie radę z takim Robespierre'm i takim Napoleonem, śmiesznie byłoby kłopotać się z powodu kilku głupich arystokratów!

Kto przywykł stale pogardzać ludźmi, nie boi się już ich oddawna; nie boi się też ich ten, kto odniósł górę nad największymi w dziejach i przeżył ich wszystkich.

---

Jednego wszelako nie nauczył się stary kondotjer, wyrafinowany znawca ludzi; nikt też nie zdoła się tego nauczyć: walki z upiorami.

O tem jednem zapomniał Fouché, że po królewskich komnatach snuje się, niby Erinja zemsty, widmo przeszłości, — księżna d'Angoulême, rodzona córka Ludwika XVI i Marji Antoniny, jedyna z rodu, która uszła z życiem z potwornej rzezi. Król Ludwik XVIII mógł jeszcze przebaczyć Fouché'mu; zawdzięcza wszakże temu jakobinowi swój tron królewski, a takie dziedzictwo łagodzi czasem (dowieść tego może historja) w najwyżej nawet postawionych rodzinach ból braterski. Przebaczenie było dla niego ułatwione, jako że osobiście

niewiele przeżył z tego czasu grozy; księżna d'Angoulême, natomiast, córka Ludwika XVI i Marji Antoniny, ma we krwi upiorne obrazy swojego dziecięctwa. Ma wspomnienia, których się nie zapomina i uczucia nienawiści, których nic nie zdoła złagodzić. Zbyt wiele przeżyła osobiście fizycznie i duchowo, aby mogła wybaczyć kiedykolwiek któremu z jakobinów, któremu z żywych majaków straszliwej przeszłości.

Jako dziecko, drżąc całem ciałem, przeżyła w zamku Saint-Cloud ów potworny wieczór, kiedy tłuszcza sankiulotów zamordowała odźwiernego i w ociekających krwią łapciach stanęła przed jej ojcem i jej matką. Przeżyła potem wieczór, kiedy, stłoczeni w powozie wszyscy czworo: ojciec, matka, ona i brat — „piekarz, piekarka i piekarczycy" — wpośród wznoszącego szyderczе okrzyki tłumu, świadomi, że w każdej godzinie czyha na nich śmierć, zataszczeni zostali zpowrotem do Paryża, do Tuilerjów. Przeżyła też, jako świadek naoczny, dzień 10-y sierpnia, w którym motłoch pałkami wyważył drzwi do apartamentów jej matki, szyderczo wcisnął na głowę jej ojca frygijską czerwoną czapkę i przyłożył mu piki do piersi. Przecierpiała przeraźliwe dni w więzieniu Temple i nieludzką, straszliwą chwilę, kiedy ten sam rozjuszony tłum podniósł aż na wysokość ich okna zatkniętą na ostrze piki, ściętą głowę przyjaciółki jej matki, księżny Lamballe, z rozpuszczonemi, pozlepianemi zakrzepłą krwią włosami.

Czy podobna, aby zapomniała o owym wieczorze upiornym, w którym pożegnała się z wleczonym na gilotynę ojcem, o rozstaniu się z bratem, któremu dano w ciasnej izdebce zmarnieć z głodu, brudu i robactwa? Jakże mogła nie pamiętać o przystrojonych w czerwone czapki towarzyszach Fouché'go, którzy zadręczali ją codziennemi badaniami i przesłuchiwaniami, zmuszaniem jej do świadczenia przed sądem — podczas procesu, wytoczonego królowej — o rzekomem uprawianiu przez jej matkę, Marję Antoninę, rozpusty z własnym jej

małym synem? I jak wreszcie zatrzeć w pamięci moment najstraszliwszy, w którym oderwać się musiała z ramion matki, a potem usłyszała na dole turkotanie po kamiennym bruku wozu, ciągnącego ją na gilotynę?

Nie! Ona, córka Ludwika XVI i Marji Antoniny, więziona w Temple, nie czytała z gazet tylko, jak Ludwik XVIII, opisu tych potworności, ani też nie słyszała powtarzanych z trzecich ust wiadomości o nich, ale ma je głęboko, niezatartemi zgłoskami, wżarte w udręczoną, przyćmioną kirem żałoby dziecięcą duszę. A jej nienawiść do morderców jej ojca, do dręczycieli jej matki, do obrazów grozy, rzucających ponury cień na całe jej dziecięctwo, nienawiść do wszystkich jakobinów i rewolucjonistów nie osłabła ani trochę z wiekiem i wciąż po dawnemu jeszcze łaknie pomszczenia.

Takie wspomnienia nie mogą być wykreślone z pamięci.

I dlatego poprzysięgła, że nigdy i w żadnych okolicznościach nie poda ręki ministrowi swojego stryja, współmordercy jej ojca, Fouché'mu, i nigdy nie będzie oddychała powietrzem tego samego, co on, pokoju. Otwarcie i wyzywająco okazuje ona ministrowi wobec całego dworu swoją nienawiść i pogardę dla niego. Nie zjawia się na żadną uroczystość, na żadne zgromadzenie, w których bierze udział ten królobójca, ten zdrajca własnych swoich ideałów, a jej nieukrywane, szydercze, fanatycznie afiszowane pogardzanie przeniewiercą podnieca stopniowo w duszach reszty otoczenia dworskiego poczucie honoru i ambicji. Dochodzi wreszcie do tego, że wszyscy członkowie królewskiego rodu Ludwika XVIII jednogłośnie domagają się, aby teraz, kiedy król posiadł już trwale zapewnioną władzę, sromotnie przepędził on z Tuilerjów mordercę swojego brata.

Niechętnie i, jak dobrze pamiętamy, tylko dlatego, że Fouché nieodzownie był mu potrzebny, dał sobie Ludwik XVIII narzucić go na ministra. Tem chętniej też,

i z radością nieledwie, gotów jest puścić go teraz na cztery wiatry.

„Biedna księżna nie może być w dalszym ciągu narażona na stykanie się z wstrętną tą twarzą", mówi król z uśmiechem o człowieku, który, nie domyślając się niczego, wciąż jeszcze pisze się jego „najwierniejszym, najuniżeńszym sługą". Talleyrand, drugi z rzędu przeniewierca, otrzymuje z ust króla polecenie wyjaśnienia swojemu towarzyszowi z Konwentu i z czasów napoleońskich, że obecność jego w Tuilerjach przestała już być pożądana.

Talleyrand chętnie podejmuje się spełnić to polecenie. Trudno mu już jest wykręcać żagle pod ostro dmący wiatr rojalistyczny. Ma też nadzieję, że najłatwiej uda mu się utrzymać pomyślnie płynący swój statek na fali, o ile wyrzuci z niego niepotrzebny balast. A najcięższym balastem w jego ministerjum jest ów królobójca, jego dawny towarzysz broni, Józef Fouché: wyrzucenia go poza burtę dokonywa Talleyrand z czarującą zręcznością gładkiego światowca.

Nie oznajmia mu o jego dymisji w sposób brutalny, ani oficjalny, — nie, jako stary mistrz form towarzyskich, jako z krwi i kości szlachcic, obiera najsubtelniejszy, zachwycający sposób uświadomienia pana Fouché, że na zegarze jego wybiła wreszcie północ.

Ostatni ten arystokrata *Dix-huitième siècle* nadaje wszystkim zaaranżowanym przez siebie scenom komedjowym i intrygom kulisy salonowe, i tym razem też przystraja brutalnie daną dymisję w najzręczniejszą, najwytworniejszą formę.

14-go grudnia spotykają się, Talleyrand i Fouché, na proszonym wieczorze. Jedzą kolację, gawędzą o obojętnych rzeczach, zdają się być obydwaj, a zwłaszcza Talleyrand, w doskonałych humorach. Dokoła niego zgromadziło się, jak zazwyczaj, liczne koło; piękne kobiety, dostojnicy, młodzież, wszystko ciśnie się do niego ciekawie, aby słyszeć co powie ten mistrz słowa. I, w rze-

czy samej, jest on dzisiaj szczególnie czarującym *causeur*'em. Opowiada o dawno minionych czasach, kiedy to musiał uciekać do Ameryki, zagrożony wydanym przez Konwent rozkazem uwięzienia go i przy tej sposobności entuzjastycznie wychwala wspaniały ten kraj i jego przyrodę. Ach,, jak tam rozkosznie! Nieprzebyte lasy, zaludnione przez potomków pierwotnego szczepu Czerwonoskórych, potężne, niezbadane rzeki i strumienie, największy z nich Potomac, olbrzymie jezioro Erie. Pośród tego bohaterskiego, romantycznego pejzażu wzrosło nowe pokolenie o stalowo prężnej woli, silne i dzielne, niezwyciężone w walkach, całą duszą oddane wolności, rządzone wzorowemi prawami, bogate w nieprzewidziane zupełnie możliwości.

Tak, tam jeszcze można wiele się nauczyć, tam wyczuwa się nową, lepszą przyszłość, tętniącą nieskończenie żywszym obiegiem krwi niż w naszej przeżytej, zeskorupiałej Europie! Tam warto byłoby zamieszkać i na tamtym terenie działać — woła Talleyrand z zapałem. Żadne stanowisko nie wydaje mu się bardziej pociągające, aniżeli ambasadora w Stanach Zjednoczonych...

I, nagle, przerywa ten, jak gdyby przypadkowy swój, entuzjastyczny nastrój i zwraca się do Fouché'go:

„Nie miałby pan ochoty, Mości książe Otrantu, na zajęcie takiego stanowiska?"

Fouché blednie. Zrozumiał. Kipi z wściekłości. Jak przemyślnie i zręcznie wyciągnął z pod niego stary lis fotel ministerjalny wobec wszystkich, wobec całego dworu! Nie daje odpowiedzi. Po kilku minutach wychodzi, wraca do domu i pisze podanie o dymisję.

Talleyrand w najlepszym humorze pozostaje na zebraniu i, na powrotnej drodze, z grymasem fałszywego uśmiechu na ustach mówi do swoich przyjaciół: „Tym razem ukręciłem mu łeb na dobre."

— — — — — — — — — — — — — — — —

Aby przystroić w cienką obsłonkę wobec opinji publicznej to jaskrawe wyrzucenie Fouché'go, *pro forma*

proponuje się zdymisjonowanemu ministrowi inny, małego znaczenia urzędzik. Nie czyta się też w „*Moniteur*'ze", że królobójca, „*régicide*", Józef Fouché, zrzucony został ze swojego stanowiska, jako minister policji, ale że Jego Królewska Mość, król Ludwik XVIII, raczył zamianować Jego Excelencję księcia Otrantu posłem przy Dworze Drezdeńskim.

Król i jego otoczenie spodziewa się oczywiście, że Fouché odmówi przyjęcia tego, pozbawionego zupełnie znaczenia, urzędu, który nie odpowiada ani jego wysokiej randze, ani jego już wszechświatowemu stanowisku.

W jakim są jednak błędzie!

Gdyby Fouché zachował minimum trzeźwego rozsądku, musiałby zrozumieć, że królobójca, z kretesem i bez ratunku przepadł, jako funkcjonarjusz na usługach reakcyjnej monarchji, że po upływie kilku miesięcy wydarty mu będzie z paszczy i ten mizerny, rzucony mu gnat. Ale nienasycona żądza władzy znieprawiła jego niegdyś tak zuchwale wilczą duszę, czyniąc ją ulegle psią już tylko.

Zupełnie tak samo, jak Napoleon do ostatka czepiał się rozpaczliwie zębami nietylko swojego tronu, ale samej już przynęty tytułu swojej cesarskiej godności, tak samo, i w nieskończenie wyższym jeszcze stpniu, czepia się sługa jego, Fouché, ostatniego i najmarniejszego blichtru roli pseudoministra. Lepki jak smoła, nie chce oderwać się od władzy i jego marnie służalcza, pełna tajonego rozgoryczenia dusza ulega i tym razem posłusznie swojemu władcy!

„Sire, przyjmuję z wdzięcznością stanowisko posła, które Wasza Królewska Mość raczył mi łaskawie powierzyć" — z pokorą pisze ten pięćdziesięciosiedmioletni mąż stanu, dwudziestokrotny miljoner, do człowieka, który od półroku dopiero z jego, Fouché'go, własnej łaski stał się ponownie królem. Pakuje swoje kufry, przenosi się wraz z całą rodzinę na mikroskopij-

ny dwór drezdeński i urządza się po książęcemu, jak gdyby miał do końca swojego życia przebywać tutaj na stanowisku królewskiego posła.

To wszelako, przed czem drżał od tak dawna, urzeczywistnia się niebawem.

W ciągu ćwierćwiecza rozpaczliwie zwalczał Fouché widmo powrotu Burbonów, przeczuwając niezawodnym instynktem, że jednak w końcu zażądają oni od niego obrachunku z tych dwu wyrazów: *„La mort"*, jakiemi posłał Ludwika XVIII na gilotynę. Niedorzecznie jednak żywi nadzieję omamienia ich wśliźnięciem się w ich szeregi pod maską zacnego, wiernego sługi królewskiego.

Tym razem wszakże nie oszukał innych, jeno samego siebie. Nie zdążyły bowiem jeszcze przyschnąć kosztowne obicia ścienne, jakiemi kazał wykleić swoje apartamenty drezdeńskie, zaledwie zdołał wstawić do nich najniezbędniejsze sprzęty, pada już w Parlamencie francuzkim pierwszy piorun na jego głowę. Nikt nie mówi już o księciu Otrantu, wszyscy zapomnieli, że dostojnik, noszący ten tytuł, tryumfalnie wprowadził do Paryża nowego króla, Ludwika XVIII, — wszyscy mają na ustach tylko „pana Fouché", haniebnego *„régicide"*, *Joseph Fouché de Nantes*, który 1792-im skazał na śmierć króla; *„Mitrailleur"*a Lyonu", który przeważającą większością 34-ch głosów przeciwko marnym 32-m wykluczony zostaje ze wszystkich list amnestyjnych i dożywotnie skazany na banicję z Francji, człowieka, „który poważył się podnieść rękę na pomazańca bożego".

Dekret ten pociąga oczywiście za sobą sromotne zrzucenie Fouché'go z jego stanowiska posła. Bezlitośnie, szyderczo i pogardliwie wypędzony zostaje na ulicę „pan Fouché", już nie ekscelencja, nie komandor legji honorowej, już nie senator, ani minister, ani też dostojnik państwa. Równocześnie urzędowo komunikuje się królowi saskiemu, że i osobiste przebywanie w Drez-

nie „tego indywiduum", Fouché'go byłoby odtąd niemile widziane.

Ten, kto sam skazywał tysiące na zesłanie, idzie teraz, po dwudziestu latach, jako ostatni zkolei, śladem współtowarzyszy swoich, bojowców Konwentu, jak oni pozbawiony ojczyzny, wyklęty, skazany na banicję.

Teraz, kiedy Fouché pozbawiony został władzy, odarty ze wszystkiego i wypędzony na ulicę, rzuca się tak samo jednomyślnie nienawiść wszystkich na upadłego, jak jednomyślnie ubiegały się o względy potężnego sympatje wszystkich stronnictw. Nic już nie mogą wskórać wszelkie protesty, błagania, zaklinania, kręte drogi: dostojnik, pozbawiony władzy, wykreślony z listy polityków, zgrany do nitki intrygant jest zawsze najnędzniejszem na świecie stworzeniem.

Późno, ale z lichwiarskim procentem zapłaci Fouché za to, że nigdy nie pracował dla idei, ani się dla niej nie poświęcał, nie miał na względzie ulżenia moralnym cierpieniom ludzkości, ale zawsze i jedynie działał z myślą o korzystnem wyzyskiwaniu przelotnego momentu i zmieniających się ludzi.

Dokąd udać się teraz?

Wygnany z Francji książe Otrantu nie kłopocze się tem zrazu. Czyż nie jest protegowanym cara, zaufanym powiernikiem zwycięzcy z pod Waterloo, Wellingtona, przyjacielem wszechpotężnego ministra austrjackiego, Metternicha? Czy nie są mu winni wdzięczność dozgonną Bernadotte'owie, którym dopomógł do wzniesienia się na tron szwedzki? Tak samo bawarscy książęta? Czyż nie pozostaje od wielu lat w stosunku poufałej zażyłości z wszystkimi dyplomatami, a wszyscy książęta i królowie Europy czy nie zabiegali zawsze gorąco o jego względy? Wystarczy więc — nie wątpi o tem — najlżejsza wzmianka, a każdy będzie się żarliwie ubiegał o zaszczyt ofiarowania schronienia u siebie wygnanemu z własnej ojczyzny Arystydesowi.

Jakże odmienne wszelako jest oblicze historji w sto-

sunku do upadłych wielkości w porównaniu z tem, jakie ukazuje ona stojącym na wyżynie!

Dwór cesarski nie odpowiada zaproszeniem pomimo kilkakrotnie powtarzanych wyraźnych nagabywań. Tak samo milczy Wellington; Belgja wręcz odmawia: mają tam w obrębie swoich granic dość już dawnych jakobinów; Bawarja ostrożnie się uchyla; zadziwiająco chłodne jest też zachowanie się dawnego przyjaciela, księcia Metternicha. Tak, rozumie się, skoro książe Otrantu koniecznie życzy sobie i pragnie tego, może osiedlić się na obszarze austrjackim; Austrja wspaniałomyślnie zgadza się nie stawiać objekcyj przeciwko temu. W żadnym jednak razie nie może mu pozwolić na zamieszkanie w Wiedniu. O, nie, tam stanowczo byłby niepożądany. Nie może również być mowy o jego udaniu się do Włoch. Conajwyżej w którem z miast prowincjonalnych, i to nie w granicach Dolnej Austrji, zatem nie w pobliżu Wiednia mógłby zamieszkać (oczywiście pod warunkiem nienagannego sprawowania).

Niemożna powiedzieć, aby stary przyjaciel, Metternich, ofiarowywał gościnę szczególnie skwapliwie. Nie zdaje się nawet zbytnio go kusić propozycja księcia Otrantu, który oświadcza gotowość obrócenia miljonowego swojego majątku na nabycie gruntów w Austrji, albo ulokowania go w austrjackiej rencie państwowej, oddania syna na służbę do austrjackiej armji cesarskiej. Wszystkie te ponętne obietnice księcia Otrantu nie są jednak w stanie przełamać pełnej rezerwy ostrożności, z jaką traktuje go austrjacki mąż stanu. Co gorzej, na przysłaną przez księcia Otrantu zapowiedź złożenia mu wizyty w Wiedniu, wyprasza się Metternich od niej grzecznie — nie, nie może na to się zgodzić, niech książe zechce zupełnie cicho, prywatnie, bez ostentacyj, udać się do Pragi.

W tym stanie rzeczy przekrada się Józef Fouché, raczej tolerowany niż zapraszany, przyjmowany bez żadnych honorów, z Drezna do Pragi, aby tam za-

mieszkać. Zaczęło się czwarte jego wygnanie ostatnie, najokrutniejsze.

I w Pradze nie budzi szczególnego zachwytu dostojny, co prawda, ale o wielce nadwerężonem dostojeństwie gość. Zwłaszcza osiadła tu od prapradziada arystokracja odwraca się niechętnie od niemiłego, obcego natręta. Czeska arystokracja czytuje wciąż jeszcze francuzkie gazety, pełne teraz właśnie mściwych, wściekłych napaści na „pana“ Fouché. Opowiadają one często i bardzo szczegółowo, w jaki sposób ten jakobin w 1793-im rabował w Lyonie kościoły i opróżniał w Nevers kasy. Wszyscy drobni pisarczycy, którzy ongi drżeli przed twardą pięścią ministra policji, zmuszeni zagryzać w milczeniu wargi z wściekłości, wylewają teraz na bezbronnego potoki jadowitej swojej śliny. Koło fortuny odwraca się teraz z oszałamiająco szaloną szybkością. Ten, który w swoim czasie dzierżył straż nad połową Europy, sam pozostaje obecnie pod surowym nadzorem; wszystkie metody policyjne, zrodzone w wynalazczym, twórczym jego umyśle, stosowane są teraz przez jego uczniów i dawnych podwładnych przeciwko byłemu ich mistrzowi i szefowi.

Każdy list do księcia Otrantu, czy od niego, przechodzi uprzednio przez Czarny Gabinet, jest otwierany i przepisywany; agenci policyjni śledzą Fouché'go i meldują o każdej prowadzonej przez niego rozmowie, szpiegują nawet jego stosunki towarzyskie, kontrolują każdy jego krok. Wszędzie i zawsze czuje, że jest podpatrywany, podsłuchiwany, śledzony, otoczony. Jego własna, doprowadzona do mistrzowstwa sztuka, jego własna wiedza jest z najokrutniejszą precyzyjnością i sprawnością wypróbowana na tym, który stworzył ją i udoskonalił.

Daremnie szuka obrony przed temi poniżeniami. Pisze do króla Ludwika XVIII, który jednak zupełnie tak samo nie odpowiada odtrąconemu, jak Fouché nie odpowiedział niegdyś Napoleonowi nazajutrz po jego

zdetronizowaniu. Śle listy do księcia Metternicha, który, w najlepszym razie, przez podrzędnych urzędników kancelaryjnych każe mu odpowiadać lakonicznem, mruliwem: „tak“ albo „nie“. Radzi mu, aby spokojnie się zachował pod uderzeniami bata, których nikt mu teraz nie szczędzi: czas byłby już ażeby przestał hałasować i uskarżać się.

Ten, który zyskiwał sobie względy ludzi strachem jeno, jest teraz przez wszystkich pogardzany od czasu, kiedy nikt nie ma już potrzeby obawiać się go. Największy gracz polityczny przegrał swoją partję ostatecznie i nieodwołalnie.

— — — — — — — — — — — — — — —

W ciągu dwudziestu pięciu lat udawało się wężowo nieuchwytnemu wyślizgiwać swojemu przeznaczeniu, które tylokrotnie tak groźnie sięgało po jego głowę. Teraz, kiedy leży on już, ostatecznie powalony i zmiażdżony, sypią się na niego i walą nielitościwe ciosy ze wszech stron.

W Pradze przeżywa nietylko działacz polityczny, ale i człowiek prywatny, Józef Fouché, swoją Kanossę. Żadna fantazja romansopisarza nie mogłaby wysnuć bardziej wymownego symbolu jego moralnego poniżenia, aniżeli był nim drobny epizod, jaki wydarzył się tam w 1817-ym.

Tragizm jego sytuacji idzie teraz w parze z najpotworniejszną karykaturą wszelkiego nieszczęścia, wszelkiej klęski: z śmiesznością. Upokorzony i ośmieszony został nietylko działacz polityczny, ale i mąż-małżonek.

Z góry przypuścić należy, że nie miłość była czynnikiem, który w swoim czasie zbliżył dwudziestoszścioletnią, piękną jak obraz, arystokratkę do pięćdziesięcioszścioletniego wdowca z twarzą bezkrwistą, upiorną, podobną do trupiej czaszki. Ale ten mało pociągający konkurent był wówczas drugim z kolei zpośród najbogatszych ludzi we Francji, dwudziestkrotnym miljo-

nerem, ekscelencją, księciem i wielce szanowanym ministrem Jego Arcykatolickiej Mości. Ślicznej, ale zubożałej hrabiance uśmiechała się usprawiedliwiona nadzieja błyszczenia na wszystkich balach i przyjęciach Faubourg Saint-Germain w charakterze jednej z najwytworniejszych, najświetniejszych dam Francji. Wistocie też zapowiadał się początek ze wszech miar wspaniale: Jego Królewska Mość raczył własną swoją ręką podpisać jej kontrakt ślubny; arystokracja i dwór zjechały się tłumnie w dniu winszunku; olśniewający pałac w Paryżu, dwie przepyszne siedziby wiejskie i zamek książęcy w Prowancji ubiegały się o zaszczyt służenia za miejsce zamieszkania młodej księżny Otrantu, jako ich władczyni i pani. Wzamian za takie wspaniałości gotowa byłaby niejedna ambitna młoda kobieta zostać małżonką trzeźwego, łysego, żółtego i wyschłego jak pergamin, pięćdziesięcioześcioletniego mężczyzny.

Ale piękna hrabianka zbytnio się pospieszyła ze sprzedaniem swojej kwitnącej młodości wzamian za czarci okup. Zaledwie ukończył sią miodowy miesiąc świeżopoślubionej pary, zrobiła młoda małżonka smutne odkrycie, że nie jest żoną wielce czczonego ministra, ale najbardziej znienawidzonego, najokrutniej wyszydzanego człowieka we Francji, wypędzonego z kraju, strąconego z urzędu, pogardzanego przez wszystkich „pana Fouché“ — książe wraz z całą swoją świetnością znikł, ulotnił się bezpowrotnie, pozostał tylko zmarniały, rozgoryczony stary żółciowiec.

Cóż więc dziwnego, że w Pradze zawiązuje się pomiędzy dwudziestoześcioletnią kobietą i młodym Thibaudeau, synem skazanego również na banicję starego republikanina, *„amitié amoureuse“*, o której niewiadomo dokładnie, jak dalece była ona tylko *amitié*, i jak dalece *amoureuse*. Daje to wszakże powód do wielce burzliwych zajść: Fouché wymawia młodemu Thibaudeau swój dom, co najfatalniejsze jednak, nie pozostaje to rozdwojenie małżeńskie tajemnicą pry-

watnej alkowy. Gazety rojalistyczne, czyhające na każdą sposobność przypięcia łatki człowiekowi, przed którym w ciągu lat całych drżano ze strachu, publikują teraz złośliwe uwagi o jego rozczarowaniach rodzinnych. Między innemi, ku zachwytowi swoich czytelników, puszczają kłamliwą, ordynarną plotkę, jakoby młoda księżna uciekła od starego rogacza ze swoim kochankiem. Niebawem spostrzega książe Otrantu, ilekroć zjawia się w Pradze na zebraniu towarzyskiem, że panie z trudnością powstrzymują ironiczny uśmiech i krytycznem spojrzeniem wyraźnie zestawiają kwitnącą młodą kobietę z jego własną, niezbyt pociągającą postacią. Teraz dopiero na własnej skórze odczuwa stary knowacz intryg, wieczny łowca skandalów i plotek, jak niemiło jest stać się ofiarą złośliwego obdzierania z dobrej sławy; na samym sobie przekonywa się, że niepodobna nigdy zwalczać podobnych oszczerstw i że najmędrzej czyni ten, kto od nich ucieka.

Teraz dopiero, w nieszczęściu, zmierza całą głębię własnego upadku, i wygnanie jego w Pradze staje się dla niego piekłem.

Powtórnie zwraca się do księcia Metternicha z prośbą o pozwolenie mu opuszczenia nieznośnego miasta i obrania na terytorjum austrjackiem innego miejsca zamieszkania. Metternich daje mu długo czekać. Wreszcie, łaskawie zezwala na jego przejazd do Linzu, dokąd też udaje się rozczarowany, znużony, upokorzony Fouché, aby uciec od nienawiści i szyderstw dawniej na skinienie podwładnego mu świata.

— — — — — — — — — — — — —

Linz. Ludzie uśmiechają się mimowoli w Austrji, wymawiając tę nazwę, która samem brzmieniem swojem jak gdyby napraszała się o niemiecki rym „Prowinz". Drobnomieszczańska ludność wiejskiego pochodzenia: robotnicy okrętowi, rzemieślnicy, przeważnie ubodzy ludzie, a śród tego tłumu tylko kilka arystokratycz-

nych rodzin zdawna osiadłego tutaj austrjackiego obywatelstwa wiejskiego. Niema, jak w Pradze, wielkiej, opromienionej glorją sławy tradycji; brak tu pragskiej opery, bibljotek, teatru, wspaniałych balów arystokratycznych, uroczystości — prawdziwie śpiące, z wiejska urządzone miasto prowincjonalne, doskonale nadające się na schronienie dla weteranów.

Do tej dziury przenosi się mocno już postarzały Fouché z obiema młodemi, prawie w równym wieku będącemi kobietami, z których jedna jest jego żoną, druga jego córką. Wynajmuje wspaniały dom, każe wytwornie go odnowić i urządzić ku wielkiej radości linckich dostawców i kupców, nieprzywykłych dotychczas do goszczenia w murach swojego miasta podobnych miljonerów. Kilka rodzin stara się nawiązać towarzyskie stosunki z interesującymi i, dzięki ich majątkowi, wytwornymi bądź co bądź przybyszami, przyczem jednak ostentacyjnie wyróżnia miejscowa arystokracja urodzoną hrabiankę Castellane, traktując lekceważąco syna jakiegoś mieszczańskiego kramarza, „pana" Fouché, któremu Napoleon dopiero (w ich oczach sam awanturnik jeno i parwenjusz) zawiesił płaszcz książęcy na wątłych ramionach. Urzędnicy ze swojej strony otrzymali z Wiendia tajną wskazówkę, aby starali się możliwie jak najmniej z nim wdawać. W ten sposób zniewolony jest dawniej tak namiętnie czynny człowiek do pozostawania w zupełnem odcięciu od ludzi, przez których jest nieomal unikany.

Jeden z współczesnych mu opisuje nader plastycznie w swoich pamiętnikach jego położenie na jednym z balów publicznych:

„Rażącem było, jak adorowano i otaczano czcią księżnę, a zaniedbywano Fouché'go. Średniego wzrostu, przytył na starość, ale nie nadmiernie, twarz miał zdecydowanie brzydką. Na zabawach tanecznych ukazywał się stale w błękitnym fraku ze złotemi guzikami, w białych pantalonach i białych pończochach. Pierś

jego zdobił wielki austrjacki order Leopolda. Zazwyczaj stał osamotniony przy piecu i przyglądał się tańcom. Patrząc na dawnego francuskiego ministra cesarskiego, który teraz stał taki samotny i opuszczony, wyraźnie rad, jeśli który z urzędników wszczynał z nim rozmowę, albo proponował mu zagranie z nim partji szachów, przychodziła mi mimowoli na myśl znikomość i zmienność wszelkiej władzy i wielkości na ziemi."

Jedno jedyne uczucie podtrzymuje aż do ostatniej chwili tego dawniej tak duchowo pasjonowanego człowieka: nadzieja wypłynięcia raz jeszcze na polityczną widownię świata. Zmęczony życiem, wyczerpany, nieco ociężały już z wiekiem, nie może jednak rozstać się z ułudą, że nadejdzie przecież czas, w którym władcy zmuszeni będą powołać go, jako najzasłużeńszego i najgodniejszego, zpowrotem na jego urząd; że raz jeszcze, jak tylokrotnie, wyrwie go przeznaczenie z ciemnych głębin zapomnienia i wzniesie na boskie szczyty wszechświatowej polityki.

Nieprzerwanie podtrzymuje tajną korrespondencję z przyjaciółmi swoimi we Francji; wciąż jeszcze snuje dawny pająk ukryte swoje sieci, pozostają one jednak niezauważone poza murami rezydencji jego w Linzu. Publikuje pod fałszywem nazwiskiem „Uwagi współczesnego o księciu Otrantu", anonimowy panegiryk, obrazujący jego talent, jego charakter w najczystszych, nieomal lirycznych barwach. Równocześnie, celem nastraszenia swoich wrogów, szerzy przezornie w swoich listach prywatnych wieść, że książę Otrantu pisze pamiętniki swojego życia, które mają ukazać się niebawem u Brockhausa, poświęcone królowi Ludwikowi XVIII. Chce tem przypomnieć nazbyt zuchwałym, że dawny minister policji, Fouché, ma jeszcze niejedną, i to śmiertelnie zatrutą, strzałę w swoim kołczanie.

Ale, o dziwo! Nikt ne boi się go już, nic nie wybawia go z pleśnienia w Linzu, nikomu nie przychodzi na

myśl powoływać go stamtąd, nikomu nie zdaje się być potrzebna jego rada, jego pomoc.

A kiedy, z innego powodu, rozpatrywana jest w Izbie francuskiej sprawa dania wygnańcom politycznym możności powrotu do kraju, nie wspomina nikt o nim ani z zainteresowaniem jego losem, ani z nienawiścią dla niego. Trzy lata, odkąd opuścił polityczną arenę, wystarczyły, aby zatrzeć w pamięci ludzkiej wielkiego artystę, tak świetnie odgrywającego wszystkie role. Milczenie sklepia się nad nim niby szklane wieko katafalku.

Nie istnieje już dla świata żaden książę Otrantu; tylko starzec, znużony, zgorzkniały, osamotniony i obcy spaceruje w ponurej zadumie po nudnych ulicach Linzu. Tu i owdzie grzecznie uchyla kapelusza przed schorzałym, zgarbionym starym człowiekiem dostawca jakiś czy kupiec; poza tem nie zna go i nie dba o niego nikt na świecie, nikt też nie myśli już o nim.

Historja, ten rzecznik wieczności, obrała najokrutniejszy rodzaj zemsty na człowieku, który zawsze myślał o chwili obecnej jedynie: grzebie go za życia w grobie zapomnienia.

— — — — — — — — — — — — —

Tak dalece zapomniany jest książę Otrantu, że nikt, z wyjątkiem kilku austrjackich urzędników policyjnych, nie zwrócił na niego uwagi, gdy nareszcie, w 1819-ym, pozwala Metternich Fouché'mu przenieść się do Tryjestu, jedynie dzięki temu, iż wiadomo mu z niezawodnego źródła, jako drobny ten akt łaski udzielony jest człowiekowi umierającemu. Bezczynność bardziej znużyła zapalony do swojej pracy, nieznający poza nią spokoju, duch, aniżeli trzydziestoletnia służba na linji frontu. Jego płuca zaczynają odmawiać posłuszeństwa, nie jest zdolny znieść surowości klimatu, i dlatego zezwala mu Metternich na obranie bardziej słonecznego miejsca umierania: Tryjestu.

Tu widuje się od czasu do czasu złamanego starca, wlokącego się ociężałemi już krokami na mszę i klękającego w kościele z pobożnie złożonemi do modlitwy dłońmi. Dawny Józef Fouché, własnoręcznie druzgocący przed ćwierćwieczem krucyfiksy na ołtarzach, klęczy teraz z kornie pochyloną, siwą głową przed „śmiesznemi emblematami zabobonu". Może też teraz, u kresu wędrówki, ogarnęła go tęsknota za cichemi krużgankami klasztornemi dawnych jego seminarjów.

Coś w nim uległo zasadniczej zmianie. On, dawny ambitny pieniacz, chciałby już tylko pojednać się z wszystkimi swoimi nieprzyjaciółmi. Siostry i bracia jego wielkiego przeciwnika, Napoleona — i oni również oddawna strąceni z wyżyn i zapomniani przez świat — odwiedzają go i gawędzą z nim o dawnych czasach: wszyscy ci odwiedzający zdumieni są, jak bardzo i jak prawdziwie złagodniał ten człowiek w miarę znużenia życiem. Nic w smutnym tym cieniu nie przypomina już dawnego, niebezpiecznego, siejącego zgrozę człowieka, który w ciągu dwóch dziesiątków lat trząsł światem, zakłócał na nim spokój i zmuszał najpotężniejszych ludzi do zginania przed nim karku.

Teraz pragnie już tylko spokoju, spokoju i dobrej śmierci. I w istocie, w ostatniej godzinie swojego życia jedna się on jeszcze z Bogiem i ludźmi. Jedna się z Bogiem: bowiem dawny, wojujący ateista, prześladowca chrześcijaństwa, burzyciel ołtarzy, sprowadza do siebie w ostatnich dniach grudnia jednego z „obrzydliwych oszustów" (jak ich nazwał w majowych dniach swojego jakobinizmu) i z modlitewnie złożonemi dłońmi przyjmuje ostatnie namaszczenie świętemi olejami.

Pokój z ludźmi: bowiem na kilka dni przed śmiercią nakazuje swojemu synowi, aby otworzył jego biurko i wyjął z jego szuflad wszystkie papiery. Rozpalono wielki ogień, do którego wrzucone zostają setki i tysiące listów, prawdopodobnie także i owe, budzące tak wielki niepokój, pamiętniki. Czy była to słabość, czy

strach przed potomnością, czy może tylko najzwyklejsze zobojętnienie? Faktem jest, że wszystko, co mogło kogokolwiek skompromitować i czem mógł Fouché wywrzeć z poza grobu zemstę na swoich nieprzyjaciołach, zniszczył na łożu śmiertelnym w momencie niezwykłych u niego, zbożnych nieledwie względów dla ludzi, dążąc, znużony życiem i światem, po raz pierwszy już nie do rozgłosu i władzy, ale do innego szczęścia: do zapomnienia.

— — — — — — — — — — — — —

26-go grudnia 1820-go roku następuje kres tego niezwykłego, bogatego w zmienne koleje, życia, które rozpoczęło się w mieście portowem Morza Północnego i zakończyło w tryjesteńskim porcie Morza Południowego. 28-go grudnia złożone zostaje na ostatni spoczynek ciało wypędzonego z ojczyzny i niespokojnie pędzonego po świecie.

Wieść o śmierci słynnego księcia Otrantu nie budzi zrazu zbyt wielkiego zainteresowania. Blady jeno, wątły dymek wspomnień ulatuje z jego zapomnianego imienia i rozwiewa się bez śladu prawie na uspokojonem niebie czasu.

Ale w cztery lata później strzela on raz jeszcze niepokojąco ku górze. Rozchodzi się wieść, jako ukazać się mają pamiętniki groźnego ministra. Na tę zapowiedź dreszcz lęku przebiega po plecach niejednego z dzierżących władzę, niejednego z tych, którzy zbyt pospiesznie, zbyt zuchwale rzucili się na strąconego. Czyżby naprawdę miały niebezpieczne te usta przemówić raz jeszcze z poza grobu? Czyżby w samej rzeczy ukazać się jednak miały, wyciągnięte na światło dzienne z cienia szuflad biur policyjnych, dokumenty, nazbyt poufne listy i kompromitujące dowody?

Ale Fouché pozostaje wierny sobie i po śmierci.

Bowiem jego pamiętniki, które wychodzą w Paryżu w 1824-ym, nakładem jednego z obrotnych wydawców,

są tak samo mało godne zaufania, jak był za życia ich rzekomy autor. Nawet z poza grobu jeszcze nie zdradza ten zawsze uparcie milczący całej prawdy; do chłodnej ziemi jeszcze zazdrośnie zabiera on z sobą swoje tajemnice, aby samemu pozostać tajemnicą, półświatłem tylko i przelotnym, migotliwym błyskiem, nieodsłoniętą nigdy całkowicie postacią.

Ale właśnie dlatego kusi ona wciąż nanowo do inkwizytorskiej gry, którą uprawiał on tak po mistrzowsku: odnalezienia, z ulotnie zanikającego śladu, zawiłej krętej drogi życia, a, ze zmiennych kolei jego przeznaczeń, duchowego wizerunku tego najbardziej godnego uwagi polityka.

KONIEC.

1712

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
Ul. Gen. Bremi k. Świętochowic

A 5254
сауг. 555.722